

James Clavell



SHOGUN

CLAVELL JAMES

Shogun #2

JAMES CLAVELL

część 2

Powieść o Japonii

Przełożyli Małgorzata i Andrzej

Grabowscy

ISKRY

KSIĘGA TRZECIA

30.

Fujiko klęczała pokornie przed Toranagą w głównej kabinie statku, którą zajmował w czasie tej podróży. Byli sami.

–Łaski, wielmożny panie – powiedziała błagalnie. – Cofnij wyrok.

–To nie wyrok, to rozkaz.

–Naturalnie, będę ci posłuszna. Ale nie mogę...

–Nie możesz?! – rozgniewał się Toranaga. – Jak śmiesz mi się sprzeciwiać?! Rozkazuję ci być nałożnicą pilota, a ty masz czelność sprzeciwiać się?!

–Przepraszam cię z całej duszy, wielmożny panie – odparła prędko Fujiko, wyrzucając z siebie potok słów. – Wcale nie chciałam ci się sprzeciwiać. Pragnęłam jedynie powiedzieć, że nie mogę zaspokoić twoich życzeń. Racz mnie łaskawie zrozumieć. Wybacz, wielmożny panie, ale trudno mi być szczęśliwą... albo udawać, że nią jestem. – Ukłoniła się, dotykając czołem futonu. – Z całą pokorą błagam cię, żebyś pozwolił mi popełnić seppuku.

–Już ci mówiłem, że nie pochwalam bezsensownej śmierci. Jesteś mi potrzebna.

–Ale ja, wielmożny panie, nie chcę żyć, proszę cię. Pokornie błagam. Chcę się połączyć z moim mężem i synem.

–Już ci odmówiłem tego zaszczytu – smagnął ją ostrym głosem Toranagą, zagłuszając hałasy na statku. – Jeszcześ sobie nań nie zasłużyła. Tylko przez wzgląd na twojego dziadka, mojego najstarszego druha, pana Hiro-matsu, wysłuchiwałem dotąd cierpliwie twych impertynencji. Dosyć tego, kobieto. Przestań się zachowywać jak głupia chłopka!

–Pokornie cię błagam, wielmożny panie, żebyś pozwolił mi ściąć włosy i zostać mniszką. Budda będzie...

–Nie. Wydałem ci rozkaz. Wypełnij go!

–Wypełnić? – spytała z nieruchomą twarzą, nie podnosząc oczu. A potem dodała półgłosem: – Sądziłam, że mam rozkaz pojechać do Edo.

–Miałaś rozkaz wsiąść na ten statek! Zapominasz o swojej pozycji, zapominasz o swoim rodzie, zapominasz o swoim obowiązku! O obowiązku! Mierzysz mnie. Odejdź i przygotuj się.

–Chcę umrzeć, proszę cię, wielmożny panie, żebyś pozwolił mi połączyć się z nimi.

–Twój mąż przez pomyłkę urodził się samurajem. Był spaczony, tak więc spaczony byłby też jego potomek. Przez tego głupca omal nie zginąłem! Połączyć się z nimi? Co za bzdura! Zabraniam ci popełnić seppuku! A teraz zejź mi z oczu!

Fujiko ani drgnęła.

–A może lepiej odesłać cię do eta. Do któregoś z ich domów. Może to przypomni ci o dobrym wychowaniu i obowiązku.

Przebiegł ją dreszcz, ale i tak wysyczała obronnym tonem:

–To są przynajmniej Japończycy.

–A ja jestem twoim lennym panem! I dlatego zrobisz, co każę! Fujiko zawahała się, a po chwili wzruszyła ramionami.

–Tak, panie. Przepraszam za swoje niewłaściwe zachowanie – odparła skruszonym głosem, z nisko pochyloną głową i dłońmi płasko ułożonymi na futonie. W głębi duszy jednak pozostała nie przekonana i oboje wiedzieli, co zamierza zrobić. – Wielmożny panie, szczerze przepraszam, że zakłóciłam twój spokój, twoje wa, twoją harmonię, a także za moje niewłaściwe zachowanie. Ty miałeś słuszność. Ja się myliłam...

Wstała i w milczeniu ruszyła do drzwi kabiny.

–A jeżeli przychylię się do twoich życzeń, to w zamian zrobisz dla mnie to, czego pragnę, najlepiej jak umiesz? – spytał Toranaga.

Wolno odwróciła głowę.

–Jak długo, wielmożny panie? – spytała. – Ośmielam się zadać ci pytanie, jak długo mam być nałożnicą barbarzyńcy.

–Rok.

Odwróciła się i sięgnęła do klamki.

–Pół roku – powiedział Toranaga.

Jej ręka zawisała w powietrzu. Drżąc Fujiko oparła głowę o drzwi...- Tak – powiedziała. – Dziękuję, wielmożny panie. Dziękuję ci.

Toranaga wstał i podszedł do drzwi. Zgięła się w ukłonie, otworzyła je przed nim i zamknęła. A potem cicho zapłakała.

Była samurajką.

Bardzo zadowolony z siebie, Toranaga wyszedł na pokład. Osiągnął swój cel jak najmniejszym wysiłkiem. Gdyby za bardzo pognębił dziewczynę, okazałaby mu nieposłuszeństwo i samowolnie odebrała sobie życie. Wiedział już jednak na pewno, że usilnie będzie starała się wypełnić zadanie, a ważne było, żeby chociaż na pokaz udawała, że jest szczęśliwa z pilotem, sześć miesięcy zaś satysfakcjonowało go w zupełności, pomyślał z zadowoleniem, że z kobietami idzie mu łatwiej niż z mężczyznami. W pewnych sprawach znacznie łatwiej.

I wtedy jego dobry nastrój prysł, bo spostrzegł samurajów Yabu zgromadzonych w zatoce.

–Witam w Izu, panie Toranaga – powiedział Yabu. – Ściągnąłem tu trochę żołnierzy, żeby posłużyli ci jako eskorta.

–To dobrze.

Galera szybko, w równym tempie zbliżała się do oddalonej o dwieście jardów przystani. Widzieli już Igurashiego, Omiego, futony i baldachim.

–Wszystko przyszykowano tak, jak to omówiliśmy w Osace – ciągnął Yabu. – A może zatrzymałbyś się tu na kilka dni, panie? Wyświadczyłbyś mi tym zaszczyt, a i byłaby z tego wielka korzyść. Mógłbyś zatwierdzić wybór dwustu pięćdziesięciu ludzi do regimentu muszkietów oraz poznać ich dowódcę.

–Nic nie ucieszyłoby mnie bardziej, Yabu-san. Ale jak najszybciej muszę się znaleźć w Edo.

–Może jednak na dwa, trzy dni? Proszę, panie. Parę dni wolnych od zmartwień dobrze ci zrobi, ne? Twoje zdrowie jest dla mnie bardzo ważne... ważne dla wszystkich twoich sprzymierzeńców. Trochę odpoczynku, dobrego jadła i polowanie.

Toranaga rozpaczliwie szukał wyjścia z sytuacji. Niepodobna, by mógł tu pozostać z zaledwie pięćdziesięcioma ludźmi ze straży przybocznej. Wówczas bowiem znalazłby się całkowicie na łasce Yabu, co było jeszcze gorsze od sytuacji, w jakiej był w Osace. Ishido przynajmniej przestrzegał określonych reguł i dało się przewidzieć, jak się zachowa. Ale Yabu? Yabu jest zdradziecki jak rekin, a rekinów się nie przynęca, ostrzegł się. A ponadto w żadnym razie na ich własnych wodach. I nigdy, jeśli samemu jest się przynętą. Wiedział, że układ, który zawarł z nim w Osace, będzie wart tyle, co ich mocz przy zetknięciu z ziemią, jeśli tylko Yabu uzna, że Ishido poczyni mu większe ustępstwa. Gdyby bowiem dostarczył tamtemu na drewnianym półmisku głowę Toranagi, z miejsca uzyskałby znacznie więcej, niż Toranaga gotów był mu ofiarować. Zabić Yabu czy też zejść na brzeg? Taki miał wybór.

–Jesteś nadzwyczaj uprzejmy – rzekł. – Ale muszę jechać do Edo. Do głowy mi nie przyszło, że Yabu znajdzie czas, żeby zgromadzić tutaj tyle wojska, pomyślał. Czyżby złamał nasz szyfr?

–Proszę, wybaczyć, że będę nalegał, Toranaga-sama. W okolicy są dobre tereny łowieckie. Moi ludzie mają sokoły. Po zamknięciu w murach Osaki dobrze będzie sobie zapolować, ne?

–Owszem, miło byłoby dziś zapolować. Żałuję, że straciłem w Osace swoje sokoły.

–Ależ nie straciłeś ich, panie. Hiro-matsu na pewno przywiezie je z sobą do Edo.

–Kazałem mu je wypuścić zaraz po tym, jak znajdziemy się w bezpiecznej odległości. Nim dotarłyby do Edo, znarowiłyby się bez ćwiczeń i spaczyły. Do moich nielicznych przestrzeganych zasad należy polować tylko z tymi sokołami, które sam układałem, i zapobiec, by miały innego pana. W ten sposób popełniają tylko moje własne wpojone im błędy.

–To słuszna zasada. Chciałbym poznać inne. Może dziś wieczorem, przy posiłku.

Ten rekin jest mi potrzebny, pomyślał z goryczą Toranaga. Za wcześnie na zabicie go.

Dwie rzucone z galery liny pochwyciono i umocowano. Naprężone trzeszczały z wysiłku, a statek zgrabnie kołysał się przy nabrzeżu. Wciągnięto wiosła. Spuszczono schodnię, Yabu stanął na jej szczycie.

Zgromadzeni samurajowie natychmiast wzniesli bitewny okrzyk „Kasigi! Kasigi!”, a ich wrzask poderwał w niebo rozkrzyczane mewy. Samuraje uklonili się jak jeden mąż.

–Zejdźmy na brzeg.

Toranaga spojrzal na chmarę samurajów, na wieśniaków leżących plackiem na ziemi i zadał sobie pytanie, czy to właśnie tu, tak jak to przewidział chiński astrolog, zginie od miecza. Pierwsza część tej wróżby już się sprawdziła: jego imię wypisano na murach Osaki.

Odsunął od siebie tę myśl.

–Zostajecie tutaj, wszyscy! – rozkazał głośno i władczo swoim pięćdziesięciu samurajom w brązowych mundurowych kimonach, stojąc na szczycie schodni. – Ty, kapitanie, przygotujesz się do natychmiastowego odpłynięcia! Zostaniesz w Anjiro trzy dni, Marico-san. Sprowadź zaraz na brzeg Fujiko-san i pilota i zaczekajcie na mnie tam na placu – polecił, stanął twarzą do brzegu i ku zdumieniu Yabu jeszcze donośniej oznajmił: – A teraz, Yabu-san, zlustruję twoje oddziały.

Natychmiast wyminął go i zszedł po schodni swobodnym, pewnym, władczym krokiem doświadczonego w boju generała.

Nie było wodza, który wygrałby więcej bitew i przewyższał go sprytem, z wyjątkiem taikō, ale ten przecież nie żył. Żaden inny generał nie stoczył ich aż tylu, miał więcej cierpliwości i stracił tak mało żołnierzy. A ponadto jeszcze z nikim nie przegrał.

Kiedy go rozpoznano, po wybrzeżu przeszedł szmer zdumienia. Tej inspekcji nikt nie oczekiwał. Z ust do ust podawano sobie jego nazwisko, a wzbierające na sile szepty oraz respekt, jaki wzbudzało, cieszyły go. Wiedział, że Yabu podąża za nim, ale się nie obejrzał.

–O, Igurashi-san – powiedział wesołym tonem, choć wcale nie było mu wesoło. – Miło cię znowu widzieć. Chodźmy, razem dokonajmy inspekcji waszych żołnierzy.

–Tak, panie.

–A ty jesteś z pewnością Kasigi Omi-san. Twój ojciec to mój stary towarzysz broni. I ty też chodź z nami.

–Tak, panie – odparł Omi, rosnąc wobec takiego zaszczytu. – Dziękuję.

Toranaga narzucił rażne tempo. Zabrał ich z sobą po to, żeby nie mieli okazji zamienić słowa z Yabu, wiedział bowiem, że jego życie zależy od tego, ozy utrzyma inicjatywę w swoim ręku.

–Czy nie walczyłeś wraz z nami pod Odawarą, Igurashi-san? – spytał, wiedząc doskonale, że to właśnie tam towarzyszący mu samuraj stracił oko.

–Tak, wielmożny panie. Miałem ten zaszczyt. Byłem tam z panem Yabu, walczyliśmy na prawym skrzydle wojsk taikō.

–To zaszczytnie, bo tam walka była najzawziętsza. Wiele mam do zawdzięczenia tobie i twojemu panu.

–Rozbiliśmy wroga, panie. Wypełnialiśmy tylko nasz obowiązek. Pomimo że nienawidził Toranagi, Igurashi był dumny z tego, iż pamięta on o tym manewrze i że wyraża wdzięczność. Podeszli do pierwszego regimentu.

–Tak – ciągnął donośnie Toranaga – ty i żołnierze z Izu bardzo nam pomogliście. Być może gdyby nie wy, nie zdobyłbym Kantō! Co, Yabu-sama? – Urwał znacząco. Publicznie obdarzając Yabu tym zaszczytnym tytułem, przydał mu splendoru.

To pochlebstwo kolejny raz zbiło Yabu z tropu. Wprawdzie uważał, że w zupełności zasługuje na ów tytuł, niemniej nie spodziewał się go usłyszeć” z ust Toranagi, ani myślał też pozwalać mu na formalną inspekcję swoich oddziałów.

–Być może – odparł – ale wątpię w to. Taikō nakazał wyciąć w pień ród Beppu. Tak więc został on wycięty.

Minęło dziesięć lat od chwili, kiedy dowodzony przez Beppu Genzaemona przepotężny i starożytny ród Beppu – ostatnia przeszkoda do zdobycia przez generała Nakamurę pełnej władzy w cesarstwie – przeciwstawił się połączonym siłom Nakamury, przyszłego taikō, i Toranagi. Ród ten przez wiele wieków władał Ośmioma Prowincjami, Kantō.

Toranaga przyjrzał się Yabu.

–Szkoda, że taikō nie żyje, ne? – spytał.

–Tak.

–Mój szwagier był wspaniałym wodzem. I świetnym nauczycielem. Tak jak i on, nigdy nie zapominam przyjaciół. Ani wrogów.

–Już niedługo dorośnie pan Yaemon, Jego dusza to dusza taikō. Panie Tora...

Yabu nie zdążył powstrzymać inspekcji, bo Toranaga znów ruszył, tak więc pozostało mu tylko podążyć za nim.

Toranaga pełen życzliwości szedł wzdłuż szeregów jego samurajów. Tu i ówdzie

wyróżniał jakiegoś spojrzeniem, niektórych rozpoznawał, lecz na żadnym nie zatrzymywał dłużej wzroku, kiedy sięgał do pamięci, by skojarzyć sobie ich twarze i nazwiska. Posiadał tę rzadką umiejętność wybitnych wodzów, podczas inspekcji których żołnierz czuje, że przez chwilę wzrok dowódcy spoczywa wyłącznie na nim, a być może zwraca się on właśnie do niego jednego spośród wszystkich towarzyszy. Toranaga robił to, do czego był urodzony, to, co robił już tysiąckrotnie: panował nad żołnierzami siłą woli.

Yabu, Igurashi i Omi minęli ostatniego samuraja z szeregu wyczerpani. Ale nie Toranaga. Zanim Yabu miał ponowną okazję go powstrzymać, wszedł prędko na pagórek i stanął na nim w pojedynkę.

–Samurajowie Izu, poddani mojego przyjaciela i stronnika, Kasigi Yabu-sama! – zawołał bardzo dźwięcznym głosem. – To dla mnie zaszczyt gościć tutaj. Ujrzeć część potęgi Izu, część wojsk mojego wielkiego sojusznika. Słuchajcie, ciemne chmury gromadzą się nad cesarstwem i zagrażają pokojowi – ustanowionemu przez taikō. Musimy uchronić dary, które nam dał, przed zdradą na najwyższych szczeblach władzy! Przygotujcie się wszyscy! Wyostrzcie broń! Wspólnie obronimy jego testament! I zwyciężymy! Niechaj wielcy i mali bogowie Japonii dopilnują tego! Niech bez litości zgładzą wszystkich tych, którzy przeciwstawiają się rozkazom taikō!

Podniósł ręce i pozdrowił zebranych okrzykiem bitewnym „Kasigi!”, po czym – nie do wiary – uklonił się oddziałom i pozostał w ukłonie.

Wszyscy wlepili w niego wzrok. A potem od szeregów nadleciał powtarzany raz po raz ryk „Toranaga!” i samuraje oddali mu ukłon.

Uklonił się nawet Yabu, przytłoczony niezwykłą wymową tej chwili.

Nim zdążył się wyprostować, Toranaga już zszedł z pagórka i ruszył żwawym krokiem.

–Idź z nim, Omi-san – polecił Yabu. Nie przystało mu bowiem biec w dyrdy za Toranaga.

–Tak, panie – odparł Omi.

–Jakie wieści z Edo? – spytał po jego odejściu Yabu Igurashiego.

–Twoja żona, pani Yuriko, kazała zawiadomić cię przede wszystkim, że w całym Kantō trwa wzmożona mobilizacja. Na wierzchu widać niewiele, lecz pod spodem wszystko wrze. Jej zdaniem Toranaga szykuje się do wojny, do nagłego ataku, być może przeciwko samej Osace.

–A co z Ishido?

–Przed naszym wyjazdem nic. A wyjechaliśmy pięć dni temu. Nic też o ucieczce Toranagi. Dowiedziałem się o niej dopiero wczoraj, kiedy twoja żona, panie, wysłała z Edo gołębia pocztowego.

–Aha, a czy Zukimoto załatwił już łączność przez posłańców?

–Tak, wielmożny panie. – To dobrze.

–Wiadomość od twojej żony brzmiała: „Toranaga uciekł szczęśliwie galerą z Osaki wraz z naszym panem. Przygotuj się na ich powitanie w Anjiro”. Pomyślałem, że zachowam to w tajemnicy przed wszystkimi oprócz pana Omiego, ale jesteśmy przygotowani.

–Jak?

–Nakazałem „manewry” w całym Izu, wielmożny panie. Jeżeli zapragniesz, to w ciągu trzech dni zamkniemy wszystkie szlaki i trakty prowadzące do Izu. Na północy pływa nasza flota, która udaje piracką. Na twoje życzenie zatopi ona w dzień czy w nocy każdy statek bez eskorty. Tutaj zaś, jeśli zechcesz, znajdziesz miejsce przygotowane tak dla ciebie, jak i najznakomitszego gościa.

–Dobrze. Goś jeszcze? Masz jeszcze jakieś wieści? Igurashi ociągał się z przekazaniem mu wiadomości, których następstw nie był w stanie pojąć.

–Przygotowaliśmy się na wszystko – rzekł. – Ale dziś rano doniesiono z Osaki, że Toranaga zrezygnował z członkostwa w Radzie Regentów.

–Niemożliwe! Z jakiego powodu?

–Nie wiem. Nie umiem tego rozgryźć, wielmożny panie. Ale to na pewno prawda. Z tego źródła nie było ani razu fałszywej wiadomości.

–Od pani Sazuko? – spytał ostrożnie Yabu, wymieniając najmłodszą konkubinę Toranagi, której służąca szpiegowała dla niego.

Igurashi potwierdził skinieniem głowy.

–Tak. Ale zupełnie tego nie rozumiem. Przecież teraz regenci oskarżą go, prawda? Rozkażą mu się zabić. Ustąpienie z Rady to szaleństwo, ne?

–Na pewno zmusił go do tego Ishido. Ale jak? Nie było żadnych plotek – Sam Toranaga z własnej woli by nie zrezygnował. Masz rację, to postępek szaleńca. Jeżeli zrobił to, jest stracony. Ta wiadomość musi być fałszywa.

Zdezorientowany Yabu zszedł ze wzgórza i przyjrzał się Toranadze, który przeszedł

przez plac do Mariko, barbarzyńcy i stojącej w pobliżu nich Fujiko. W tej chwili mówił coś szybko i pośpiesznie do idącej obok niego Mariko, podczas gdy tamci czekali na placu. Yabu ujrzał, jak Toranaga wręcza Mariko zwoik pergaminu, i zaczął się zastanawiać, co też on zawiera i o czym tamci rozmawiali. Zadawał sobie pytanie, jaki nowy podstęp uknuł Toranaga, i żałował, że nie ma przy sobie żony, która posłużyłaby mu mądrą radą.

Toranaga zatrzymał się na przystani. Nie wsiadł na statek, by się znaleźć pośród zapewniających mu bezpieczeństwo samurajów. Zdawał sobie sprawę, że tak ważną decyzję musi podjąć i wykonać na brzegu. Nie mógł uciec. Nic jeszcze nie było przesądzone. Przyglądał się nadchodzącym Yabu i Igurashiemu. Dziwny spokój Yabu dał mu wiele do myślenia.

–O co chodzi, Yabu-san? – spytał.

–Zatrzymasz się na kilka dni, panie?

–Najlepiej zrobię, jeśli wyjadę natychmiast. Yabu polecił oddalić się wszystkim poza zasięg słuchu. – Na pewien czas pozostali na brzegu sami.

–Otrzymałem z Osaki niepokojące wieści. Ustąpiłeś z Rady Regencyjnej, panie? – spytał.

–Tak. Ustąpiłem.

–W takim razie zabiłeś siebie, pogrzebałeś swoją sprawę, a także wszystkich twych wasali, sprzymierzeńców i przyjaciół! Zniszczyłeś Izu i zamordowałeś mnie!

–Regenci, jeśli zechcą, z pewnością mogą cię pozbawić władzy oraz życia. Tak jest.

–Na wszystkich bogów żyjących, martwych i jeszcze nie narodzonych... – Yabu zmagął się z wybuchem gniewu. – Racz mi wybaczyć moje zachowanie, ale twój... twój niewiarygodny postępek... bardzo przepraszam. – Zdradzenie się ze swoimi uczuciami niczego nie ułatwiało, a uchodziło powszechnie za niegodziwe i kompromitujące. – Ale wobec tego lepiej zrobiłbyś, panie, pozostając tutaj.

–Wolę jednak odpłynąć natychmiast.

–Tu czy w Edo, co za różnica? Rozkaz regentów zaraz nadejdzie. Pewnie od razu zechcesz popełnić seppuku. W spokoju. Godnie.

–Sekundowani ci przy tym byłoby dla mnie zaszczytem.

–Dziękuję ci. Ale na razie nie nadszedł żaden prawomocny rozkaz, dlatego moja głowa pozostanie tymczasem tam, gdzie jest.

–A cóż to znaczy dzień czy dwa. Ten rozkaz nadejdzie nieuchronnie. Przygotuję wszystko co konieczne, tak, wszystko wypadnie doskonale. Możesz na mnie polegać.

–Dziękuję ci. O tak, wiem, jak mógłbyś wykorzystać moją głowę.

–Stracę też moją własną. Gdybym posłał twoją głowę panu Ishido albo wziął ją i poprosił go o przebaczenie, to mogłoby go przekonać, chociaż wątpię, ne?

–Na miejscu Ishido zażądałbym twojej głowy. Moja głowa, niestety, w niczym ci nie pomoże.

–Kiedy wróci, Mariko-san? – spytał.

–Nie wiem, Anjin-san.

–Jak się dostaniemy do Edo?

–Zostaniemy tutaj. A przynajmniej ja pozostanę tu trzy dni. Później mam polecenie pojechać tam.

–Morzem?

–Lądem.

–A co ze mną?

–Ty zostaniesz tutaj.

–Dlaczego?

–Powiedziałeś, że interesuje cię nauka naszego języka. A poza tym czeka cię tutaj zajęcie.

–Jakie?

–Przykro mi, ale nie wiem. Powie ci to pan Yabu. Mój pan pozostawił mnie tutaj, żebym tłumaczyła, przez trzy dni.

Blackthorne był pełen złych przeczuć. Wprawdzie miał za pasem pistolety, ale brakowało mu noży, prochu, kul. Wszystko to pozostało w kabinie galery.

–Dlaczego mnie nie uprzedziłaś, że zostajemy? – spytał. – Powiedziałaś tylko, że schodzimy na brzeg.

–Nie wiedziałam, że zostaniesz tu także ty – odparła. – Pan Toranaga poinformował

mnie o tym dopiero przed chwilą, na placu.

–A dlaczego nie powiedział o tym mnie? Osobiście?

–Nie wiem.

–Miałem pojechać do Edo. Tam jest moja załoga. Mój statek. Co z nimi?

–Przekazał mi tylko, że masz zostać tutaj.

–Jak długo?

–Tego nie powiedział, Anjin-san. Może będzie to wiedział pan Yabu. Proszę, bądź cierpliwy.

Toranaga przyglądał się z rufówki galery brzegowi.

–Myślę, że on wiedział cały czas, że tu zostanę, prawda? – spytał Blackthorne.

Nie odpowiedziała. Jakąż dziecinadą jest mówienie na głos tego, co się myśli, rzekła w duchu. I jakże sprytnie Toranaga wywinął się z tej pułapki.

Obok niej w cieniu baldachimu czekały cierpliwie Fujiko i dwie służące w towarzystwie matki i żony Omiego, z którymi się krótko przywitała. Spojrzała ponad ich głowami na galerę, która już nabierała prędkości, ale nadal znajdowała się w zasięgu strzał. Do dzieła musiała więc przystąpić lada chwila. Całą uwagę skupiła na Yabu, modląc się: „Matko Boża, daj mi siłę”.

–Czy to prawda? To prawda? – spytał Blackthorne.

–Co? Och, przepraszam, Anjin-san, nie wiem, Ale mogę cię zapewnić, że pan Toranaga jest bardzo mądry. Najmądrzejszy. Z jakiegokolwiek powodu to zrobił, to był on słuszny. – Przyjrzała się uważnie niebieskim oczom i zaciętej twarzy Blackthorne’a wiedząc, że nie ma najmniejszego pojęcia, co tu zaszło. – Proszę, bądź cierpliwy, Anjin-san. Nie ma się czego bać. Jesteś jego ulubionym wasalem i znajdujesz się pod jego...

–Ja się nie boję, Mariko-san. Po prostu nie chcę być dłużej pionkiem przesuwany po czyjeś szachownicy. I nie jestem niczym wasalem.

–Czy „członkiem świty” brzmi lepiej? Albo jak jeszcze inaczej nazwać kogoś, kto pracuje dla innej osoby lub jest przez nią wynajęty do specjalnych...

W tym momencie spostrzegła, że do twarzy Yabu napłynęła krew.

–Muszkiety... muszkiety pozostały na galerze! – wykrzyknął.

Wiedziała, że nadszedł czas, żeby działać. Pośpieszyła do niego, kiedy odwrócił się i zaczął wydawać rozkazy Igurashiemu.

–Przepraszam, panie Yabu – powiedziała, doganiając go – niepotrzebnie się martwisz o muszkiety. Pan Toranaga kazał przeprosić cię za ten „pośpiech, ale, we wspólnym interesie, ma do załatwienia w Edo pilne sprawy. Obiecał, że natychmiast odeśle galerę. Z muszkietami. I z dodatkowym prochem. A także z dwustu pięćdziesięcioma ludźmi, o których go prosiłeś. Zjawią się tu za pięć, sześć dni.

–Co takiego?

Mariko wyjaśniła mu to cierpliwie i uprzejmie, tak jak przykazał Toranaga. A kiedy Yabu wreszcie wszystko pojął, wyjęła z rękawa zwitek pergaminu.

–Mój pan prosi, żebyś to łaskawie przeczytał. Chodzi o Anjin-sana – wyjaśniła i ceremonialnie podała mu list.

Ale Yabu nie przyjął go. Powędrował oczami do galery.

Była już daleko, płynęła bardzo szybko. Poza zasięgiem strzał. Nieważne, pomyślał z zadowoleniem, uspokojony. Szybko otrzymam muszkiety z powrotem, wydostałem się z pułapki Ishido, mam słynny miecz Toranagi i niedługo wszyscy daimyō dowiedzą się o mojej pozycji w Armii Wschodu, zaraz po samym Toranadze! Ponieważ wciąż jeszcze go widział, pomachał mu ręką, na co otrzymał podobną odpowiedź. A potem Toranaga opuścił rufówkę.

Yabu wziął pergamin i skupił się na teraźniejszości. I na Anjin-sanie.

Obserwujący go z odległości trzydziestu kroków, Blackthorne poczuł, jak pod świdrującym spojrzeniem Yabu jeżą mu się włosy na karku. Dźwięk melodyjnego głosu Mariko nie pokrzepił go. Ukradkiem zacisnął dłoń na pistolecie.

–Anjin-san! – zawołała Mariko. – Podejdź tutaj, proszę.

Kiedy się do niej zbliżał, Yabu zerknął znad pergaminu i skinął mu przyjaźnie głową. Skończył czytać, oddał pergamin Mariko i odezwał się krótko, po części do niej, po części do Blackthorne’a.

Mariko z szacunkiem podała pergamin Blackthorne’owi. Wziął go i uważnie przyjrzał się niezrozumiałym hieroglifom.

–Pan Yabu mówi, że jesteś mile widzianym gościem wioski. Na dokumencie tym widnieje pieczęć pana Toranagi. Masz go zatrzymać. Obdarzył cię rzadkim zaszczytem. Pan Toranaga mianował cię hatamoto. Jest to tytuł specjalnego członka jego świty. Jesteś pod jego całkowitą pieczęcią, Anjin-san. Pan Yabu naturalnie uznaje

ten fakt. Później wytłumaczę ci, jakie przywileje wiążą się z tym tytułem. Ponadto pan Toranaga przyznał ci wynagrodzenie w wysokości dwudziestu koku miesięcznie. To około...

Yabu przerwał jej. Szerokim gestem wskazał na Blackthorne'a, na wioskę, a potem przez dłuższy czas mówił. Mariko przełożyła to.

–Pan Yabu powtarza, że jesteś tu mile widzianym gościem. Ma nadzieję, że będziesz zadowolony i że zostanie zrobione wszystko, żeby uprzyjemnić ci pobyt tutaj. Dostaniesz dom i nauczycieli. Mówi, że wyuczysz się japońskiego najszybciej, jak to możliwe. Dziś wieczorem zada ci trochę pytań i wyjaśni specjalne zadania, które cię czekają.

–Spytaj go, proszę, jakie to zadania.

–Czy mogę ci doradzić odrobinę więcej cierpliwości, Anjin-san? To naprawdę nie jest właściwa pora.

–Zgoda.

–Wakarimasu ka, Anjin-san? – spytał Yabu chcąc wiedzieć, czy go zrozumiał...

–Hai, Yabu-san. Dómo.

Yabu polecił Igurashiemu rozpuścić pułk, a potem pomaszerował do wieśniaków, którzy nadal leżeli plackiem na piachu.

Stanął przed nimi w to ciepłe pogodne popołudnie, trzymając nadal w ręku miecz Toranagi. Jego słowa smagały ich niczym bat. Wskazał mieczem Blackthorne'a i po kilkunastosekundowej perorze nagle umilkł. Chłopi zadrżeli. Mura zgiął się w ukłonie przed Anglikiem i kilka razy powtórzył „hai”.

–Wakarimasu ka? – zawołał do nich, na co wszyscy odpowiedzieli „hai”, a ich głosy zmieszały się z westchnieniami przybrzeżnych fal.

–Co tu się dzieje? – spytał Blackthorne Mariko.

Ale Mura wykrzyknął właśnie „Keirei!”, więc wieśniacy złożyli niskie ukłony: jeden Yabu, drugi Blackthorne'owi. Yabu odmaszerował, nie oglądając się.

–Co tu się dzieje, Mariko-san?

–On... pan Yabu powiedział im, że jesteś jego honorowym gościem. Że jesteś jego wielce honorowym gościem, was... członkiem świty pana Toranagi. Że jesteś tu przede wszystkim po to, żeby się nauczyć języka. Pan Toranaga, zaszczycił wioskę

zadaniem i odpowiedzialnością za wyuczenie cię japońskiego. Ta wioska za to odpowiada, Anjin-san. Wszyscy jej mieszkańcy mają ci w tym pomagać. Zapowiedział, że jeżeli w ciągu sześciu miesięcy nie opanujesz zadowalająco japońskiego, to ta wioska zostanie spalona. Przedtem jednak wszyscy jej mieszkańcy, z kobietami i dziećmi włącznie, zostaną ukrzyżowani.

Dzień dobiegał końca, cienie były długie, morze czerwieniało i wiał lekki wiatr.

Blackthorne wspinał się ścieżką wiodącą z wioski do domu, który wcześniej wskazała mu Mariko mówiąc, że należy do niego. Sądziła, że odprowadzi go tam, ale jej za to podziękował i minąwszy klęczących wieśniaków, poszedł na przylądek, by znaleźć tam odosobnienie i pomyśleć.

Samuraje przechadzali się po wiosce alba stali w grupkach rozmawiając. Większość odmaszerowała już ze swoimi dowódcami w ordynku do obozowiska za wzgórzem. Blackthorne pozdrawiał mijanych wojowników, na co odpowiadali mu pozdrowieniami. Chłopów nie spotkał.

Przy bramie w ogrodzeniu przystanął. Na nadprożu zobaczył więcej osobliwych japońskich hieroglifów, a bramę wyrzeźbiono w tak pomysłowe wzory, żeby zarazem ukrywała i odsłaniała ogród za nią.

Nim zdążył otworzyć furtkę, już uchylila się do wewnątrz i wpuścił go przez nią do środka przestraszony, gnący się w ukłonach starzec.

–Konbanwa, Anjin-san – powiedział mu „dobry wieczór” żałośnie drżącym głosem.

–Konbanwa – odparł Blackthorne. – Słuchaj, staruszk... o namae ka?

–Namae watashi wa, Anjin-san? Ah, watashi Ueki-ya... Ueki-ya.

Niewiele brakowało, a starzec zaśliniłby się z ulgi.

Blackthorne powtórzył imię kilka razy, by je zapamiętać, i dodał „san”, na co starzec energicznie potrząsnął głową.

–Iye, gomen nasai! Iye, „san”, Anjin-sama. Ueki-ya! Ueki-ya!

–Dobrze, Ueki-ya – rzekł Blackthorne, myśląc jednak: „Dlaczego nie «san», jak wszyscy inni?”

Odprawił go gestem. Starzec odszedł prędko, utykając.

–Muszę być ostrożniejszy. Muszę im dopomóc – postanowił Blackthorne na głos.

Przez otwarte shoji weszła na werandę zalękniona służąca i nisko mu się ukłoniła.

–Konbanwa, Anjin-san.

–Konbanwa – odparł, mgliście przypominając ją sobie z galery. I ją też odprawił gestem.

Zaszeleścił jedwab. Z domu wyłoniła się Fujiko. A wraz z nią Mariko.

–Spacer był przyjemny, Anjin-san?

–Tak, przyjemny, Mariko-san – odrzekł, ledwie zwracając uwagę na nią, Fujiko, dom i ogród.

–Napijesz się cha? A może sake? A może się wykąpiesz? Woda jest gorąca. – Mariko zaśmiała się nerwowo, zaniepokojona wyrazem jego oczu. – Łaźnia nie jest jeszcze wykończona, ale mamy nadzieję, że cię zadowolili.;...

–Proszę sake. Tak, najpierw trochę sake, Mariko-san.

Po kilku słowach Mariko Fujiko zniknęła na powrót w domu. Służąca bez słowa przyniosła trzy poduszki i odeszła. Mariko z wdziękiem usiadła na jednej.

–Usiądź, Anjin-san. Na pewno jesteś zmęczony.

–Dziękuję.

Usiadł na stopniach werandy, nie zdjął sandałów. Fujiko, tak jak jej kazała Mariko, przyniosła dwie butelki sake oraz filiżankę do herbaty, a nie małą porcelanową czarkę, z której należało pić.

–Lepiej dać mu szybko dużo sake – wyjaśniła. – Najlepiej, gdyby się mocno upił, ale pan Yabu chce go zobaczyć dziś wieczorem. Może sake i kąpiel uspokoją go.

Blackthorne wypił podaną mu filiżankę ciepłego wina, nie smakując go. Potem drugą. Trzecią.

Przyglądały się mu, jak nadchodzi, przez szparę w ledwo odsuniętych drzwiach.

–Co mu jest? – spytała zaniepokojona Fujiko.

–Przygnębiły go słowa pana Yabu, to, czym zagroził tej wiosce.

–Dlaczego się tym przejął? Przecież jemu nic nie grozi. Jego życiu to nie zagraża.

–Barbarzyńcy bardzo się od nas różnią, Fujiko-san. Na przykład Anjin-san uważa tych chłopów za ludzi takich jak inni, jak samuraje, a niektórych z nich, być może, nawet za lepszych od samurajów.

Fujiko zaśmiała się nerwowo.

–To przecież niedorzeczne, ne? Jakże wieśniacy mogą być równi samurajom?

Mariko w milczeniu przyglądała się Blackthorne'owi.

–Biedny człowiek – powiedziała wreszcie.

–Biedna wioska! – Krótka górna warga Fujiko podwinęła się w wyrazie pogardy.

–Co za głupie marnotrawstwo chłopów i rybaków! Kasigi Yabu-san to głupiec! Jakże barbarzyńca może nauczyć się w pół roku naszego języka? Ile czasu zajęło to barbarzyńcy Tsukku-sanowi? Ponad dwadzieścia lat, ne? A czyż nie jest on jedynym cudzoziemcem, któremu udało się znośnie opanować japoński?

–Nie, nie jedynym, chociaż nie znam lepszego od niego. Tak, to dla nich bardzo trudne. Ale Anjin-san jest niezwykle inteligentny, a pan Toranaga twierdzi, że jeżeli przez pół roku Anjin-san będzie pozbawiony kontaktu z innymi barbarzyńcami, będzie jadł po naszymu, żył tak jak my, pił cha, codziennie się kąpał, to wkrótce się do nas Upodobni.

Fujiko nie zmieniła miny.

–Spójrz na niego, Mariko-san... jaki brzydki. Jaki potworny i obcy. I pomyśleć, że po przekroczeniu przez niego tej bramy nie będzie dla mnie odwrotu i chociaż tak strasznie nienawidzę barbarzyńców stanie się moim panem i władcą.

–To dzielny, bardzo dzielny człowiek, Fujiko. Ocalił panu Toranadze życie i wiele dla niego znaczy.

–Tak, wiem o tym i dlatego powinnam go trochę lubić, ale nie potrafię, przykro mi. Dołożę jednak wszelkich starań, żeby stał się jednym z nas. Modlę się, żeby dopomógł mi w tym nasz pan Budda.

Mariko przyglądała się, jak Fujiko nalewa resztę wina. Ta filiżanka została wypita tak jak poprzednie, bez wrażenia.,– Dozo. Sake – zażądał Blackthorne. Przyniesiono więcej sake. Wypił je.

–Dozo. Sake.

–Mariko-san, mój pan chyba nie powinien już pić, ne? – zaniepokoiła się Fujiko. – Upije się. Spytaj go, proszę, czy teraz się wykąpie. Poślę po Suwo.

Mariko spytała Blackthorne'a.

–Przykro mi, ale mówi, że wykąpie się później.

Fujiko cierpliwie poleciła przynieść sake, a Mariko kazała służącej przygotować rybę

pieczoną na węglach.

Z tym samym milczącym zapamiętaniem Blackthorne opróżnił nową butelkę. Nie chciało mu się jeść. Ale za miłą namową Mariko poczęstował się rybą. Nie zjadł jej.

Znowu przyniesiono wino i Blackthorne pochłonał jeszcze dwie flaszki trunku.

–Zechciej przeprosić ode mnie Anjin-sana – powiedziała Fujiko. – Bardzo mi przykro, ale nie mamy już w domu sake. Przeproś go za ten brak. Posłałam służącą do wioski, żeby przyniosła więcej.

–To dobrze. Wypił aż za dużo, chociaż wcale po nim tego nie widać. Możesz zostawić nas teraz samych, Fujiko? Pora, żeby złożyć mu w twoim imieniu oficjalną propozycję.

Fujiko ukloniła się Blackthorne'owi i odeszła, ciesząc się, że zwyczaj nakazuje załatwiać takie sprawy zawsze na osobności przez osoby trzecie. W ten sposób obie strony mogły zachować godność.

Mariko wyjaśniła Blackthorne'owi kwestię wina.

–Ile czasu zajmie dostarczenie go? – spytał.

–Niewiele. Może chciałbyś się teraz wykąpać? Dopilnuję, żebyś dostał sake zaraz po przyniesieniu.

–Czy Toranaga wspomniał coś przed odjazdem o moim planie? O marynarce?

–Nie. Przykro mi, ale nic o tym nie mówił. – Mariko wypatrywała u niego wymownych oznak upojenia, ale ku swojemu zaskoczeniu nie dopatrzyła się żadnych, nawet najmniejszego rumieńca czy też połykania słów. Wypiwszy w takim tempie tyle wina, każdy Japończyk byłby się upił. – To wino ci nie smakuje, Anjin-san? – spytała.

–Nie bardzo. Jest za słabe. W ogóle na mnie nie działa.

–Szukasz w nim zapomnienia?

–Nie, rozwiązania.

–Zrobimy wszystko, co tylko można, żeby ci pomóc.

–Muszę mieć książki, papier, pióra.

–Jutro zajmę się tym i je pozbieram.

–Nie, dziś wieczorem, Mariko-san. Muszę zacząć natychmiast.

–Pan Toranaga przyrzekł, że ci przyśle książkę... jak ją nazywasz? Przyśle ci książki gramatyczne i ze słowami, należące do świątobliwych ojców.

–Długo to zajmie?

–Nie wiem. Ale będę tu przez trzy dni. Może to ci pomoże. A Fujiko też jest tutaj, by pomagać. – Uśmiechnęła się, zadowolona na jego rachunek. – Mam zaszczyt oznajmić ci, że została ci przeznaczona na nałożnicę i...

–Co takiego?!

–Pan Toranaga poprosił ją, by została twoją konkubiną. Zgodziła się i odparła, że sprawi jej to zaszczyt. Będzie...

–Ale ja się nie zgodziłem.

–Słucham? Przepraszam, nie rozumiem cię.

–Nie chcę jej. Ani jako konkubiny, ani w ogóle przy sobie. Dla mnie ona jest brzydka.

Mariko zrobiła wielkie oczy.

–A cóż uroda ma do konkubiny?

–Kaź jej odejść.

–Ależ, Anjin-san, nie wolno ci odmówić! Byłaby to straszna zniewaga dla pana Toranagi, dla niej, dla wszystkich! Co ona ci zrobiła? Zupełnie nic. Usagi Fujiko uwa...

–Słuchasz, co mówię, pani? – przerwał jej Blackthorne, a jego słowa obiegły echem werandę i dom. – Kaź jej odejść!

–Przepraszam cię, Anjin-san – powiedziała natychmiast Mariko. – Tak, słusznie się gniewasz. Ale...

–Nie gniewam się – wtrącił lodowato Blackthorne. – Czy nie.::, czy wam, ludzie, nie przychodzi do głowy, że mam dość bycia marionetką? Nie chcę mieć przy sobie tej kobiety, chcę odzyskać swój statek, załogę i koniec! Nie zostanę tutaj przez sześć miesięcy i mam dosyć waszych obyczajów! To potworne, żeby jeden człowiek groził zagładą całej wioski tylko po to, żebym ja nauczył się japońskiego! Co zaś do nałożnic, to jest to gorsze od niewolnictwa, a narzucanie komuś czegoś takiego bez pytania jest haniebną zniewagą!

O co chodzi? – zastanawiała się bezradnie Mariko. Co brzydota ma wspólnego z konkubina? A poza tym Fujiko wcale nie jest brzydka.

–Zgadza się – przyznała skwapliwie. – Masz całkowitą rację. Strasznie nadużyto twojego zaufania i twój gniew jest ze wszech miar usprawiedliwiony – dodała uspokajająco. – Tak, pan Toranaga z pewnością powinien być cię o to spytać, nawet jeśli nie pojmuje waszych obyczajów. Ale nawet do głowy mu nie przyszło, że miałbyś coś przeciwko temu. Po prostu starał się wyświadczyć ci zaszczyt, należny najbardziej faworyzowanemu samurajowi. Mianował cię hatamoto, czyli niemal swoim krewniakiem, Anjin-san. W całym Kantō jest zaledwie około tysiąca hatamoto. A jeżeli chodzi o panią Fujiko, to chciał ci tylko dopomóc. Pani Usagi Fujiko byłaby uznana... wśród nas, Anjin-san... uznalibyśmy taki dar za wielki zaszczyt...

–Dlaczego?

–Ze względu na starożytność jej rodu i wykształcenie. Jej ojciec i dziadek są księżętami. Naturalnie jest samurajką, a ponadto przyjmując ją do siebie, wyświadczyłbyś jej zaszczyt – dodała ostrożnie. – Poza tym potrzebny jest jej jakiś nowy dom i nowe życie.

–Dlaczego?

–Dopiero co owdowiała. Biedaczka, ma zaledwie dziewiętnaście lat, ale straciła męża i syna i nie posiada się z żalu. Zostanie twoją oficjalną, konkubina oznacza dla niej nowe życie.

–A co się stało z jej mężem i synem?

Stropiona niegrzeczną bezpośredniością pytań Blackthorne'a, Mariko zawahała się z odpowiedzią. Znała go jednak już na tyle dobrze, żeby wiedzieć, iż jest to jego zwyczaj, który nie świadczy o braku wychowania.

–Zostali straceni, Anjin-san – odparła. – Przebywając tutaj potrzebujesz kogoś, kto dbałby o twój dom. Pani Fujiko będzie...

–Dlaczego ich stracono?

–Przez jej męża pan Toranaga o mało co nie postradał życia. Proszę, rozważ...

–Toranaga skazał ich na śmierć?

–Tak. Ale postąpił słusznie. Spytaj ją o to... sama ci to przyzna.

–W jakim wieku było to dziecko?

–Miało kilka miesięcy.

–Toranaga skazał na śmierć niemowlę za czyn popełniony przez ojca?

–Tak. Taki mamy zwyczaj. Okaż nam, proszę, cierpliwość. Pod pewnymi względami nie jesteśmy wolni. Nasze zwyczaje różnią się od waszych. Widzisz, z mocy prawa należymy do naszego suzerena. Z mocy prawa do ojca należy życie jego dzieci, żony, konkubin i służby. Z mocy prawa jego życie należy do jego lennego pana. Taki mamy zwyczaj.

–Tak więc ojciec rodziny może zabić w swoim domu każdego?

–Tak.

–W takim razie jesteście narodem morderców.

–Nie.

–Ale wasze zwyczaje rozgrzeszają morderstwo. Myślałem, że jesteś chrześcijanką.

–Jestem chrześcijanką, Anjin-san.

–No, a co z Dziesięcioma Przykazaniami?

–Doprawdy, nie potrafię ci tego wyjaśnić. Ale jestem chrześcijanką, samurajką i Japonką, co nie stoi ze sobą w sprzeczności. Dla mnie nie. Proszę, okaż cierpliwość mnie i nam. Proszę.

–Na rozkaz Toranagi uśmierciłabyś własne dzieci?

–Tak. Mam tylko jednego syna, ale tak, myślę, że zrobiłabym to. Na pewno byłoby to moim obowiązkiem. Takie mamy prawo... Jeśli zgodziłby się na to mój mąż.

–Mam nadzieję, że Bóg ci wybaczy. Wybaczy wam wszystkim.

–Bóg to rozumie, Anjin-san. O tak, On to zrozumie. Może otworzy także twój umysł i to pojmiesz. Przykro mi, nie potrafię tego dobrze wyjaśnić, ne? Wybacz mi ten brak.
– Wyprowadzona z równowagi, przyglądała się mu w milczeniu. – Ja ciebie też nie rozumiem, Anjin-san. Wprawiasz mnie w zakłopotanie. Twoje zwyczaje kłopotają mnie. Może jeśli oboje będziemy cierpliwi, oboje się nauczymy. Weźmy, na przykład, panią Fujiko. Jako twoja konkubina będzie dbała o twój dom i służbę. I o twoje potrzeby... wszelkie potrzeby. Musisz mieć kogoś, kto się tym zajmie. Dopilnuje prowadzenia twojego domu, wszystkiego. Nie musisz z nią poduszkować, jeżeli to cię trapi... jeżeli jej uroda cię nie zadowala. Nie musisz nawet być wobec niej uprzejmy, chociaż ona na to zasługuje. Będzie ci służyć i spełniać wszystkie twoje życzenia.

–Mogę ją traktować, jak mi się podoba?

–Tak.

–Mogę z nią poduszkować albo nie?

–Oczywiście. Znajdzie kogoś, kto cię zadowoli, zaspokoi twoje cielesne potrzeby, jeśli chcesz, albo nie będzie się do tych spraw wtrącać.

–Mogę ją traktować jak służącą? Jak niewolnicę?

–Tak. Ale zasługuje na lepsze traktowanie.

–Mogę ją wyrzucić? Nakazać odejść?

–Jeżeli ci uchybia owszem.

–Co by się z nią stało?

–W zwykłym przypadku powróciłaby w niesławie do domu swoich rodziców, którzy mogliby ją tam przyjąć lub nie. Jednak osoba taka jak pani Fujiko wolałaby się zabić, niż znosić podobny wstyd. Ona... trzeba ci wiedzieć, że prawdziwy samuraj nie może się zabić bez pozwolenia swojego pana. Niektórzy naturalnie robią to, ale nie dopełniają swych obowiązków i nie są godni miana samuraja. Ja, bez względu na wstyd, nie zabiłabym się bez pozwolenia pana Toranagi bądź pozwolenia mojego męża. Pan Toranaga zabronił jej odebrać sobie życie. Gdybyś ją odesłał, stałaby się wyrzutkiem.

–Dlaczego? Dlaczego nie przyjąłaby jej własna rodzina?

Mariko westchnęła.

–Przykro mi, Anjin-san, ale jeżeli ją odeślesz, to jej niesława będzie tak ogromna, że nikt już jej nie przyjmie.

–Ponieważ jest skalana? Przez obcowanie z barbarzyńcą?

–Och, nie, Anjin-san, tylko dlatego, że nie wywiązała się ze swoich obowiązków względem ciebie – odparła natychmiast Mariko. – Jest – w tej chwili twoją konkubiną... z rozkazu pana Toranagi, który przyjął. A ty jesteś panem domu...

–Tak?

–O, tak, wierz mi, Anjin-san, masz przywileje. A jako hatamoto jesteś błogosławiony. I zamożny. Pan Toranaga wyznaczył ci pensję dwadzieścia koku miesięcznie. Za tę sumę samuraj służyłby swojemu panu wraz z dwójką innych samurajów, którym

musiałby zapewnić uzbrojenie, konie i jedzenie przez okrągły rok, a ponadto oczywiście łożyć na utrzymanie ich rodzin, Ty jednak nie masz takiego obowiązku. Błagam cię, Anjin-san, traktuj Fujiko jak człowieka. Błagam, okaż jej chrześcijańskie miłosierdzie. To dobra kobieta. Wybacz jej brzydotę. Będzie godną konkubiną.

–Nie ma domu?

–Nie. To jest jej dom. – Mariko opanowała się. – Proszę cię, przyjmij ją jak należy. Ogromnie ci się przyda, nauczy cię, jeśli zechcesz brać od niej nauki. Jeżeli jednak wolisz jej nie zauważać, to traktuj ją jak drewniany słup albo shoji, albo jak kamień w ogrodzie, co tylko chcesz, ale pozwól jej zostać. Jeżeli nie chcesz, żeby była twoją konkubiną, to okaż jej miłosierdzie, przyjmij ją, a potem zgodnie z naszym prawem, jako głowa domu, zabij.

–To jedyne rozwiązanie, jakie tutaj znacie, co? Zabić!

–Nie, Anjin-san. Ale życie i śmierć są tym samym. Kto wie, może większą przysługę zrobisz Fujiko zabijając ją. Masz teraz do tego wszelkie prawo. Masz je. Jeżeli jednak wolisz ją wyrzucić, to też masz do tego prawo.

–A więc znów jestem w pułapce – rzekł Blackthorne. – Tak czy tak, ona ginie. Jeżeli nie nauczę się waszej mowy, to zostanie wyrznięta cała wioska. Jeżeli się wam sprzeciwię, zawsze zginie ktoś niewinny. Nie ma wyjścia.

–Rozwiązanie jest bardzo proste, Anjin-san. Śmierć. Człowiek nie musi znosić nieznośnego życia.

–Samobójstwo to obłąd... i grzech śmiertelny. Myślałem, że jesteś chrześcijanką.

–Tak powiedziałam. Ale ty, Anjin-san, masz wiele możliwości zginąć zaszczyciej niż z własnej ręki. Szydziłeś z mojego męża, że nie chce umrzeć w walce, ne? Nie jest to nasz zwyczaj, ale wasz tak. Więc czemu tego nie zrobisz? Masz przecież pistolet. Zabij pana Yabu. Uważasz go za potwora, tak? Wystarczy tylko, że spróbujesz go zabić, a już dzisiaj znajdziesz się w niebie albo w piekle.

Spojrzał na nią, nienawidząc jej spokojnej twarzy i mimo nienawiści dostrzegając jej urodę.

–Umierać tak bez powodu to dowód słabości charakteru. Albo trafniej: głupoty.

–Twierdzisz, że jesteś chrześcijaninem. A więc wierzysz w dzieciątko Jezus, w Boga, w niebo. Śmierć nie powinna ci być straszna. A co do śmierci „bez powodu”, to ocena zależy od ciebie. Można mieć wystarczający powód do śmierci.

–Jestem w waszej mocy. Wiesz o tym. I ja też.

Mariko nachyliła się i współczująco dotknęła jego ręki.

–Zapomnij o wiosce, Anjin-san – powiedziała. – Przed upływem tych sześciu miesięcy zdarzyć się może milion rzeczy. Może nadejść wielka morska fala albo trzęsienie ziemi, możesz odzyskać swój statek i odpłynąć, pan Yabu albo my wszyscy możemy umrzeć, kto to wie. Kwestie boskie pozostaw Bogu, karma to karma. Dziś jesteś tu i nic tego nie zmieni. Dziś żyjesz, jesteś tutaj, opływasz w zaszczyty i ci się szczęści. Popatrz na to zachodzące słońce, czyż nie jest piękne? Ono jest. A jutra nie ma. Jest tylko obecna chwila. Popatrz, proszę. Ten zachód słońca jest taki piękny i już nigdy się nie powtórzy, już nie, nigdy w całej wieczności. Pogrąż się w nim, połącz w jedno z naturą i nie przejmuj się karmą, swoją, moją ani tej wioski.

Oczarowała go jej pogoda ducha i słowa. Spojrzał na zachód. Na niebie rozlewały się wielkie kałuże fioletowej czerwieni i czerni. Przyglądał się słońcu, póki nie zniknęło.

–Żałuję, że to nie ty jesteś moją konkubiną – powiedział.

–Należę do pana Buntaro i aż do jego śmierci nie wolno mi myśleć ani mówić o tym, co może przyjść na myśl i na usta.

Karma, pomyślał Blackthorne.

Czy się z nią pogodzę? Z moją karmą? Jej? Ich?

Ten wieczór jest taki piękny.

Tak jak i ona, a ona należy do innego.

O tak, jest piękna. I bardzo mądra. Kwestie boskie pozostaw Bogu, karma to karma. Przybyłeś tu bez zaproszenia. Jesteś tutaj. Jesteś w ich mocy.

Ale jakie jest z tego wyjście?

Wyjście się znajdzie, powiedział sobie. Ponieważ jest Bóg na niebie, gdzieś jest.

Usłyszał kroki. Po wzgórzu wspinały się światła. Nadchodziło dwudziestu samurajów z Omim na czele.

–Przepraszam, Anjin-san, ale Omi-san rozkazuje, żebyś oddał mu pistolety.

–Powiedz mu, żeby poszedł do diabła!

–Nie mogę, Anjin-san. Nie ośmielę się.

Blackthorne trzymał dłoń na rękojeści pistoletu i wpatrywał się w Omiego. Z rozmysłem nie wstał ze schodów werandy. W ogrodzie za plecami Omiego stało dziesięciu samurajów, reszta czekała przy palankinie. Kiedy tylko Omi wszedł tu bez zaproszenia, z wnętrza domu wyłoniła się Fujiko i w tej chwili stała z tyłu za Blackthorne'em.

–Pan Toranaga nigdy nie miał nic przeciwko temu i przez wiele dni towarzyszyłem uzbrojony jemu i panu Yabu.

–Tak, Anjin-san – odparła nerwowo Mariko – zechciej jednak zrozumieć, że Omi-san mówi prawdę. Nasz zwyczaj wymaga, żebyś stanął przed obliczem daimyō nie uzbrojony. Nie masz się czego ba... bez obawy. Yabu-san jest twoim przyjacielem. Jesteś jego gościem.

–Przekaż Omiemu, że nie oddam mu pistoletów – rzekł Blackthorne. A kiedy nic nie powiedziała, wpadł w gniew i potrząsnął głową. – Iye, Omi-san! Wakarimasu ka? Iye!

Omi zacisnął szczęki. Wydał rozkaz. Dwóch samurajów wystąpiło naprzód. Blackthorne natychmiast wyciągnął pistolety. Samurajowie zatrzymali się. Oba pistolety celowały prosto w twarz Omiego.

–Iye! – powtórzył Blackthorne i zwrócił się do Mariko. – Każ mu ich odwołać, bo jak nie, to pociągnę spusty.

Wykonała, co jej kazał. Nikt się nie poruszył. Blackthorne wolno wstał, ani na chwilę nie zdejmując mocno trzymany pistoletów z celu. Omi stał niewzruszenie, bez strachu, oczami śledząc jego kocie ruchy.

–Proszę cię, Anjin-san. To bardzo niebezpieczne. Musisz zobaczyć się z panem Yabu. Nie możesz tam iść z pistoletami. Jesteś hatamoto, jesteś chroniony, a ponadto jesteś gościem pana Yabu.

–Powiedz Omiemu, że jeżeli on albo któryś z jego ludzi zbliży się do mnie na pięć kroków, rozwalę mu głowę.

–Omi-san mówi uprzejmie: „Po raz ostatni nakazuję ci oddać pistolety.

Natychmiast”.

–Iye.

–A może zostawisz je tutaj, Anjin-san? Nie masz się czego obawiać. Nikt nie tknie...

–Bierzesz mnie za głupca?

–W takim razie daj je Fujiko-san!

–A co ona może? Przecież Omi jej zabierze... może to zrobić ktokolwiek... i stanę się bezbronny.

–Dlaczego nie słuchasz, co się do ciebie mówi, Anjin-san? – spytała ostrzejszym tonem Mariko. – Fujiko-san jest twoją konkubiną. Na twój rozkaz będzie chroniła twoje pistolety aż do śmierci. To jej obowiązek. Nie powtórzę ci już tego nigdy więcej, ale pamiętaj: Toda-no-Usagi Fujiko jest samurajką.

Blackthorne skupił uwagę na Omim, ledwo jej słuchając.

–Powiedz Omiemu, że nie podobają mi się jego rozkazy. Jestem gościem pana Toranagi. Gościem pana Yabu. A gości się „prosi”. Nie wydaje się im poleceń i nie wkracza do czyjegoś domu bez zaproszenia:

Mariko przełożyła jego słowa. Omi wysłuchał jej z kamienną twarzą i krótko odpowiedział, nie spuszczając oczu z nieruchomych, wycelowanych w niego luf.

–Mówi: „Ja, Kasigi Omi, proszę o twoje pistolety i o pójście ze mną z rozkazu wielmożnego pana Kasigi Yabu, który poleca stawić ci się przed swoim obliczem. Kasigi Yabu-sama wymaga ode mnie, żebym nakazał ci oddanie pistoletów. Przykro mi, Anjin-san, ale po raz. ostatni proszę cię, żebyś mi je oddał”.

Blackthorne’a ścisnęło w piersi. Wiedział, że go zaatakują, i był wściekły na siebie za własną głupotę. Bywają jednak chwile, kiedy człowiek musi powiedzieć dość, sięga po nóż lub pistolet i z powodu głupiej dumy płynie krew. Przeważnie z głupiej dumy. Do diabła, rzekł sobie, jeżeli mam zginąć, to Omi zginie pierwszy!

Poczuł w sobie siłę, choć i oszołomienie. I wtedy w uszach rozbrzmiały mu słowa Mariko: „Fujiko jest samurajką, jest twoją konkubiną!” Nagle znów zaczął myśleć.

–Chwileczkę! – rzekł. – Mariko-san, powtórz Fujiko moje słowa. Dokładnie. „Chcę ci powierzyć moje pistolety. Masz ich strzec. Nie wolno ich dotknąć nikomu oprócz mnie”.

Mariko spełniła jego prośbę i usłyszał za swoimi plecami odpowiedź Fujiko „hai”.

–Wakarimasu ka, Fujiko-san? – spytał ją.

–Wakarimasu, Anjin-san – odparła cichym, nerwowym głosem.

–Mariko-san, powiedz panu Omi, że teraz z nim pójdę. Przykro mi z powodu tego nieporozumienia. Tak jest, przykro mi.

Blackthorne cofnął się odwrócił. Fujiko wzięła pistolety, czoło miała zroszone potem. Blackthorne Stanął twarzą do Omiego, mając wielką nadzieję, że postąpił słusznie.

–Pójdziemy?

Omi przemówił do Fujiko i wyciągnął rękę. Kiedy pokręciła głową, wydał krótki rozkaz. Dwóch samurajów ruszyło do niej. W jednej chwili wsunęła jeden pistolet za obi, drugi zaś, trzymany oburącz, wyciągnęła na długość ramienia i wycelowała w Omiego. Spust cofnął się odrobinę, a kurek poruszył.

–Ugoku na! – ostrzegła.– Dozo!

Samuraje posłuchali. Zatrzymali się.

Wysłuchawszy prędkiej i gniewnej przemowy Omiego, odpowiedziała mu cicho i uprzejmie, nie zdjęła jednak z jego twarzy pistoletu z na wpół odciągniętym kurkiem.

–Iye, gomen nasai, Omi-san! (Nie, racz mi wybaczyć, Omi-san!) – zakończyła.

Blackthorne czekał, co z tego wyniknie.

Jeden z samurajów poruszył się minimalnie. Kurek przesunął się groźnie, zatrzymując w najwyższym punkcie łuku swojej drogi. Ale ręka dziewczyny nie drgnęła.

–Ugoku na! – poleciała Fujiko.

Nikt nie wątpił, że pociągnie za spust. Nawet Blackthorne. Omi powiedział coś zwięźle do niej i swoich samurajów. Cofnęli się. Opuściła pistolet, lecz trzymała go nadal w pogotowiu.

–Co powiedział? – spytał Blackthorne.

–Tylko tyle, że powie o tym zdarzeniu panu Yabu.

–To dobrze. Powiedz, że ja zrobię to samo. – Blackthorne zwrócił się w stronę dziewczyny. – Dōmo, Fujiko-san – podziękował jej. A następnie, przypomniawszy sobie, w jaki sposób Toranaga i Yabu zwracają się do kobiet, mruknął władczo do

Mariko: – Chodźmy, Mariko-san... ikamasho!

Ruszył do bramy.

–Anjin-san! – zawołała Fujiko.

–Hai?

Blackthorne przystanął. Fujiko ukloniła mu się i powiedziała coś szybko do Mariko.

Oczy Mariko rozszerzyły się. Skinęła głową, odpowiedziała coś Fujiko, po czym odezwała się do Omięgo, który, wyraźnie rozzłoszczony, powstrzymując gniew również skinął głową.

–O co chodzi?

–Cierpliwości, Anjin-san.

Na wołanie Fujiko odpowiedziano z wnętrza domu. Na werandę wyszła służąca. Z dwoma mieczami w ręku. Mieczami, samurajskimi.

Fujiko wzięła je z szacunkiem i mówiąc cichym głosem z ukłonem podała je Blackthorne'owi.

–Twoja konkubina słusznie zwraca uwagę, że jako hatamoto masz naturalnie prawo nosić samurajskie miecze. Więcej nawet, obowiązek. Uważa, że nie godzi się, abyś składał wizytę panu Yabu bez tych mieczy, że byłaby to niegrzeczność. Według naszego prawa noszenie mieczy jest obowiązkiem. Pyta, czy, mimo że miecze te nie przystoją twojej osobie, raczysz używać ich do czasu, kiedy sprawisz sobie własne.

Blackthorne wpatrzył się w Mariko, potem w Fujiko i jeszcze raz w Mariko.

–Czy to znaczy, że jestem samurajem? Że pan Toranaga zrobił mnie samurajem?

–Nie wiem, Anjin-san. Ale nie było jeszcze hatamoto, który by nim nie był. Nigdy. – Mariko odwróciła się i zadała pytanie Omiemu. Odpowiedział jej, niecierpliwie kręcąc głową. – Omi-san również tego nie wie. Oczywiście specjalnym przywilejem hatamoto jest noszenie mieczy bez przerwy, nawet w obecności pana Toranagi. To jego obowiązek, bo jako strażnik cieszy się jego pełnym zaufaniem. Ponadto jedynie hatamoto ma zapewniony w każdej – chwili dostęp do swojego pana.

Blackthorne wziął krótki miecz i zatknął go za pas, a po nim drugi, długi, służący do zabijania, dokładnie tak, jak je nosił Omi. Z bronią tą poczuł się lepiej.

–Arigato goziemashita, Fujiko-san – powiedział cicho.

Spuściła oczy i coś cicho odpowiedziała. Mariko przełożyła jej słowa.

–Fujiko-san mówi, że ponieważ musisz nauczyć się naszej mowy dobrze i szybko, to, za twoim pozwoleniem, panie, pokornie pragnie zwrócić ci uwagę, że stosowniejszym wyrażeniem dla mężczyzny jest „Dōmo”. „Arigato” z „goziemashita” lub bez jest niepotrzebną uprzejmością, wyrażeniem używanym tylko przez kobiety.

–Hai. Dōmo. Wakarimasu, Fujiko-san. – Uzbrojony w te wiadomości Blackthorne przyjrzał się po raz pierwszy Fujiko innym wzrokiem. Zobaczył na jej czole pot i spostrzegł błyszczące ręce. Wąskie oczy, kwadratową twarz, drobne, ostre zęby. – Zechciej przekazać mojej konkubinie, że w tym szczególnym przypadku nie sędzę, żeby „arigato goziemashita” było przesadną uprzejmością wobec niej – powiedział.

Yabu znowu spojrzął na miecze. Blackthorne siedział naprzeciwko niego, zajmując honorowe miejsce na poduszce, a po bokach miał Igurashiego i Mariko. Znajdowali się w głównej sali warowni. Omi skończył mówić.

–Źle to rozegrałeś, bratanku – powiedział Yabu wzruszając ramionami. – Pewnie, że obowiązkiem konkubiny jest chronić Anjin-sana i jego dobytku. Pewnie, że ma prawo nosić miecze. Tak, źle to rozegrałeś. Powiedziałem wyraźnie, że Anjin-san jest moim honorowym gościem. Przepróż go.

Omi natychmiast wstał, ukląkł przed Blackthorne'em i złożył mu ukłon.

–Przepraszam za mój błąd, Anjin-san – powiedział.

Usłyszał, jak Mariko mówi, że barbarzyńca przyjmuje przeprosiny.

Uklonił się jeszcze raz, spokojnie powrócił na miejsce i usiadł. Ale w środku bynajmniej nie był spokojny. Pochłaniała go w tej chwili całkowicie jedną myśl: zabicie Yabu.

Postanowił wykonać rzecz nie do pomyślenia: zabić swojego lennego pana i głowę rodu.

Nie, decyzja ta nie miała nic wspólnego z publicznymi przeprosinami Blackthorne'a, chociaż niesprawiedliwość ta dołożyła swoje do owładającej nim nienawiści. Głównym jej powodem było publiczne znieważenie jego matki i żony, którym Yabu w obecności wieśniaków kazał czekać godzinami w słońcu niczym chłopkom, a potem niczym chłopki odprawił je bez słowa podziękowania.

–To nieważne, synu – powiedziała jego matka. – Ma do tego prawo.

–Jest naszym lennym panem – dodała jego żona Midori z policzkami zalanymi łzami wstydu. – Wybacz mi, proszę.

–Nie zaprosił żadnej z was, byście powitały jego i oficerów w warowni – ciągnął Omi.– Na ucztę, którą przygotowałyście. Samo jedzenie i sake kosztowało jeden koku!

–To nasz obowiązek, synu. Naszym obowiązkiem jest wypełniać wszystkie życzenia pana Yabu.

–Poradziłem mu, jak ma postąpić w sprawie statku, Anjin-sana – i nowych barbarzyńców i jak wydostać się z pułapki Toranagi. Dzięki mojej pomocy zyskał ogromny prestiż. Dzięki symbolicznemu podarunkowi z miecza stał się drugim po Toranadze wodzem w Armii Wschodu.

I jak się nam za to odplacił? Podłymi zniewagami.

–Pogódź się ze swoją karmą.

–Moją karmą jest zniszczyć Yabu.

–No cóż, jesteś mężczyzną. Masz prawo decydować. Co ma być, to będzie. Ale samo zabicie Yabu to za mało. Musimy mieć plan. Trzeba usunąć także jego syna, a ponadto Igurashiego. Zwłaszcza jego. A wówczas twój ojciec stanie na czele naszego rodu, co mu się należy...

–Jak to zrobimy, matko?

–Zaplanujemy to razem, ty i ja. Bądź cierpliwy, ne? No, a potem trzeba się będzie poradzić twojego ojca. Nawet ty możesz służyć nam radą, Midori, byleby tylko była cokolwiek warta.

–A co z panem Toranagą? Podarował Yabu swój miecz.

–Myślę, że panu Toranadze chodzi wyłącznie o to, żeby prowincja Izu była silna i mu podlegała. Nie chce sojuszników. Nie zależy mu na nich tak samo jak kiedyś taikō. Yabu sądzi, że jest jego sojusznikiem. A ja myślę, że Toranagą nie cierpi sojuszników. Jeżeli zostaniemy jego wasalami, nasz ród rozkwitnie. Albo jeżeli zostaniemy wasalami Ishido! Kogo wybrać? I jak dokonać zabójstwa?

Omi przypomniał sobie falę radości, jaka zalała go, gdy zdecydował się zabić. Znow ją czuł. Przyglądając się Yabu, napawał się nowo odkrytym ekstatycznym uczuciem zemsty. Nietrudno było zabić Yabu, lecz wymagało to skoordynowania z innymi posunięciami. Bo tylko wtedy jego ojciec albo starszy brat mogliby zdobyć władzę w ich rodzie i w Izu.

Yabu przeszedł do rzeczy.

–Mariko-san, powiedz, proszę, Anjin-sanowi, że pragnę, ażeby od jutra zaczął szkolić moich ludzi w strzelaniu, jak to robią barbarzyńcy. Chcę też dowiedzieć się wszystkiego o sposobach prowadzenia przez nich bitew.

–Przepraszam, Yabu-san, ale muszkiety dotrą tu za sześć dni – przypomniała mu Mariko.

–Na sam początek mam ich wystarczająco dużo między moimi ludźmi – odparł Yabu.
– Chcę, żeby zaczął jutro.

Mariko powtórzyła to Blackthorne'owi.

–Chce wiedzieć wszystko o bitwie? – spytał.

–Powiedział, że wszystko.

–A szczególnie co? Mariko spytała Yabu.

–Yabu-san pyta, czy uczestniczyłeś w jakichś bitwach na lądzie.

–Tak. W Niderlandach. I jednej we Francji.

–Yabu-san mówi, że to doskonale. Chce poznać europejską strategię wojskową. Chce wiedzieć, jak się toczy bitwy w waszych krajach. Szczegółowo.

Blackthorne powierzył swoją duszę Bogu.

–Powiedz panu Yabu – zaczął – że mogę mu bardzo pomóc. I panu Toranadze. Mogę sprawić, że ich armia będzie nie do pokonania.

–Pan Yabu mówi, że jeżeli twoje informacje okażą się użyteczne, to po miesiącu podniesie ci wynagrodzenie z wysokości dwustu czterdziestu koku rocznie, które ci dał pan Toranaga, do pięciuset.

–Podziękuj mu. Powiedz jednak, że wszystko to zrobię dla niego w zamian za przysługę: chcę, żeby cofnął swoje rozporządzenie w sprawie wioski, a po pięciu miesiącach zwrócił mi mój statek i załogę.

–Anjin-san, z nim nie wolno ci targować się niczym z kupcem – powiedziała Mariko.

–Poproś go o to. O tę skromną przysługę. Dla jego honorowego gościa i przyszłego wdzięcznego wasala.

Yabu zmarszczył brwi i udzielił dłuższej odpowiedzi.

–Yabu-san mówi, że ta wioska nie jest ważna. Jeżeli chce się coś uzyskać od

chłopów, to trzeba im przytykać ogień do pośladków. Nie zawracaj sobie nimi głowy. A co do statku, to jest pod opieką pana Toranagi. Pan Yabu ma pewność, że niedługo go odzyskasz. Wyraził życzenie, żebym zaraz po przyjeździe do Edo przekazała twoją prośbę panu Toranadze. Zrobię to, Anjin-san.

–Zechciej przeprosić pana Yabu, ale jestem zmuszony żądać, żeby cofnął to rozporządzenie. Dziś wieczorem.

–Przecież już odmówił, Anjin-san. To nie byłoby grzeczne.

–Tak, rozumiem. Zechciej jednak go o to poprosić. Dla mnie jest to bardzo ważne... to prośba.

–Mówi, że musisz być cierpliwy. Nie przejmuj się chłopami.

Blackthorne skinął głową. Podjął decyzję.

–Dziękuję. Rozumiem – powiedział. – Tak. Podziękuj panu Yabu, ale powiedz mu, że nie mogę żyć z takim wstydem.

Mariko pobladła.

–Słucham? – spytała.

–Nie mogę żyć z taką hańbą, nie chcę mieć na sumieniu całej wioski. To mi uwłacza. Nie mogę tego znieść. To wbrew moim chrześcijańskim przekonaniom. Chcę natychmiast odebrać sobie życie.

–Zabić się?

–Tak. Tak właśnie postanowiłem.

–Nan ja, Mariko-san? – wtrącił się Yabu.

Zacinając się, przełożyła mu, co powiedział Blackthorne. Udzieliła mu odpowiedzi na jakieś pytanie. A potem Yabu rzekł:

–Gdyby nie twoja reakcja, uznałbym to za żart, Mariko-san. Czemu się tak przejęłaś? Dlaczego sądzisz, że mówi poważnie?

–Nie wiem, wielmożny panie. Wydaje mi się... nie wiem... Zamilkła.

–Omi-san?

–Samobójstwo jest wbrew wszelkim wierzeniom chrześcijan, wielmożny panie. Oni nigdy nie zabijają się sami tak jak my. Jak samuraje.

–Mariko-san, jesteś chrześcijanką. Czy to prawda?

–Tak, wielmożny panie. Samobójstwo to grzech śmiertelny, sprzeczny z przykazaniem boskim.

–Igurashi-san? A co myślisz ty?

–Udaje. Nie jest chrześcijaninem. Pamiętasz tamten pierwszy dzień, wielmożny panie? Pamiętasz, co zrobił temu kapłanowi? I na co pozwolił panu Omi, żeby ocalić tamtego chłopca?

Yabu uśmiechnął się na wspomnienie tamtego dnia i nocy, która po, nim nastąpiła.

–Tak. Racja. On nie jest chrześcijaninem, Mariko-san.

–Bardzo przepraszam, ale nie rozumiem, wielmożny panie. O co chodzi z tym kapłanem?

Yabu opowiedział jej, co zaszło pierwszego dnia pomiędzy zakonikiem a Blackthorne'em.

–Zbeczczył krzyż? – spytała, najwyraźniej wzburzona.

–A jego kawałki rzucił na ziemię – dodał Igurashi. – On tylko udaje, wielmożny panie. Jeżeli ta sprawa z wioską okrywa go takim wstydem, to jak może przebywać W miejscu, gdzie został tak zhańbiony, gdzie Omi wypróżnił się mu na grzbiet?

–Co takiego? Przepraszam, wielmożny panie, ale znowu nie rozumiem – powiedziała Mariko.

–Wyjaśnij to jej – polecił Yabu Omiemu.

Omi wypełnił polecenie. To, co od niego usłyszała, nappełniło ją odrazą, ale nie okazała tego po sobie.

–Po tym wszystkim Anjin-san całkowicie spotulniał, Mariko-san – zakończył Omi. – Bez broni zawsze będzie potulny.

Yabu napił się sake.

–Powiedz mu tak, Mariko-san: samobójstwo nie jest zwyczajem barbarzyńców. Jest wbrew chrześcijańskiemu Bogu. Jakże więc może się zabić?

Mariko przełożyła. Yabu przyglądał się uważnie odpowiadającemu Blackthorne'owi.

–Anjin-san bardzo pokornie przeprasza, ale mówi, że bez względu na zwyczaj i

Boga, nie potrafi znieść tak ogromnej hańby, jaką jest sprawa tej wioski. Twierdzi, że... że jest, w Japonii, jest hatamoto i że wolno mu żyć wedle naszych praw. – Mariko drżały ręce. – To właśnie powiedział, Yabu-san. Wolno mu żyć wedle naszych zwyczajów... zgodnie z naszym prawem.

–Barbarzyńcy nie mają tu praw.

–Pan Toranaga mianował go hatamoto – odparła. – To daje mu prawa, ne?

Shoji zagrzecotało pod podmuchem wietrzyku.

–A w jaki sposób się zabije? Co? Spytaj go o to.

Blackthorne wyciągnął krótki, ostry jak igła sztylet i ułożył go delikatnie na tatami ostrzem w swoją stronę.

–Udaje! – oświadczył Igurashi. – Czy ktoś słyszał kiedyś, żeby barbarzyńca zachował się jak człowiek cywilizowany?

Yabu zmarszczył czoło, jego serce z podniecenia zwolniło rytm.

–To dzielny człowiek, Igurashi-san. Bez wątpienia – rzekł. – I dziwny. Ale żeby coś takiego? – Yabu chciał to zobaczyć, przekonać się, jaki jest ten barbarzyńca, ujrzeć, jak idzie na śmierć, wraz z nim doświadczyć tej ekstatycznej wędrówki. Z – wysiłkiem opanował falę rozkoszy, jaka w nim wzbierała. – Co mi radzisz, Omi-san? – spytał chrapliwie.

–Posiedziałeś, że zgładzisz wioskę, „jeżeli Anjin-san nie opanuje zadowolająco” języka. Proponuję ci, żebyś poszedł na małe ustępstwo. Powiedz mu, że „zadowolili” cię wszystko, czego zdoła się nauczyć W ciągu tych pięciu miesięcy, w zamian jednak musi przysiąc na swojego Boga, że nie powie o tym wiosce.

–Ale przecież on nie jest chrześcijaninem. Jakże taka przysięga może go do czegoś zobowiązać?

–Myślę, że jest w jakimś sensie chrześcijaninem, wielmożny panie. Na pewno jest przeciwnikiem Czarnych Sukni i to jest istotne. Uważam, że będzie respektował przysięgę na swojego Boga. Powinien ponadto przysiąc na swojego Boga, że skupi się bez reszty na nauce i będzie całkowicie na twoje rozkazy. Ponieważ jest mądry, w ciągu tych pięciu miesięcy nauczy się wiele. W ten sposób ocalisz swój honor, a on również, jeżeli go ma. Nie tracisz nic, a zyskujesz wszystko. A co bardzo ważne, jego dobrowolną lojalność.

–Wierzysz w to, że się zabije?

–Tak.

–A ty, Mariko-san?

–Nie wiem, Yabu-san. Przykro mi, nie potrafię ci nic doradzić. Kilka godzin temu powiedziałabym, że tego nie robi. Ale teraz sama nie wiem. On... od chwili, gdy przyszedł po niego Omi-san... zmienił się.

–Igurashi-san?

–Jeżeli ustąpi mu się w tej chwili, a on tylko udaje, to bez przerwy będzie stosował tę sztuczkę. Jest chytry jak kami lisa, wszyscy przecież wiedzieliśmy, jaki jest sprytny, ne? Kiedyś będziesz musiał mu powiedzieć „nie”, wielmożny panie. Radzę ci to zrobić teraz, on udaje.

Omi pochylił się w przód i pokręcił głową.

–Wielmożny panie, racz wybaczyć, ale. muszę powtórzyć, że jeżeli odpowiesz „nie”, wiele stracisz. Jeżeli udaje, co może być prawdą, to jeszcze jedno upokorzenie przepelni tego dumnego człowieka taką nienawiścią, że na pewno nie pomoże ci z całej duszy, czego potrzebujesz. Poprosił cię o coś jako hatamoto, do czego ma prawo, a twierdzi, że dobrowolnie chce żyć wedle naszych zwyczajów, Czyż to nie jest ogromny postęp, wielmożny panie? To wspaniale i dla ciebie, i dla niego. Doradzam ci rozważyć. Użyj go z korzyścią dla siebie.

–Mam taki zamiar – burknął głucho Yabu.

–Owszem – odezwał się Igurashi – jest cenny, owszem, chcę poznać jego wiedzę. Ale trzeba go trzymać w karchach, powtarzałeś to wiele razy, Omi-san. Jest barbarzyńcą. Niczym więcej. Och, wiem, że jest teraz hatamoto i że wolno mu od dzisiaj nosić miecze. Ale to nie czyni go samurajem. Nie jest samurajem. Nie jest nim i nigdy nie będzie.

Mariko zdawała sobie sprawę, że spośród wszystkich tu obecnych, ona najlepiej powinna rozumieć zachowanie Anjin-sana. Ale nie potrafiła. W jednej chwili rozumiała go, ale w następnej znów stawał się dla niej niepojęty. W jednej chwili lubiła, a W następnej nienawidziła. Dlaczego?

Blackthorne jak nawiedzony wpatrywał się w przestrzeń. Ale czoło miał zroszone potem. Ze strachu? – zastanawiał się Yabu. Ze strachu, że odkryją, iż udaje? A udaje?

–Mariko-san?

–Tak, panie?

**–Powiedz mu... – Yabu nagle poczuł suchość w ustach, zakłuło go w piersi. –
Powiedz Anjin-sanowi, że zarządzenie pozostaje w mocy.**

**–Wielmożny panie, racz wybaczyć, ale usilnie nalegam, żebyś posłuchał rady
Omiego-sana.**

Yabu nie spojrział na nią, tylko na Blackthorne’a. Żyła na czole mu pulsowała.

**–Anjin-san twierdzi, że już postanowił. Niech więc będzie. Przekonajmy się, czy jest
barbarzyńcą... czy hatamoto.**

**–Anjin-san – powiedziała prawie niedosłyszalnie Mariko. – Yabu-san mówi, że
zarządzenie pozostaje w mocy. Przykro mi.**

**Blackthorne usłyszał te słowa, ale nie poruszyły go one. Nigdy dotąd nie czuł w
sobie takiej siły i takiego spokoju, jeszcze nigdy nie był aż tak bardzo świadom życia.**

**Czekając, nie patrzył na nich ani ich nie słuchał. Jego decyzja była nieodwołalna.
Resztę pozostawił woli boskiej. Zamknął się w sobie, słysząc wciąż od nowa te same
słowa, te same, które wskazywały mu, jak tutaj żyć, te same, które z pewnością
przez usta Mariko przekazał mu Bóg: „Wyjście jest proste: śmierć. Żeby przeżyć,
musisz żyć wedle naszych zasad...”**

–...zarządzenie pozostaje w mocy.

A więc muszę umrzeć, pomyślał.

Powinienem się bać. Ale się nie boję.

Dlaczego?

**Nie wiem. Wiem tylko tyle, iż odkąd uznałem, że aby żyć tu jak człowiek, należy się
dostosować do miejscowych zwyczajów, narażać życie, umrzeć – być może umrzeć –
lęk przed śmiercią nagle zniknął. „Życie i śmierć są tym samym... karmę pozostaw
karmie”.**

Nie boję się śmierci.

**Po drugiej stronie shoji zaczął padać łagodny deszcz. Blackthorne spuścił wzrok na
krótki miecz.**

Miałem udane życie, pomyślał.

Jego wzrok znów spoczął na Yabu.

–Wakarimasu – powiedział wyraźnie i chociaż zdawał sobie sprawę, że słowo to

wymówiły jego usta, czuł się tak, jakby odezwał się nie on, a ktoś inny.

Nikt się nie poruszył.

Przyglądał się, jak jego prawa ręka bierze sztylet. A» potem jego rękojeść chwyciła także lewa. Nieruchome ostrze mierzyło w' serce. Słyszał już tylko własne życie, coraz silniej i silniej, aż wreszcie nie mógł już wsłuchiwać się w nie dłużej. Jego dusza łaknęła wieczystej ciszy.

Łaknienie to wyzwoliło odruch. Dłonie nieomylnie skierowały broń na cel.

Gotów powstrzymać pchnięcie Omi nie był jednak przygotowany na aż taką nagłość i dzikość ciosu i kiedy pochwycił prawą dłoń za rękojeść sztyletu, a lewą za jego ostrze, poczuł ból i zaczął krwawić. Zmagał się z siłą ciosu z całej mocy. Nie dawał rady. I wówczas dopomógł mu Igurashi. Wspólnie powstrzymali pchnięcie. Odciągnęli sztylet. Z rozciętej skóry powyżej serca Blackthorne'a, tam gdzie weszło ostrze, popłynęła cienka strużka krwi...

Mariko i Yabu nie poruszyli się.

–Powiedz mu, powiedz mu, Mariko-san, że wystarczy mi to, czego się nauczy – rzekł Yabu. – Każ mu... nie, poproś Anjin-sana, żeby złożył przysięgę, o jakiej mówił pan Omi. Żeby zrobił to, co powiedział Omi-san.

Blackthorne powoli wysuwał się z objęć śmierci. Z wielkiego oddalenia wpatrywał się w nich i w sztylet, niczego nie pojmując. A potem rwący strumień życia powrócił do niego, ale ponieważ nie potrafił pojąć, co to znaczy, uznał, że nie żyje i jest martwy.

–Anjin-san? Anjin-san?

Zobaczył jej poruszające się usta i usłyszał słowa, ale wszystkimi zmysłami skupiony był na deszczu i na wietrze. «w Tak?

Jego własny głos nadal dobiegał skądś z daleka, czuł jednakże woń deszczu, słyszał jego krople i smakował morską sól w powietrzu.

Żyję, rzekł zdumiony w duchu. Żyję, na dworze pada prawdziwy deszcz i więcej prawdziwy wiatr, z północy. Tam stoi prawdziwy kociołek, z prawdziwymi węglami, a gdybym wziął do ręki tę filiżankę, to znalazłbym w niej prawdziwy płyn, który miałby smak. Nie umarłem. Żyję!

Pozostali siedzieli w milczeniu, czekając cierpliwie, zachowując się delikatnie, żeby złożyć hołd jego dzielności. Jeszcze żaden Japończyk nie widział na oczy tego, czego byli świadkami. Wszyscy zapytywali się W duchu, co teraz robi Anjin-san.

Czy zdoła wstać o własnych siłach i odejść, czy też go opuszczą siły? Jak zachowaliby się na jego miejscu?

Milcząca służąca przyniosła bandaż i opatrzyła Omiemu głęboką ranę zadaną przez ostrze, tamując płynącą krew. Panował ogromny spokój. Co jakiś czas Mariko wypowiadała cichym głosem jego imię, a inni, zresztą bardzo oszczędnie, popijali cha bądź sake, rozkoszując się czekaniem, patrzeniem i wspomnianiem całego zdarzenia.

Dla Blackthorne'a ten brak życia zdawał się trwać całą wieczność. A potem jego wzrok zobaczył. Uszy usłyszały.

–Anjin-san?

–Hai? – odparł z ogromnym, nie znanym mu dotąd znużeniem. Mariko powtórzyła mu to, co powiedział Omi w taki sposób, jakby były to słowa Yabu. Musiała to zrobić kilka razy, zanim upewniła się, że zrozumiał.

Blackthorne zmobilizował resztki sił, rozkoszując się zwycięstwem.

–Moje słowo jest tak samo dobre jak jego słowo. Ale mimo to przysięgnę, tak jak tego chce, na Wszchemogącego. Tak. Podobnie jak pan Yabu przysięgnie mi uroczycie na swojego boga, że ze swojej strony też dotrzyma umowy.

–Pan Yabu zgadza się, przysięga na pana Buddę.

Blackthorne złożył więc przysięgę, jakiej żądał Yabu. Przyjął cha.

Nigdy jeszcze nie smakowała mu tak bardzo. Filiżanka wydała mu się bardzo ciężka i nie mógł długo utrzymać jej w ręku.

–Miły deszcz, prawda? – powiedział, przyglądając się jego kroplom, które rozbijały się i znikaly, zaskoczony tym, że wszystko widzi tak wyraźnie.

–Tak – odparła łagodnie Mariko świadoma, że zmysłami Blackthorne przebywa na równinach niedostępnych dla tych, którzy sami dobrowolnie nie wyszli na spotkanie śmierci i którzy zrzędzeniem nieodgadnionej karmy cudownie stamtąd powrócili.

–Może byś teraz odpoczął, Anjin-san? Pan Yabu dziękuje ci i mówi, że dłużej porozmawia z tobą jutro. Teraz powinieneś odpocząć.

–Tak. Dziękuję ci. Dobrze... – Zdołasz wstać?

–Tak. Myślę, że tak.

–Yabu-san pyta, czy chciałbyś pojechać w palankinie.

Blackthorne rozważył propozycję. Po dłuższej chwili orzekł, że samuraj poszedłby o własnych siłach... spróbowałby pójść.

–Nie, dziękuję – powiedział, mimo że ogromnie pragnął się położyć, zostać zanieśionym, zamknąć oczy i natychmiast zasnąć. Jednocześnie miał świadomość, że bałby się zasnąć na wypadek, że oto śni pośmiertny sen, a sztylet leży nie tam, na futonie, lecz nadal tkwi w jego ciele, on sam zaś znajduje się w piekle albo jego przedsionku.

Powoli uniósł sztylet i przyjrzał mu się dokładnie, rozkoszując się tym, co naprawdę czuje. A potem schował go do pochwy. Na wszystko potrzebował tyle czasu.

–Przepraszam za moją powolność – wymamrotał.

–Nie wolno ci przepraszać, Anjin-san. Dziś narodziłeś się ponownie. To twoje następne, nowe życie – powiedziała mu z dumą Mariko, pełna podziwu dla niego. – Niewielu dane jest wrócić stamtąd. Nie przepraszaj. Przecież wiemy, że wymaga to ogromnego hartu ducha. Po czymś takim mężczyźni przeważnie nie starczą sił, żeby wstać. Czy ci pomóc?

–Nie. Nie, dziękuję.

–To nie ujma przyjąć pomoc. Dopomożenie ci to dla mnie zaszczyt.

–Dziękuję, ale ja... chcę spróbować. Najpierw.

Nie zdołał jednak wstać od razu. Z pomocą rąk podźwignął się na kolana i musiał poczekać, żeby zebrać siły. Wtedy zaś podniósł się chwiejnie i omal się nie zwałił. Zatoczył się, ale nie upadł.

Yabu uklonił mu się. Zrobili to też Mariko, Omi i Igurashi.

Blackthorne zrobił kilką kroków jak pijany. Uchwycił się filaru i chwilę przytrzymał. A potem podjął marsz. Zachwiał się, ale odszedł bez niczyjej pomocy. Jak mężczyzna. Jego dłoń spoczywała na długim, zatkniętym za pas mieczu, głowę trzymał wysoko.

Dwanaście dni potem, po południu, nadszedł z Osaki posłaniec. Wraz z nim przybyło dziesięciu eskortujących go samurajów. Ich konie były pokryte pianą i bliskie padnięcia. Proporce na pikach i włóczniach nosiły symbole wszechwładnej Rady Regencyjnej. Było gorąco, pochmurnie i wilgotno.

Posłaniec był szczupłym, surowym samurajem wyższej rangi, jednym z głównych poruczników pana Ishido. Nazywał się Nebara Jozen i słynął z bezwzględności. Szare mundurowe kimono miał w strzępach i ubłocone, oczy zaczerwienione ze zmęczenia. Odmówił jedzenia i picia i niegrzecznie zażądał natychmiastowej audiencji u pana Yabu.

–Przepraszam za mój wygląd, Yabu-san, ale mam pilną sprawę – oznajmił. – O, tak, daruj mi to. Mój pan zapytuje po pierwsze, czemu to ćwiczysz swoje wojsko wspólnie z oddziałami Toranagi, a po drugie, dlaczego ćwiczysz aż z tyloma muszkietami?

Yabu pokraśniał na takie grubiaństwo, ale powściągnął wybuch wiedząc, że Jozen otrzymał konkretne instrukcje i że taki brak dobrych manier jest oznaką dzierżenia przeogromnej władzy. A ponadto bardzo zaniepokoił go fakt, że w jego systemie bezpieczeństwa pojawiła się kolejna luka.

–Serdecznie cię witam, Jozen-san – powiedział uprzejmym tonem, który nie zwiódł nikogo z obecnych; – Możesz zapewnić swojego pana, że zawsze mam na sercu jego interes.

Znajdowali się na werandzie warowni. Omi siedział tuż za Yabu. Igurashi, który przed kilku dniami znów wrócił do łask, bliżej Jozena, otaczali ich – zaś samuraje ze straży przybocznej.

–I co jeszcze mówi twój pan? – spytał Yabu.

–Mojego pana ucieszy wieść, że twoje i jego interesy są tożsame – odparł Jozen. – Jeśli zaś chodzi o te muszkiety i szkolenie, to mój pan chciałby wiedzieć, czemu to syn Toranagi Naga jest zastępcą dowódcy. Zastępcą dowódcy czego? Pan generał Ishido zapytuje uprzejmie, co za ważny powód sprowadza tu syna Toranagi. To go ciekawi. Dlaczego, na przykład, ten barbarzyńca, jak wszystko na to wskazuje, szkoli was? Szkoli w jakim celu? Tak, Yabu-san, to również jest bardzo ciekawe. – Jozen poprawił swoje miecze, rad, że ma za plecami własnych strzegących go samurajów. – A ponadto: pierwszego dnia nowego księżyca zbiera się Rada Regentów. Za dwadzieścia dni. Jesteś oficjalnie zaproszony do Osaki, żeby odnowić przysięgę wierności. Yabu ścisnęło w żołądku.

–O ile mi wiadomo, Toranaga-sama ustąpił z Rady rzekł.

–Tak, Yabu-san, to prawda. Ale jego miejsce zajął pan Ito Teruzumi. Mój pan będzie nowym przewodniczącym Rady.

Yabu wpadł w popłoch. Toranaga powiedział przecież, że czterech regentów nigdy nie zgodzi się na piątego. Ito Teruzumi był mało znaczącym daimyō z prowincji Negato na zachodzie Honsiu, ale jego starożytny ród wywodził się z linii Fujimoto, tak więc mimo marionetkowości, zniewieścienia i nieposiadania żadnej władzy, nadawał się na regenta.

–Zaproszenie to jest dla mnie bardzo zaszczytne – odparł obronnym tonem Yabu, pragnąc zyskać czas na przemyślenie sobie wieści.

–Mój pan sądzi, że zapewne zechcesz wyjechać natychmiast. Zdążyłbyś wówczas na oficjalne zebranie Rady w Osace. Kazał ci przekazać, że takie zaproszenie otrzymają wszyscy daimyō. Tak. Stąd też wszyscy będą mogli stawić się tam na czas dwudziestego pierwszego dnia. Żeby uczcić owo wydarzenie Jego Wysokość, cesarz Go-Nijo zatwierdził Uroczystą Wystawę Kwiatów.

Jozen podał urzędowy pergamin.

–Nie ma na nim pieczęci Rady Regentów.

–Mój pan wysłał to zaproszenie już teraz wiedząc, że jako wierny poddany zmarłego taikō, wierny poddany Yaemona, jego syna, dziedzica, a po osiągnięciu właściwego wieku prawowitego zarządcy cesarstwa, zrozumiesz, iż nowa Rada zatwierdzi to posunięcie. Ne?

–Być świadkiem urzędowego posiedzenia Rady to na pewno wielki przywilej – odparł Yabu, z całych sił starając się zachować niewzruszoną minę.

–To dobrze – rzekł Jozen. Wyjął jeszcze jeden pergamin, rozwinął go i podniósł w górę. – To jest kopia nominacji pana Ito, przyjęta, podpisana i zatwierdzona przez pozostałych regentów, panów Ishido, Kiyamę, Onoshiego i Sugiyamę.

Jozen nie próbował ukryć triumfującego spojrzenia, dobrze wiedząc, że jest to pułapka bez wyjścia dla Toranagi i jego stronników, a ponadto, że dokument ten gwarantuje jemu i jego ludziom nietykalność.

Yabu wziął pergamin. Palce mu drżały. Dokument był bez wątpienia prawdziwy. Podpisała go pani Yodoko, żona taikō, zaświadczając, że jest on autentyczny, podpisany w jej obecności, że jest jedną z sześciu kopii rozesłanych po, cesarstwie, ta zaś przeznaczona jest dla władców prowincji Iwari, Mikawa, Totomi, Suruga, Izu oraz Kantō. Widniała na nim data sprzed jedenastu dni.

–Daimyō Iwari, Mikawy, Totomi i Surugi już wyrazili zgodę. Oto ich pieczęcie. Jesteś

przedostatni na mojej liście. Ostatni jest pan Toranaga.

–Podziękuj, proszę, swojemu panu i przekaż, że z chęcią go zobaczę i złożę gratulacje – rzekł Yabu.

–To dobrze. Chcę to otrzymać na piśmie. Na razie to wystarczy.

–Dziś wieczorem, Jozen-san. Po wieczery.

–Doskonale. A teraz możemy pójść i przyjrzeć się szkoleniu.

–Dzisiaj nie ma ćwiczeń. Wszyscy moi żołnierze odbywają forsowne marsze – odparł Yabu. Kiedy tylko Jozen z oddziałem wjechali w granice Izu, Yabu, któremu szybko przekazano tę wieść, z miejsca nakazał przerwać strzelanie i kontynuować po cichu ćwiczenia z bronią z dala od Anjiro. – Jeśli sobie życzysz, to możesz się tam wybrać ze mną jutro, w południe.

Jozen spojrzał na niebo. Zbliżał się wieczór.

–Dobrze – odparł. – Przyda mi się trochę snu. Ale za twoim pozwoleniem, o zmierzchu wrócę. A wtedy ty, panie, twój dowódca, komendant Omi-san, oraz drugi komendant, Naga-san, opowiedz mi, by zaspokoić ciekawość mojego pana, o tym szkoleniu, o muszkietach i o wszystkim. Także o barbarzyńcy.

–On... tak, oczywiście. – Yabu dał znak Igurashiemu. – Przygotuj kwatery dla naszego honorowego gościa i jego ludzi.

–Dziękuję, ale nie jest to konieczne – odparł natychmiast Jozen. – Samurajowi wystarczy do spania derka rozłożona na ziemi, a siodło za poduszkę. Jeżeli można, tobym się wykąpał... jest tak parno, ne? Rozbiję obóz na skraju wzgórza... za twoim pozwoleniem, oczywiście.

–Jak sobie życzysz.

Jozen uklonił się sztywno i odszedł w otoczeniu swoich samurajów. Wszyscy byli uzbrojeni po zęby. Do pilnowania koni pozostawili dwóch łuczników.

Kiedy oddalili się na słuszną odległość... twarz Yabu wykrzywił grymas wściekłości.

–Kto mnie zdradził?! – wykrzyknął. – Kto? Gdzie ten szpieg?!

Równie jak on poblady Igurashi kazał strażnikom” odejść na taką odległość, by ich nie mogli słyszeć.

–W Edo, wielmożny panie – odparł. – Na pewno. Tu jesteśmy świetnie zabezpieczeni.

–Biada! – wykrzyknął Yabu, o mało co nie drąc szat. – - Zdradzono mnie. Zostaliśmy sami. Izu i Kantō są osamotnione. Ishido wygrał. Wygrał!

–Jeszcze nie, przez dwadzieścia dni, wielmożny panie – wtrącił szybko Omi. – Natychmiast prześlij wiadomość panu Toranadze. Zawiadam go...

–Głupcze! – syknął Yabu. – Przecież Toranaga już o tym wie. Tam gdzie ja mam jednego szpiega, on ma pięćdziesięciu. Pozostawił mnie samego w pułapce.

–Nie sędzę, wielmożny panie – odparł nieustraszenie Omi. – Iwari, Mikawa, Totomi i Suruga są do niego wrogo nastawione, ne? I do każdego, kto jest jego sojusznikiem. Ich władcy nie ostrzegliby go, więc być może jeszcze o niczym nie wie. Zawiadam go więc i podsuń...

–Czyś nie słyszał?! – krzyknął Yabu. – Wszyscy czterej regenci zgodzili się na nominację Ito, tak więc Rada znów jest prawomocna, a zbierze się za dwadzieścia dni!

–Odpowiedź na to jest prosta, wielmożny panie. Podsuń Toranadze myśl, żeby natychmiast polecił zabić Ito Teruzumiego albo któregoś z pozostałych regentów...

Yabu opadła szczęką. – Co takiego?

–Jeżeli sam nie chcesz tego zrobić, to poślij mnie, niech spróbuję. Albo pana Igurashiego. Z chwilą śmierci Ito Ishido znów stanie się bezradny.

–Nie wiem, czyś ty oszalał, czy jak – odparł bezradnie Yabu. – Czy pojmujesz, coś przed chwilą powiedział?

–Wielmożny panie, błagam cię, zechciej okazać cierpliwość. Anjin-san dostarczył ci bezcennej wiedzy, ne? Większej niż to się śniło. A teraz, dzięki raportom twoim i zapewne osobistym raportom pana Nagi, wie o tym również pan Toranaga. Jeżeli będziemy mieli dość czasu, to nasze pięćset muszkietów wraz z trzystoma tamtymi da ci całkowitą przewagę w bitwie, ale tylko jednej. Kiedy wrogowie, kimkolwiek są, ujrzą, w jaki sposób wykorzystujesz żołnierzy i siłę ognia, szybko się tego nauczą. Ale tę pierwszą bitwę muszą przegrać. Ta jedyna, prawdziwa bitwa przyniesie panu Toranadze pełne zwycięstwo.

–Ishido nie musi staczać żadnych bitew. Za dwadzieścia dni otrzyma mandat cesarski.

–Ishido to chłop. Jest synem chłopca, kłamcą i ucieka z pola bitwy, pozostawiając swoich towarzyszy.

Yabu wpatrzył się w niego. Twarz pokrywały mu czerwone cętki. – Czy... czy ty

wiesz, co mówisz?

–Tak właśnie zrobił w Korei. Byłem tam. Widziałem to, widział to mój ojciec. Ishido naprawdę pozostawił pana Buntaro i nas, tak byśmy sami przebili sobie drogę. To zwykły zdradziecki kmiotek, sługus taikō, oczywiście. Chłopom nie wolno ufać. Ale Toranaga jest z rodu Minowara. On jest godzien zaufania. Radzę ci brać pod uwagę tylko jego interesy.

Yabu z niedowierzaniem potrząsnął głową.

–Czyś ty ogłuchł? Nie słyszałeś, co powiedział Nebara Jozen? Ishido wygrał. Za dwadzieścia dni Rada znów odzyska władzę.

–Być może odzyska.

–Nawet jeżeli Ito... Jakże możesz coś takiego mówić? To przecież niemożliwe.

–Naturalnie, mogę podjąć próbę, ale w żaden sposób nie uda mi się załatwić tego na czas. Nikt z nas tego nie zdoła dokonać, nie w ciągu dwudziestu dni. Ale pan Toranaga owszem. – Omi wiedział, że sam wszedł w paszczę smoka. – Błagam cię, żebyś to rozważył.

Yabu otarł dłońmi twarz, był cały mokry.

–Po takim wezwaniu, jeżeli Rada się zbierze, a ja się tam nie stawię, to zginiemy wszyscy, ja i mój ród, włącznie z tobą. Na wyszkolenie jednego pułku potrzebuję co najmniej dwóch miesięcy. Nawet gdybyśmy już wyszkolili naszych wojowników, to ja i Toranaga za nic nie zdołamy pokonać pozostałych daimyō. Nie, mylisz się, muszę poprzeć Ishido.

–Jeżeli do Osaki udasz się forsownym marszem, to masz jeszcze w zapasie dziesięć czy czternaście dni – rzekł Omi. – Natychmiast powiadom Toranagę o Jozenie. Ocalisz Izu i ród Kasigi. Błagam cię. Ishido zdradzi cię i zniszczy. Przecież Ikawa Jikkyu to jego krewniak, ne?

–Ale co z Jozenem?! – wykrzyknął Igurashi. – Co z muszkietami? Co z naszą świętą strategią? On chce dziś wieczorem dowiedzieć się wszystkiego.

–No, to mu powiesz. Szczegółowo. To przecież zwykły fagas – odparł Omi, przystąpiwszy do podchodów. Dobrze wiedział, że ryzykuje wszystko, musiał jednak, jeśli się da, uchronić Yabu od przejścia na stronę Ishido i zaprzepaszczenia wszelkich szans. – Wyjawisz mu wszystkie nasze plany.

Igurashi gwałtownie zaprotestował.

–Jak tylko Jozen dowie się, co tu robimy, od razu prześle wiadomość panu Ishido. Jest zbyt ważna, by tego zaniechał. A kiedy Ishido przywłaszczy sobie nasze plany, to koniec z nami.

–Pojedziemy za posłańcem i zabijemy go w dogodnej chwili.

Yabu zapłonął gniewem.

–Ten pergamin jest podpisany przez najwyższą władzę w kraju! – rzekł. – Oni Wszyscy podróżują pod ochroną regentów! Oszalałeś, żeby proponować coś takiego! Wyjęliby mnie spod prawa!

Omi potrząsnął głową, nie tracąc pewnej miny.

–Moim zdaniem ten zdrajca Ishido zwiódł wielmożną panią Yodoko i oszukał innych, podobnie jak oszukał Jego Wysokość cesarza. Musimy ocalić te muszkiety, wielmożny panie. Musimy zatrzymać wszystkich posłańców.

–Milcz! Twoje rady to szaleństwo!

Skarcony Omi uklonił się. Ale po chwili podniósł wzrok i dodał spokojnie:

–Wobec tego pozwól, że popełnię seppuku, wielmożny panie. Najpierw jednak pozwól mi dokończyć. Nie próbując cię ochronić, nie dopełniłbym swoich obowiązków. Jako twój wierny poddany, proszę cię o tę ostatnią łaskę.

–Dokończ!

–W tej chwili Rady Regencyjnej nie ma, tak więc tego grubianina i chama Jozena nie prawomocnie nie chroni, chyba że ktoś uhonoruje nielegalny dokument i... – Omi chciał powiedzieć „potwierdzi własną słabość”, jednakże rozmyślił się i dokończył pewnie i spokojnie – da się oszukać jak inni, wielmożny panie. Żadnej Rady w tej chwili nie ma! Regenci nie mogą rozkazać nic i nikomu. Jeżeli się zbiorą, wtedy owszem, będziesz zmuszony okazać im posłuszeństwo. Ale ilu daimyō posłucha ich przed wydaniem prawomocnych rozkazów? Tylko sprzymierzeńcy Ishido, ne? Czy Iwari, Mikawa, Totomi i Suruga nie są rządzone przez jego krewnych i czyż nie są otwarcie z nim sprzymierzone? Tak, ten dokument z całą pewnością oznacza wojnę. Błagam cię jednak, panie, poprowadź ją na swoich warunkach, a nie na warunkach Ishido. Zlekceważ te pogroźki, tak jak na to zasługują! Toranaga nie przegrał dotąd żadnej bitwy. A Ishido tak. Toranaga uniknął udziału w wyniszczającym ataku na Koreę. A Ishido nie. Toranaga sprzyja żegludze i handlowi. Ishido nie. Toranaga zechce mieć własną marynarkę wojenną, czy nie to mu doradzałeś? Ishido tego nie zechce. Ishido zamknie cesarstwo, Toranaga utrzyma je otwarte. Jeżeli Ishido wygra, odda twoje dziedziczne rodowe lenno Izu Ikawie Jikkyu. Toranaga zaś odda ci całą jego prowincję. Jesteś sojusznikiem pana Toranagi. Czyż nie podarował ci swojego

miecza? Czyż nie powierzył dowództwa nad pułkiem muszkietów? I czy, jeśli uda się nam zaskoczenie, nie gwarantują one zwycięstwa? A co może w zamian dać ci ten chłop Ishido? Przysłała ci tu niewychowanych samurajów-roninów z rozkazami, których celem jest pohańbić cię w twojej własnej prowincji! Twierdzą, że twoje jedyne wyjście to Toranaga Minowara. Musisz pozostać przy nim.

Omi uklonił się i w milczeniu czekał.

Yabu zerknął na Igurashiego.

–I co powiesz? – spytał.

–Zgadzą się z Omim, wielmożny panie. – Na twarzy Igurashiego malowała się troska. – Jeżeli chodzi o zabicie posłańca, to jest to niebezpieczne zadanie, po którym nie byłoby już odwrotu. Jozen na pewno wyśle jutro paru ludzi. Zapewne mogą zniknąć, zabici przez bandytów... – Urwał w pół zdania. – Gołębie pocztowe. Juczne konie Jozena przywiozły dwie klatki z gołębiami!

–Dziś wieczorem musimy je otruć – powiedział Omi.

–Ale jak? Będą ich pilnować.

–Nie wiem. Ale do jutra rana trzeba je usunąć albo okaleczyć.

–Igurashi, wyślij zaraz ludzi, żeby śledzili Jozena – polecił Yabu. – Niech pilnują, czy nie wysłał jakiegoś gołębia już teraz, dzisiaj.

–Proponuję natychmiast wysłać na wschód wszystkich naszych sokolników z sokołami – dorzucił prędko Omi.

–Jeżeli ujrzy swojego ptaka strąconego albo zmarnowane gołębie, nabierze podejrzeń – ostrzegł Igurashi.

Omi wzruszył ramionami.

–7 Musimy go powstrzymać – upierał się.

Igurashi spojrzał na Yabu, a ten z rezygnacją skinął głową.

–Załatw to – powiedział.

–O czymś pomyślałem, Omi-san – rzekł Igurashi po powrocie. – Wiele z tego, coś mówił o Jikkyu i parni Ishido, było słuszne. Skoro jednak doradzasz „zniknięcie” posłańców, to po co w ogóle cackać się z Jozenem? Po co mu mówić cokolwiek? Dlaczego od „razu nie zabić wszystkich?”

–No właśnie, dlaczego? Chyba że sprawi to przyjemność wielmożnemu panu Yabu. Przyznaję, że twój plan jest lepszy, Igurashi-san – powiedział Omi.

Obaj wpatrywali się w Yabu.

–Jak mogę utrzymać sprawę muszkietów w tajemnicy? – zadał im pytanie.

–Zabij Jozena i jego ludzi – odparł Omi.

–Nie ma innego sposobu?

Omi pokręcił głową. Tak samo Igurashi.

–Może mógłbym wymienić coś za coś z Ishido – rzekł roztrzęsiony Yabu, usiłując znaleźć jakieś wyjście z tej pułapki. – Trafnie oceniłeś, że pozostaje mi dziesięć, najwyżej czternaście dni. Co zrobić z Jozenem, a przy tym zachować czas na różne manewry?

–Mądrze byłoby udać, że wybierasz się do Osaki – doradził Omi. – Ale przecież nic nie zaszkodzi poinformować natychmiast o sprawie pana Toranagę, ne? Któryś z naszych gołębi dotrze przed zmierzchem do Edo. Być może. To nic nie zaszkodzi.

–Tak, możesz, panie, zawiadomić Toranagę o przyjeździe Jozena i o zebraniu Rady za dwadzieścia dni – rzekł Igurashi. – Ale jeśli chodzi o tę drugą sprawę, o zabójstwo pana Ito, to pisać o tym jest zbyt niebezpieczne, nawet jeżeli... Tak, to zbyt niebezpieczne, ne?

–Zgadzam się. Nic o Ito. Toranaga powinien sam o tym pomyśleć. To oczywiste, ne?

–Tak, wielmożny panie. Nieprawdopodobne, ale oczywiste.

Omi czekał w milczeniu, gorączkowo poszukując rozwiązania. Czuł na sobie wzrok Yabu, ale się nie bał. Jego rady były rozsądne i służyły wyłącznie ochronie ich rodu, rodziny i wuja, obecnej głowy klanu. To, że postanowił pozbyć się Yabu i przywódcy rodu, nie przeszkadzało mu w udzielaniu roztropnych rad. A poza tym był przygotowany na śmierć. Gdyby Yabu okazał się na tyle głupi, by nie skorzystać z jego bezsprzecznie mądrych pomysłów, to wkrótce i tak nie będzie rodu, któremu można by przewodzić, pomyślał. Karma.

Yabu pochylił się w przód” nadal niezdecydowany.

–Czy jest jakiś sposób na pozbycie się Jozena i jego ludzi tak, żeby nie narazić się i nie przesądzać o niczym jeszcze przez dziesięć dni? – spytał. – ...

–Naga. Trzeba jakoś zastawić pułapkę z Nagą jako przynętą – stwierdził bez

ogródek Omi.

O zmierzchu Blackthorne i Mariko wraz ze świtą podjechali do bramy jego domu. Oboje byli zmęczeni. Mariko siedziała po męsku, ubrana w luźne spodnie i przepasany kaftan. Dla ochrony przed słońcem miała na głowie kapelusz z szerokim rondem, a na dłoniach rękawiczki. Nawet wieśniaczki starały się chronić twarze i ręce przed jego promieniami., Od niepamiętnych czasów było przyjęte, że im ciemniejsza skóra, tym pospolitsza osoba, a im skóra bielsza, tym bardziej poważana.

Służący chwycili postronki i odprowadzili konie. Blackthorne odprawił forysiów w znośnej japońszczyźnie i przywitał się z Fujiko, która jak zwykle czekała z dumą na werandzie.

–Czy podać ci cha, Anjin-san? – spytała ceremonialnie, tak jak zwykle, na co jak zwykle odmówił.

–Najpierw się Wykąpię – odparł. – A potem napiję sake i coś zjem.

Tak jak zawsze odpowiedział jej ukłonem, korytarzem poszedł na tył domu i przez ogród kolistą ścieżką dotarł do plecionej łaźni. Kiedy służąca rozebrała go, wszedł do środka i usiadł nagi. Druga służąca wyszorowała, go, namydliła, umyła włosy, splukała wodą mydło i brud. A potem całkiem czysty powoli, gdyż woda była strasznie gorąca, wszedł do wielkiej żelaznej wanny i położył się.

–Jezu Chryste, ależ to cudowne – rzekł rozradowany, z zamkniętymi oczami i czołem ociekającym potem, pozwalając gorącu przeniknąć do mięśni.

Usłyszał odgłos otwieranych drzwi, przywitanie Suwo „Dobry wieczór, panie”, a potem wiele japońskich słów, których nie zrozumiał. Dzisiaj jednak był za bardzo zmęczony, by podjąć próbę porozmawiania z nim. Kąpiel, co tylekroć powtarzała mu Mariko, nie służyła li tylko oczyszczeniu skóry. „Kąpiel to dar dany nam przez Boga albo bogów, boska rozkosz, z której należy się cieszyć i jako taką traktować.”

–Bez rozmów, Suwo – uprzedził. – Dziś chce myśleć.

–Tak, panie. Przepraszam, ale powinieneś być powiedzieć „Dziś chcę myśleć”.

–Dziś chcę myśleć – powtórzył Blackthorne w poprawnej japońszczyźnie, starając się przyswoić te prawie niepojęte dźwięki, rad, że go poprawiają, ale i bardzo tym zmęczony.

–I gdzie jest ta książka słownikowo-gramatyczna? – spytał z samego ranka Mariko.
– Czy pan Yabu zażądał jeszcze raz jej przysłania?

–Tak. Bądź cierpliwy, Anjin-san. Wkrótce nadejdzie.

–Obiecano ją przysłać wraz z galerią i wojskiem. Nie przyszła. Żołnierze i muszkiety owszem, ale nie książki. Mam szczęście, że tu jesteś. Bez ciebie wszystko byłoby niemożliwe.

–Trudne, ale nie niemożliwe, Anjin-san.

–Jak się mówi: „Nie, źle to robicie! Musicie biec wszyscy razem, razem zatrzymać się, celować i strzelać”?

–A do kogo się zwracasz, Anjin-san? – spytała. Znowu poczuł przyływ zniechęcenia.

–To wszystko jest bardzo trudne, Mariko-san.

–O, nie Anjin-san, w porównaniu z innymi językami japoński jest bardzo prosty. Nie ma rodzajników. Nie ma odmiany czasowników i bezokoliczników. Wszystkie czasowniki są regularne, kończą się na „masu” i możesz, jeśli chcesz, wyrazić prawie wszystko za pomocą czasu teraźniejszego. Gdy o coś pytasz, to po czasowniku dodajesz po prostu „ka”. Przy przeczeniu zmieniasz „masu” na „masen”. Czy może być coś łatwiejszego? „Yukimasu” znaczy „idę”, ale równocześnie „ty, on, ona, ono, oni, my idziemy”, albo „pójdziemy”, albo nawet „mogliśmy pójść”. A nasze rzeczowniki w liczbie pojedynczej i mnogiej brzmią tak samo. „Tsuma” znaczy żona albo żony. Bardzo proste.

–No, a jak odróżniacie yukimasu „idę” od yukimasu „poszli”?

–Dzięki modulacji głosu i akcentowi. Posłuchaj: yukimasu – yukimasu.

–Ale to brzmi dokładnie tak samo.

–Och, Anjin-san, to dlatego, że myślisz w twoim rodzinnym języku. Żeby zrozumieć japoński, musisz myśleć po japońsku. Nie zapominaj, że nasza mowa to mowa nieskończoności. Wszystko jest takie proste. Wystarczy tylko zmienić swoje pojmowanie świata. Japońska mowa to nauka nowej sztuki, niezależna od świata... Taka prosta.

:- O dupę potłuc – mruknął po angielsku i poczuł się lepiej.

–Słucham? Co powiedziałaś?

–Nic. Ale to, co mówisz, nie ma sensu.

–Naucz się hieroglifów – odparła.

–Nie mogę. Za długo by mi to zajęło. Dla mnie nic one nie znaczą.

–Posłuchaj, Anjin-san, właściwie są to bardzo proste rysunki. Chińczycy są bardzo mądrzy. Pożyczyliśmy sobie od nich pismo tysiąc lat temu. Weź na przykład ten hieroglif albo symbol, który wyobraża świnie.

–Wcale nie przypomina świni.

–Kiedyś przypominał. Pozwól, że ci pokażę. Proszę. Po dodaniu nad „świnie” symbolu „dachu” co otrzymasz?

–Świnie pod dachem.

–Ale co to znaczy? Co znaczy ten nowy hieroglif?

–Nie wiem.

–„Dom”. W dawnych czasach Chińczycy uważali, że świnia pod dachem oznacza dom. Nie są buddystami, jedzą mięso, dlatego świnia dla nich, dla wieśniaków, przedstawiała zamożność, a zatem zasobny dom. I stąd ten hieroglif.

–Ale jak wy to wymawiacie?

–To zależy od tego, czy jesteś Chińczykiem, czy Japończykiem.

–Oh ko!

–Zaprawdę oh ko – powiedziała ze śmiechem. – A to inny hieroglif. Przedstawia „dach”, „świnie” i „kobiety”. Dwie „świnie” pod „dachem” oznaczają „pogardę”. Dwie „kobiety” pod jednym „dachem” oznaczają „niezgody”. Ne?

–Jak najbardziej!

–Naturalnie pod pewnymi względami Chińczycy są bardzo głupi, a ich kobiety nie są tak wyszkolone jak nasze. W twoim domu nie ma niezgody, prawda?

Blackthorne właśnie się nad tym zastanawiał, teraz, dwanaście dni po swoich ponownych narodzinach. Nie, nie było niezgody. Ale również i prawdziwego domu. Fujiko pełniła rolę jedynie wiernej gospodyni i wiedział, że kiedy on wieczorem pójdzie spać, zostanie futony znowu rozłożone, ona zaś będzie cierpliwie klęczeć przy nich z kamienną twarzą. W nocnym kimonie, podobnym do dziennego, tylko że miększym i luźno związanym w pasie nie sztywnym obi, tylko szarfą.

–Dziękuję ci, pani – powie jej. – Dobranoc.

Ona ukłoni mu się i w milczeniu odejdzie do izby po drugiej stronie korytarza. A wtedy on wejdzie pod cieniutką jedwabną siatkę przeciwko komarom. Siatkę dotąd mu nie znaną. Potem zaś ułoży się błogo, a w nocy, słysząc z zewnątrz bzykanie

licznych owadów, zatrzyma się myślą na Czarnej Karaweli, na tym, jak wiele ona znaczy dla Japonii.

Bez Portugalczyków nie ma handlu z Chinami. Jedwabiu na odzież i na siatki. Już teraz, choć wilgoć w powietrzu dopiero zaczynała wzbierać, doceniał wartość jedwabnych szat.

Wiedział, że jeżeli będzie się kręcił w nocy, to służąca prawie natychmiast otworzy drzwi i spyta, czy czegoś sobie życzy. Kiedyś tego nie rozumiał. Odprawił służącą, po czym wyszedł do ogrodu i usiadł na stopniach, przyglądając się księżycowi. Po kilku minutach pojawiła się rozczochrana, zaspana Fujiko i bez słowa usiadła za jego plecami.

–Coś ci przynieść, panie? – spytała.

–Nie, dziękuję. Idź spać, proszę.

Powiedziała coś niezrozumiałego. Ponownie odprawił ją gestem, na co przemówiła ostrym tonem do towarzyszącej jej wiernie jak cień służącej. Wkrótce potem zjawiła się Mariko.

–Czy dobrze się czujesz, Anjin-san?

–Tak. Nie rozumiem, co was zaniepokoiło. Chryste Panie, przecież ja tylko patrzę na księżyc. Nie mogłem zasnąć. Chciałem się tylko przewietrzyć.

Fujiko powiedziała coś zacinając się, zakłopotana i urażona jego zirytowanym głosem.

–Twierdzi, że kazałeś jej pójść spać, panie. Chce, żebyś wiedział tylko to, że nie mamy we zwyczaju, aby żona albo konkubina spała, kiedy nie śpi mąż.

–W takim razie będzie musiała zmienić zwyczaj. Ja często wstaję w nocy. Sam. To żeglarski nawyk, na łądzie mam bardzo lekki sen.

–Tak, Anjin-san.

Mariko wyjaśniła to dwóm Japonkom i odeszły. Ale Blackthorne wiedział, że Fujiko nie pójdzie spać i robi to dopiero po jego zaśnięciu. Bez względu na to, o jakiej porze wracał, zawsze była na nogach i czekała. W niektóre noce chadzał samotnie na brzeg morza. I mimo że nalegał, by być sam, był świadom, że idą za nim i go śledzą. Nie dlatego, że bali się o to, iż ucieknie, ale dlatego, że mieli we zwyczaju nie pozostawiać ważnych osób bez opieki. A w Anjiro był ważną osobą.

Po jakimś czasie pogodził się z jej obecnością. Tak jak na początku powiedziała mu

Mariko: „Traktuj ją jak kamień, shoji albo ścianę. Służyć tobie to jej obowiązek”.

Z Mariko było inaczej.

Cieszył się, że została, Gdyby jej tu zabrakło, za nic nie rozpocząłby szkolenia, nie mówiąc już o objaśnianiu subtelności bitewnej strategii.

–Anjin-san – usłyszał jej głos. Ukłoniła mu się. – Yabu-ko wa kiden no goshusseki o kon-ya wa hitsuo to senu to oserareru.

Powoli w głowie pojawiło mu się zdanie: Pan Yabu nie wymaga widzenia się dzisiaj z tobą.

–Ichi-ban – odparł uradowany. – Dōmo.

–Gomen nasai, Anjin-san. Anatawa...

–Tak, Mariko-san – przerwał jej, rozleniwiony gorącym wodą. – Wiem, że powinienem wyrazić się inaczej, ale nie chcę w tej chwili mówić dłużej po japońsku. Nie dziś wieczorem. Czuję się dziś jak uczeń, którego zwolniono ze szkoły na święta. Czy wiesz, że są to moje pierwsze wolne godziny od przyjazdu tutaj?

–Tak, wiem o tym. – Uśmiechnęła się lekko. – A czy zdajesz sobie sprawę, senhor pilocie Bhrackhfon, że to moje pierwsze wolne godziny od twojego przyjazdu?

Zaśmiał się. Miała na sobie luźno przewiązaną szatę kąpielową z grubej bawełny, a na głowie ręcznik ochraniający włosy. Co Wieczór, kiedy jego zaczynano masować, ona kąpała się, czasem sama, a czasem z Fujiko.

–Proszę, możesz się już kąpać – rzekł, zbierając się do wyjścia z wanny.

–Och, nie, proszę. Nie chcę ci przeszkadzać w kąpieli., – To kąp się ze mną. Jest cudowna.

–Dziękuję. Nie mogę się doczekać, żeby zmyć z siebie pot i kurz.

Zdjęła szatę i usiadła na małym stołeczku. Służąca zaczęła ją namydlać, a Suwo czekał cierpliwie przy stole do masażu.

–To przypomina szkolne ferie – powiedziała.

Bardzo poruszył go widok jej nagiej tamtego dnia, kiedy pływali. Tym razem nagość Mariko i jego własna nie wywołała żadnej fizycznej reakcji. Żyjąc w tak bliskim otoczeniu ludzi na japońską modłę, w japońskim domu z papierowymi ścianami i wielofunkcyjnymi izbami wiele razy oglądał ją rozebraną bądź w częściowym negliżu. Widział nawet, jak się załatwiała.

–A czy jest coś bardziej normalnego, Anjin-san? – spytała go kiedyś. – Ciało to rzecz zwykła, tak jak zwykle są różnice pomiędzy kobietami i mężczyznami, ne?

–Tak, ale... my po prostu jesteśmy nauczeni inaczej.

–No, ale teraz jesteś tutaj, nasze zwyczaje są twoimi, a co normalne, jest normalne. Ne?

Jeżeli pod ręką nie było latryny albo kubła, to załatwienie fizycznej potrzeby na widoku było czymś zwyczajnym, po prostu podnosiłeś lub rozchylałeś kimono, kucąłeś albo stałeś, a pozostali grzecznie czekali nie patrząc. Parawanami zasłaniano się rzadko, bo i po co? I tak wkrótce jakiś chłop zabierał twoje odchody i po zmieszaniu ich z wodą użyźniał pola. Ludzki mocz i kał były jedynym i najważniejszym nawozem w cesarstwie. Byków i koni hodowano niewiele, a innych źródeł zwierzęcych odchodów nie było wcale. Tak więc zbierano cały ludzki gnój i sprzedawano rolnikom w całym kraju.

A kiedy widziałeś wysoko i nisko urodzonych, jak rozchylają i podnoszą szaty, załatwiają się na stojąco i w kucki, to przestawałeś się krępować.

–Czy jest się czego krępować, Anjin-san?

–Nie.

–To dobrze – odparła, bardzo zadowolona. – Wkrótce będziesz jak surowa ryba, świeży glon, no a potem staniesz się prawdziwym hatamoto.

Służąca poląła ją wodą. Czysta Mariko weszła do wanny i ułożyła się naprzeciw niego z długim rozkosznym westchnieniem. Pomiedzy jej piersiami huśtał się krzyżyk.

–Jak ty to robisz? – spytał.

–Co?

–Zanurzasz się tak szybko. A ta woda jest taka gorąca.

–Nie wiem, Anjin-san, ale poprosiłam, służbę, żeby podłożyła drewna i podgrzała ją. Fujiko zawsze pilnuje, żeby dla ciebie była... jak to się mówi, letnia.

–Jeżeli to jest letnia woda, to ja jestem dudek!

–Słucham?

–Nic, nic.

Gorąca woda działała usypiająco i przez jakiś czas pławili się w niej bez słowa.

–Co chciałbyś robić dziś wieczorem, Anjin-san? – spytała później.

–Gdybyśmy byli w Londynie, to... – Blackthorne urwał. Nie będę o nich myślał, powiedział sobie. Ani o Londynie. To przepadło. Tego nie ma. Istnieje tylko ta chwila.

–Gdybyśmy byli? – zagadnęła, przyglądając się mu, świadoma zaszłej w nim zmiany.

–Poszlibyśmy do teatru na sztukę – dokończył, mobilizując się. – Czy macie tutaj sztuki?

–O, tak, Anjin-san. Bardzo je lubimy. Taikō lubił nimi zabawiać swoich gości, lubi je nawet pan Toranaga. I, naturalnie, mamy wiele wędrownych trup dających przedstawienia dla gminu. Ale, o ile wiem, nasze sztuki nie przypominają waszych. Nasi aktorzy noszą maski. Nazywamy te sztuki „no”. Są częściowo muzyczne, częściowo tańczone i bardzo smutne, historyczne i bardzo tragiczne. Mamy też komedie. Poszlibyśmy na komedię czy sztukę religijną?

–Nie, poszlibyśmy do teatru Glob i obejrzeli jakąś sztukę dramaturga Szekspira. Wolę go od Marlowe’a i Bena Jonsona. Może zobaczylibyśmy „Poskromienie złoŃnicy”, „Sen nocy letniej” albo „Romea i Julię”. Na „Romea i Julię” zabrałem swoją żonę i bardzo jej się podobało.

Opowiedział Mariko treść sztuki. Niewiele z tego zrozumiała.

–Podobne nieposłuszeństwo dziewczyny wobec ojca byłoby u nas nie do pomyślenia – powiedziała. – Ale to takie smutne, ne? Smutne dla tej dziewczyny i dla tego chłopca. Miała tylko trzynaście lat? Czy wszystkie wasze kobiety wychodzą tak młodo za mąż?

–Nie. Zwykle w wieku piętnastu, szesnastu lat. Kiedy się żeniliśmy, moja żona miała siedemnaście. A ile lat miałaś ty?

–Tylko piętnaście, Anjin-san. – Nie spostrzegł, że lekko zmarszczyła brwi. – A co zrobilibyśmy po sztuce?

–Zabrałbym cię na kolację. Poszlibyśmy do Stone’s Chop House na Fetter Lane albo do Cheshire Cheese na Fleet Street. To gospody, w których podają specjalne dania.

–Co byś zjadł?

–Wolę nie pamiętać – odparł uśmiechając się leniwie i wracając myślami do rzeczywistości. – Nie pamiętam. Jesteśmy tutaj i tu zjemy kolację, smakuje mi

surowa ryba, a karma jest karmą. – Zanurzył się głębiej w wannie. – „Karma” to wspaniałe słowo. Wspaniały koncept. Ogromnie mi pomogłaś, Mariko-san.

–Bardzo mi miło, że mogłam ci trochę pomóc. – Mariko odprężyła się w ciepłej kąpieli. – Fujiko przyszykowała ci dziś specjalną potrawę.

–Tak?

–Kupiła... zdaje się, że nazywasz tego ptaka bażantem. To duży ptak. Schwytał go dla niej jeden z sokolników.

–Bażanta? Naprawdę? Honto?

–Honto – odparła. – Fujiko poprosiła ich, żeby go upolowali. Kazała mi, żebym ci to powtórzyła.

–Jak jest przyrządzony?

–Któryś z żołnierzy widział, jak przyrządzają go Portugalczycy, i jej powiedział. Fujiko prosi cię o wyrozumiałość, jeżeli nie będzie upieczony jak należy.

–Ale jak ona to robi... w jaki sposób robią to kucharki? – poprawił się wiedząc, że gotują i sprzątają wyłącznie służące.

–Żołnierz powiedział, że najpierw ktoś musi oskubać go z piór, a potem... wypatroszyć. – Mariko opanowała mdłości. – Następnie ptaka kraje się na małe kawałki i smaży w oleju albo gotuje z solą i przyprawami. – Zmarszczyła nos. – Niekiedy oblepiają go błotem, kładą na węgle paleniska i pieką. Tutaj nie mamy pieców, Anjin-san. Więc będzie usmażony. Mam nadzieję, że taki jak trzeba.

–Na pewno będzie doskonały – odparł przekonany, że nie będzie się nadawał do jedzenia.

Roześmiała się.

–Czasem tak łatwo zdradzasz swoje myśli, Anjin-san – powiedziała.

–Nie masz pojęcia, jak ważne jest jedzenie! – Uśmiechnął się wbrew chęciom. – Masz rację. Nie powinienem przywiązywać wagi do jedzenia. Ale nie potrafię opanować głodu.

–Wkrótce się tego nauczysz. Nauczysz się nawet, jak pić z pustej filiżanki.

–Słucham?

–Nie miejsce tu ani czas, żeby ci to wyjaśniać, Anjin-san. Do tego musisz być w

pełni rozbudzony i czujny. Konieczny jest cichy wieczór albo świt. Za to, co zrobiłeś, kiedyś pokażę ci, na czym to polega. Och, jak miło jest tak leżeć, prawda? Kąpiel to zaiste boski dar.

Usłyszeli, jak za ścianą służące dokładają do paleniska. Wytrzymał wzrastającą temperaturę, póki mógł, aż wreszcie z pomocą Suwo wyskoczył z wody i dysząc spoczął na wznak na grubym ręczniku. Palce starego wniknęły w jego ciało. Chciało mu się zawołać z rozkoszy: „Ach, jakie to cudowne!”

–Tak bardzo się zmieniłeś przez te kilka zeszłych dni, Anjin-san – powiedziała. –

–Czyżby?

–O tak, od twoich ponownych narodzin... tak, bardzo.

–To moje dziewiąte życie! Ostatnie! – odparł.

–Słucham? – spytała Mariko. – Co mówiłeś?

–Nic. Nic takiego – odparł zakłopotany.

Przekręcił się na brzuch. Widział ją wśród pary. Głęboko oddychała, głowę miała lekko odchyloną, a skórę zaróżowioną.

Jak ona wytrzymuje taki wrzątek? – zastanawiał się. – Chyba dzięki przyzwyczajeniu od dzieciństwa.

Palce Suwo sprawiały mu przyjemność, na chwilę przysnął.

O czym to myślałem? – zadał sobie pytanie.

O moim dziewiątym życiu, życiu ostatnim, i przestraszyłem się na wspomnienie tego przesądu. Ale głupio jest być przesądnym w tej Krainie Bogów. Tu wszystko jest inne, na wieczność. A wieczność to dziś.

Jutro może zdarzyć się bardzo wiele.

A dziś dostosuję się do ich zasad.

Tak zrobię.

Jozenowi szumiało w głowie. Nie od sake, od myśli o niewiarygodnej strategii wojennej, którą tak otwarcie przedstawili mu Yabu, Omi i Igurashi. Jedynie zastępca Yabu, syn śmiertelnego wroga, Naga, ze ściągniętą twarzą i charakterystycznym długim nosem Toranagi, stale milczał, przez cały wieczór zachowując się chłodno, sztywno i wyniośle.

–Zdumiewające, Yabu-sama – rzekł. – Teraz pojmuję, czemu byliście tacy dyskretni. Mój pan też to zrozumie. Mądrze, bardzo mądrze. Milczałeś przez cały wieczór, Naga-san. A ja chciałbym poznać twoją opinię. Jak ci się podoba ta ruchliwość wojska... ta nowa strategia?

–Mój ojciec uważa, że w wojnie należy uwzględniać wszelkie możliwości – odparł młodzieniec.

–A jakie jest twoje osobiste zdanie?

–Przysłano mnie tutaj, żebym Wypełniał rozkazy, obserwował, słuchał, uczył się i próbował. A nie po to, żebym wygłaszał opinie.

–Oczywiście. Ale jako zastępca dowódcy, a raczej, znamienity zastępca dowódcy, uważasz to doświadczenie za udane?

–Na to powinni odpowiedzieć Yabu-sama albo Omi-san. Bądź mój ojciec.

–Ale przecież Yabu-sama obiecał, że wszyscy będą się dziś wypowiadać swobodnie. Co tu jest do ukrywania? Przecież jesteśmy przyjaciółmi, ne? Tak sławny syn tak sławnego ojca z pewnością ma własne zdanie. Ne?

Na tę obelgę Naga zmrużył oczy, ale nic nie powiedział.

–Wszyscy mogą się wypowiadać swobodnie, Naga-san – rzekł Yabu. – Co zatem o tym myślisz?

–Myślę, że z zaskoczenia można tym sposobem wygrać jedną potyczkę albo bitwę. Tak, w razie zaskoczenia przeciwnika. Ale co potem? – Głos Nagi stał się lodowaty. – Potem wszystkie walczące strony zastosują tę taktykę w walce i niepotrzebnie zginie mnóstwo żołnierzy zabitych niehonorowo przez napastników, którzy nawet nie będą wiedzieli, kogo uśmiercili. Wątpię, czy mój ojciec rzeczywiście się zgodzi na zastosowanie tej taktyki w prawdziwej bitwie.

–Tak powiedział? – spytał natarczywie Yabu, nie bacząc na obecność Jozena.

–Nie, Yabu-sama. Wyrażam własną opinię. Oczywiście.

–Ale jeśli chodzi o pułk muszkietów... to go nie pochwalasz? Razi cię? – ’ spytał ponuro Yabu.

Naga spojrział na niego oczami płaskimi jak u gada.

–Skoro mnie pytasz o zdanie, to owszem, z całym szacunkiem, ale budzi on we mnie odrazę. Nasi praojcowie zawsze wiedzieli, kogo zabijają i kto ich zwycięża. To

bushido, nasz rycerski kodeks, Droga Wojownika, kodeks prawdziwego samuraja. Lepszy zwycięża, ne? Ale to? Jakże udowodnisz swoją dzielność panu? Jakże może on wynagrodzić cię za odwagę? Szarżować, na kule, owszem, to czyn mężny, ale i zarazem głupi. Bo co w tym dzielnego? Muszkiety są sprzeczne z naszym kodeksem samurajskim. Tak walczą barbarzyńcy, tak walczą chłopi. Czy zdajecie sobie sprawę, że w ten sposób mogą walczyć plugawi kupcy, chłopi, a nawet pariasi eta? – Jozen zaśmiał się, Naga zaś ciągnął jeszcze bardziej złowieszczym tonem. – Garstka fanatyków wyposażonych w muszkiety może z łatwością zabić dowolną liczbę samurajów! Tak, chłopi mogą zabić każdego z nas, nawet pana Ishido, który chce zająć miejsce mojego ojca. Jozen zachnął się.

–Pan Ishido nie pożąda ziem twojego ojca, panie. Dąży tylko, by zachować cesarstwo dla prawowitego następcy.

–Mój ojciec nie zagraża Yaemonowi ani cesarstwu.

–Oczywiście, ale ty mówiłeś o chłopach. Chłopem był ongiś pan taikō. Chłopem był kiedyś mój pan Ishido. Chłopem byłem kiedyś ja. I roninem!

Naga nie pragnął zwady. Wiedział, że nie sprosta Jozenowi, który słynął z wprawy we władaniu mieczem i toporem.

–Nie miałem zamiaru obrażać twojego pana, ciebie ani nikogo, Jozen-san. Chciałem tylko powiedzieć, że nam, samurajom, nie wolno dopuścić, żeby chłopstwo dostało do ręki broń palną, bo wówczas przestaniemy być bezpieczni.

–Kupcy i chłopi nigdy nam nie zagrażą – odparł Jozen.

–Zgadza się – rzekł Yabu – a po części zgadzam się też z tobą, Naga-san. Tak. Ale muszkiety to broń nowoczesna. Wkrótce będą nimi staczane wszystkie bitwy. Przyznaję, że są odrażające. Ale tak się toczy nowoczesne wojny. A mimo to pozostanie tak, jak było zawsze – najdzielniejsi wojownicy zawsze będą górą.

–O, nie, przykro mi, ale mylisz się, Yabu-sama! O czym nam opowiada ten przeklęty barbarzyńca? O istocie ich wojskowej strategii? Sam przyznaje, że ich wojsko pochodzi z zaciągu i najmu. Ne? Najmu! Pozbawione wszelkiego poczucia obowiązku wobec własnego pana. Żołnierze walczą tylko dla zapłaty i rabunku, łupów, gwałtów i pełnego brzucha. Czyż nie przyznał, że ich armie są złożone z chłopów? Oto do czego doprowadziły w ich świecie muszkiety i do tego samego doprowadzą u nas. Gdybym miał władzę, to już dzisiaj ściałbym głowę temu barbarzyńcy i na zawsze zakazał używania broni palnej.

–Czy tak właśnie sądzi twój ojciec? – spytał nazbyt prędko Jozen.

–Jak z pewnością wiesz, mój ojciec nie zdradza, co myśli, ani mnie, ani nikomu. Nie

mówię w imieniu swojego ojca, za niego nikt bowiem nie mówi – odparł Naga, zły, że w ogóle dał się wciągnąć do rozmowy, – Zostałem przysłany tutaj, żeby wykonywać rozkazy, słuchać, a nie mówić. Przepraszam. Nie odezwałbym się, gdybyś mnie nie spytał. Jeżeli cię, panie, obraziłem, albo ciebie, Yabu-sama, lub ciebie, Omi-san, to przepraszam.

–Niepotrzebnie przepraszasz. Spytałem cię o twoje zdanie – rzekł Yabu. – Jakżeby ktoś mógł tutaj czuć się obrażony. Przecież rozmawiamy, ne? Prowadzimy rozmowę między przywódcami. Zakazałbyś stosowania muszkietów?

–Tak. Myślę, że mądrze byś zrobił, gdybyś objął ścisłą kontrolą całą broń palną w swoich włościach.

–Wieśniakom nie wolno posiadać żadnej broni. A moi chłopci i samuraje są dobrze pilnowani.

Jozen uśmiechnął się głupkowato do szczupłego młodzieńca, którego nie lubił.

–Masz ciekawe poglądy, Naga-san – rzekł. – Ale mylisz się co do chłopów, Dla samurajów są tylko dostarczycielami dóbr. Mogą im zrobić tyle co kupa gnoju;

–W tej chwili! – odparł Naga, dając się ponieść dumie. – Dlatego też zakazałbym muszkietów natychmiast. Masz słuszość, Yabu-san, że nowa epoka wymaga nowych metod. Ale zważywszy to, co powiedział ten barbarzyńca pilot, rozszerzyłbym obowiązujące prawa. Wydałbym dekret, żeby każdego, kto nie jest samurajem, a kogo przyłapie się na posiadaniu broni palnej albo handlu nią, natychmiast pozbawić życia wraz z wszystkimi członkami jego rodziny we wszystkich pokoleniach. Ponadto zabroniłbym sprowadzania i wyrobu muszkietów. Zabroniłbym barbarzyńcom noszenia ich oraz przywożenia ich do naszego kraju. Tak, gdybym miał władzę, o którą nie zabiegam i której nigdy miał nie będę, w ogóle nie dopuściłbym barbarzyńców do naszej ziemi, nie licząc garstki kapłanów i jednego portu handlowego, który otoczyłbym wysokim murem i kordonem zaufanych wojowników. I oczywiście natychmiast uśmierciłbym tego znieprawionego barbarzyńcę, żeby nie rozszerzał swojej nikczemnej wiedzy. Ten człowiek to zaraza.

–Och, Naga-san, jak dobrze jest być takim młodym – rzekł Jozen. – Wiedz, że mój pan zgadza się z wieloma twoimi poglądami na temat barbarzyńców. Wielekroć słyszałem z jego ust słowa: „Przepędzić ich, wyrzucić, wykopać do Nagasaki i niech tam siedzą!” Zabiłbyś Anjin-sana, tak? Ciekawe. Mój pan również go nie lubi. Ale dla niego...- Jozen urwał. – O, tak, to dobry pomysł z tymi muszkietami. Widzę to bardzo wyraźnie. Czy mogę o nim powiedzieć swojemu panu? O twoim pomysłe dotyczącym nowych praw?

–Oczywiście – odparł Naga, który złagodniał i uspokoił się, wyrzuciwszy z siebie to,

co tłumił w duszy od pierwszego dnia.

–Podzieliłeś się tą opinią z panem Toranagą? – spytał Yabu.

–Pan Toranagą nie prosił mnie o zdanie. Mam nadzieję, że kiedyś zrobi mi ten zaszczyt i poprosi mnie o to, co ty – odparł natychmiast szczerym tonem Naga zastanawiając się, czy któryś z nich zwietrzył kłamstwo.

–Skoro dyskutujemy swobodnie – odezwał się Omi – to ja uważam tego barbarzyńcę za bezcenny skarb. Moim zdaniem powinniśmy się od niego uczyć. Musimy znać się na broni palnej i na statkach wojennych, ponieważ znajdują się na nich oni. Musimy poznawać ich wiedzę natychmiast po nich, a nasi przedstawiciele muszą od zaraz przystąpić do nauki ich sposobu rozumowania, tak żebyśmy mogli szybko ich prześcignąć.

–A na czymż to oni się znajdują, Omi-san? – spytał z zadufaniem Naga. – Przyznaję, że na muszkietach i statkach. Ale na czym więcej? Jakże mogą nas zniszczyć? Przecież nie ma wśród nich samurajów. Czy ten pilot nie przyznaje otwarcie, że nawet ich królowie to mordercy i religijni fanatycy? Nas są miliony, a ich garstka. Możemy ich nakryć gołymi dłońmi.

–Ten Anjin-san otworzył mi oczy, Naga-san. Odkryłem, że na naszej ziemi i Chinach świat się nie kończy, że są one tylko jego małą częścią. Z początku uważałem to za ciekawostkę, ale już tak nie uważam. Dziękuję bogom, że go nam zesłali. Myślę, że nas zbawił, i wiem, że możemy się od niego wiele nauczyć. Już obdarzył nas władzą nad Południowymi Barbarzyńcami... i nad Chinami.

–Jak to?

–Taikō nie powiodło się z nimi, gdyż w pojedynku wojownik na wojownika, strzała na strzałę, są od nas liczniejsi, ne? A dzięki muszkietom i barbarzyńskiej taktyce walki możemy zdobyć Pekin.

–Dzięki barbarzyńskiej zdradliwości, Omi-san!

–Dzięki barbarzyńskiej wiedzy, Naga-san, możemy zdobyć Pekin. Kto go zdobędzie, w końcu zawładnie Chinami. A kto włada Chinami, ten włada światem. Musimy się nauczyć, że nie jest ujmą czerpanie wiedzy od każdego, kto ją ma.

–Uważam, że nie potrzeba nam nic, co jest z zewnątrz.

–Bez obrazy, Naga-san, a ja uważam, że musimy chronić tę Krainę Bogów wszelkimi dostępnymi sposobami. Naszym obowiązkiem jest ochrona niepowtarzalnej, boskiej pozycji Japończyków na tej ziemi. Tylko ten ląd jest Krainą Bogów, ne? Tylko nasz cesarz jest boski. Przyznaję, że temu barbarzyńcy powinno się zamknąć usta. Ale nie

przez zabicie go. Tylko trzymając go w stałym odosobnieniu tu, w Anjiro, dopóki nie nauczymy się od niego wszystkiego, co wie. Jozen podrapał się w zadumie.

–Powiadomię mojego pana o waszych poglądach. Zgadzam się, że barbarzyńcę trzeba odizolować. A także z tym, że szkolenie należy przerwać natychmiast.

Yabu wyjął z rękawa zwitek pergaminu.

–Oto pełne sprawozdanie dla pana Ishido o naszym doświadczeniu z muszkietami. Kiedy pan Ishido wyrazi życzenie, żeby przerwać szkolenie, to naturalnie przerwiemy je – powiedział.

Jozen przyjął pergamin.

–A pan Toranagą? Co z nim? – spytał, przenosząc wzrok na Nagę. Naga w milczeniu wpatrzył się w pergamin.

–O jego zdanie będziesz mógł się zapytać bezpośrednio – odparł Yabu. – Sporządzi podobny raport. Przypuszczam, że jutro wybierzesz się do Edo? A może chcesz się przyjrzeć naszemu szkoleniu? Nie muszę ci chyba mówić, że moim żołnierzom daleko jeszcze do biegłości.

–Chciałbym obejrzeć jeden taki „atak”.

–Omi-san, zajmiesz się tym. Poprowadzisz ten atak.

–Tak, wielmożny panie.

Jozen zwrócił się w stronę swojego zastępcy i wręczył mu pergamin.

–Masumoto, natychmiast zawieziesz go panu Ishido. – rzekł.

–Tak jest, Jozen-san.

–Daj mu przewodników do granicy i świeże konie – powiedział Yabu do Igurashiego.

Igurashi natychmiast wyszedł z samurajem. Jozen przeciągnął się i ziewnął.

–Proszę o wyrozumiałość, ale to przez tę nieustanną-kilkudniową jazdę. Muszę podziękować ci za ten nadzwyczajny wieczór, Yabu-sama. Twoje pomysły są dalekosiężne. I twoje, Omi-san. I twoje, Naga-san. Pochwalę was przed panem Toranagą i przed moim panem. A teraz wybaczcie, panowie, ale jestem bardzo zmęczony, a do Osaki kawał drogi.

–Istotnie – zgodził się Yabu. – A co słyhać w Osace?

–Doskonale. Pamiętasz, panie, tych bandytów, którzy zaatakowali was z lądu i z morza?

–Oczywiście.

–Tej nocy zdjęliśmy cztery i pół setki głów. Wielu miało na sobie mundury Toranagi.

–Roninowie nie mają honoru. Ani krzty.

–Niektórzy roninowie mają – wtrącił się Jozen, zraniony tą znie wagą. Wciąż ciążył mu wstyd, że kiedyś był roninem. – Część była ubrana nawet w nasze szare. Nikt nie uciekł. Wszyscy zginęli.

–A Buntaro-san?

–Nie. On... – Jozen urwał. Wymknęło mu się to „nie”, ale skoro już się wygadał, przestało mu na tym zależeć. – Nie. Nie mamy pewności... nikt nie przyniósł jego głowy. Nie mieliście, o nim żadnych wieści?

–Nie – odparł Naga.

–Może go schwytano. Może poszatковано na kawałki i je rozrzuciono. Kiedy dotrą do was jakieś wieści, mój pan chciałby je usłyszeć. W tej chwili, w Osace sprawy mają się bardzo dobrze. Przygotowania do narady posuwają się naprzód. Dla uczczenia początku nowej epoki przygotowano liczne rozrywki, oczywiście także na cześć wszystkich daimyō.

–A co z panem Todą Hiro-matsu? – spytał grzecznie Naga.

–Stary Żelazna Pięść jest silny i obcesowy jak zwykle.

–Nadal tam przebywa?

–Nie. Wyjechał ze wszystkimi samurajami twojego ojca na kilka dni przede mną.

–A co z domownikami mego ojca?

–Słyszałem, że panie Kiritsubo i Sazuko poprosiły o pozostanie w gościnie mojego pana. Lekarz zalecił pani Sazuko miesięczny odpoczynek, rozumiesz, panie, ze względu na jej zdrowie. Uznał, że podróż nie będzie korzystna dla dziecka, którego się spodziewa – odparł Jozen i spytał Yabu: – W wieczór twojego wyjazdu z Osaki przewróciła się, prawda?

–Tak.

–Mam nadzieję, że to nic poważnego – rzekł bardzo zatroskany Naga.

–Nie, Naga-san, nic poważnego – zapewnił Jozen i ponownie zwrócił się do Yabu. – Powiadomiłeś pana Toranagę o moim przyjeździe?

–Oczywiście.

–To dobrze.

–Przywiezione przez ciebie wieści na pewno bardzo go zainteresują.

–Tak. Widziałem krążącego gołębia pocztowego, który odleciał na północ.

–Korzystam już z gołębi – rzekł Yabu, zatajając, że zauważono też gołębia Jozena, którego w pobliżu gór przechwyciły jego sokoły, oraz że przesłana wiadomość została rozszyfrowana. Brzmiała ona: „W Anjiro. Wszystkie doniesienia prawdziwe. Są tu Yabu, Naga, Omi i barbarzyńca”.

–Jeżeli pozwolisz, to wyjadę jutro, panie, po „ataku”. Dasz mi świeże konie? Nie mogę dopuścić, żeby pan Toranaga długo na mnie czekał. Zobaczę go z wielką ochotą. Podobnie jak mój pan. W Osace. Liczę, że będziesz mu towarzyszył, panie Naga – powiedział Jozen.

–Jeżeli dostanę rozkaz, to się tam stawię.

Naga miał spuszczonego wzrok, ale w środku gotowała się w nim tłumiona wściekłość.

Jozen wyszedł i wraz ze strażnikami wspiął się na wzgórze do swojego obozu. Zmienił strażę, polecił swoim samurajom iść spać, a potem wszedł do małego szałasu z gałęzi, zbudowanego na wypadek deszczu. Pod moskitierą przy świecy przepisał poprzednio wysłaną wiadomość na cienkim papierze ryżowym i dopisał: „Pięćset muszkietów to śmiertelna groźba. Planowany zmasowany atak bronią palną z zaskoczenia, pełny raport wiezie już Masumoto”. Postawił datę i zgasił świecę. W ciemnościach wyslizgnął się spod moskitiery, wyjął z klatki gołębia i umieścił wiadomość w kapsułce na jego łapie. A potem chyłkiem przedostał się do jednego ze” swoich ludzi i wręczył mu ptaka.

–Zanieś go w krzaki – szepnął. – Ukryj go w jakimś miejscu, gdzie przesiedzi bezpiecznie do świtu. Jak najdalej stąd. Ale zachowaj ostrożność, bo tu wszędzie są oczy. Jeżeli cię odkryją, to powiedz, że cię wysłałem na patrol. Najpierw jednak ukryj gołębia.

Samuraj wymknął się z obozu cicho jak karaluch.

Zadowolony z siebie Jozen spojrzał w dół na wioskę. W warowni i na przeciwległym stoku, w domu, który, jak „wiedział, należał do Omiego, paliły się światła. Poniżej niego, w domu barbarzyńcy, również kilka.

Ten szczeniak Naga ma rację, pomyślał Jozen, odganiając komara. Ten barbarzyńca to straszna zaraza.

–Dobranoc, Fujiko-san.

–Dobranoc, Anjin-san.

Shoji zamknęło się za nią. Blackthorne zdjął kimono, opaskę na biodra, wdział lżejsze kimono nocne, wszedł pod moskitierę i położył się.

Zdmuchnął świecę. Otoczyły go głębokie ciemności. W domu panowała cisza. Małe okiennice były zamknięte, słyszał morskie fale. Chmury przesłoniły księżyc.

Od śmiechu i wina było mu wesoło i kręciło mu się w głowie. Sennie słuchał fal, mając wrażenie, że unosi się na nich. Czasem w wiosce na dole zaszczekał pies. Powinienem, wziąć sobie jakiegoś, pomyślał, bo przypomniał sobie swojego bulteriera. Ciekawe czy jeszcze żyje? Wabił się Grog, ale mój syn Tudor nazywał go zawsze „Og-og”.

Ach, Tudorku. Tyle czasu. Tak chciałbym zobaczyć was wszystkich, a przynajmniej napisać list i wysłać do kraju. Pomyślmy. Od czego by tu zacząć?

Kochani moi. To mój pierwszy list, który mogłem wysłać do kraju od wylądowania w Japonii. U mnie wszystko dobrze, odkąd nauczyłem się żyć podług tutejszych zwyczajów. Niedługo odzyskam statek. Od czego zacząć opowieść? W tej chwili żyję w tym dziwnym kraju niczym feudalny pan. Mam dom, konia, ośmioro służby, gospodynię, osobistego fryzjera i własnego tłumacza. Chodzę gładko ogolony, a golą mnie codziennie - tutejsze stalowe brzytwy są z pewnością najlepsze na świecie. Zarabiam bardzo dużo - tyle, ile trzeba na wyżywienie przez rok dwustu pięćdziesięciu japońskich rodzin. W Anglii oznaczałoby to blisko tysiąc złotych gwinei! Dziesięć razy więcej niż moje zarobki w spółce holenderskiej...

Ktoś zaczął odsuwać shoji. Blackthorne wymacał pod futonem pistolet i przygotował się, odsuwając w tył-. I wówczas usłyszał prawie nieuchwytny szelest jedwabiu i poczuł woń perfum.

–Anjin-san? – dobiegł go cichutki, wiele obiecujący szept.

–Hai? – odparł cicho, świdrując oczami ciemności i niewiele widząc.

Kroki przybliżyły się. Usłyszał, jak jego gość klęka, odsuwa siatkę przeciw moskitom, wchodzi pod nią i zakrywa ją z powrotem. Japonka wzięła jego rękę i podniosła do swojej piersi, a potem do ust.

–Mariko-san?

W ciemnościach natychmiast dotknęła palcami jego ust nakazując, by milczał. Skinął głową, rozumiejąc straszliwe ryzyko, na jakie się narażają. Ujął przegub jej drobnej ręki i musnął go wargami. W atramentowych ciemnościach odszukał dłonią jej twarz i zaczął ją gładzić. Ucałowała jego palce jeden po drugim. Jej rozpuszczone włosy sięgały do pasa. Wędrował rękami po jej ciele. Czuł rozkoszny dotyk jedwabiu, a pod nim tylko skórę. –

Była przemiła. Językiem dotknął jej zębów, powiódł nim po brzegach jej uszu, zapoznając się z nią. Rozwiązała mu nocne kimono i z omdlewającym westchnieniem pozbyła się swojego. Przysunęła się bliżej, wtuliła w niego i nasunęła im na głowy przykrycie. A potem, nie żałując warg i rąk, zaczęła się z nim kochać. Z czułością, pomysłowością i wprawą, o jakich dotąd nie miał pojęcia.

Blackthorne obudził się o świcie. Był sam. Z początku wydawało mu się, że to wszystko mu się przyśniło, ale w powietrzu wciąż unosił się zapach jej perfum, po czym poznał, że to nie był sen.

Rozległo się dyskretne pukanie.

–Hai?

–Ohayo, Anjin-san, gomen nasai.

Fujiko, przed którą służąca otworzyła shoji, wniosła na tacy cha, miskę z kleikiem ryżowym i słodkie ryżowe ciasteczka.

–Ohayo, Fujiko-san, dōmo – podziękował jej.

Zawsze osobiście przynosiła pierwszy posiłek, odsuwała siatkę i czekała, kiedy jadł, służąca zaś przygotowywała dla niego świeże kimono, tabi i przepaskę na biodra.

Popijając cha zastanawiał się, czy Fujiko wie o tej nocy. Z jej miny nie mógł wyczytać niczego.

–Ikaga desu ka? – zagadnął, pytając, jak się czuje.

–Okagasama do genki desu, Anjin-san. Anata wa? (Bardzo dobrze, dziękuję. A ty?)

Z ukrytej komódki, wkomponowanej zręcznie w ten pokój z drewnianych kratownic i papieru, służąca wyjęła dla niego świeży przyodziewek i zostawiła ich samych.

–Anata wa yoku nemutta ka? (Czy dobrze spałeś?) – spytał.

–Hai, Anjin-san, arigato goziemashita! – Uśmiechnęła się, przytknęła rękę do czoła tak, jakby bolała ją głowa, i pokazała, że upiła się i spała jak kamień. – Anata wa?

–Watashi wa yoku nemuru (Spałem bardzo dobrze) – odparł.

–Watashi wa yoku nemutta – poprawiła go.

–Dōmo. Watashi wa yoku nemutta.

–Yoi! Taihenyoi! (Dobrze. Doskonale.)

–Fujiko-san? – zawołała z korytarza Mariko.

–Hai, Mariko-san?

Fujiko podeszła do shoji i je uchylła. Nie zobaczył Mariko. Nie zrozumiał też, o czym rozmawiają.

Mam nadzieję, że nikt nie wie o niczym, pomyślał. Modłę się, żeby pozostało to naszą tajemnicą, tylko nas dwojga. Może lepiej byłoby, gdyby to był zwykły sen.

Zaczął się ubierać. Fujiko wróciła, uklękła i zajęła się zawiązywaniem jego tabi.

–Mariko-san? Nan ja? – spytał.

–Nane mo, Anjin-san – odparła, twierdząc, że to nic ważnego. Przeszła do tokonama, niszy z wiszącymi ornamentami i kompozycją kwiatową, gdzie zawsze odkładano jego miecze. Zatknał je za pas. Nosił je, nie czując się już dłużej śmiesznie, ale chciałby to robić śmieiej.

Wyszedł na werandę. Włożył sandały i skinął głową służącym, którzy zgodnie ze zwyczajem, stali w szeregu przed nim, żeby mu się pokłonić.

Dzień był szary. Niebo zaciągnięte, a od morza wiał ciepły, wilgotny wiatr. Osadzone w żwirowanej ścieżce kamienie służące do chodzenia były mokre od deszczu, który spadł w nocy.

Za bramą czekało dziesięciu konnych samurajów z jego świty i Mariko.

Siedziała już w siodle ubrana w jasnożółty kaftan, jasnozielone jedwabne spodnie, przytrzymywany żółtymi wstążkami kapelusz z szerokim rondem i welonem oraz w rękawiczki. W pochwie przy siodle tkwiła przygotowana parasolka.

–Ohayo – przywitał się oficjalnie. – Ohayo, Mariko-san.

–Ohayo, Anjin-san. Ikaga desu ka?

–Okagesama de genki desu. Anata wa?

–Yogi, arigato goziemashita – odparła z uśmiechem.

Niczym nie dała po sobie poznać, że coś się pomiędzy nimi zmieniło.

Niczego jednak nie oczekiwał, a tym bardziej publicznie, zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa ich sytuacji. Owionął go zapach jej perfum i poczuł nagłą ochotę, żeby ją pocałować, przy wszystkich.

–Ikimasho! – oznajmił, dosiadł konia i dał znak samurajom, żeby pojechali przodem.

Ruszył niespiesznie, a Mariko zrównała się z nim, jadąc obok. Kiedy zostali we dwoje, odprężył się.

–Mariko.

–Hai?

–Jesteś piękna i cię miłuję – powiedział po łacinie.

–Dziękuję ci, panie, ale z powodu tej ilości wina zeszłego wieczoru w mej głowie wcale nie jest pięknie. Miłość zaś to, zaprawdę, słowo chrześcijańskie.

–Jesteś piękna i jesteś chrześcijanką, a wino wcale na ciebie nie działa.

–Dzięki ci za twe kłamstwo, Anjin-san, o tak, dzięki.

–Nie. To ja tobie powinienem złożyć dzięki.

–Tak? A dlaczego?

–Nigdy nie pytaj „dlaczego”, żadnych „dlaczego”. Dziękuję ci szczerze.

–Skoro wino i mięso czyni cię tak serdecznym, miłym i rycerskim, to muszę polecić twojej konkubinie, żeby poruszyła niebo i ziemię, abys je jadł codziennie.

–Tak. Rad bym mieć wciąż to samo, zawsze.

–Tryskasz dziś wyjątkowym szczęściem, panie. To dobrze, to bardzo dobrze. Ale dlaczego? Dlaczego zaiste?

–To dzięki tobie. Ty wiesz dlaczego.

–Nie wiem nic, Anjin-san.

–Nic? – spytał, drocząc się z nią.

–Nic.

Stropił się. Przecież byli zupełnie sami i bezpieczni.

–Czemuż to „nic” gasi twój uśmiech, panie? – spytała.

–Ależ ze mnie głupiec. Skończony głupiec. Zapomniałem, że najmądrzej jest zachować ostrożność. Ale zostaliśmy sami, a ja chciałem ci to powiedzieć. Prawdę mówiąc, powiedzieć więcej.

–Mówisz zagadkami. Nie rozumiem cię. Znów się spieszył.

–Nie chcesz o tym rozmawiać, pani? Wcale?

–O czym, Anjin-san?

–A co w takim razie zaszło tej nocy?

–Ja zaszłam blisko twoich drzwi, kiedy była u ciebie, panie, moja służąca Koi.

–Co takiego?

–My, twoja konkubina i ja, pomyślałyśmy, że bidzie to dla ciebie miły dar. Zadowolila cię, panie, prawda?

Blackthorne próbował dojsć do siebie. Służąca Mariko była jej wzrostu, ale młodsza i ani trochę tak gładka i urodziwa. Owszem, było ciemno choć oko wykol, a jemu szumiało w głowie od wina, tak, ale nie, to na pewno nie była służąca.

–To niemożliwe – powiedział po portugalsku.

–Co jest niemożliwe, senhor? – spytała w tym samym języku. Powrócił znowu do łaciny, ponieważ samuraje byli niedaleko i wiatr wiał w ich kierunku.

–Nie żartuj ze mną, proszę. Nikt nas przecież nie słyszy. Wiem, jak wyglądasz i jak pachniesz.

–Myślałeś, że to ja? Och, ale to nie byłam ja, Anjin-san. Byłabym zaszczycona, ale w żadnym razie nie mogłabym... jakkolwiek bym tego pragnęła... Och, nie, Anjin-san, to nie byłam ja, lecz Koi, moją służącą. Byłabym zaszczycona, ale należę do innego mężczyzny, nawet jeżeli on nie żyje.

–Owszem, ale to nie była twoja służąca! – Pohamował gniew. – Jeżeli jednak sobie życzysz, niech tak będzie.

–To była moja służąca – powtórzyła pojednawczo Mariko. – Skropiłyśmy ją moimi perfumami i pouczyłyśmy, żeby nie odzywała się do ciebie, a tylko dotykała. Nawet do głowy nam nie przyszło, że możesz ją wziąć za mnie! Zrobiłyśmy to nie po to, by cię zwieść, lecz po to, żebyś sobie ulżył, bo wiemy, że rozmowy o poduszkowaniu wciąż cię peszą. – Przyglądała mu się szeroko rozwartymi, niewinnymi oczami. – Sprawila ci przyjemność, Anjin-san? Bo ty jej sprawiłeś.

–Żarty na temat bardzo ważnych spraw są niekiedy pozbawione humoru.

–Bardzo ważne sprawy są zawsze traktowane z wielką powagą. Ale służąca w łóżku mężczyzny to błahostka.

–Dla mnie nie jesteś błahostką.

–Dziękuję ci. I nawzajem. Ale służąca w łóżku mężczyzny to błahostka i prywatna sprawa. Ona obdarza go sobą, a bywa, że on ją też. Nic więcej.

–Nigdy?

–Czasem. Ale w takim prywatnym poduszkiowaniu nie ma nic z twojej przeogromnej powagi.

–Nigdy?

–Tylko wówczas, kiedy mężczyzna i kobieta łączą się z sobą bezprawnie. W tym kraju!

Ochłonął, nareszcie pojmując, dlaczego wszystkiemu zaprzeczyła.

–Przepraszam – sumitował się. – Tak, masz rację, a ja wcale. Nie powinienem był o tym mówić. Przepraszam.

–Po co przepraszasz? Za co? Przypomnij sobie, Anjin-san, czy ta dziewczyna nosiła krzyż?

–Nie.

–A ja się z nim nie rozstaję. Nigdy.

–Krzyż można zdjąć – odparł odruchowo po portugalsku. – To żaden dowód. Można go pożyczyć, tak samo jak perfumy.

–Powiedz mi uczciwie: widziałeś tę dziewczynę? Naprawdę ją widziałeś?

–Oczywiście. Ale proszę cię, zapomnijmy, że w ogóle...

–Noc była bardzo ciemna, księżyc skryty za chmurami. Powiedz mi prawdę, Anjin-san. Zastanów się! Rzeczywiście widziałeś tę dziewczynę?

Oczywiście, że ją widziałem! – pomyślał z oburzeniem.

Do diabła, szczerze się zastanów. Przecież nie widziałeś jej. Szumiało ci w głowie. To mogła być służąca, wiedziałeś jednak, że to Mariko, dlatego że pożądałeś jej, tylko ją miałeś w głowie, bo wierzysz, że ona pożąda ciebie równie mocno. Ty głupcze. Ty przeklęty głupcze.

–Właściwie... to nie – przyznał. – Istotnie powinienem cię przeprosić. Jak mam to zrobić?

–Nie musisz przeproszać, Anjin-san – odparła spokojnie. – Mówiłam ci już wiele razy, że mężczyzna nigdy nie przeprosza, nawet jeżeli się pomyli. Tyś się nie pomylił. – Spojrzała na niego kpiąco. – Moja służąca nie wymaga przeprosin.

–Dziękuję. – Roześmiał się. – Dzięki tobie czuję się mniej głupio.

–Kiedy się śmiejesz, ubywa ci lat. I ten bardzo poważny Anjin-san znowu zamienia się w chłopca.

–Mój ojciec posiedział mi, że urodziłem się od razu stary.

–Naprawdę?

–Tak uważał.

–Jaki był?

–Był mężczyzną jak się patrzy. Właścicielem statku, kapitanem. Zginął z rąk Hiszpanów w Antwerpii, kiedy wyrznęli to miasto. Spalili jego statek. Miałem wtedy sześć lat, ale pozostał mi w pamięci jako wysoki, potężny, dobroduszny mężczyzna o złocistych włosach. Mój starszy brat Artur miał wówczas osiem lat... Żle się nam wtedy działo, Mariko-san.

–Dlaczego? Opowiedz mi o tym. Proszę.

–To bardzo zwyczajna historia. Wszystkie nasze pieniądze zostały włożone w ten statek, a statek przepadł... no, a niedługo potem, cóż, zmarła moja siostra. Właściwie to umarła z głodu. W roku siedemdziesiątym pierwszym wybuchł głód, a na dokładkę zaraza.

–U nas też się zdarzają zarazy. Ospa. Miałeś liczne rodzeństwo?

–Było nas troje – odparł. – Willia, moja siostra, umarła mając dziewięć lat. Po niej przyszła kolej na Artura... chciał zostać artystą, rzeźbiarzem, ale musiał pójść do terminu u kamieniarza; żeby zarabiać na nasze utrzymanie. Zginął podczas ataku Armady. Biedny głupiec, jako niewykształony dwudziestopięciolatek zamustrował się na statek. Co za niepotrzebna strata! Ja jestem ostatni z Blackthorne'ów. Jego żona i córka mieszkają teraz z moją rodziną. Żyje też nadal moja matka, a także babcia Jacoba... ma siedemdziesiąt pięć lat i chociaż jest Irlandką, jest twarda jak angielskie dębowe polano. W każdym razie żyły jeszcze, kiedy wypływałem ponad dwa lata temu.

Znów go dopadła tęsknota. Pomyślę o nich, kiedy wyruszę do kraju, ale nie' wcześniej, przyrzekł sobie.

–Jutro będzie burza – stwierdził, przyglądając się morzu. – Silna. A za trzy dni znowu powróci pogoda.

–To pora szkwałów. Jest przeważnie pochmurno i pada. A po deszczach robi się bardzo parno. I, wtedy zaczynają się tai-funy.

Żeby tak znowu znaleźć się na morzu, pomyślał. Czy kiedyś po nim pływałem? Czy mój statek istniał? Co jest prawdą? Mariko czy ta służąca?;

–Rzadko się śmiejesz, prawda, Anjin-san?

–Za długo żeglowałem. Żeglarze są zawsze poważni. Nauczyliśmy się przyglądać morzu. Zawsze przyglądamy się mu i wyczekujemy katastrofy. Wystarczy, że na chwilę spuścisz morze z oka, a pochwyci twój statek i rozbije w drzazgi.

–Boję się morza – wyznała.

–Ja również. Pewien stary rybak powiedział mi kiedyś: „Ten, kto nie boi się morza, wkrótce utonie, bo wypłynie w dniu, w którym nie powinien”. Ale my boimy się morza, dlatego toniemy tylko od czasu do czasu. – Spojrzał na nią. – Mariko-san...

–Tak?

–Kilka minut temu przekonałaś mnie, że... powiedzmy, że zostałem przekonany. A w tej chwili nie jestem. Jak wygląda prawda? Honto. Muszę wiedzieć.

–Uszy są od słuchania. Naturalnie, że to była służąca.

–A czy mogę ją mieć, kiedy tylko zapragnę?

–Oczywiście. Mądry jednak by tego nie zrobił.

–Dlatego że mógłby się rozczarować? Za drugim razem?

–Być może.

–Trudno mi się pogodzić z posięściem służącej i z jej stratą, trudno milczeć.

–Poduszkowanie to przyjemność. Cieleśna. Nic nie trzeba mówić.

–No, to jak przekażę służącej, że jest piękna? Że ją kocham? Że przepelnia mnie ekstaza?

–„Kochać” służącą w taki sposób się nie godzi. W tym kraju. Taka namiętność przeznaczona jest tylko dla żony albo konkubiny, Anjin-san. – Nagle zmrużyła oczy. – Tak można kochać jedynie kogoś takiego jak Kiku-san, kurtyzanę, która jest piękna i

zasługuje na to.

–Gdzie mogę znaleźć tę dziewczynę?

–W wiosce. Będę zaszczyczona, mogąc wam pośredniczyć.

–Na miły Bóg, ty to mówisz serio?

–Oczywiście. Mężczyzna potrzebuje namiętności. A ta pani jest. warta uczucia, jeśli tylko cię na nią stać.

–To znaczy?

–Jest bardzo droga.

–Miłości nie da się kupić. Taki jej rodzaj nie jest nic wart. „Miłość” nie ma ceny.

Uśmiechnęła się.

–Poduszkowanie zawsze ma swoją cenę. Zawsze. Niekoniecznie wyrażoną w pieniądzu, Anjin-san. Ale mężczyzna zawsze płaci za poduszkowanie, tak czy inaczej. Prawdziwa miłość, którą nazywamy obowiązkiem, dotyczy związku dusz i nie potrzebuje takiego wyrazu, nie potrzebuje fizycznej manifestacji, być może z wyjątkiem podarunku z własnej śmierci.

–Mylisz się. Szkoda, że nie mogę ci pokazać, jak naprawdę wygląda świat.

–Wiem, jaki on jest i jaki zawsze będzie. Chcesz mieć znowu tę nic niewartą służącą?

–Tak. Wiesz, że chcę...

Mariko roześmiała się wesoło.

–A więc ci ją przyślemy. O zachodzie słońca. Przyprowadzimy ci ją, Fujiko i ja!

–Do diaska... ja myślę!

Zaczął się śmiać wraz z nią.

–Och, Anjin-san, jak to dobrze widzieć, że się śmiejesz. Odkąd wróciłeś do Anjiro, dokonała się w tobie wielka zmiana. Bardzo wielka.

–Nie, nie taka duża. Ale dzisiejszej nocy miałem sen. Sen o ideale.

–Idealny jest Pan Bóg. Zdarza się też czasem, że i zachód słońca, wzejście księżycyca

albo pierwszy wiosenny krokus.

–Zupełnie cię nie rozumiem.

Odsunęła welon z kapelusza i spojrzała mu prosto w oczy.

–Kiedyś inny mężczyzna powiedział mi „Zupełnie cię nie rozumiem”, na co mój mąż rzekł: „Wybacz panie, ale nie rozumie jej żaden mężczyzna. Nie rozumie jej własny ojciec ani bogowie, ani jej barbarzyński Bóg, ani nawet jej matka”.

–Czy to był Toranaga? Pan Toranaga?

–O nie, Anjin-san. To był taikó. Pan Toranaga mnie rozumie. On rozumie wszystko.

–Nawet mnie?

–Zwłaszcza ciebie.

–Jesteś tego pewna, tak?

–Tak, jak najbardziej tak.

–Czy wygra tę wojnę?

–Tak.

–I jestem jego ulubionym wasalem?

–Tak.

–A czy przyjmie moje zamówienie na flotę?

–Tak.

–Kiedy odzyskam swój statek?

–Nie odzyskasz go.

–Dlaczego?

Jej powaga pierzchła.

–Ponieważ w Anjiro będziesz miał swoją „służącą”, z którą będziesz tyle poduszkowa!, że nie starczy ci sił na odejście, nawet na czworakach, kiedy ona poprosi cię, żebyś wsiadł na swój statek, a pan Toranaga każe ci wsiąść na niego i odpłynąć od nas!

–No proszę! W jednej chwili śmiertelnie poważna, a w następnej nie!

–To tylko dlatego, że chcę ci odpowiedzieć, Anjin-san, i postawić pewne sprawy na właściwym miejscu. Och, ale przed opuszczeniem nas powinieneś odwiedzić panią Kiku. Warta jest wielkiej namiętności. Jest taka piękna i taka utalentowana. Wobec niej musiałbyś się postarać nadzwyczajnie!

–Kusi mnie, żeby przyjąć to wyzwanie.

–Ja nikogo na nic nie wyzywam. Lecz jeżeli gotów jesteś być samurajem, a nie... cudzoziemcem, jeżeli gotów jesteś traktować poduszki tak, jak na to zasługuje, to wówczas będę zaszczycona, mogąc posłużyć za pośredniczkę.

–A cóż to znaczy?

–Kiedy będziesz w dobrym humorze, kiedy poczujesz ochotę na bardzo wyjątkową rozrywkę, to daj znać swojej konkubinie, by mnie poprosiła.

–A dlaczego Fujiko-san?

–Ponieważ obowiązkiem konkubiny jest dbać o twoje przyjemności. Mamy we zwyczaju ułatwiać życie naszym panom. Podziwiamy prostotę, dlatego uważamy poduszki za to, czym w rzeczywistości jest: za na pewno ważny element życia, ale pomiędzy kobietą a mężczyzną są o wiele ważniejsze sprawy. Na przykład, pokora, szacunek, obowiązek. A nawet ta twoja „miłość”. Fujiko „kocha” cię.

–Nie, nie kocha!

–Odda za ciebie życie. Co można dać więcej?

Po dłuższej chwili przeniósł wzrok i spojrzał na morze. Brzeg zalewały spienione fale, bo wiatr się wzmógł. Blackthorne odwrócił się znów do Mariko.

–Więc nic sobie nie powiemy? – spytał. – Między nami.

–Nic. Tak jest mądrze.

–A jeżeli się nie zgodzę?

–Musisz. Jesteś tutaj. To twój dom.

Pięciuset atakujących samurajów galopowało hurmem skrajem wzgórza, zjeżdżając na usiane kamieniami dno doliny, gdzie w imponującym rozciągniętym szyku czekało na nich dwa tysiące „obrońców”. Wszyscy jeźdźcy mieli na plecach muszkiety, a przy pasach sakwy na kule, krzemienie i rogi z prochem. Podobnie jak większość samurajów ubrani byli w najrozmaitsze kimona i łachy, ale broń mieli najlepszą, na

jaką było ich stać. Jedynie Toranaga i małpujący go we wszystkim Ishido obstawali, żeby ich wojsko nosiło schludne jednakowe mundury. Reszta daimyō uważała taką zewnętrzną ekstrawagancję w odzieniu za niemądre trwonienie pieniędzy, zbędną innowację. Nawet Blackthorne podzielał ich zdanie. W Europie armie nie były umundurowane – jakież król bowiem mógł sobie na to pozwolić, nie licząc mundurów dla swojej osobistej gwardii?

Stał na wzniesieniu z Yabu, jego adiutantami, Jozenem, jego wszystkimi podkomendnymi i Mariko; Była to pierwsza próba ataku wszystkimi siłami. Czekał niespokojnie. Yabu był niezwykle napięty, a Omi i Naga drażliwi tak bardzo, że aż napastliwi. Zwłaszcza Naga.

–Co z nimi wszystkimi jest? – spytał Blackthorne Mariko.

–Może chcą dobrze wypaść przed swoim panem i jego gościem.

–Czy to także daimyō?

–Nie, ale ważna osobistość, to jeden z generałów pana Ishido. Dobrze byłoby, gdyby wszystko się dziś udało.

–Wolałbym zawczasu wiedzieć, że dziś ma się odbyć próba.

–A co by to pomogło? Przecież zrobiłeś wszystko, co w twojej mocy.

Tak, pomyślał Blackthorne, patrząc na pięciuset konnych. Ale jeszcze bardzo daleko im do pełnej gotowości. Yabu z pewnością też to wie, wiedzą wszyscy. Więc jeżeli dojdzie do blamażu, to cóż, karma, rzekł sobie z większym przekonaniem i myśl ta go pocieszyła.

Przez dolinę przetoczył się grzmot kopyt.

–A gdzie jest dowódca atakujących? Gdzie jest Omi-san? – spytał Jozen.

–Cierpliwości, wśród żołnierzy – odparł Yabu.

–Ale gdzie jego chorągiew? I dlaczego nie nosi bitewnej zbroi i piór? Gdzie chorągiew dowódcy? Przypominają bandę nikczemnych, brudnych rozbójników.

–Cierpliwości! Oficerowie mają rozkaz nie wyróżniać się. Już ci to mówiłem. A nie zapominaj, proszę, że my udajemy zażarty bój, że jest to fragment większej bitwy, z odwodami i bro...

–A gdzie są ich miecze?! – wybuchnął Jozen. – Oni nie mają mieczów! Samuraje bez mieczów? Zmasakrują ich!

–Cierpliwości!

Atakujący właśnie zsiadali z koni. Z szeregów obrońców wyszli pierwsi wojownicy, żeby zademonstrować im swoje męstwo. Ruszyła na nich równa liczba przeciwników. A potem nagle niekształtna masa atakujących utworzyła szybko pięć zdyscyplinowanych oddziałów, składających się z czterech rzędów po dwudziestu pięciu ludzi, trzech w przodzie i dwóch w rezerwie, Czterdzieści kroków za nimi. Jednocześnie zaatakowali wrogów. Zamarli na komendę w odległości strzału i pierwsze ich rzędy wystrzeliły salwę. Rozległy się krzyki konających. Jozen i jego ludzie odruchowo skulili się, a potem przerażonym wzrokiem patrzeli, jak przednie szeregi przyklękają, zaczynają ładować broń, natomiast drugie szeregi strzelają ponad ich głowami, a następnie, na tę samą modłę, robią to trzecie i czwarte. Po każdej salwie padali nowi obrońcy, a dolinę wypełniły krzyki, wrzaski i chaos.

–Zabijacie własnych ludzi?! – zawołał Jozen przekrzykując zgiełk.

–To nie jest prawdziwa amunicja, tylko ślepa. Oni udają, ale wyobraź sobie prawdziwy atak prawdziwymi kulami! Patrz!

Obrońcy doszli już „do siebie” po pierwszym wstrząsie. Przegrupowali się i rzucili do frontального kontrataku. Ale do tego czasu pierwsze rzędy zdążyły już na nowo załadować broń i w przyklęku na komendę wystrzeliły następną salwę, potem wystrzeliły ją stojące drugie rzędy, po nich jak poprzednio rzędy trzecie, czwarte i chociaż wielu muszkietników guzdrało się, a ich szeregi postrzępiły, to łatwo można było sobie wyobrazić, jakie straszliwe spustoszenie spowodują wyszkoleni strzelcy. Kontratak nie powiódł się, a potem poszedł w rozsypkę, obrońcy zawrócili, odgrywając chaos i cofając się po wzgórzu, by zatrzymać się tuż poniżej obserwatorów. Ziemię gęsto zaścielał „trup”.

Jozen i jego ludzie byli zaszokowani.

–Te muszkiety złamią każdy szyk! – zawołał.

–Zaczekaj. Bitwa jeszcze nie skończona.

Obrońcy ponownie przegrupowali się, a ich dowódcy, zagrzewając do zwycięstwa, posłali do boju odwody z rozkazem przypuszczenia ostatecznego generalnego szturm. Samuraje zbiegli ze wzgórza, rzucając się na wroga ze straszliwym bitewnym wrzaskiem.

–Teraz wdepczą tamtych w ziemię – zawyrokował Jozen, tak jak inni porwany realizmem tej pozornej bitwy.

I miał rację. Oddziały muszkietników nie utrzymały pozycji. Załamały się i pierzchły przed bitewnym rykiem prawdziwych samurajów z mieczami i włóczniami, a kiedy ich

pułki rzuciły się do rzezi, Jozen wraz z towarzyszami przyłączyli się do wrzawy swoimi obelgami. Muszkietnicy uciekali niczym Czosnokojady, przebiegłszy sto kroków, dwieście, trzysta... i wtedy nagle na komendę ich oddziały przegrupowały się, tym razem ustawiając w szyku strzały. Znow rozbrzmiały ogłuszające huki salw. Atak załamał się. Zamarł. Ale muszkiety strzelały dalej. A potem i one zamilkły. Manewry dobiegły końca. Na wzniesieniu jednak wszyscy mieli świadomość, że w warunkach podobnych do tych te dwa tysiące obrońców zostałyby wybite.

W ciszy, która zapanowała, obrońcy i napastnicy zaczęli się rozdzielać, „trupy” wstały, zebrano broń. Słysząc było śmiechy i jęki. Wielu kulało, a kilku odniosło poważne rany.

–Winszuję ci, Yabu-sama – powiedział całkiem szczerze Jozen. – Teraz zrozumiałem, co miałeś na myśli.

–Strzelali nierówno – rzekł Yabu, radując się w duchu. – Wyszkolenie ich zajmie miesiące.

Jozen pokręcił głową.

–Nie uśmiechałoby mi się ich atakować, gdyby mieli ostrą amunicję. Żadna armia nie wytrzyma takiego uderzenia, żaden szyk bojowy. Szeregi musiałyby się załamać. A w powstałe wyłomy wpadłyby zwykłe oddziały i kawaleria i zwinęłyby skrzydła przeciwnika niczym stary pergamin. – Podziękował wszystkim kami, że miał na tyle rozumu, aby obejrzeć ten atak. – Strach było patrzeć. Przez chwilę myślałem, że oglądam prawdziwą bitwę.

–Mieli rozkaz odegrać ją realistycznie. A teraz, jeżeli chcesz, możesz dokonać inspekcji moich muszkietników.

–Dziękuję. Będę zaszczycony.

Obrońcy ciągnęli do swoich obozów rozłożonych na przeciwległym stoku wzgórza. Pięciuset muszkietników czekało w dole, nie opodal drogi przechodzącej przez wzniesienie i schodzącej do wioski. Dzielili się na kompanie, dowodzeni przez Omiego i Nagę, którzy znowu nosili miecze.

–Yabu-sama?

–Tak, Anjin-san?

–Dobrze, co? – - Tak, dobrze-.

–Dziękuję, Yabu-sama. Czeszę się.

–Cieszę się – poprawiła go odruchowo Mariko.

–Ach, bardzo przepraszam, cieszę się. Jozen odciągnął Yabu na stronę.

–Czy to wszystko wymyślił Anjin-san? – spytał.

–Nie – skłamał Yabu. – Ale tak walczą barbarzyńcy. On tylko uczy żołnierzy ładowania i strzelania.

–Dlaczego nie posłuchać rady Nagi? Wiecie już tyle, co ten barbarzyńca. Po co ryzykować, że jego wiedza się rozprzestrzeni? Ten barbarzyńca to zaraza. Jest bardzo niebezpieczny, Yabu-sama. Naga-san ma rację. To prawda, w ten sposób mogą walczyć chłopci! Z łatwością. Pozbądź się natychmiast tego cudzoziemca.

–Jeżeli pan Ishido pragnie jego głowy, wystarczy, że o nią poprosi.

–Proszę o nią ja. W tej chwili. – W głosie Jozena zabrzmiało okrucieństwo. – Mówię w jego imieniu.

.– Zastanowię się nad tym, Jozen-san.

–A ponadto proszę też w jego imieniu, byś natychmiast odebrał tym oddziałom muszkiety.

Yabu zmarszczył czoło i skupił uwagę na kompaniach muszkietników. Wchodzili na wzgórze. Ich równe, karne szeregi wyglądały jak zwykle nieco śmiesznie, ale tylko dlatego, że taki szyk był niezwykły. Pięćdziesiąt kroków od nich zatrzymali się. Omi i Naga podeszli we dwójkę i zasalutowali.

–Jak na pierwsze manewry, poszło dobrze – rzekł Yabu.

–Dziękujemy, wielmożny panie – odparł Omi. Lekko utykał, a jego zabrudzona, posiniaczona twarz nosiła ślady prochu.

–W prawdziwej bitwie twoje oddziały będą nosić miecze, Yabu-sama, ne? Samuraje muszą być uzbrojeni w miecze, bo przecież w końcu kiedyś skończy im się amunicja.

–Miecze znajdą zastosowanie w natarciu i odwrocie. Będą je nosić tak jak zwykle w celu zaskoczenia wroga, ale tuż przed pierwszym atakiem’ pozbędą się ich.

–Samurajom zawsze będą potrzebne miecze. W prawdziwej bitwie. Ale i tak cieszę się, że nie będziecie musieli w ten sposób atakować... – „Stosując tę podłą, zdradziecką taktykę walki” chciał dorzucić Jozen, lecz zamiast tego powiedział: – bo wówczas wszyscy musielibyśmy odłożyć nasze miecze.

–Być może tak zrobimy, Jozen-san, kiedy wyruszymy na wojnę. – Zrezygnowałbyś

ze swojego miecza Murasamy? A nawet z podarunku Toranagi?

–Żeby wygrać bitwę, tak. Ale nie w innym przypadku.

–W takim razie, być może, byłbyś zmuszony bardzo prędko biec, żeby ocalić skórę, gdyby zaciął ci się muszkiet albo zamoczył proch.

Jozen zaśmiał się z tego przytyku, Yabu nie.

–Omi-san! Pokaż mu! – polecił?

Omi natychmiast Wydał rozkaz. Jego samuraje wydobyli z wiszących im z tyłu na pasie, prawie niezauważalnych, pochew bagnety i nasadzili je na lufy muszkietów.

–Do ataku!

Samuraje w jednej chwili zaatakowali z bitewnym okrzykiem „Kasigi!”

Las nagich ostrzy zatrzymał się o krok od nich. Jozen i jego podwładni roześmieli się nerwowo na ten nieoczekiwane zaciekły szturm.

–Dobrze, doskonale – pochwalił Jozen. Sięgnął ręką i dotknął jednego z bagnetów. Był nadzwyczaj ostry. – Być może masz rację, Yabu-sama. Oby nigdy nie zostały wypróbowane w walce.

–Omi-san! – zawołał Yabu. – Ustaw ich w szyku. Jozen-san dokona przeglądu wojska. Potem wróćcie do ‘obozu. Mariko-san, Anjin-san, pójdziecie ze mną.

Zszedł ze wzniesienia, krocząc wśród szeregów, a za nim jego adiutanci, Blackthorne i Mariko.

–Ustawić się przy drodze. Zdjąć bagnety!

Połowa samurajów natychmiast wypełniła rozkaz i ruszyła w dół stoku. Ale Naga i jego dwustu pięćdziesięciu samurajów pozostali tam, gdzie stali, z groźnie postawionymi bagnetami.

Jozen zjeżył się.

–Co się dzieje? – spytał.

–Twoje zniewagi są nie do zniesienia – oświadczył Naga jadowitym tonem.

–Mówisz od rzeczy. Nie znieważylem ciebie ani nikogo! To twoje bagnety mnie znieważają. Yabu-sama!

Yabu odwrócił się... Znajdował się w tej chwili na drugim końcu oddziału Toranagi.

–Naga-san – zawołał chłodno. – Co to ma znaczyć?

–Nie mogę puścić płazem temu człowiekowi zniewag wobec mojego ojca i mnie.

–Jest chroniony. Nie wolno ci go tknąć! Chroni go immunitet wysłannika regentów!

–Wybacz, Yabu-sama, ale to sprawa, pomiędzy mną a panem Jozenem.

–Nie. Podlegasz moim rozkazom. Rozkazuję ci zabrać swoich ludzi do obozu.

Nikt się nie poruszył. Zaczęło padać.

–Przepraszam, Yabu-san, racz wybaczyć, ale to sprawa pomiędzy i mną a nim, dlatego cokolwiek się wydarzy, zwalnam cię od odpowiedzialności za czyny moje i mych ludzi.

Jeden ze stojących za plecami Nagi samurajów Jozena wydobył miecz i chciał mu zadać cios w nie osłonięte plecy. Ale salwa z dwudziestu muszkietów w jednej chwili roztrzaskała mu głowę. Dwudziestu muszkietników klęknęło i zaczęło ładować broń. Do strzału przygotował się drugi szereg.

–Kto wydał rozkaz użycia ostrej amunicji? – spytał Yabu.

–Ja. Ja, Yoshi Naga-no-Toranaga!

–Naga-san! Rozkazuję ci puścić wolno Nebarę Jozena i jego ludzi. Masz rozkaz odmaszerować na kwaterę i pozostać tam, dopóki nie zasięgnę rady pana Toranagi w sprawie twojego nieposłuszeństwa!

–Naturalnie, że zawiadomisz mojego ojca, ale karma jest karmą. Żałuję, panie Yabu, ale przedtem ten człowiek umrze. Umrzeć muszą oni wszyscy. Dziś!

–Jestem pod ochroną regentów! – wrzasnął Jozen. – Nic nie zyskasz zabijając mnie.

–Odzyskam mój honor, ne? – odparł Naga. – Odplacam ci za szyderstwa z mojego ojca i zniewagi wobec mnie. Niemniej tak czy owak musiałbyś umrzeć. Ne? Nie mogłem tego wypowiedzieć jaśniej niż zeszłego wieczora. Przed chwilą zaś widziałeś atak. Nie mogę ryzykować, że Ishido dowie się o tej całej – ręką wskazał na pole bitwy – potworności!

–On już wie! – wygadał się Jozen, błogosławiąc swoją wczorajszą przezorność. – On już o tym wie! O świcie przesłałem mu przez gołębia pocztowego wiadomość! Zabicie mnie nic wam nie da, Naga-san!

Naga dał znak jednemu ze swoich żołnierzy, staremu samurajowi, ten zaś wystąpił z szeregu i rzucił do stóp Jozena uduszonego ptaka. A potem na ziemię upadła odcięta głowa, głowa samuraja Masumoto, którego Jozen wysłał wczoraj z listem. Oczy w niej były nadal otwarte, a wargi ściągnięte w grymasie nienawiści. Głowa potoczyła się. Wzdłuż szeregów wojska stoczyła się w dół i znieruchomiła na jakimś kamieniu.

Jozen jęknął. Naga i jego samuraje zaśmiali się. Nawet Yabu się uśmiechnął. Na Nagę rzucił się kolejny samuraj Jozena. Dwadzieścia muszkietów rozpruło mu ciało, a stojący obok niego bez ruchu samuraj również padł na ziemię skręcając się z bólu, śmiertelnie ranny.

Śmiech zamilkł.

–Czy mam wydać swoim ludziom rozkaz do ataku, wielmożny panie? – spytał Omi, bo przechytryć Nagę było bardzo łatwo.

Yabu otarł twarz z deszczu.

–Nie, to by nic nie dało. Cokolwiek zrobię, to Jozen i jego ludzie i tak już przepadli. Taka jest jego karma, podobnie jak karma pana Nagi. Naga-san! – zawołał. – Po raz ostatni rozkazuję ci: Wypuść ich!

–Wybacz, panie, ale muszę ci odmówić.

–Dobrze. Kiedy skończycie zamelduj się u mnie.

–Tak jest. Ale powinienem mieć oficjalnego świadka, wielmożny panie. Dla pana Toranagi i dla pana Ishido.

–Omi-san, zostaniesz tutaj. Podpiszesz świadectwo śmierci i wyślesz urzędową wiadomość. Naga-san i ja złożymy na niej podpisy.

Naga wskazał na Blackthorne'a.

–Niech on również zostanie. Także jako świadek. Powinien być świadkiem. Bo to on odpowiada za ich śmierć.

–Anjin-san, pozwól tu na górę! Do pana Nagi. Rozumiesz?

–Tak, panie Yabu. Rozumiem, ale z łaski twojej chcę wiedzieć po co.

–Na świadka.

–Przepraszam, nie rozumiem.

–Mariko-san, wyjaśnij mu, co to „świadek”, że ma być świadkiem tego, co nastąpi, a

potem pójdziesz ze mną.

Skrywając swoje wielkie zadowolenie, Yabu odwrócił się i odszedł”.

–Yabu-sama! – wrzasnął Jozen.– Proszę! Yabuuuuu-samaaaa!

O godzinie Konia, jedenastej rano, w dziesięć dni po śmierci Jozena i jego ludzi cypel Anjiro okrążyły trzy galery – pełne żołnierzy. Na brzeg zszedł Toranaga, a towarzyszył mu Buntaro.

–Najpierw chcę obejrzeć atak z udziałem tej pierwszej pięćsetki, Yabu-san – powiedział Toranaga. – Zaraz.

–A czy nie można jutro? Mógłbym się do tego przygotować – odparł układnie Yabu, w środku wściekły na ten nagły przyjazd Toranagi i na swoich szpiegów, że go nie ostrzegli. Ledwie zdążył w pośpiechu na czas dotrzeć na brzeg z gwardią honorową. – Na pewno jesteś zmęczony...

–Dziękuję ci, nie jestem -.’rzekł Toranaga rozmyślnie szorstkim tonem. – Nie potrzebuję „obrońców”, odpowiedniej scenerii, krzyków czy zainscenizowanego umierania. Zapominasz, stary przyjacielu, że nagrałem się dość w sztukach no i wystawiłem ich tyle, że potrafię korzystać z własnej wyobraźni. Ja nie jestem chłopem i roninem! Zarządź natychmiastowy pokaz.

–Przepraszam, wielmożny panie – wtrącił się do ich rozmowy Buntaro. – Gdzie mają rozbić obóz nasi samuraje?

–Na płaskowyżu. Urządźcie tam stały obóz. Dwustu strażników pozostanie ze mną w Warowni. Po załatwieniu wszystkiego dołączysz do mnie. Chcę, żebyś zobaczył – te manewry.

Buntaro spiesznie odszedł.

–Stały obóz? A więc zostaniesz tutaj, panie? – spytał Yabu.

–Nie, tylko moi samuraje. Jeżeli ten atak jest tak skuteczny, jak słyszałem, to stworzymy dziewięć batalionów szturmowych, po pięciuset samurajów każdy...

–Słucham?

–Tak. Przywiozłem ci jeszcze tysiąc doborowych wojowników. Drugi tysiąc dostarczysz ty.

–Ale przecież nie ma tylu muszkietów i szko...

–Przepraszam, ale mylisz się, przywiozłem z sobą tysiąc muszkietów i pod dostatkiem prochu oraz kul. Reszta przyplynie tu w ciągu tygodnia wraz z kolejnym tysiącem żołnierzy.

–Będziemy mieli dziewięć batalionów szturmowych?

–Tak. Utworzą pułk. Dowodzony przez Buntaro.

–Może lepiej byłoby, gdybym to ja dowodził. On będzie...

–Zapominasz, że za kilka dni zbiera się Rada. Jak możesz być dowódcą pułku, skoro jedziesz do Osaki? Nie zamierzasz jechać?

Yabu przystanął.

–Jesteśmy sojusznikami. Zgodziliśmy się, że ty jesteś wodzem, i moczem zatwierdził nasz układ. Dotrzymałem umowy i nadal dotrzymuję. Pytam więc, jakie są twoje plany. Rozpoczynamy wojnę czy nie?

–Nikt jej przeciwko mnie nie ogłosił. Na razie.

Yabu korciło, żeby dobyć z pochwy miecz Yoshimoto i nie dbając o cenę raz a dobrze spryskać ziemię krwią Toranagi. Zewsząd czuł na sobie oddechy jego strażników, ale przestał już na to zważać.

–A czy Rada i tobie nie bije w żałobny dzwon? – spytał. – Sam to przyznałeś. Kiedy się zbiorą, będziesz musiał im być posłuszny. Ne?

–Oczywiście.

Toranaga dał znak swoim strażnikom, żeby odeszli. Mocno i pewnie stał na krępych nogach, swobodnie wsparty na mieczu.

–Co wobec tego postanowiłeś? Co proponujesz?

–Najpierw zobaczymy atak.

–A potem?

–Potem wybierzemy się na polowanie.

–Jedziesz do Osaki, panie?

–Oczywiście.

–Kiedy?

–W dogodnym czasie.

–To znaczy, w dogodnym dla Ishido?

–To znaczy, w dogodnym dla mnie.

–Zostaniemy sami – rzekł Yabu. – Nie możemy walczyć z całą Japonią, nawet mając pułk szturmowy, którego i tak nie zdołamy wyszkolić w ciągu dziesięciu dni.

–Owszem.

–Tak więc, jakie są twoje plany?

–Co właściwie zaszło pomiędzy Jozenem i Nagą?

Yabu zrelacjonował mu wszystko szczerze, pomijając jedynie fakt, że Nagą manipulował Omi.

–A mój barbarzyńca? Jak się sprawuje Anjin-san?

–Dobrze. Bardzo dobrze.

Yabu opowiedział mu o próbie seppuku pierwszego wieczora i w jaki sposób sprytnie skłonił barbarzyńcę do współpracy ku ich obopólnej korzyści.

–Mądre posunięcie – stwierdził wolno Toranaga. – Do głowy mi nie przyszło, że mógłby spróbować seppuku. Ciekawe.

–Na szczęście uprzedziłem Omiego” by był czujny.

–Tak.

Yabu niecierpliwie czekał na dalszy, ciąg rozmowy, ale Toranaga milczał.

–A co powiesz na to, że pan Ito zostaje regentem? – spytał go wreszcie. – Czy dowiedziałeś się o tym przed otrzymaniem tej wiadomości ode mnie?

Toranaga zwlekał chwilę z odpowiedzią.

–Doszły do mnie pogłoski. Pan Ito jest dla Ishido wprost wymarzony. Biedny dureń zawsze lubił, by go onaczono, kiedy włąził w tyłek komuś drugiemu. Dobrze im się będzie spółkować.

–Niemniej jego głos cię zniszczy.

–Pod Warunkiem, że Rada się zbierze.

–O, a więc masz jakiś plan?

–Zawsze mam jakiś plan... albo plany... Nie wiedziałeś? No, a ty, – co planujesz,

sojuszniku? Jeżeli chcesz odejść, odejdz. Jeżeli chcesz zostać, zostań. Wybieraj!

Toranaga ruszył.

Mariko podała Toranadze pergamin gęsto zapisany hieroglifami.

–To wszystko? – spytał.

–Tak, wielmożny panie – odparła, nie znosząc tej dusznej kabiny i galery, chociaż cumowała ona na przystani. – Wiele z podręcznika wojennego to powtórki, ale każdego wieczora robiłam notatki i spisywałam wszystko, co się działo, a przynajmniej starałam się o to. Wszystko, co powiedziano i co zaszło, odkąd wyjechałeś... Przypomina to niemalże pamiętnik.

–Dobrze. Czy czytał go ktoś jeszcze?

–O ile się orientuję... chyba nie. – Poruszyła wachlarzem, żeby się ochłodzić. – Konkubina i służące Anjin-sana widziały, jak go spisuję, ale trzymałam go pod kluczem.

–Jakie są twoje wnioski?

Mariko zawahała się. Spojrzała na drzwi kabiny i zamknięty bulaj.

–Na statku są tylko moi ludzie, a pod pokładem nie ma nikogo. Oprócz nas – zapewnił Toranaga.

–Tak, wielmożny panie. Właśnie przypominałam sobie słowa Anjin-sana, że na pokładzie statku nie ma tajemnic... Pułk muszkietów wygra jedną bitwę – powiedziała po chwili namysłu. – Gdyby barbarzyńcy wylądowali tutaj w dużej sile z muszkietami i działami, toby nas pokonali. Musisz mieć barbarzyńską flotę. Jak dotąd wiedza tego pilota jest dla ciebie ogromnie cenna, tak bardzo, że powinna być zachowana w tajemnicy, tylko dla twojej wiadomości. W niewłaściwych rękach stałaby się dla ciebie śmiertelnym zagrożeniem.

–A kto ją już poznał?

–Wiele wie Yabu-san, ale jeszcze więcej Omi-san, który jest najbardziej pojętny. Ponadto Igurashi-san, Naga-san i samuraje. Samuraje, naturalnie, rozumieją strategię, lecz nie jej subtelności, a poza tym nie mają pojęcia o politycznej i ogólnej wiedzy Anjin-sana. Ja wiem z wszystkich najwięcej. Zapisywałam każde jego słowo, wszystkie pytania i jego wyjaśnienia, wielmożny panie. Najlepiej jak umiałam. Oczywiście powiedział nam tylko o niektórych sprawach, ale jego wiadomości są bardzo rozległe, a pamięć ma prawie doskonałą. Jeżeli okażemy mu cierpliwość, to dostarczy nam dokładnego opisu świata, jego zwyczajów i niebezpieczeństw. Jeśli

mówi prawdę.

–A mówi?

–Wierzę, że tak.

–Co sądzisz o Yabu?

–To brutalny człowiek, bez najmniejszych skrupułów. Dba tylko o własny interes. Obowiązek, lojalność, tradycja nic dla niego nie znaczą. Ma przebłycki wielkiego sprytu, a nawet dużej inteligencji. Jest równie groźny jako sojusznik, jak i wróg.

–Same godne polecenia zalety. A co można powiedzieć na jego niekorzyść?

–Źle się rządzi. Gdyby jego chłopci mieli broń, to wszczęliby bunt.

–Dlaczego?

–Bo wymusza wygórowane podatki. Bezprawne. Zabiera im trzy czwarte ryżu, ryb i produktów. Bierze pogłowne, podatki od ziemi, od łodzi... Na lzu opodatkowane jest wszystko, każda transakcja, każda beczułka sake.

–Kto wie, może powinienem zatrudnić go lub jego kwatermistrza w moim Kantō. Cóż, to, co tu robi, jest jego sprawą, nie mamy się czym martwić, bo jego chłopci nigdy nie dostaną broni. W razie potrzeby nadal mogę korzystać z tej wioski jako bazy.

–Ale, wielmożny panie, górna dopuszczalna prawem granica podatków to sześćdziesiąt od sta.

–Taka była. Prawo to ustanowił taikō, ale taikō zmarł. Co jeszcze powiesz na temat Yabu?

–Je mało, wygląda zdrowo, ale Suwo, masażysta, jest zdania, że ma kłopoty z nerkami. Ma też pewne osobliwe upodobania.

–Jakie?

Opowiedziała mu o Nocy Krzyków.

–A od kogo o tym wiesz?

–Od Suwo. A poza tym od matki i żony Omiego.

–Ojciec Yabu również gotował swoich wrogów. Strata czasu. Ale jak z tego widać, raz na jakiś czas mu tego potrzeba. A jego bratanek Omi?

–Bardzo bystry. Bardzo mądry. Całkowicie oddany wujowi. Bardzo uzdolniony, budzący podziw poddany.

–A rodzina Omiego?

–Jego matka... bardzo surowo traktuje jego żonę Midori. Żona, która pochodzi z samurajskiego rodu, jest delikatna, silna i bardzo porządna. Wszyscy są wiernymi poddanymi pana Yabu. W tej chwili Omi nie ma konkubin, chociaż jako taką można by traktować Kiku, najsłynniejszą kurtyzanę w Izu. Gdyby go było stać na wykupienie jej kontraktu, to chyba wzięłby ją do swego domu.

–Czy gdybym chciał, to pomógłby mi przeciwko Yabu?

Zastanowiła się nad tym. Potrząsnęła głową.

–Nie, wielmożny panie. Wątpię: Myślę, że jest wiernym poddanym wuja.

–A Naga?

–Trudno o lepszego samuraja. Od razu dostrzegł zagrożenie, jakim są dla ciebie Jozen i jego ludzie, i załatwił sprawę, nim mógł się ciebie poradzić. Mimo że tak bardzo nienawidzi batalionu muszkietów, to jednak surowo ćwiczy swoje kompanie chcąc, żeby doszły do doskonałości.

–Wykazał wielką głupotę... stał się marionetką w rękach Yabu. Nie komentując tego, poprawiła fałdę na swoim kimonie. Toranaga poruszył wachlarzem.

–No, a Anjin-san?

Spodziewała się tego pytania, ale kiedy padło, wszystkie, mądre uwagi na jego temat wyleciały jej z głowy.

–No więc?

–Musisz to ocenić na podstawie tego pergaminu, wielmożny panie. Pod pewnymi względami postępuje niezrozumiale. Oczywiście jego, wychowanie i nabyta wiedza nie mają nic wspólnego z naszymi. Ma bardzo skomplikowaną osobowość, dla nas nie... dla mnie niepojętą. Kiedyś wykazywał wielką szczerłość. Ale od tej próby seppuku zmienił się. Stał się bardziej skryty.

Zrelacjonowała Toranadze, co zrobił i co opowiedział jej Omi o tamtej pierwszej nocy w Anjiro. A także o obietnicy Yabu.

–O, a więc to Omi go powstrzymał, nie pan Yabu?

–Tak.

–I Yabu posłuchał rady Omiego?

–Tak, wielmożny panie.

–A zatem Omi jest jego doradcą. Ciekawe. Ale Anjin-san z pewnością nie oczekuje, że Yabu dotrzyma swojej obietnicy?

–Oczekuje tego, jak najbardziej.

–Go za naiwność! – powiedział ze śmiechem Toranaga.

–Niestety, Anjin-san bardzo głęboko wierzy w chrześcijańskie „sumienie”. Nie może uniknąć swojej karmy, do której należy to, iż można nim manipulować dzięki temu, że tak bardzo nienawidzi śmierci tych, których nazywa „niewinnymi”. Nawet śmierć Jozena głęboko go poruszyła. Przez wiele nocy bardzo źle spał i kilka dni prawie z nikim nie rozmawiał.

–Czy to „sumienie” dotyczy wszystkich barbarzyńców?

–Nie, chociaż wszystkich chrześcijańskich powinno.

–Czy straci owo „sumienie”?

–Wątpię. Ale dopóki je ma, jest bezbronny jak lalka.

–A co z jego konkubiną?

Mariko opowiedziała mu o wszystkim.

–To dobrze. – Toranaga był zadowolony, że wybrał Fujiko i że jego plan sprawdza się tak skutecznie. – To bardzo dobrze. Doskonale zrobiła z tymi pistoletami, A jego zwyczaje?

–Na ogół są normalne, z wyjątkiem zdumiewającego skrępowania w sprawach poduszkowych i dziwnej niechęci do mówienia o najnormalniejszych funkcjach organizmu. – Opisała także jego niezwykłą potrzebę samotności i obrzydliwe upodobania kulinarne. – W innych sprawach jest przeważnie uprzejmym, rozsądnym, inteligentnym i pojętym uczniem, bardzo ciekawym nas i naszych obyczajów. Wszystko jest w moim sprawozdaniu. Mówiąc krótko, wyjaśniłam mu co nieco nasz sposób życia, opowiedziałam trochę o nas i o naszej historii, o taikō oraz o kłopotach, jakie w tej chwili nękają cesarstwo.

–Aha, a o następcy?

–Tak, wielmożny panie. Czy źle zrobiłam?

–Nie. Kazałem ci go uczyć. A co z jego japońskim?

–Zważywszy wszystko, bardzo dobrze. Za jakiś czas będzie bardzo dobrze mówił naszym językiem. Jest pilnym uczniem, wielmożny panie.

–Poduszkowa!?

–Z jedną służącą – odparła natychmiast.

–Wybrał ją?

–Posłała mu ją jego konkubina.

–No i?

–O ile wiem, to oboje byli zadowoleni.

–Aha! A więc nie miała trudności.

–Nie, wielmożny panie.

–Ale jest dobrze wyposażony przez naturę?

–„Och, jak najbardziej”, powiedziała ta służąca. Użyła słowa „szczodrze”.

–To wspaniale. Przynajmniej pod tym względem jego karma jest pomyślna. Mężczyźni mają z tym na ogół kłopoty, na przykład Yabu, na przykład Kiyama. Małe szpunty. To nieszczęście urodzić się z małym szpuntem. Wielkie. Tak. – Toranaga spojrział na pergamin i z trzaskiem złożył wachlarz. – A ty, pani Mariko? Co u ciebie?

–Dobrze, dziękuję, wielmożny panie. Bardzo się cieszę widząc, że masz się tak dobrze. Czy mogę ci powinszować urodzin wnuka?

–Dziękuję ci, tak. Ucieszyło mnie to. Chłopiec jest kształtny i wygląda zdrowo.

–A pani Genjiko?

Toranaga chrząknął.

–Silna jak zawsze. Tak. – W zamyśleniu zacisnął wargi. – Może poleciałabyś mi jakąś piastunkę. – Było we zwyczaju, że synowie ważnych samurajów mieli piastunki, ażeby ich matki mogły usługiwać mężom i prowadzić dom, pozostawiając piastunkom wychowanie silnych, będących chlubą rodziców potomków. – O znalezienie odpowiedniej osoby nie będzie, obawiam się, łatwo. Pani Genjiko nie ma najłatwiejszego charakteru, ne?

–Jestem pewna, że znajdziesz idealną' kandydatkę, wielmożny panie – odparła Mariko wiedząc, że doradzanie w takiej sprawie byłoby głupotą, bo nie urodziła się jeszcze taka, która zadowoliliby jednocześnie Toranagę i jego synową.

–Dziękuję ci. Ale co słyhać u ciebie, Mariko-san?

–Dziękuję, dobrze, wielmożny panie.

–A co z twoim chrześcijańskim sumieniem?

–Nie ma sprzeczności, wielmożny panie. Najmniejszej. Zrobiłam wszystko, czegoś sobie życzył. Naprawdę.

–Czy byli tu jacyś księża?

–Nie, wielmożny panie.

–Potrzebujesz jakiegoś?

–: Dobrze byłoby wyspowiadać się, przyjąć komunię i uzyskać rozgrzeszenie. Tak, prawdę powiedziawszy, chciałabym to zrobić... wyspowiadać się z tego, co mi wolno, i otrzymać błogosławieństwo.

Toranaga przyglądał się jej z uwagą. Patrzyła szczerze.

–Dobrze się spisałaś, Mariko-san. Mów, proszę, dalej.

–Dziękuję, wielmożny panie. Jest pewna sprawa... Anjin-sanowi bardzo potrzebne są gramatyka i słownik.

–Posłałem po nie do Tsukku-sana. – Toranaga spostrzegł, że zmarszczyła brwi. – Wątpisz, czy je prześle?

–Oczywiście, że cię posłucha. Ale być może nie tak szybko, jakbyś pragnął.

–Wkrótce się przekonamy. Pozostało mu tylko trzynaście dni – rzekł Toranaga złowieszczym tonem.

Mariko to zaskoczyło.

–Tak, wielmożny panie? – spytała, nie pojmując go.

–Że trzynaście? Ach – odparł nonszalancko Toranaga, tuszując fakt, że się wygadał – kiedy byliśmy na tym portugalskim statku, poprosił mnie, żebym pozwolił mu odwiedzić Edo. Zgodziłem się pod warunkiem, że robi to przed upływem czterdziestu dni, nie później. Zostało ich trzynaście. Czyż to nie czterdzieści dni ten

bonza, prorok, ten Mojżesz spędził na owej górze, gdzie otrzymał od „Boga” przykazania, które były wyryte w kamieniu?

–Tak, wielmożny panie.

–Czy wierzysz, że tak było?

–Tak. Ale nie pojmuję jak ani dlaczego.

–Rozmowa o „rzeczach boskich” to strata czasu. Ne?

–Tak, jeżeli szuka się faktów, wielmożny panie.

–Czy czekając na ten słownik próbowałaś układać własny?

–Tak, wielmożny panie. Ale obawiam się, że wiele mu brakuje. Niestety, czasu jest tak mało, a problemów tak wiele. Tutaj... i wszędzie – dodała znacząco.

Skinął głową, że podziela jej zdanie, wiedząc, że chciałaby bardzo zadać mu wiele pytań: na temat nowej Rady Regencyjnej, mianowania pana Ito, postępu Nagi i czy wojna wybuchnie natychmiast.

–Mamy szczęście, że wrócił do nas twój mąż, ne? – zagadnął.

Jej wachlarz znieruchomiał.

–Nie przypuszczałam, że zdoła ujść z życiem – odparła. – W ogóle. Codziennie modliłam się za niego i zapalałam w jego intencji kadzidło. To prawie cud. Kiedy zobaczyłam go obok ciebie na brzegu, myślałam, że nawiedził mnie kami.

–Jest przebiegły. Bardzo silny i bardzo przebiegły.

–Mogę spytać, co słyhać z panem Hiro-matsu, wielmożny panie? I co w Osace? U pani Kiritsubo i pani Sazuko?

Toranaga obojętnym tonem poinformował ją, że Hiro-matsu po-’ wrócił do Edo na dzień przed jego wyjazdem, kobiety jednak postanowiły pozostać w Osace, a powodem zwłoki w ich wyjeździe stamtąd był stan zdrowia pani Sazuko. Nie było potrzeby wyjaśniać więcej. Oboje zdawali sobie sprawę, że jest to zwykła formuła służąca zachowaniu twarzy i że komendant Ishido za nic nie wypuściłby takich dwóch cennych zakładniczek, skoro wymknął mu się Toranaga.

–Shigata ga nai. Karma, ne? (Nic nie można poradzić. Karma, prawda?) – rzekł.

–Tak.

Wziął pergamin.

–Muszę go zaraz przeczytać. Dziękuję ci, Mariko-san. Doskonale się spisałaś. Przeprowadź o świcie do warowni Anjin-sana.

–Szanowny panie, ponieważ jest tu mój mąż, będę musiała...

–Twój mąż już się zgodził, że na czas mojego pobytu tutaj pozostaniesz, gdzie jesteś, i będziesz tłumaczką, a twoim podstawowym obowiązkiem będzie towarzyszyć przez kilka następnych dni Anjin-sanowi.

–Ależ wielmożny panie, muszę urządzić mojemu mężowi dom. Potrzebuje domu i służby.

–W tej chwili byłoby to marnotrawstwo czasu, wysiłków i pieniędzy. Zostanie z żołnierzami... albo zamieszka w domu Anjin-sana, co będzie wolał. – Spostrzegł w jej oczach błysk rozdrażnienia. – Nan ja?

–Moje miejsce powinno być przy moim panu. Żeby mu służyć.

–Twoje miejsce jest tam, gdzie ja sobie życzę. Ne?

–Tak, proszę o wybaczenie. Oczywiście.

–Oczywiście.

Wyszła.

Uważnie przeczytał pergamin i podręcznik wojenny. A później jeszcze raz odczytał fragmenty rękopisu. Odłożył je w bezpieczne miejsce, wystawił strażę przed kajutą i wszedł na pokład.

Świtało. Dzień zapowiadał się ciepły i pochmurny. Odwołał spotkanie z Anjin-sanem i pojechał na płaskowyż z setką strażników. A potem wziął sokolników, trzy ptaki i urządził polowanie w promieniu dwudziestu ri od wsi. Do południa zdobył trzy bażanty, dwie duże słonki, zającą i parę przepiórek. Jednego bażanta i zającą posłał pilotowi, a resztę do warowni. Nie wszyscy jego samuraje byli buddystami, a on tolerował ich kulinarne upodobania. Sam zjadł trochę zimnego ryżu z pastą rybną i marynowanych wodorostów z płatkami imbiru. Potem zaś zwinął się na ziemi i zasnął.

Blackthorne czekał w ogrodzie. Miał na sobie brązowe mundurowe kimono, będące, podobnie jak miecze zatknięte za szerokim, pasem, pod którym ukrywał pistolet, podarunkiem od Toranagi. Z pośpiesznych wyjaśnień Fujiko, a potem służby zrozumiał, że musi przyjąć Buntaro pod swój dach, ponieważ samuraj ten jest ważnym generałem, hatamoto, a także pierwszym gościem w jego domu. Dlatego wykąpał się, szybko przebrał i udał na przygotowane miejsce.

Wczoraj widział Buntaro przez krótką chwilę po jego przyjeździe. Przez resztę wczorajszego dnia był on zajęty z Toranagą, Yabu oraz Mariko, Blackthorne'a zaś pozostawili w spokoju, żeby wraz z Omim i Nagą przygotował pokaz szybkiego ataku. Atak był udany.

Mariko wróciła do domu bardzo późno. Opowiedziała mu zwięźle o ucieczce Buntaro, o tym, jak przez wiele dni polowali na niego ludzie Ishido, jak się im wymknął i przez wrogie prowincje nareszcie dotarł do Kantō.

–Było to bardzo trudne, ale może nie aż tak, Anjin-san. Mój mąż jest bardzo silny i bardzo dzielny.

–I co teraz będzie? Wyjedziesz?

–Pan Toranaga rozkazuje, żeby wszystko pozostało jak dotychczas. Nic się nie zmieni.

–Ty się zmieniłaś, Mariko. Przygastaś.

–Nie. Tylko w twoich oczach, Anjin-san. Po prostu ulżyło mi, że on żyje, a byłam pewna, że zginął.

–Tak. Ale to przecież jest różnica, prawda?

–Oczywiście. Dzięki Bogu, że mój pan nie został schwytany... że przeżył, aby być na rozkazy pana Toranagi. Wybacz mi, Anjin-san, jestem zmęczona. Przepraszam, jestem bardzo zmęczona.

–Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

–A cóż mógłbyś zrobić? Anjin-san? Oprócz bycia miłym dla mnie i dla niego. Doprawdy, nic się nie zmieniło. Nic się nie skończyło, bo nic nie zaczęło. Wszystko jest jak dawniej. Mój mąż żyje.

Chciałbyś, żeby żył? – zadał sobie pytanie Blackthorne. – Tak.

To po co masz z sobą ten ukryty pistolet? Czujesz się winny?

Nie. Nic się nie zaczęło.

Nic?

Nie.

Tyś tylko myślał, że ją bierzesz. A czyż to nie jest to samo, co wzięcie jej naprawdę?

Zobaczył, że z domu schodzi do ogrodu Mariko. Podążając pół kroku za Buntaro przypominała figurkę z porcelany, przez kontrast tym bardziej podkreślając jego krzepkość. Wraz z nią szły Fujiko i służące.

Blackthorne uklonił się.

–Yokoso oide kudasareta, Buntaro-san – rzekł, witając go w swoim domu.

Wszyscy mu się odклонili. Buntaro i Mariko usiedli na poduszkach naprzeciwko niego. Fujiko zajęła miejsce za jego plecami. Nigatsu i służąca Koi zaczęły podawać herbatę i sake. Buntaro przyjął sake. Tak samo Blackthorne.

–Dōmo, Anjin-san. Ikaga desu ka?

–Ii. Ikaga desu ka?

–Ii. Kowa jozuni shabereru yoni natta na. (Dobrze. Zaczynasz bardzo dobrze mówić po japońsku).

Wkrótce Blackthorne stracił wątek rozmowy, jako że Buntaro mówił szybko i niedbale, połykając słowa.

–Przepraszam, Mariko-san. Nie zrozumiałem tego.

–Mój mąż pragnie podziękować ci za próbę uratowania mu życia. Z pomocą tamtego wiosła. Pamiętasz? Kiedy uciekaliśmy z Osaki.

–Ah, so desu! Dōmo. Powiedz mu, proszę, że nadal uważam, że powinniśmy cofnąć się do brzegu. Mieliśmy na to dość czasu. Ta służąca utonęła niepotrzebnie.

–Mówi, że to karma.

–Niepotrzebna śmierć – odparł Blackthorne, i pożałował tej niegrzecznej odpowiedzi. Spostrzegł, że jej nie przełożyła.

–Mój mąż mówi, że strategia ataku jest bardzo dobra, naprawdę doskonała.

–Dómo. Powiedz mu, iż jestem rad, że uciekł cało. I że będzie dowodził pułkiem. No i oczywiście, że jest mile widzianym gościem.

–Dómo, Anjin-san. Buntaro-sama mówi, że owszem, atak był bardzo dobry. Ale jeśli o niego chodzi, to nigdy nie rozstanie się z łukiem i mieczami. Potrafi z niego zabić na znacznie większą odległość, strzelając celniej i szybciej niż z muszkietu.

–Jeżeli pragnie, to mogę się z nim zmierzyć w strzelaniu i się przekonamy.

–Przepraszam, Anjin-san, ale przegrasz. Chcę cię ostrzec, byś tego nie próbował – powiedziała.

Blackthorne spostrzegł, że Buntaro przeskakuje oczami z niego na Mariko i z powrotem.

–Dziękuję ci, Mariko-san. Powiedz mu, że chciałbym zobaczyć, jak strzela.

–Pyta, czy umiesz strzelać z łuku...

–Owszem, ale nie tak, jak wyszkolony łucznik. Łuki są u nas bardzo przestarzałą bronią. Nie licząc kuszy. Mnie szkolono do żeglugi; A na morzu korzystamy jedynie z dział, muszkietów i pałaszy... Niekiedy używamy ognistych strzał, ale z bliska, do podpalania żagli przeciwnika. –

–Pyta, jak ich używacie, jak przyrządzacie te ogniste strzały. Czy różnią się od tutejszych, użytych przeciwko naszej galerze w Osace?

Blackthorne zaczął wyjaśnienia, przerywane uciążliwymi wtrętami i badawczym wypytywaniem. Jednakże przywykł już do niezwyklej dociekliwości w kwestiach wszystkiego, co dotyczy wojny, ale rozmowa za pośrednictwem tłumaczki bardzo go męczyła. Mimo że Mariko robiła, to wspaniale, to jednak rzadko, jej tłumaczenie było dokładne. Długa odpowiedź zawsze ulegała skróceniu, a niektóre wyjaśnienia drobnym zmianom, więc zdarzały się nieporozumienia. Wyjaśnienia trzeba było zatem niepotrzebnie powtarzać.

Wiedział jednak, że bez pomocy Mariko w żaden sposób nie mógłby być dla nich taki cenny. Tylko dzięki mej wiedzy nie wtrącają mnie do ciemnicy, przypomniał sobie. Ale to żaden problem, ponieważ jest jeszcze bardzo wiele do opowiedzenia, a do wygrania bitwa. Prawdziwa bitwa. Aż do tego czasu jestem bezpieczny. A w planach mam marynarkę. Potem zaś ojczyznę. Szczęśliwy powrót.

Jego wzrok spoczął na mieczach Buntaro i mieczach towarzyszącego mu strażnika, poczuł też swoje własne miecze, ciepło naoliwionego pistoletu i orzekł, że w tym kraju nigdy nie będzie naprawdę bezpieczny. Nie był tutaj bezpieczny nikt. Nawet Toranaga.

–Anjin-san, Buntaro-sama zapytuje, czy jeżeli przyśle jutro do ciebie swoich ludzi, to pokażesz im, jak się sporządza takie strzały?

–A skąd weźmiemy tutaj smołę?

–Nie wiem. Mój mąż obiecuje pomówić o tym z panem Toranaga. Może w Kantō jest gdzieś smoła. Nie znamy nic takiego. Zamiast smoły mamy gęste oleje, oleje wielorybie, które mogą ją zastąpić. Pyta, czy wy również stosujecie czasem rakietę bojową, jak Chińczycy.

–Tak, ale nie cieszą się one uznaniem, chyba że podczas oblężeń. Używali ich Turcy w walce z rycerzami świętego Jana z Malty. Rakiet używa się u nas przeważnie do podpaleń i siania popłochu.

–Mój mąż prosi, żebyś podał mu szczegóły tej bitwy.

–Zdarzyło się to przed czterdziestu laty na największym śródziemnym morzu w Europie, Mariko-san. Było to oblężenie jak każde inne, niewarte opowieści – skłamał. Nagle bowiem zdał sobie sprawę, że bitwa ta dostarcza mu kluczy do zamku w Osace: jak go oblegać, jak nękać, jak sforsować bramy, jak go zdobyć. Taka wiedza była bezcenna i na pewno nie należało jej ujawniać lekkomyślnie, a już na pewno nie w tej chwili. Mariko wielokrotnie powtarzała, że, Toranadze stoi na drodze do zwycięstwa niezłomny zamek w Osace. Blackthorne był przekonany, że rozwiązanie problemu zamku może być jego paszportem' do wyjazdu z cesarstwa z bogactwami, które starczą mu do końca życia.

–Senhora? – spytał spostrzegając zafrasowaną minę Mariko.

–Nic, nic, senhor – odparła i przełożyła jego odpowiedź.

Poznał jednak, iż wie, że coś przed nimi ukrywa.

–Mój mąż pragnie, żebyś mu opowiedział o jakiejś bitwie, w której brałeś udział – powiedziała, zwracając się znów do niego.

–Wszystkie są opisane w podręczniku wojennym.

–Mówi, że przeczytał go z wielkim zainteresowaniem, ale zawiera, on tylko skrótowy opis. W ciągu następnych dni pragnie dowiedzieć się wszystkiego o waszych bitwach. Jeżeli pozwolisz, to o jakiejś z nich w tej chwili.

–Wszystkie są opisane w podręczniku wojennym. Może jutro, Mariko-san.

Chciał się dokładnie zastanowić nad tą oślepiającą nową myślą dotyczącą zamku w Osace i nad tamtą bitwą, miał za to serdecznie dość tej rozmowy, dociekliwych

pytań, przede wszystkim jednak chciało mu się jeść.

–A może jednak zechcesz ją powtórzyć mojemu mężowi, tylko raz? Dosłyszał w jej głosie pełną troski prośbę, więc jej uległ.

–Oczywiście. A która, twoim zdaniem, by mu się spodobała?

–Ta w Niderlandach. Koło „Zelandii”, czy tak to wymawiasz?

–Tak.

Zaczął więc opowiadać o tej bitwie, przypominającej wszystkie inne, w których giną żołnierze, przeważnie wskutek błędów i głupoty swych dowódców.

–Mój mąż mówi, że w Japonii jest inaczej, Anjin-san. U nas dowódcy muszą być bardzo dobrzy, bo w przeciwnym razie prędko giną.

–Oczywiście, moja krytyka odnosi się wyłącznie do europejskich wodzów.

–Buntaro-sama mówi, że opowie ci w ciągu tych dni o naszych wojnach i naszych dowódcach, a zwłaszcza o panu taikō. Żeby godziwie zrewanżować ci się za twoje informacje – powiedziała wymijająco.

–Dómo.

Blackthorne uklonił się lekko, czując na sobie świdrujący wzrok męża Mariko. Czego ty właściwie ode mnie chcesz, sukinsynu? – zadawał sobie pytanie. –

Kolacja była katastrofą. Dla wszystkich.

Jeszcze zanim przeszli z ogrodu na werandę, żeby zjeść, miało miejsce złowróżbne zdarzenie.

–Przepraszam, Anjin-san, ale co to jest? – spytała Mariko pokazując. – Tam. Mój mąż pyta, co to jest.

–Gdzie? Ach, tam. To bażant – odparł Blackthorne. – Przysłał mi go pan Toranaga, wraz z zającem. Zjemy go na, kolację, po angielsku... a przynajmniej ja, choć starczy dla wszystkich.

–Dziękuję, ale... my, mój mąż i ja, nie jemy mięsa. Ale dlaczego ten bażant tam wisi? W tym gorącu, czy nie powinien być zabrany i przyrządzony?

–To sposób na przyrządzenie bażanta. Wiesz się go, żeby mięso było kruche.

–Co takiego? Tak po prostu? Wybacz, Anjin-san – powiedziała zmieszana – bardzo

przepraszam. Ale on szybko się zepsuje. Jest nie oskubany i nie... oczyszczony.

–Mięso bażanta jest suche, Mariko, dlatego wieszka się go na kilka dni, może nawet na dwa tygodnie, zależnie od pogody. Potem ptaka oskubuje się, patroszy i piecze.

–Zo... zostawiacie go na powietrzu? Żeby zgnił? Tak jak...

–Nan ja? – spytał zniecierpliwiony Buntaro.

Powiedziała coś do niego usprawiedliwiając się, na co wstrzymał oddech, wstał, przyjrzał się uważnie bażantowi i szturchnął go. Zabrzęczało kilka much, które usiadły z powrotem. Fujiko z wahaniem rzekła coś mężowi Mariko. Buntaro poczerwieniał.

–Twoja konkubina twierdzi, że zabroniłeś komukolwiek go dotykać, tak? – spytała Mariko.

–Tak. Czy wy nie wieszacie upolowanej zwierzyny? Nie wszyscy są buddystami.

–Nie, Anjin-san. Wątpię.

–Niektórzy są zdania, że bażant powinien wisieć za pióra na ogonie, dopóki sam nie spadnie, ale to czysty wymysł – rzekł Blackthorne. – Należy go wieszać za szyję, a wtedy wszystkie soki pozostają tam, gdzie trzeba. Inni trzymają go, aż przerwie mu się szyja, ale ja osobiście nie gustuję w aż tak bardzo dojrzałym mięsie. Zazwyczaj... Urwał, bo spostrzegł, że Mariko odrobinę pozieleniała.

–Nan desu ka, Mariko-san? – spytała prędko Fujiko.

Mariko wyjaśniła. Wszyscy zaśmieli się nerwowo, a Mariko wstała i delikatnie osuszyła lśniące czoło.

–Wybacz, Anjin-san, przepraszam na chwilę...

Wasze jedzenie jest równie dziwaczne, chciał powiedzieć. Na przykład wczoraj, ta surowa mątwą – białe, oślizgłe, prawie pozbawione smaku i wymagające żucia mięso, polane jedynie sosem sojowym. Albo te posiekane jądra ośmiornicy, znowu na surowo, z zimnym ryżem i wodorostami! A ta świeża meduza w żółtobrazowym, przypominającym zupę tōfu, sfermentowanym twarożku sojowym, wyglądającym jak psie rzygowiny? O tak, podanym pięknie w delikatnej ładnej misce, ale i tak wyglądającym jak wymiociny! Tak, na miły Bóg, to wystarczy, żeby człowiek dostał mdłości!

Buntaro głośno „siorbał sake i zupę, tak jak nakazywał zwyczaj. Blackthorne’a zaczęło to irytować. Mariko rozmawiała wesoło z mężem, który ledwie bąkał,

odpowiadając jej pomrukami. Nic nie jadła, a co drażniło jeszcze bardziej, to fakt, że obie z Fujiko płaszczyły się przed Buntaro, w dodatku on sam musiał znosić, chcąc nie chcąc, tego niepożądanego gościa.

–Powiedz panu Buntaro, że w moim kraju gospodarz wznosi toast na cześć szanownego gościa. – Z niewesołym uśmiechem podniósł czarkę. – Za długie i życie i szczęście!

Wypił.

Po wysłuchaniu wyjaśnień Mariko Buntaro skinął głową i uniósł swoją czarkę. Uśmiechnął się przez zaciśnięte zęby i wypił wino.

–Na zdrowie! – powiedział przy następnym toaście Blackthorne.

A potem jeszcze raz.

I znowu.

–Zdrowie!

Tym razem Buntaro nie wypił. Odstawił napełnioną czarkę i spojrzał na Anglika małymi oczami. Potem zaś przywołał kogoś z zewnątrz. Natychmiast odsunięto shoji. Jego nieodłączny przyboczny strażnik uklonił się i podał mu ogromny łuk oraz kołczan. Buntaro wziął je, a potem gwałtownie i porywczo powiedział coś do Blackthorne'a.

–Mój mąż... mój mąż mówi, że chciałeś zobaczyć, jak on strzela z łuku, Anjin-san – przełożyła Mariko. – Jest zdania, że za długo z tym czekać do jutra. Teraz jest na to odpowiednia pora. Proponuje strzelać do bramy twojego domu. Pyta, który jej słupek wybierasz.

–Nie rozumiem – odparł Blackthorne, bo główna brama była ze czterdzieści kroków stąd, po drugiej stronie ogrodu, lecz w tej chwili całkowicie zasłaniała ją ściana, którą miał po swojej prawej ręce.

–Lewy słupek czy prawy? Zechciej wybrać – dodała nagląco.

Ostrzeżony przez nią, spojrzał na Buntaro. Mąż Mariko zachowywał obojętność, nie patrząc na nich – przysadzisty, szpetny gnom, który siedział wpatrując się w przestrzeń.

–Lewy – rzekł zafascynowany.

–Hidari! – powiedziała.

Buntaro natychmiast wyjął strzałę z kołczana, ustawił łuk, uniósł go, naciągnął cięciwę trzymaną na wysokości oka i z dziką, niemal poetycką płynnością wystrzelił. Strzała śmignęła w stronę Mariko i musnąwszy po drodze kosmyk jej włosów przepadła, przebijając papierową ścianę. Zanim zniknęła z oczu pierwsza, wyleciała druga; a potem następna, wszystkie o cal od zastygłej Mariko, która, spokojna i nieporuszona, klęczała jakby nigdy nic.

Śmignęła czwarta strzała, a po niej ostatnia. Cisza była pełna ech rozedrganej cięciwy. Buntaro westchnął i powoli ochłonął. Położył łuk na kolanach. Mariko i Fujiko wciągnęły powietrze, uśmiechnęły się, ukloniły i skomplementowały strzelca, na co ten skinął głową i lekko im się odklonił. Spojrzeli na Blackthorne'a. Zdawał sobie sprawę, że był świadkiem czegoś, co graniczyło z magią. Wszystkie strzały przeszły przez ten sam otwór w shoji.

Buntaro oddał łuk strażnikowi i wziął małą czarękę. Wpatrywał się w nią przez chwilę, po czym uniósł ją w stronę Blackthorne'a, wypił sake, a potem przemówił szorstko, powracając do swoich grubiańskich manier.

–On... mój mąż prosi grzecznie, żebyś tam poszedł i sprawdził.

Blackthorne rozważał to przez chwilę, pragnąc uspokoić rozkołatanę serce.

–Nie ma potrzeby. Na pewno trafił w cel.

–Mówi, że chciałby, abys się upewnił.

–Jestem pewny...

–Proszę cię, Anjin-san. Wyświadczysz mu tym zaszczyt.

–Nie muszę wyświadczać mu zaszczytu.

–Owszem, ale czy mogę dodać do jego prośby swoją własną? Znowu dostrzegł w jej oczach błaganie.

–Jak się mówi „To był wspaniały pokaz”?

Powiedziała mu. Powtórzył to i uklonił się Buntaro, na co ten niedbale mu się odklonił.

–Poproś go, żeby poszedł ze mną zobaczyć te strzały.

–Mówi, że wolałby, abys poszedł sam. Nie pragnie tam iść, Anjin-san.

–Dlaczego?

–Jeżeli strzały były celne, powinieneś zobaczyć to sam. W ten sposób unikniesz zakłopotania i ty, i on.

–A jeżeli chybił?

–Nie chybił. Ale wedle naszego zwyczaju celność w tak niezwykłych okolicznościach jest niczym wobec wdzięku, z jakim strzela łucznik, szlachetności jego ruchów, siły, której wymaga strzelanie na siedząco, oraz obojętności na zwycięstwo czy porażkę w takim zakładzie.

Strzały tkwiły pośrodku lewego słupka rozrzucone na przestrzeni jednego cala od siebie. Blackthorne odwrócił się w stronę odległego o jakieś czterdzieści kroków domu i w jego papierowej ścianie dojrzał regularny otwór – iskierkę światła w ciemnościach.

Pomyślał, że aż trudno uwierzyć w taką celność. Buntaro ze swojego miejsca nie mógł widzieć ogrodu ani bramy, a na dworze była ciemna noc. Blackthorne obrócił się do słupka i podniósł latarnię wyżej. Spróbował wyciągnąć strzałę. Ale jej stalowy belt wbił się za głęboko. Mógłby ułamać drewnianą brzechwę, ale nie chciał tego robić.

Strażnik Buntaro przyglądał mu się.

Blackthorne zawahał się. Strażnik ruszył w jego stronę, by mu pomóc, ale podziękował mu „Iye, dōmo”, potrząsnął przecząco głową i wrócił do domu.

–Mariko, zechciej powtórzyć mojej konkubinie, że chcę, aby strzały te pozostały na zawsze w słupie bramy. Wszystkie! Po to, bym pamiętał o mistrzu łuku. Nigdy dotąd nie oglądałem takiego popisu strzeleckiego.

Uklonił się Buntaro.

–Dziękuję, Anjin-san.

Mariko przełożyła to mężowi, a ten uklonił się i podziękował mu za pochwałę.

–Sake! – zażądał Blackthorne.

Wypili więcej. Znacznie więcej. Wino, które Buntaro zaczął żłopać bez umiaru, uderzyło mu do głowy. Sięgnął do dwóch czarek sake, jedną, rozlewając trunek, wręczył Blackthorne'owi, po czym dał znak kobietom, żeby wzięły pozostałe.

–On... mój mąż mówi, że niekiedy czarki z sake są za małe – przełożyła jego słowa Mariko i napełniła czarki. Łyknęła z jednej, a Fujiko z drugiej.

Po następnej, jeszcze bardziej agresywnej perorze męża uśmiechy na twarzach jej i Fujiko zastygły.

–Iye, dōzo gomen nasai, Buntaro-sama – przemówiła Mariko.

–Ima! – rozkazał Buntaro.

Fujiko odezwała się nerwowym głosem, ale Buntaro uciszył ją jednym spojrzeniem.

–Gomen nasai – przeprosiła szeptem Fujiko. – Dozo, gomen nasai.

–Co on powiedział, Mariko-san? – spytał Blackthorne. Zachowywała się tak, jakby nie dosłyszała jego pytania.

–Dozo gomen nasai, Buntaro-sama, watashi... Jej mąż poczerwieniał na twarzy.

–Ima!!!

–Bardzo przepraszam, Anjin-san, ale mój mąż każe mi powiedzieć... odpowiedzieć na twoje pytania... chce, żebym opowiedziała ci o sobie. Odparłam, że nie powinno się mówić o rodzinnych sprawach o tak późnej porze, ale on każe mi to zrobić. Okaż mi cierpliwość. – Pociągnęła duży łyk sake. Jeszcze jeden. Kosmyki luźno opadających jej na uszy włosów kołysały się w lekkim prądzie powietrza od wachlarza Fujiko. Dopiła czarkę i odstawiła ją. – Moje panięńskie nazwisko brzmi Akechi. Jestem córką pana Akechiego Jinsai, zabójcy. Mój ojciec podstępnie przyczynił się do śmierci naszego lennego pana, dyktatora Gorody.

–Boże w niebiesiech! Dlaczego to zrobił?

–Bez względu na powody nic nie usprawiedliwia jego czynu, Anjin-san. Mój ojciec popełnił najcięższą zbrodnię, jaką zna Japonia. Skalał mnie samą, jak i mojego syna.

–To dlaczego... – Blackthorne urwał.

–Tak, Anjin-san?

–i Chciałem tylko powiedzieć, że zdaję sobie sprawę, co to znaczy... zabić swojego lennego pana. Dziwi mnie, że zostawiono was przy życiu.

–Mój mąż wyświadczył mi zaszczyt...

Buntaro jeszcze raz przerwał jej ze złością, na co przeprosiła go i wyjaśniła, o co spytał Blackthorne. Lekceważącym gestem nakazał jej mówić dalej.

–Mój mąż wyświadczył mi zaszczyt odsyłając mnie – ciągnęła tym samym łagodnym tonem. – Błagałam, żeby pozwolił mi na seppuku, ale odmówił mi tego przywileju. Był

to... Muszę ci wyjaśnić, że może mi go przyznać albo on, albo pan Toranaga. Dlatego raz do roku w rocznicę tamtej zdrady nadal proszę pokornie, żeby mi na to pozwilił. Ale w mądrości swojej mój mąż zawsze mi, jak dotąd, odmawiał. – Uśmiechnęła się ślicznie. – Mąż codziennie, bez przerwy czyni mi zaszczyt, Anjin-san. Na jego miejscu w ogóle nie rozmawiałabym z tak... skalaną osobą.

–Czy to dlatego... dlatego jesteś ostatnia z rodu? – spytał przypominając sobie, jak podczas wędrówki przez Osakę wspomniała mu o jakiejś rodzinnej katastrofie.

Mariko przełożyła jego pytanie Buntaro i znów zwróciła się do niego.

–Hai, Anjin-san. Ale to nie była katastrofa, nie dla nich. Ojca wraz z rodziną schwytał w górach generał Nakamura, który został taikō. To właśnie on dowodził odwetową armią i wyrznął w pień wszystkie oddziały ojca, dwadzieścia tysięcy żołnierzy. Ojciec i jego najbliżsi wpadli w pułapkę, ale miał czas, żeby wszystkim pomóc, czterem moim braciom i trzem siostrami, mojej... mojej matce i dwóm konkubinom. A potem popełnił seppuku. Wszyscy byli samurajami i on postąpił jak samuraj – powiedziała. – Śmiało uklękli przed nim i po kolei ich zabił. Umarli z honorem. I on umarł z honorem. W zdradzie przeciwko naszemu lennemu panu uczestniczyli też dwaj bracia ojca i wuj. Oni również wpadli w pułapkę. I umarli równie godnie. Z rodu Akechi nie ocalał nikt prócz mnie, której przyszło znosić szyderstwa i nienawiść... och, przepraszam, Anjin-san, mylę się, prawdziwi wrogowie to mój ojciec, jego bracia i wuj. Z wrogów tych ocalałam tylko ja, żywy świadek ich podłej zdrady. Mnie, Akechi Mariko, pozostawiono przy życiu, ponieważ byłam mężatką i należałam przeto do rodziny męża. Mieszkaliśmy podówczas w Kioto. W chwili śmierci ojca przebywałam właśnie tam. Jego zdrada i bunt trwały tylko trzynaście dni, Anjin-san. Ale jak długo na tych wyspach żyją ludzie, nazwisko Akechi będzie skalane.

–Jak długo byłaś mężatką, kiedy to się stało?

–Dwa miesiące i trzy dni, Anjin-san.

–I miałaś wtedy piętnaście lat?

–Tak. Mąż uczynił mi zaszczyt nie rozwodząc się ze mną ani nie wyrzucając mnie, tak jak powinien był zrobić. Zostałam odesłana do pewnej wioski na północy kraju. Tam, w prowincji Shonai, było zimno. Bardzo zimno.

–Jak długo tam przebywałaś?

–Osiem lat. Pan Goroda miał lat czterdzieści dziewięć, kiedy popełnił seppuku, żeby uniknąć pojmania. Było to prawie szesnaście lat temu, Anjin-san, a większość jego potom...

Buntaro znów jej przerwał, głosem ostrym jak bat.

–Przepraszam, Anjin-san – powiedziała Mariko. – Mój mąż słusznie wskazuje mi, że wystarczy, jeśli powiem, że jestem córką zdrajcy, a długie wyjaśnienia są zbędne – dodała ostrożnie. – Racz wybaczyć maniery mojego męża. Bardzo przepraszam, ale mam rozkaz odejść. Wyjdź, proszę, stąd dopiero po jego odejściu albo kiedy upije się do nieprzytomności. Nie powstrzymuj go w tym. – Ukłoniła się Fujiko. – Dozo gomen nasai.

–Do itashimashite.

Mariko skłoniła głowę przed Buntaro i wyszła. W powietrzu pozostał zapach jej perfum.

–Sake! – zażądał Buntaro i uśmiechnął się złośliwie. Fujiko napełniła mu filiżankę, którą zastąpił czarękę.

–Zdrowie – powiedział Blackthorne, nie wiedząc co myśleć. Przez ponad godzinę przepijał do Buntaro, aż i jemu samemu zakręciło się w głowie. Wreszcie Buntaro stracił przytomność i zwałił się na potrzaskane filiżanki. Natychmiast odsunięto shoji. Do środka wszedł strażnik z Mariko. Podnieśli Buntaro i z pomocą służących, które wyrosły jak spod ziemi, zanieśli go do pokoju naprzeciwko. Pokoju Mariko, która z pomocą służącej Koi zaczęła rozbierać męża. Strażnik zasunął shoji i z dłonią na rękojeści wysuniętego miecza usiadł w korytarzu.

Fujiko czekała, przyglądając się Blackthorne'owi. Służące, które nadeszły, uprzątnęły bałagan. Znużony Blackthorne przejechał dłonią po długich włosach i rozwiązał wstążkę na warkoczu. Potem zaś chwiejnie wstał i wyszedł na werandę, a za nim jego konkubina. Woń świeżego powietrza otrzeźwiła go. Ale nie do końca. Zadumany usiadł na werandzie i pił w ciemności.

Kłęcząca za jego plecami Fujiko pochyliła się do przodu.

–Gomen nasai, Anjin-san.– wyszeptała, wskazując głową dom. – Wakarimasu ka? (Rozumiesz?)

–Wakarimasu, shigata ga nai – odparł, a spostrzegając jej nienaturalny niepokój, pogłodził ją po głowie.

–Arigato, arigato, Anjin-sama.

–Anatawa suimin ima, Fujiko-san – rzekł, z trudem klejąc słowa. (Ty teraz spać.)

–Dozo gomen nasai, Anjin-sama, suimin, ne? – powiedziała patrząc błagalnie i pokazując na jego pokój.

–Iye. Watashi oyogu ima. (Nie, idę popływać.)

–Hai, Anjin-sama.

Postłuszenie odwróciła się i zawołała. Nadbiegli dwaj służący, młodzi wieśniacy z wioski, silni i znani z tego, że dobrze pływają.

Blackthorne nie sprzeciwiał się. Wiedział, że dzisiejszej nocy jego sprzeciwy byłyby bez znaczenia.

–No cóż, w każdym razie – powiedział na głos, kiedy zamroczony winem schodził chwiejnie ze wzgórza, a za nim wieśniacy – uspiłem go. Tak więc jej nie skrzywdzi.

Popływawszy godzinę w morzu, Blackthorne poczuł się lepiej. Kiedy wrócił” Fujiko czekała na werandzie z dzbankiem świeżej cha. Kiedy się napił, położył się na posłaniu i natychmiast zasnął.

Obudził go nasączony jadem głos Buntaro. Odszukał ręką kolbę pistoletu, który zawsze trzymał pod futonem. Od nagle przerwane snu serce waliło mu w piersi.

Buntaro zamilkł. Zaczęła mówić Mariko. Blackthorne zrozumiał tylko pojedyncze słowa, wyczuwał jednakże w jej głosie perswazję i prośbę wypowiedzianą zwykłym, spokojnym tonem bez śladu uniżoności, zawożenia, płaczu. Buntaro znowu się wściekł.

Blackthorne starał się nie słuchać.

–Nie wtrącaj się – uprzedziła go bardzo przezornie. Nie miał przecież żadnych praw, za to Buntaro wiele. – Błagam cię, żebyś był ostrożny, Anjin-san. Pamiętaj, co ci powiedziałam o uszach, które nasłuchują, i o Wieńcu Ośmiu Płotów.

Oblany zimnym potem, postłuszenie położył się na wznak i zmusił się do myślenia o tym, co od niej usłyszał.

–Widzisz, Anjin-san – powiedziała mu, kiedy sobie kpił z powszechnego braku intymności w tym kraju: wszechobecnych ludzi, papierowych ścian, wścibskich oczu i uszu – u nas musisz się nauczyć stwarzania sobie własnego intymnego świata. Od dzieciństwa uczy się nas zamykania w sobie, otaczania nieprzebytymi murami, za którymi żyjemy. W przeciwnym razie na pewno byśmy zwariowali i pozabijali się nawzajem albo samych siebie.

–Jakimi murami?

–Och, do ukrycia się mamy niezliczone labirynty, Anjin-san. O, tak, rytuały i zwyczaje, najrozmaitsze zakazy. Nawet w naszym języku są liczne subtelności,

których brak waszym językom, a które pozwalają nam, z zachowaniem grzeczności, nie odpowiadać na żadne pytanie, jeśli tego nie chcemy.

–Ale w jaki sposób zamykacie uszy, Mariko-san? Przecież to niemożliwe.

–Och, bardzo łatwo się tego nauczyć. Oczywiście nauka rozpoczyna się, kiedy tylko dziecko zacznie mówić, tak że wkrótce staje się to naszą drugą naturą. Jakże inaczej moglibyśmy żyć? Najpierw zacznasz od usunięcia ludzi z własnej świadomości, od przeniesienia się na inne jej piętro. Bardzo pomaga w tym przyglądanie się zachodzącemu słońcu albo wsłuchiwanie się w deszcz... Czy zauważyłeś, Anjin-san, że deszcz różnie brzmi? Jeżeli naprawdę jesteś zasłuchany, to rzeczywistość znika, nie? Wyjątkowo świetnym ćwiczeniem jest przysłuchiwanie się opadającym płatkom kwiatów albo obrastaniu kamienia. Naturalnie, nikt nie oczekuje, że postrzeże te rzeczy, bo są to jedynie znaki, wiadomości dla twojego hara, jestestwa, żeby ci przypomnieć o przemijalności życia, dopomóc w osiągnięciu wa, harmonii, Anjin-san, doskonałej harmonii, która jest najbardziej poszukiwaną wartością w życiu Japończyków, samą sztuką, samą... – Roześmiała się. – No widzisz, co ze mną robi aż tyle wypitej sake. – Koniuszką języka nadzwyczaj powabnie dotknęła warg. – Zdradzę ci na ucho pewną tajemnicę: nie daj się zwieść naszym uśmiechom i grzecznościom, naszemu ceremoniałowi, ukłonom, przyjemnym manierom i uprzejmościom. Pod tym wszystkim ukryci możemy być oddaleni o milion ri, bezpieczni i sami. Bo tego właśnie szukamy – odosobnienia. Jedna z naszych pierwszych zapisanych pieśni, zamieszczona w naszej pierwszej historycznej księdze, „Kojiki”, spisanej przed mniej więcej tysiącem lat, być może wyjaśni ci, o czym mówię:

Osiem chmur nadlatuje.

Żeby skryć kochanków.

A Osiem Wieńców owych chmur otacza

Wieniec Ośmiu Płotów prowincji Izumo...

O, jakże wspaniały Wieniec Ośmiu Płotów!

Gdybyśmy nie mieli tego Wieńca Ośmiu Płotów, to z całą pewnością byśmy oszaleli, o, tak!.

Pamiętaj o Wieńcu Ośmiu Płotów, rzekł sobie, cały czas słysząc wściekłe syczenie Buntaro. Nic o niej nie wiesz. Ani o nim, naprawdę. Pomyśl o pułku muszkietów, o kraju, o Felicity, o tym, jak odzyskać statek, o Baccusie, Toranadze, Omim. A co z Omim? Czy muszę się na nim zemścić? Chce się ze mną zaprzyjaźnić, a od wydarzenia z pistoletami traktował mnie dobrze, miło i...

Nagle w głowie zahuczał mu odgłos uderzenia. Usłyszał głos Mariko, znowu odgłos ciosu, więc zerwał się na równe nogi i otworzył shoji.

Przed pokojem Mariko stał z mieczem w pogotowiu złowrogi strażnik Buntaro.

Blackthorne już był gotów zaatakować go, kiedy – na drugim końcu korytarza Otworzyły się drzwi i nadeszła Fujiko. Rozpuszczone włosy spływały jej w falach na nocne kimono. Nie zwracając najmniejszej uwagi na odgłosy dartych szat i wymierzanych policzków, ukloniła się grzecznie strażnikowi i stanęła pomiędzy nim a Blackthorne'em. Złożyła mu pokorny ukłon, wzięła za rękę i wskazała jego własny pokój. Blackthorne spostrzegł, że samuraj stoi cały naprężony i gotowy. Ponieważ miał przy sobie tylko jeden pistolet, a w nim jedną kulę, wycofał się. Fujiko weszła za nim i zamknęła shoji. A potem bardzo zalekniona ostrzegawczo potrząsnęła głową, dotknęła ust palcem i patrząc błagalnie pokręciła głową jeszcze raz.

–Gomen nasai, wakarimasu ka? – wyszeptała.

Blackthorne jednak skupiał całą uwagę na ścianie sąsiedniego pokoju, którą mógł rozwalić z taką łatwością.

Fujiko również na nią spojrzała, a potem stanęła pomiędzy nim a nią i usiadła, pokazując mu, żeby zrobił to samo.

Ale nie mógł usiąść. Stał gotując się do ataku, który zniszczy ich wszystkich, podżegany płaczem Mariko wywołanym przez kolejny raz.

–Iye! – powiedziała Fujiko, drżąc ze strachu. Dał jej znak, by mu zeszła z drogi.

–Iye, iye – powtórzyła błagalnie.

–Ima!!!

W jednej chwili wstała, powstrzymała go gestem i bezszelestnie podeszła do mieczów spoczywających przed tokonamą, małą wnęką w ścianie. Drżącymi rękami wzięła długi miecz, wysunęła go z pochwy i przyszykowała się, żeby przejść przez ścianę za Blackthorne'em. W tym momencie usłyszeli uderzenie i kolejny wybuch furii. Trzasnęło odsunięte shoji i zadudniły ciężkie kroki Buntaro, za którym ruszył jego strażnik. Przez chwilę w domu panowała cisza, a potem grzmotną zatrzaśniętą furtką ogrodowa.

Blackthorne podszedł do drzwi. Fujiko skoczyła i zastąpiła mu drogę, ale odsunął ją na bok i je otworzył.

Mariko nadal klęczała w kącie drugiej izby. Na policzku miała siną pręgę, włosy w nieładzie, kimono w strzępach, a na udach i lędźwiach liczne sińce.

Podszedł szybko, chcąc ją podnieść, ale krzyknęła na niego:

–Odejdź, proszę, odejdź, Anjin-san! Zauważył, że z kącika jej ust spływa strużka krwi.

–O Boże, jak mocno cię...

–Prosiłam, żebyś się nie mieszał. Odejdź, proszę – powiedziała tym samym spokojnym głosem, który przeczył jej pełnemu furii spojrzeniu.

I wtedy spostrzegła Fujiko, która stała w wejściu. Coś do niej powiedziała. Fujiko posłusznie wzięła Blackthorne'a za rękę, żeby go wyprowadzić, ale wyrwał się jej.

–Nie! Iye!.

–Twoja obecność upokarza mnie. Nie pociesza i nie uspokaja, tylko zawstydzia. Odejdź! – powiedziała Mariko.

–Chcę ci pomóc. Nie rozumiesz tego?

–A czy ty rozumiesz? W tej sprawie nie masz żadnych praw. To prywatna kłótnia pomiędzy mężem i żoną.

–Nic nie usprawiedliwia bicia...

–Dlaczego ty mnie nie słuchasz, Anjin-san? Jeżeli mu się spodoba, może mnie zatłuc na śmierć. Ma do tego prawo i szkoda, że tego nie zrobił... niechby zatłukł! Nie musiałabym już wtedy dłużej znosić swojej hańby. Myślisz, że łatwo mi z nią żyć? Nie słyszałeś, co ci powiedziałam? Jestem córką Akechiego Jinsai. Akechiego!!!

–To nie twoja wina. Ty nic nie zrobiłaś!

–Moja wina, dlatego że jestem jego córką.

Na tym Mariko mogłaby zakończyć rozmowę. Ale spoglądając na niego i widząc jego współczucie, troskę, miłość, a także znając jego umiłowanie prawdy, pozwoliła sobie na uchylenie przed nim rąbka tajemnicy.

–Dzisiaj to ja zawiniłam, Anjin-san – powiedziała. – Gdybym płakała, tak jak tego pragnął, prosiła go o wybaczenie, płaszczyła się przed nim, była wobec niego sparaliżowana strachem i uległa, gdybym rozłożyła przed nim nogi, udając przerażenie, gdybym robiła to wszystko, czego wymaga się w takich razach od kobiety, to wówczas jadłby mi z ręki. Ale ja tego nie zrobiłam.

–Dlaczego?

–Bo to jest moja zemsta. Zapłata za to, że pozostawił mnie przy życiu po tamtej zdradzie. Zapłata za odesłanie mnie na osiem lat i utrzymywanie mnie przy życiu przez cały ten czas. I zapłata za to, że nakazał mi powrót do normalnego życia, bym żyła dalej. – Usiadła obolała i zawinęła się ciasniej w porwane kimono. – Nigdy więcej mu się nie oddałam. Z własnej woli zrobiłam to jeden raz, mimo że od pierwszego wejrzenia był mi wstrętny.

–To dlaczego go poślubiłaś? Powiedziałaś mi, że kobiety tutaj mają prawo odmówić ślubu, że nie muszą wychodzić za mąż na przekór swoim chęciom.

–Poślubiłam go, żeby sprawić przyjemność dyktatorowi Gorodzie i mojemu ojcu. Byłam taka młoda, że nie miałam pojęcia, kim jest Goroda, ale jeżeli chcesz znać prawdę, to był on najokrutniejszym, najbardziej obmierzłym człowiekiem, jakiego nosiła ziemia. Doprowadził mojego ojca do zdrady. Oto jak wygląda prawda! On, Goroda! – powiedziała, wypluwając z ust to nazwisko. – Gdyby nie on, wszyscy byśmy żyli i cieszyli się szacunkiem. Modłę się do Pana Boga, żeby Goroda na wiek wieków pozostał w piekle. – Ostrożnie zmieniła pozycję, żeby złagodzić ból w boku. – Z moim mężem łączy mnie tylko nienawiść, to nasza karma. Przecież z taką łatwością mógłby mi pozwolić, żebym wspięła się na ten mały podest, na którym się umiera.

–Dlaczego nie pozwoli ci odejść od siebie?, Nie rozwiedzie się z tobą? Albo nawet nie zaspokoi twoich pragnień?

–Ponieważ jest mężczyzną.

Skrzywiła się, bo przeszył ją ból. Blackthorne uklęknął przy niej i wziął ją w ramiona. Odepchnęła go, z wszelkich sił starając się opanować. Fujiko przyglądała się im od progu ze stoickim spokojem.

–Nic mi nie jest, Anjin-san. Proszę, zostaw mnie. Nie wolno ci tego robić. Musisz być ostrożny.

Znużonym gestem odgarnęła włosy z oczu i wpatrzyła się w niego badawczo. A może by tak pozwolić mu na zetknięcie się z jego karmą, pomyślała. Nie należy do naszego świata. Buntaro zabije go z taką łatwością. Dotychczas tarczą mu była tylko osobista ochrona Toranagi. Yabu, Omi, Naga, Buntaro... każdego z nich łatwo można sprowokować do zabicia go.

Przecież od jego przyjazdu są same kłopoty, ne? Naga-san ma rację: Anjin-san zniszczy nasz świat, jeżeli go się nie powstrzyma.

A jeżeli Buntaro zna prawdę? Albo zna ją Toranaga? O tamtym poduszkiowaniu...

–Czyś ty oszalała? – spytała ją tamtej pierwszej nocy Fujiko.

–Nie.

–To dlaczego chcesz zastąpić służącą?

–Z powodu sake i dla przyjemności, Fujiko-san, a także z ciekawości – skłamała, ukrywając prawdziwy powód. Blackthorne bowiem podniecał ją, pożądał go, a nigdy nie miała kochanka. Gdyby’ nie skorzystała z takiej okazji tamtej nocy, to nie skorzystałaby już nigdy, a kochankiem tym musiał być Anjin-san, nikt inny.

Tak więc poszła do niego, przeżyła zachwyty, wczoraj zaś, po przyplynięciu galery, Fujiko spytała ją w zaufaniu:

–A Czy poszłabyś do niego wiedząc, że twój mąż żyje?

–Nie. Naturalnie, że nie – skłamała jej.

–Ale teraz powiesz o tym panu Buntaro, he? O poduszkowaniu z Anjin-sanem?

–A po co?

–Myślałam, że taki masz plan. Że kiedy powiesz panu Buntaro o wszystkim we właściwej chwili, to skrupi całą wściekłość na tobie i zanim się spostrzeże, co zrobił, ty szczęśliwie już nie będziesz żyła.

–Nie, Fujiko-san, on mnie nigdy nie zabije. Niestety. Jeżeli znajdzie dostateczny powód, to – za pozwoleniem pana Toranagi – odda mnie pariasom eta, ale nie zabije mnie nigdy.

–Cudzołóstwo z Anjin-sanem, czy to by mu wystarczyło?

–O, tak.

–A jaki byłby los twojego syna?

–Skoro ja jestem pohańbiona, to on odziedziczyłby po mnie hańbę, ne?

–Powiedz mi, proszę, czy twoim zdaniem Buntaro-sama podejrzewa, co się stało? Bo jako konkubina Anjin-sama mam obowiązek ochraniać go.

Tak, masz taki obowiązek, Fujiko-san, pomyślała Mariko. To zaś dałoby ci powód do jawnej zemsty na oskarżycielu twojego ojca, czego tak bardzo pragniesz. Bardzo mi przykro, biedna Fujiko, ale twój ojciec był tchórzem. Nawet te miecze, które tak sobie cenisz, nie zostały mu przyznane za zasługi w bitwie, ale kupił je od rannego samuraja. To też jest prawda, ale wybaczone, nigdy ci tego nie powiem.

–Nie boję się go – powtórzył Blackthorne.

–Wiem – odparła, nękana bólem. – Ale proszę cię, błagam, bój się go przez wzgląd na mnie.

Blackthorne podszedł do drzwi.

Buntaro czekał na niego o sto kroków od domu, pośrodku drogi zbiegającej do wioski – krępy, mocno zbudowany i śmiertelnie groźny. Obok niego stał strażnik. Ranek był pochmurny, morze spokojne. Na pływaczach już krzątały się rybackie łodzie.

Blackthorne spostrzegł, że Buntaro trzyma łuk luźno, zwrócił też uwagę na jego miecze i miecze strażnika. Buntaro chwiał się lekko na nogach, była więc nadzieja, że chybi z łuku, co pozwoli mu zbliżyć się do niego odpowiednio blisko. Przy drodze nie było gdzie się schować. Nie zważając na nic, Blackthorne odwiódł kurki pistoletów i ruszył w dół ku tamtym.

Pal diabli osłonę, pomyślał mętnie, owładnięty żądzą krwi, wiedząc przy tym, że porywa się na czyn szalony, że nie ma najmniejszych szans w starciu z tymi dwoma samurajami bądź dalekosiężnym łukiem, że nie ma żadnego prawa wtrącać się do sprawy. I wówczas, gdy wciąż jeszcze znajdował się za daleko, by wystrzelić z pistoletu, Buntaro uklonił mu się nisko, a strażnik poszedł za jego przykładem. Blackthorne zatrzymał się, wietrząc podstęp. Rozejrzał się dookoła, ale w pobliżu nie było nikogo. Jak we śnie ujrzał, że Buntaro opada ciężko na kolana, odkłada na bok łuk i płasko ułożywszy dłonie na ziemi kłania mu się niczym chłop swojemu panu. Podobnie zrobił strażnik.

Zdezorientowany Blackthorne wybałuszył na nich oczy. Kiedy upewnił się, że go wzrok nie myli, ruszył wolno, z pistoletami wprawdzie nie wymierzonymi, ale gotowymi do strzału, spodziewając się podstępu. W niewielkiej odległości od nich zatrzymał się. Zwyczaj nakazywał mu uklęknąć i odpowiedzieć pozdrowieniem, jako że byli sobie równi albo prawie równi, ale nie był w stanie zrozumieć, po co te niewiarygodne, ceremonialne uprzejmości w sytuacji, w której za chwilę ma popłynąć krew.

–Wstań, bydlaku! – powiedział, przygotowując się do pociągnięcia za spusty.

Buntaro nie odezwał się, nic nie zrobił, lecz trwał z nisko pochyloną głową i płasko ułożonymi rękami. Kimono na plecach miał mokre od potu.

–Nan ja? – spytał Blackthorne, używając najbardziej obcesowego pytania: „O co chodzi?”, żeby sprowokować Buntaro do wstania, jakiegoś wrogiego gestu, zdając sobie sprawę, że nie zabije go dopóty, dopóki tak klęczy przed nim z pochyloną głową, niemal dotykając nią ziemi.

Świadom, że niegrzecznie jest stać, kiedy oni klęczą, i że owo „nan ja” było prawie

niewybaczalnym, a już na pewno zbędnym afrontem, nie wypuszczając pistoletów ukląkł, położył dłonie na ziemi i się odklonił. Usiadł na piętach.

–Hai? – spytał z wymuszoną grzecznością.

Buntaro natychmiast zaczął coś mamrotać. Uniżonym tonem. Przepraszająco. Za co go przepraszał i dlaczego, Blackthorne nie wiedział. Wyłapywał pojedyncze słowa, wielokrotnie słowo „sake”, niemniej były to z pewnością przeprosiny i pokorna prośba o wybaczenie. Buntaro mówił i mówił. A kiedy nareszcie zamilkł, znów przycisnął głowę do ziemi.

Gniew zaślepiający Blackthorne’a już minął.

–Shigata ga nai – powiedział ochryple, a znaczyło to „nie ma na to rady”, „nic się nie da zrobić” bądź „cóż począć”. Nie wiedział, czy te przeprosiny to zwykły rytuał, który poprzedza atak. – Shigata ga nai. Hakkiri wakaranu ga shinpai surukotowanai. (Cóż począć? Nie rozumiem dokładnie, ale się nie martw).

Buntaro podniósł wzrok i usiadł.

–Arigato... arigato, Anjin-san. Dorno gomen nasai.

–Shigata ga nai – powtórzył Blackthorne, a ponieważ przeprosiny okazały się prawdziwe, podziękował Bogu, że sprawił cud i do pojedynku nie doszło. Zdawał sobie sprawę, że nie ma tu żadnych praw, że zachował się jak szaleniec i że kryzys w stosunkach z Buntaro można rozwiązać, odwołując się do zasad. To zaś oznaczało arbitraż Toranagi.

Ale dlaczego on przeprasza? – zapytywał się gorączkowo. Pomyśl! Musisz nauczyć się myśleć jak oni.

I nagle odgadł wyjaśnienie. To na pewno dlatego, że jestem hatamoto a Buntaro, jako gość, zakłócił wa, harmonię mojego domu. Tak jawną i gwałtowną kłótnią z żoną w moim domu ubliżył mi, a ponieważ ponosi za to całkowitą winę, więc musi mnie przeprosić bez względu na to, co sobie myśli. Samuraj jest zobowiązany przeprosić drugiego samuraja, a gość gospodarza...

Zaraz! Pamiętaj, że wedle ich zwyczajów każdemu mężczyźnie wolno się upić, a kiedy się upije, to właściwie nie odpowiada za swoje uczynki. Nie zapominaj, że urznięcie się nie jest tu kompromitacją. Przypomnij sobie, na statku Mariko i Toranaga nie przejęli się, żeś się spił. Byli rozbawieni, a nie oburzeni, jak my, Europejczycy.

I czy to nie ciebie trzeba winić za to wszystko? Czy to nie ty zacząłeś tę popijawę? Czy to nie ty ją sprowokowałeś?

–Tak – odpowiedział sobie na głos.

–Nan desu ka, Anjin-san? – spytał Buntaro, patrząc przekrwionymi oczami.

–Nani mo. Watashi no kashitsu desu (Nic. To moja wina) – odparł.

Buntaro pokręcił głową, oświadczył, że wcale nie, że cała wina jest po jego stronie, uklonił się i przeprosił jeszcze raz.

–Sake – zakończył sprawę Blackthorne i wzruszył ramionami. – Shigata ga nai. Sake!

Buntaro uklonił się i przeprosił znowu. Blackthorne odkłonił mu się i wstał. To samo zrobili Buntaro i strażnik. Ponownie złożyli mu ukłon. I znowu odwzajemnił im się ukłonem.

Po dłuższej chwili Buntaro odwrócił się i odszedł chwiejnym krokiem. Blackthorne zaczekał, aż tamten oddali się poza zasięg strzału z łuku, zastanawiając się, czy mąż Mariko jest aż tak pijany, jak wygląda. A potem wrócił do domu.

Fujiko oczekiwała go na werandzie, kryjąc się ponownie pod uśmiechem i pozorami grzeczności. Co ty sobie naprawdę myślisz? – zadawał sobie pytanie, kiedy go witała.

Drzwi do pokoju Mariko były zamknięte. Stała przy nich jej służąca.

–Mariko-san? – odezwał się.

–Tak, Anjin-san?

Czekał, ale drzwi pozostały zamknięte.

–Czy nic ci nie jest?

–Nie, dziękuję. – Usłyszał jej chrząknięcie, a potem cichy głos: – Fujiko powiadomiła pana Yabu i pana Toranagę, że jestem dziś niedysponowana i nie będę mogła tłumaczyć.

–Powinnaś sprowadzić lekarza.

–Och, dziękuję, ale Suwo doskonale sobie z tym poradzi. Posłałam po niego. Ja... ja tylko skręciłam sobie biodro. Naprawdę nic mi nie jest, nie musisz się o mnie martwić.

–Posłuchaj, znam się trochę na objawach. Nie plujesz krwią, co?

–Och, nie. Poślizgnęłam się i stłukłam sobie policzek. Naprawdę czuję się całkiem dobrze.

–Buntaro przeprosił mnie – powiedział po chwili.

–Wiem. Fujiko widziała to z bramy. Dziękuję ci uniżenie za przyjęcie jego przeprosin. Dziękuję ci. A poza tym, Anjin-san, bardzo mi przykro, że zakłócono ci spokój... to niewybaczalne, żeby twoja harmonia... zechciej przyjąć również moje przeprosiny. Nie powinnam była przenigdy folgować językowi. Popełniłam niegrzeczność, dlatego racz wybaczyć także mnie. Ta kłótnia była z mojej winy. Przyjmij, proszę, moje przeprosiny.

–Za to pobicie?

–Za nieposłuszeństwo wobec mojego męża, za to, że nie pomogłam mu błogo zasnąć, za to, że zawiodłam jego i mojego gospodarza. A także za to, co powiedziałam.

–Na pewno nic nie mogę dla ciebie zrobić?

–Nie... nie, dziękuję ci, Anjin-san. To tylko jeden dzień.

Blackthorne jednak nie zobaczył jej przez osiem.

–Zaprosiłem cię na polowanie, Naga-san, nie po to, żeby wysłuchiwać opinii, które już znam – rzekł Toranaga.

–Błagam cię, ojcze, po raz ostatni: zaniechaj tego szkolenia, zabroń używania muszkietów, zabij barbarzyńcę, ogłoś, że próba z nimi się nie udała i skończ z tą potwornością.

–A ja po raz ostatni powiadam: nie!

Sokolica, siedząca na obleczonej rękawicą dłoni Toranagi, poruszyła się niespokojnie i nie przyzwyczajona do tak ostrych, tonów w ustach swojego pana, gniewnie syknęła. Stali w krzakach, poza zasięgiem słuchu naganiaczy i straży przybocznej. Dzień był upalny, wilgotny i pochmurny.

Naga wysunął podbródek.

–Dobrze. Ale i tak moim obowiązkiem jest przypomnieć ci, że grozi ci tu niebezpieczeństwo, dlatego też z należną grzecnością domagam się po raz ostatni, żebyś dziś opuścił Anjiro.

–A ja po raz ostatni powtarzam: nie!

–Więc weź moją głowę!

–Przecież już ją mam!

–No, to weź ją dzisiaj, w tej chwili i pozwól mi zakończyć życie, ponieważ nie posłuchasz dobrych rad.

–Naucz się cierpliwości, szczeniaku!

–Jakże mogę zachować cierpliwość, skoro widzę, że sam siebie gubisz? Moim obowiązkiem jest ci to wytknąć. Siedzisz tutaj, polując i marnując czas, podczas gdy twoi wrogowie skrzy kuja przeciwko tobie cały świat. Jutro spotykają się regenci. Cztery piąte japońskich daimyō albo już znajduje się w Osace, albo w drodze do niej. Tylko ty jeden spośród możliwych odmówiłeś. Oskarżą cię o zdradę. A wtedy nic cię nie uratuje. Powinieneś przynajmniej być w Edo, w otoczeniu własnego wojska. Tutaj jesteś bezbronny. Nie zdołamy cię obronić. Mamy zaledwie tysiąc samurajów, a czy Yabu nie zmobilizował całej Izu? W promieniu dwudziestu ri ma ponad osiem tysięcy żołnierzy, a jeszcze sześć strzeże granic prowincji. Szpiedzy, jak wiesz, donoszą, że na północ stąd pływa jego flota, która zatopi twoją galerę, gdy-, byś próbował uciec! Czy nie widzisz, że znów jesteś jego więźniem? Wystarczy jeden gołąb od Ishido,

żeby Yabu, mógł zniszczyć cię w dowolnej chwili. Skąd wiesz, że on i Ishido nie knują zdrady?

–Jestem pewien, że Yabu rozważa taką możliwość. Na jego miejscu robiłbym to samo, a ty?

–Nie, ja nie.

–W takim razie niedługo byś pożył, co byłoby w pełni zasłużone, ale nie pożyłaby też długo twoja rodzina, cały ród oraz wszyscy wasale, a to już byłoby nie do wybaczenia. Jesteś niemądrym, porywczym durniem! Nie posługujesz się rozumem, nie słuchasz, niczego się nie uczysz, nie trzymasz na wodzy języka ani nerwów! Pozwalasz powodować sobą jak małe dziecko i wierzysz, że wszystko da się załatwić dzięki klindze miecza. Pozwolę ci zachować twoją głupią głowę i jedynie ze względu na twój młody wiek nie udzielę ci zgody na skrócenie twego nic niewartego życia, dostrzegam bowiem w tobie pewne możliwości, twoje pomyłki nie wypływają ze złej woli, nie jesteś podstępny, a twoja wierność jest bez zarzutu. Ale jeżeli prędko nie nauczysz się cierpliwości i samodyscypliny, to pozbawię cię pozycji samuraja i wraz z wszystkimi twoimi potomkami obrócę w chłopów! – Toranaga prawą pięścią trzasnął w siodło, a zdenerwowana sokolica krzyknęła przenikliwie. – Rozumiesz?

Naga przeżył wstrząs. Nigdy dotąd nie widział ani nie słyszał, żeby ojciec krzyczał w gniewie lub przestał nad sobą panować. Wiele razy doświadczył ostrości jego języka, ale nigdy bez słusznego powodu. Wiedział, że popełnił wiele błędów, ale ojciec zawsze naprawiał je tak, że wcale nie wyglądały na takie głupie jak z początku. Dla przykładu, kiedy wykazał mu, w jaki sposób on, Naga, wpadł w pułapkę Omiego – czy też Yabu – w sprawie Jozena, to trzeba go było fizycznie powstrzymać od rzucenia się na nich, gdyż chciał ich zabić. Toranaga jednakże nakazał swoim strażnikom tak długo polewać syna zimną wodą, aż ten zaczął rozumnie myśleć. Wtedy zaś wyjaśnił mu spokojnie, że bardzo mu pomógł, usuwając z drogi zagrożenie, jakim był Jozen.

–Ale lepiej byłoby, gdybyś wiedział, że cię podpuszczono. Bądź cierpliwy, synu, bo od cierpliwości zależy wszystko – poradził mu ojciec. – Niedługo sam będziesz mógł nimi manipulować. Postąpiłeś bardzo dobrze. Jeżeli jednak chcesz być pożyteczny dla siebie albo dla swojego pana, to musisz się nauczyć rozpoznawać, co kto ma na myśli. Potrzebuję przywódców. Fanatyków mam pod dostatkiem.

Ojciec zawsze przedstawiał logiczne argumenty i wybaczał, ale dzisiaj... Naga zeskoczył z konia i pokornie uklęknął.

–Zechciej mi wybaczyć, ojcze – powiedział. – Za nic nie chciałem cię rozgniewać... to wszystko dlatego, że tak bardzo boję się o twoje bezpieczeństwo. Przepraszam, że zakłóciłem harmonię...

–Zamilcz! – krzyknął Toranaga, płosząc konia.

Mocno ścisnął kolanami zaniepokojone zwierzę i prawą ręką silniej ścięgnął cugle. Wytrącona z równowagi sokolica zaczęła szaleć, zeskakując mu z dłoni, gwałtownie trzepocząc skrzydłami, wykrzykując świdrujące w uszach ik-ik-ik-ik-iiiiik! – rozzłoszczona niezwykłym i przykrym poruszeniem dookoła.

–No więc? – spytał Toranaga.

Kłęczący przy swoim koniu Naga pokłonił się.

–Masz całkowitą rację, wielmożny panie... w tym, jak mnie oceniłeś. Przepraszam, że cię obraziłem.

–Ale nie za udzielenie mi złej rady?

–Ja... błagam, przydziel mnie do kogoś, kto nauczy mnie, bym więcej nie powtórzył tego błędu. Nie chcę udzielać ci więcej złych rad, nigdy.

–To dobrze. Część każdego dnia spędzisz na rozmowach z Anjin-sanem, ucząc się od niego wszystkiego, co wie. Będzie jednym z twoich nauczycieli.

–On?

–Tak. Może to nauczy cię trochę dyscypliny. Jeżeli rozkruszysz kamień, który masz pod czaszką, to z pewnością dowiesz się wielu cennych rzeczy. Może nawet dowiesz się rzeczy cennych dla mnie.

Naga wbił w ziemię zgnębiony wzrok.

–Chcę, żebyś poznał wszystko, co on wie o muszkietach, działach i prowadzeniu wojny. Zostaniesz moim ekspertem. Tak. Chcę, żebyś znał się na tym doskonale.

Naga nic nie powiedział.

–Chcę, żebyś się z nim zaprzyjaźnił.

–W jaki sposób, wielmożny panie?

–A dlaczego sam nie wymyślisz jakiegoś? Może byś tak użył własnej głowy.

–Postaram się. Przysięgam, że się postaram.

–Oczekuję po tobie więcej. Ma ci się powieść. Wykorzystaj „chrześcijańską miłość bliźniego”. Chyba nauczyłeś się wystarczająco dużo, żeby to załatwić. Ne?

Naga spojrział na niego spode łba.

–Bardzo się o to starałem, ale tego nie można się nauczyć – odparł. – Naprawdę! Tsukku-san mówił o samych dogmatach i bzdurach, od których zemdliłoby każdego. Chrześcijaństwo dobre jest dla chłopstwa, a nie dla samurajów. Nie zabijaj, nie bierz więcej niż jedną kobietę i pół setki innych głupstw! Byłem ci posłuszny wówczas i będę ci posłuszny teraz, jestem ci zawsze posłuszny! Może jednak pozwolisz mi robić to, co umiem, wielmożny panie? Jeżeli pragniesz, to na twoje polecenie zostanę chrześcijaninem, ale nie mogę uwierzyć... to wszystko przecież gównie... przepraszam za wyrażenie. Zaprzyjaźnię się z Anjin-sanem. Zrobię to.

–Dobrze. I pamiętaj, że on jest wart dwadzieścia tysięcy razy więcej niż surowy jedwab jego wagi i posiada wiedzę większą, niż ty posiadałbyś w ciągu dwudziestu wcieleń.

Naga powstrzymał nerwy i z szacunkiem skinął głową na znak zgody.

–Dobrze. Poprowadzisz dwa bataliony. Omi-san dwa, a jeden pozostanie w odwodzie pod dowództwem Buntaro.

–A cztery pozostałe, wielmożny panie?

–Brakuje nam dla nich muszkietów. Ten fortel był po to, żeby zwieść Yabu – odparł Toranaga, podsuwając synowi smakowity kąsek. –

–Słucham, wielmożny panie?

–Był to pretekst do ściągnięcia tutaj jeszcze tysiąca naszych wojowników. Czyż nie przyplyną tu jutro? Mając dwa tysiące samurajów mogę utrzymać Anjiro, a w razie potrzeby uciec. Ne?

–Ale Yabu mimo to może... – Naga ugryzł się w język, zdając sobie sprawę, że znowu z całą pewnością źle ocenił sytuację. – Dlaczego ja jestem taki głupi? – spytał z goryczą. – Dlaczego nie dostrzegam tego, co ty? Albo Sudara. Chcę ci pomóc, być przydatny. Nie chcę cię bez przerwy drażnić.

–W takim razie ucz się cierpliwości, synu, i opanowania. Twój czas niedługo nadejdzie.

–Tak, wielmożny panie?

Cierpliwość Toranagi nagle wyczerpała się. Spojrział w niebo.

–Chyba się prześpię – powiedział.

Naga natychmiast zdjął siodło, końską derkę i ułożył z nich na ziemi samurajskie posłanie. Toranaga podziękował mu i przyglądał się, jak syn rozstawia strażę. Kiedy upewnił się, że zostało to zrobione jak należy i jest bezpieczny, położył się i zamknął oczy.

Nie miał zamiaru spać, tylko myśleć. Wiedział, iż to, że wpadł w gniew, jest złym znakiem. Masz szczęście, że zdarzyło się to w obecności Nagi, który nie jest zbyt rozgarnięty, rzekł sobie. Gdybyś to zrobił przy Omim albo Yabu, od razu rozpoznaliby, że się bardzo martwisz. A taka wiedza łatwo mogłaby ich popchnąć do zdrady. Tym razem dopisało ci szczęście.

Nagę należy traktować jak sokoła. Czyż nie krzyczy i nie wścieka się jak najlepsze z tych ptaków? Jedyne z nim kłopot, że puszczono go na niewłaściwą zwierzynę. Jego żywioł to walka i nagła śmierć, które już wkrótce napotka.

A co z Anjin-sanem? To też sokół. Ale nie jest jeszcze ułożony do ręki, jak utrzymują Yabu i Mariko. Kto jest jego zwierzyną? Jego zwierzyną jest Czarna Karawela, pilot Rodrigues, ten szpetny, zarozumiały mały generał-gubernator, i który niedługo już pożyje na tej ziemi, wszyscy księża Czarne Suknie i księża Włochate Śmierdziele, wszyscy Portugalczycy, Hiszpanie, Turcy, kimkolwiek są, Islamczycy, nie zapominając o Omim, Yabu, Buntaro, Ishido i mnie.

Na kogo go wypuścić?

Na Omiego? Jeszcze nie.

Na Yabu? Jeszcze nie.

Na Buntaro?

Właściwie dlaczego Anjin-san ruszył za nim z pistoletami? Z powodu Mariko, oczywiście. Ale czy ze sobą poduszowali? Mieli mnóstwo okazji. Myślę, że tak. To dobrze. Nic złego nie ma w ich poduszowaniu, pod warunkiem, że obie strony są dyskretne, a Buntaro uchodził przecież za zmarłego.

Nie, nie wypuszczę pilota na niego, potrzebuję tego głupca. Ale bez względu na to, czy tych dwoje poduszowało ze sobą, mam nadzieję, że Buntaro nie przyjdzie to do głowy. Wtedy bowiem musiałbym go szybko zabić, ponieważ nic nie powstrzymałoby go od zabicia Anjin-sana i Mariko, a oni są mi potrzebni bardziej niż on.

Leżąc pod pochmurnym niebem i czekając na deszcz, Toranaga uśmiechnął się do siebie.

Wszyscy wokół to drapieżne ptaki, pomyślał. Mariko, Buntaro, Omi, Fujiko, Ochiba, Naga, wszyscy moi synowie i córki, kobiety i wasale, i wszyscy moi wrogowie...

same drapieżne ptaki, a zarazem ich ofiary.

Z rozmyślań wytrącił go słaby okrzyk, więc zerwał się na nogi. Podniecony Naga wskazywał ręką na zachód. Wszyscy patrzyli w tamtym kierunku.

Do Anjiro prosto z zachodu nadlatywał gołąb. Z trzepotem przysiadł na odległym drzewie, a po chwili zerwał się ponownie wraz z zaczynającym kropić deszczem.

Daleko na zachodzie za nim leżała Osaka.

Kiedy Toranaga ściągał z siebie przemoczone ubranie, gołębiarz delikatnie, ale mocno trzymał gołębia. Daimyō wrócił galopem pośród ulewy. Naga i drugi samuraj stłoczyli się w wąskim wejściu, nie bacząc na ciepły deszcz, który wciąż lał się strumieniami i bębnił w dachówki.

Toranaga starannie wytarł ręce. Gołębiarz podał mu ptaka, Gołąb miał przymocowane do nóg dwie malutkie kapsułki z kutego srebra. Toranaga musiał się bardzo wysilać, żeby opanować nerwowe drżenie palców. Odwiązał cylinderki i zaniósł je do światła wpadającego przez otwory okienne, żeby sprawdzić miniaturowe pieczęcie. Rozpoznał tajny znak Kiri. Naga i pozostali przyglądali mu się w napięciu. Nic nie można było wyczytać z jego twarzy.

Toranaga nie złamał pieczęci od razu, chociaż bardzo chciał. Cierpliwie zaczekał, aż przyniosą mu suche kimono. Pod przytrzymywanym przez służącego dużym parasolem z impregnowanego pergaminu przeszedł do swoich pomieszczeń w warowni. Czekają na niego zupa i cha. Wypił je powoli, wsłuchując się w deszcz. Kiedy się rozgrzał” wystawił strażę i wszedł do pokoju w głębi budynku. W samotności złamał pieczęcie. Cztery zwoje były z bardzo cienkiego papieru, pismo drobniutkie, wiadomość długa i zaszyfrowana. Odszyfrowanie jej było bardzo żmudne. Kiedy skończył, odczytał ją dwukrotnie. A potem zaczął intensywnie myśleć.

Zapadła noc. Deszcz ustał. O Buddo, spraw, żeby zbiory były obfite, pomodlił się. O tej porze roku ryżowiska tonęły w wodzie i w całym kraju na nagich, wylewionych do czysta, niemal płynnych polach sadzono jasnozielone sadzonki ryżowe, które za cztery, pięć miesięcy, zależnie od pogody, miały przynieść plon. W całym kraju biedni i bogaci, cesarz i pariasi eta, samuraje i służba, wszyscy modlili się o to, żeby deszczu, słońca i wilgoci było w sam raz we właściwym czasie. Każdy też Japończyk, włącznie z dziećmi, liczył dni do zbiorów.

Potrzebujemy w tym roku doskonałych zbiorów, pomyślał Toranaga.

–Naga! – zawołał. – Naga-san!

–Tak, ojcze? – spytał jego syn; nadbiegając.

–W godzinę po brzasku sprowadź pana Yabu i jego głównych doradców na płaskowyż. A ponadto Buntaro i trzech naszych starszych dowódców. Także Mariko-san. Niech się wszyscy stawiają o świcie. Mariko poda herbatę. Tak. Chcę też, żeby Anjin-san pozostał w obozie. W promieniu dwustu kroków od nas wystaw strażę.

–Tak, ojcze. – Naga odwrócił się, by wypełnić polecenia, ale nie mogąc się powstrzymać, spytał: – To wojna, tak?

Toranaga tym razem nie upomniał syna za niezdyscyplinowanie i zuchwalstwo, bo potrzebował mieć w warowni zwiastuna pomyślnych wieści.

–Tak – powiedział. – Tak, ale na moich warunkach.

Naga zamknął shoji i pośpiesznie odszedł. Toranaga był pewien, że choć mina i zachowanie syna pozostaną opanowane, to nic nie ukryje jego podnieconego chodu i zapału w oczach. Tak więc, przy właściwym podsycaniu owego ognia, przez Anjiro przemkną pogłoski i kontrpogłoski, które rozszerzą się na całą Izu i poza jej granice.

–Teraz już nie mam odwrotu – powiedział na głos do kwiatów, które tak błogo i spokojnie stały w tokonamie pośród cieni drżących w miłym blasku świecy.

Wielmożny Panie - napisała mu Kiri – modłę się do Buddy o Twoje zdrowie i bezpieczeństwo. To nasz ostatni już gołąb pocztowy, modłę się więc, żeby Budda zawiódł go do Ciebie; zdrajcy wytracili wszystkie pozostałe, podpalając nam gołąbnik, a ten ocalał jedynie dlatego, że był chory i pielęgnowałam go oddzielnie.

Wczoraj rano, tak jak było w planie, pan Sugiyama nagle zrezygnował. Ale zanim mógł na dobre uciec, na przedmieściach Osaki wpadł w pułapkę zastawianą przez roninów Ishido. Na nieszczęście pochwycono wraz z nim część jego rodziny, a zdradził go, jak słyszałam, ktoś ze swoich. Płotka mówi, że Ishido zaproponował mu ugodę: taką mianowicie, że jeśli pan Sugiyama odłoży swoją rezygnację do czasu zebrania Rady Regencyjnej (jutro), by w ten sposób można Cię było zgodnie z prawem oskarżyć, to w rewanżu Ishido urzędowo przyzna mu całe Konto i w dowód zaufania natychmiast uwolni go wraz z rodziną. Pan Sugiyama odmówił zdradzenia Ciebie. Ishido z miejsca rozkazał siepaczom eta, żeby go do tego skłonili. Torturowali jego dzieci, a potem jego konkubinę, ale mimo to Cię nie zdradził. Wszystkich zamęczono na śmierć. Na koniec on sam również zginął w wielkich męczarniach.

Naturalnie, nie było żadnych świadków tej podłości i wszystko to są plotki, ale wierzę w nie. Ishido oczywiście wyparł się, że cokolwiek wie o tym mordzie i że się do niego przyczynił. Oświadczył, że złapie „morderców”. Z początku twierdził, że Sugiyama wcale nie złożył rezygnacji, dlatego Rada mimo to może się, jego zdaniem, zebrać. Ale kopie rezygnacji Sugiyamy rozesłałam pozostałym regentom, Kiyamie, Ito i Onoshiemu, jeden odpis dostarczyłam bezpośrednio Ishido, a cztery inne puściłam w obieg pomiędzy innych daimyō. (Jakże mądrze z Twojej strony, Tora-chan, żeś przewidział, iż przydadzą się dodatkowe kopie). Tak więc od wczoraj, tak jak to zaplanowaliście z Sugiyama, Rada utraciła moc prawną - pod tym względem powiodło Ci się całkowicie.

Dobre wieści: pan Mogami wydostał się z miasta z całą rodziną i samurajami. W tej chwili otwarcie Cię popiera, tak więc na dalekiej północy, z prawego skrzydła nic Ci

nie zagraża. Panowie Maeda, Kukushima, Asano, Ikeda i Okudiarą wszyscy szczęśliwie wymknęli się po kryjomu zeszłej nocy z Osaki, podobnie jak chrześcijanin pan Oda.

Złe wieści są takie, że rodziny Maedy, Ikedy i Ody oraz tuzina innych ważnych daimyō nie uciekły i pozostają tutaj zakładnikami, podobnie jak rodziny około pięćdziesięciu, sześćdziesięciu pomniejszych niezaangażowanych panów.

Złą wieścią jest też to, że Twój przyrodni brat Zatoki, władca Shinano, publicznie opowiedział się za następcą, a przeciwko Tobie, oskarżając Cię o spiskowanie z Sugiyama, w celu obalenia Rady Regencyjnej i wywołania chaosu. Tak więc w tej chwili Twoja północno-wschodnia granica jest zagrożona, a Zataki z pięćdziesięcioma tysiącami fanatycznych wojowników wystąpi przeciwko Tobie.

Ponadto złą wieścią jest, że prawie wszyscy daimyō przyjęli „zaproszenie” cesarza.

Złą wieścią jest, że niemało Twoich przyjaciół i sprzymierzeńców ma do Ciebie pretensję, że nie zawiadomiłeś ich wcześniej o swojej taktyce, tak by mogli przygotować sobie odwrót. Zalicza się do nich Twój najstarszy przyjaciel, wielki pan Shimazu. Dzisiaj po południu usłyszałam, że otwarcie zażądał, aby cesarz nakazał wszystkim lennym panom uklęknąć przed chłopcem, przed Yaemonem.

Źle, że pani Ochiba tak wspaniale przędzie swoją sieć, obiecując wszystkim niezaangażowanym lenna, tytuły i urzędy dworskie. Wielka szkoda, Tora-chan, że nie masz jej po swojej stronie, bo to groźna przeciwniczka. Tylko pani Yodoko zaleca modlitwy i pokój, ale nikt jej nie słucha, pani Ochiba zaś, wyczuwając Twoją słabość i osamotnienie, pragnie przyspieszyć wojnę. Bardzo mi przykro, Panie, ale jesteś osamotniony i - na to wygląda - zdradzony.

A najgorsze ze wszystkiego, że chrześcijańscy panowie Kiyania i Onoshi jawnie trzymają ze sobą i zażarcie występują przeciwko Tobie. Dziś rano wydali wspólne oświadczenie, ubolewając nad „zdradą” Sugiyamy oraz stwierdzając, że swoim czynem wywołał zamieszanie w cesarstwie i że „ze względu na dobro cesarstwa wszyscy musimy być silni. Na regentach spoczywa najwyższa odpowiedzialność. Musimy razem być przygotowani na zniszczenie każdego pana albo grupy panów, którzy chcieliby obalić testament taikō bądź ‘sukcesję po nim’. (Czy oznacza to, że planują spotkanie Rady złożonej z czterech regentów?) Jeden z naszych chrześcijańskich szpiegów w kwaterze głównej Czarnych Sukien doniósł, że kapłan Tsukku-san pięć dni temu potajemnie wyjechał z Osaki, ale nie wiemy, czy udał się do Edo, czy do Nagasaki, gdzie spodziewana jest Czarna Karawela. Czy wiedziałeś, że w tym roku ma przyplłynąć bardzo wcześnie? Być może za dwadzieścia lub trzydzieści dni?

Wielmożny, Panie, nigdy nie byłam skora wydawać pospiesznych sądów opartych

na pogłoskach, płótkach, informacjach szpiegów i babskiej intuicji (to Tyś mnie tego nauczył, Tora-chan!, ale czas nagli i, być może, nie będę już miała okazji z Tobą porozmawiać. A więc po pierwsze, zbyt wiele rodzin tkwi tutaj w pułapce. Ishido nigdy ich stąd nie wypuści (tak samo jak i nas). Zakładnicy ci są dla Ciebie wielkim zagrożeniem. Niewielu feudalnych panów ma poczucie obowiązku i odznacza się hartem ducha. Bardzo wielu, jak sądzę, nawet jeśli zrobią to niechętnie, ze względu na tych zakładników opowie się za Ishido. Myślę też, że Maeda zdradzi cię, a prawdopodobnie także Asano. Szacuję, że spośród dwustu sześćdziesięciu czterech daimyō w naszym kraju poprze Cię na pewno dwudziestu czterech, a pięćdziesięciu być może. To o wiele za mało. Kiyama i Onoshi wywrą wpływ na większość chrześcijańskich daimyō i w tej sytuacji już się do Ciebie nie przyłączą. Najbogatszy i najpotężniejszy feudal, pan Mori, jest Ci niechętny tak jak zawsze, a wciągnie w swoje sieci Asano, Kobayakawę i zapewne Odę. A ponieważ masz przeciwko sobie także swojego przyrodniego brata Zatakiego, to Twoja pozycja jest bardzo zagrożona. Doradzam Ci ogłoszenie Szkarłatnego Nieba i marsz na Kioto. To Twoja jedyna nadzieja.

Jeśli chodzi o panią Sazuko i o mnie, to mamy się dobrze i nic nam nie brakuje. Dziecko jest bardzo żwawe w łonie i jeżeli jego karmą jest przyjść na świat, to tak będzie. Jesteśmy bezpieczne w naszym zakątku zamku, drzwi są szczelnie zamknięte, krata w bramie opuszczona. Nasi samuraje są oddani całą duszą Tobie i Twojej sprawie i jeżeli naszą karmą jest rozstać się z życiem, to pożegnamy się z nim w pokoju. Twoja pani mocno za Tobą tęskni, bardzo mocno. Co do mnie, to bardzo chciałabym Cię zobaczyć, Tora-chan, śmiać się razem z Tobą, widzieć Twój uśmiech. Umierając, żałowałabym, że nie będę mogła więcej tego przeżyć i czuwać nad Tobą. Jeżeli jest życie po śmierci, Bóg, Budda i kami, to przyrzekam, że jakimś sposobem przeciągnę ich na Twoją stronę... choć być może wpierw ubłagam ich, żeby ze względu na Ciebie uczynili mnie szczupłą, młodą i płodną, ale pozostawili mi przy tym upodobanie do jedzenia. Och, to zaiste byłoby prawdziwe niebo móc jeść, jeść, jeść, a mimo to być stałą młodą i szczupłą.

Przesyłam Ci mój śmiech. Niechaj Budda pobłogosławi Tobie i Twoim.

Toranaga odczytał zebrany list, pomijając osobiste fragmenty dotyczące Kiri i pani Sazuko. Kiedy skończył, spojrzeli na niego i siebie nawzajem z niedowierzaniem, zdumieni nie tylko treścią korespondencji, ale również tym, że obdarzył ich takim zaufaniem.

Siedzieli na ułożonych półkolem matach pośrodku płaskowyzu, bez asysty strażników, zabezpieczeni przed niepowołanymi uszami. Buntaro, Yabu, Igurashi, Omi, Naga, dowódcy samurajów i Mariko. Strażnicy czuwali dwieście kroków od nich.

–Chcę się was poradzić – powiedział Toranaga. – Moi doradcy są w Edo. A to pilna sprawa, dlatego pragnę, abyście ich pospołu zastąpili. Jak się rozwiną wydarzenia i

co powinienem zrobić, Yabu-san?

Skonfundowany Yabu nie wiedział, co myśleć. Każda droga zdawała się prowadzić do klęski.

–Po pierwsze, wielmożny panie, co to właściwie jest „Szkarłatne Niebo”? – spytał.

–Szyfrowa nazwa rozstrzygającej bitwy, pojedynczego gwałtownego szturmu na Kioto wszystkimi moimi wojskami, ataku, którego zasadą jest ruchliwość i zaskoczenie, a celem odebranie stolicy wrogim siłom, które ją w tej chwili otaczają, i wyrwanie z ich brudnych łap osoby cesarza, którego – z Ishido na czele – oszukali. Zaraz po uwolnieniu Syna Niebios z ich szponów wniosłbym do Niego prośbę o cofnięcie mandatu obecnej, jawnie zdradzieckiej bądź zdominowanej przez zdrajców Radzie i powierzenie go mnie, żebym utworzył nową Radę, która ponad osobiste ambicje przedłoży interesy cesarstwa i następcy taikō. Poprowadziłbym osiemdziesiąt do stu tysięcy żołnierzy, pozostawiając jednak własne ziemie bez ochrony, odsłonięte na flankach i nie mając zabezpieczonego odwrotu.

Ujrzał, że wpatrują się w niego oszołomieni. Nie wspomniał im o kadrze doborowych samurajów, których w takiej tajemnicy rozmieścił w ciągu ubiegłych lat we wszystkich ważniejszych zamkach i prowincjach, a których zadaniem było wszcząć wszędzie jednoczesne bunty, powodując chaos stanowiący istotę całego planu.

–Ależ musiałbyś walczyć przez całą drogę aż do Kioto! – wybuchnął Yabu. – Ikawa Jikkyu trzyma w garści Tokaidō na odcinku stu ri. A warownie Ishido trzymają w szachu resztę szlaku!

–Tak, ale ja planuję pośpieszyć gościńcem Koshu-kaidō, a potem uderzyć na Kioto, omijając nadmorskie ziemie.

Wielu natychmiast zaczęło kręcić na to głowami i mówić, ale Yabu uprzedził ich.

–Wielmożny panie, ale w tym liście piszą, że twój krewniak Zataki przeszedł na stronę wroga! Tak więc północny szlak też jest już odcięty. Gościńiec Koshu-kaidō biegnie przez jego prowincję. Musiałbyś przebijać się przez całą Shinano, przez górzysty i ciężki teren, a przecież ludzie Zatakiego są mu fanatycznie oddani. W tych górach rozniosą cię na strzępy.

–Nie ma innego sposobu, to moja jedyna szansa. Zgadzam się z tobą, że mam wielu wrogów na tym nadbrzeżnym szlaku.

Yabu spojrział na Omiego żałując, że nie może zasięgnąć jego rady. Nienawidził tego listu, paskudnej sytuacji w Osace i nie cierpiał swojej pozycji wasala, na którą się zgodził za radą Omiego.

–Jesteś całkowicie odcięty, wielmożny panie – rzekł do Toranagi. – Osamotniony.

–A czy mam jakieś wyjście? – spytał Toranaga.

–Przepraszam, wielmożny panie – wtrącił Omi – ale ile czasu zajęłoby przygotowanie tego ataku?

–Już jest przygotowany.

–Izu też jest przygotowana, wielmożny panie – powiedział Yabu. – Twoje sto tysięcy i moje szesnaście, a do tego pułk muszkietów... czy to wystarczy?

–Nie. Szkarłatne Niebo to plan desperacki, w którym wszystko stawia się na jeden udany szturm.

–Musisz zaryzykować, jak tylko przestanie padać i można będzie się bić – rzekł z naciskiem Yabu. – No, bo jaki masz wybór? Ishido z miejsca utworzy nową Radę, a ta zachowa swój mandat. Tak więc dziś, jutro lub pojutrze i tak cię oskarżą. Po co czekać, aż cię zniszczą? Posłuchaj, może pułk muszkietów przebije się przez te góry! Nakaż Szkarłatne Niebo! Rzuć wszystkich do jednego potężnego szturmu. Tak każe Kodeks Wojownika, to godne prawdziwego samuraja, Toranaga-sama! Muszkiety, nasze muszkiety zmiotą Zatakiego z drogi, a zresztą czy to ważne: zwyciężysz czy przegrasz? Pamięć o tej szarzy przetrwa wieki!

–Tak, ale my wygramy... wygramy! – powiedział Naga.

Kilku dowódców skinęło głowami czując ulgę, że nadeszła wojna.

Omi nic nie powiedział.

–.No a ty? – spytał Toranaga, patrząc na Buntaro.

–Panie, wybacz mi, że nie będę miał swojego zdania. Ja i moi ludzie zrobimy, cokolwiek postanowisz. To mój jedyny obowiązek. Moja opinia jest bez znaczenia, ponieważ i tak zrobię to, co każesz.

–W zwykłej sytuacji bym się z tym pogodził, ale nie dziś!

–Jestem za wojną. Pan Yabu ma rację. Wyruszmy na Kioto. Dzisiaj, jutro albo kiedy przestanie padać. Niech będzie Szkarłatne Niebo! Mam dość czekania.

–A ty, Omi-san? – spytał Toranaga.

–Yabu-sama ma słuszość, wielmożny panie. Ishido zastosuje się do woli taikō i wyznaczy prędko nową Radę. Otrzyma ona mandat władzy od cesarza. Twój wrogowie temu przyklasną, przyjaciele zawahają się, a tym samym cię zdradzą.

Nowa Rada natychmiast oskarży cię o zdradę. A wtedy...

–Ruszy Szkarłatne Niebo? – przerwał mu Yabu.

–Jeżeli tak rozkaże pan Toranaga. Ale wątpię, czy oskarżenie o zdradę jest cokolwiek warte. Nie zwracaj nim sobie głowy, wielmożny panie!

–A to czemu? – spytał Toranaga, kiedy Omi przykuł uwagę wszystkich.

–Zgadzam się z tobą, wielmożny panie. Ishido jest zły, ne? A daimyō, którzy zgodzili się mu-służyć, też są źli. Prawdziwi mężczyźni wiedzą, kim jest naprawdę Ishido, tak jak wiedzą, że cesarza znowu oszukano – odparł Omi, ostrożnie stąpając po ruchomych piaskach, które, z czego zdawał sobie sprawę, mogły go pochłonać. – Myślę, że mordując pana Sugiyamę, popełnił nieodwracalny błąd. Ten podły mord sprawi, że odtąd wszyscy daimyō będą, jak sądzę, spodziewać się po nim zdrady i tylko bardzo niewielu z tych, których nie ma w swoich rękach, będzie posłusznych nowej „Radzie”. Dlatego jesteś bezpieczny, panie. Na jakiś czas.

–Jak długo?

–Deszcze padają u nas przez dwa miesiące, mniej więcej. Kiedy ustaną, Ishido umyśli wysłać przeciwko tobie pana Zatakiego i Ikawę Jikkyu, żeby schwytali cię w dwa ognie, a sam wspomógł ich, nadciągając z głównymi siłami gościńcem Tokaidō. Do tego czasu jednak, do ustania deszczów, wszyscy skłóceni ze sobą daimyō będą mydlić Ishido oczy aż do chwili, gdy zrobi pierwszy ruch, wtedy zaś, nic sobie z niego nie robiąc, wezmą się za łby albo zaczną rozgrabiać ziemię wedle swego widzimisię. W ten sposób cesarstwo zostanie rozdarte, tak jak było., zanim nastąpił taikō. Ale ty, wielmożny panie, jesteś na tyle potężny, żeby przy łucie szczęścia sam jeden wspólnie z Yabu-samą zniweczyć zakusy na Kantō i Izu, zagrozić dostęp do nich przed pierwszą falą ataku i odeprzeć ją. Wątpię, czy Ishido zdobędzie się na drugi atak, a przynajmniej nie na taki wielki. Kiedy on i reszta wyczerpią siły, wtedy razem z panem Yabu możecie ostrożnie wyjść z naszych gór i powoli przejąć cesarstwo w swoje ręce.

–A kiedy to nastąpi?

–Za życia twoich dzieci, wielmożny panie.

–Mamy się bronić? – spytał z pogardą Yabu.

–Myślę, że razem jesteście za tymi górami bezpieczni. Zaczekaj, wielmożny panie. Zaczekaj, aż zdobędziesz więcej sojuszników. Obronisz się. To się uda! Generał Ishido to zły człowiek, ale nie na tyle głupi, żeby rzucić wszystkie swoje siły do jednej bitwy. Przyczai się za murami Osaki. Tak więc na razie nie wolno nam użyć naszego pułku muszkietów. Musimy tylko wzmocnić środki bezpieczeństwa i zachować go

jako tajną broń, zawsze czujną i gotową do ataku w momencie, kiedy wyjdiesz z gór. W tej chwili jednak za nic bym go nie użył. – Omi wiedział, że spoczywają na nim oczy wszystkich. Ukłonił się Toranadze. – Bardzo przepraszam, wielmożny panie, że mówiłem tak długo.

Toranaga przyjrzał mu się uważnie i zerknął na swojego syna. Dostrzegł jego tłumione podniecenie i uznał, że czas go wypuścić na jakąś zwierzynę.

–Co myślisz, Naga-san? – spytał.

–Omi-san się nie myli – odparł mu natychmiast uradowany Naga. – Na ogół. Ale ja radzę poświęcić te dwa miesiące na pozyskanie sprzymierzeńców, by w ten sposób zwiększyć izolację Ishido, a kiedy ustaną deszcze, zaatakować bez ostrzeżenia, czyli uruchomić Szkarłatne Niebo.

–Nie zgadzasz się z Omim-sanem co do długiej wojny? – spytał Toranaga.

–Nie. Ale czy nie jest to... – Naga urwał.

–Dokończ, Naga-san. Mów szczerze! Naga ugryzł się w język, pobladł.

–Dokończ!

–No więc, wielmożny panie, przyszło mi na myśl... – Naga urwał znowu, po czym wyrzucił z siebie: – Czy to nie jest wspaniała okazja do zostania shōgunem? Gdyby udało ci się zdobyć Kioto i otrzymać mandat, to po co powoływać Radę? Dlaczego nie złożyć cesarzowi prośby, żeby mianował cię shōgunem? Tak byłoby najlepiej i dla ciebie, i dla cesarstwa. – Naga starał się ukryć obawę w głosie, bo przecież mówił o zdradzeniu Yaemona, a większość obecnych tu samurajów – Yabu, Omi, Igurashi, zwłaszcza zaś Buntaro – była szczerze oddana następcy. – Moim zdaniem, powinieneś zostać shōgunem – rzekł i obronnym tonem zwrócił się do reszty: – Jeżeli nie skorzysta się z tej sposobności... Masz rację co do długiej wojny, Omi-san, ale żeby pan Toranaga mógł przekazać władzę, to wprawdzie musi ją zdobyć! Długa wojna zrujnuje cesarstwo, podzieli je z powrotem na tysiąc kawałków! Kto tego chce? Pan Toranaga musi zostać shōgunem. Jeżeli cesarstwo ma być powierzone Yaemonowi, panu Yaemonowi, to najpierw trzeba je zabezpieczyć! Nigdy już nie nadarzy się druga sposobność...

Zamilkł. Wyprostował się, przerażony swoimi słowami i zadowolony, że wypowiedział publicznie to, o czym zawsze myślał. Toranaga westchnął.

–Nigdy nie dążyłem do zostania shōgunem – rzekł. – Ile razy muszę to powtarzać? Popieram mojego siostrzeńca Yaemona i testament taikō. – Przyjrzał się po kolei wszystkim. – Na końcu Nadze. Młodzieniec drgnął. Ale jego ojciec przemówił łagodnie, jeszcze raz podsuwając mu przynętę. – Tłumaczą cię jedynie twój zapał i

młodość. Niestety, wielu znacznie starszych i mądrzejszych od ciebie sądzi, że to jest moim pragnieniem. A nie jest. Bzdurze tej można położyć kres tylko w jeden sposób: przez oddanie władzy Yaemonowi. I to właśnie zamierzam zrobić.

–Tak, ojciec. Dziękuję ci. Dziękuję – odparł zrozpaczony Naga. Toranaga przeniósł wzrok na Igurashiego.

–A co radzisz ty? – spytał.

–Ja jestem tylko prostym żołnierzem, a nie doradcą, ale nie radziłbym rozpoczynać Szkarłatnego Nieba, jeśli nie możemy prowadzić wojny na, tak jak mówi Omi-san, własnych warunkach. Wiele lat temu walczyłem w Shinano. To podła ziemia, a wtedy pan Zataki był po naszej stronie. Nie chciałbym ponowić walczyć w Shinano i w żadnym razie mieć pana Zatakiego za przeciwnika. A jeżeli w dodatku nie można polegać na panu Maedzie, no to jak tu planować bitwę w sytuacji, kiedy twój najsilniejszy sojusznik może zdradzić? Pan Ishido wystawi przeciwko tobie dwieście, trzysta tysięcy żołnierzy, a i tak jeszcze sto zostanie mu w Osace. Nawet z muszkietami nie starczy nam ludzi do przeprowadzenia ataku. Ale siedząc za tymi górami, jeśli wypadki potoczą się zgodnie z przewidywaniami Omiego-sana, można dzięki tym muszkietom bronić się bez końca. Wytrzymamy ich ataki. Masz dosyć ryżu, wielmożny panie. Czyż Kantō nie zaopatruje w ryż połowy cesarstwa? A przynajmniej jedną trzecią. Możemy ci dostarczyć tyle ryb, ile zechcesz. Będziesz bezpieczny. Jeśli zdarzy się tak, jak powiedział pan Omi, to Ishido i ten diabeł Jikkyu niech sobie nas atakują, wkrótce bowiem nasi wrogowie zaczną się żreć między sobą. A jeżeli nie zaczną, to miej gotowe w odwodzie Szkarłatne Niebo. Wojownik umiera za swojego pana tylko raz w życiu.

–Czy ktoś jeszcze chce coś dodać? – spytał Toranaga. Nie było odpowiedzi. – A ty, Mariko-san?

–Nie uchodzi mi mówić w takim miejscu, wielmożny panie – odparła. – Jestem pewna, że powiedziano już wszystko, co było do powiedzenia. Ale czy w imieniu wszystkich twoich doradców wolno mi spytać, co twoim zdaniem nastąpi?

Toranaga z rozmysłem dobierał słowa.

–Uważam, że stanie się tak, jak przepowiedział Omi-san. Z jednym wyjątkiem: Rada nie będzie zniewolona. Rada ta będzie miała dosyć władzy, żeby zebrać niezwyciężoną sprzymierzoną armię. Kiedy ustaną deszcze, ominie ona Izu i uderzy na Kantō. Najpierw zostanie połknięte Kantō, a Izu potem. Dopiero po mojej śmierci daimyō zaczną ze sobą walczyć.

–Ale dlaczego, wielmożny panie? – ośmielił się spytać Omi.

–Ponieważ mam zbyt wielu wrogów, należy do mnie Kantō, wojowałem przez

czterdzieści lat i nigdy nie przegrałem bitwy, Wszyscy się mnie boją. Wiem, że najpierw te, ścierwojady zbiorą się, żeby mnie, zniszczyć. Wszyscy doskonale wiecie, że tylko ja mogę stanowić realne zagrożenie dla Yaemona, mimo że wcale mu nie zagrażam. W tym cała ironia. Wszyscy uważają, że pragnę zostać shōgunem. A ja tego nie chcę. Oto jeszcze jedna całkiem niepotrzebna wojna!

–No, to co zamierzasz zrobić, wielmożny panie? – przerwał milczenie Naga.

–Słucham?

–Co zamierzasz zrobić?

–Oczywiście rozpocznę Szkarłatne Niebo – odparł Toranaga.

–Ale przecież powiedziałaś, że nas zniszczą?

–Bez wątpienia, gdyby dać im czas. Ale ja nie dam im ani chwili. Wojnę rozpocniemy natychmiast!

–Ale co z deszczami... co z deszczami?

–Dojedziemy do Kioto mokrzy. Zgrzani, cuchnący i mokrzy. Wojny wygrywa się dzięki zaskoczeniu, ruchliwości, śmiałości i dobrej organizacji, ne? Yabu-san dobrze powiedział. Muszkietami przebijemy sobie drogę przez góry.

Przez godzinę omawiali plany i możliwości skutecznego prowadzenia wojny na wielką skalę w porze deszczów – strategii niesłychanej. A potem Toranaga odprawił wszystkich oprócz Mariko i polecił Nadze, aby kazał tu przyjść Anjin-sanowi. Przyjrzał się odchodzącym. Kiedy obwieścił im swoją decyzję, wszyscy okazali entuzjazm. Zwłaszcza Naga i Buntaro. Jedynie Omi był pełen rezerwy, zamyślony i nie przekonany. Igurashiego nie brał pod uwagę, wiedząc dobrze, że ten żołnierz robi jedynie to, co mu każe Yabu, Yabu zaś pominął jako pionka w grze, co prawda perfidnego, ale jednak pionka. Tylko Omi jest cennym doradcą, pomyślał. Ciekawe, czy już zorientował się, co naprawdę zamierzam zrobić?

–Mariko-san. Dowiedz się taktownie, ile kosztowałoby wykupienie kontraktu kurtyzany – powiedział.

Zamrugła oczami.

–Kiku-san, wielmożny panie?

–Tak.

–Teraz, wielmożny panie? Już?

–Najlepiej, gdyby dziś wieczorem. – Spojrzał na nią dobrotliwie. – Jej kontrakt niekoniecznie ma być wykupiony dla mnie, być może dla któregoś z moich oficerów.

–Mam wrażenie, że cena będzie zależała od tego, kim jest wykupujący, wielmożny panie.

–Ja również. Ale ustal cenę. Dziewczyna oczywiście ma prawo odmówić, kiedy padnie nazwisko tego samuraja, ale powiedz jej właścicielce, że... spodziewam się, iż okaże się na tyle dobrze wychowana, by zaufać mojemu wyborowi. Zaznacz też, że»Kiku-san jest damą pierwszej rangi w Mishimie, a nie w Edo, Osace czy Kioto – dodał łagodnie Toranaga. – Dlatego oczekuję, że zapłacę za nią cenę obowiązującą w Mishimie, a nie w tamtych miastach.

–Tak, oczywiście, wielmożny panie.

Chcąc zmniejszyć ból w ramieniu, Toranaga poruszył nim i przemieścił miecze.

–Czy mogę ci wymasować ramię, wielmożny panie? – spytała Mariko. – A może przysłać Suwo?

–Nie, dziękuję. Z Suwo zobaczę się później.

Toranaga wstał, z wielką przyjemnością opróżnił pęcherz i znów usiadł. Miał na sobie krótkie jedwabne kimono w niebieski wzór i proste słomiane sandały. Wachlarz również był niebieski i ozdobiony jego herbem.

Słońce stało nisko, zbierały się ciężkie deszczowe chmury.

–Jakże nieogarnione jest życie – powiedział uszczęśliwiony. – Niemal słyszę deszcz, który czeka na swoje narodziny.

–Tak – odparła.

Toranaga chwilę, myślał. A potem wyrecytował wiersz:

Niebo

Spieczone słońcem

Płacze

Życiodajnymi łzami...

Mariko posłusznie zaprzęgała umysł do wysiłku, żeby zagrać ze swym panem w wiersze, grę tak popularną wśród samurajów, spontanicznie obracając słowa ułożonego przezeń haiku, przystosowując je i tworząc z nich nowy. Po chwili

zaimprovizowała:

Ale las Zraniony przez wiatr.

Płacze Martwymi liśćmi.

–Dobrze powiedziane! O tak, świetnie!

Toranaga przyjrzał się jej z zadowoleniem, sycąc oczy jej widokiem. Ciekawe, zadał sobie figlarnie pytanie, czy gdyby Buntaro zginął, zgodziłaby się zostać moją konkubiną? Wolał doświadczone kobiety, wdowy albo rozwódki (niezbyt ładne, mądre, młode czy dobrze urodzone), bo nigdy nie sprawiały kłopotu i zawsze były wdzięczne. Zaśmiał się do siebie. Nigdy bym jej o to nie poprosił, ponieważ ma w sobie Wszystkie cechy, których nie pragnę u konkubiny, tyle tylko, że jest w idealnym wieku.

–Wielmożny panie? – zapytała.

–Myślałem o twoim wierszu, Mariko-san – rzekł jeszcze łagodniej, po czym dodał:

Czemu jest tak zimowo?

Lato Dopiero przyjdzie i schyłek

Przepięknej jesieni.

Odpowiedziała mu na to:

Gdybym mogła słów użyć

Niczym spadłych liści.

Jakież ognisko

Powstałoby z moich wierszy!

Zaśmiał się i ukłonił jej z żartobliwą pokorą.

–Uznaję twoją wyższość, Mariko-sama. Co ma być nagrodą? Wachlarz? A może szal na włosy?

–Dziękuję Ci, wielmożny panie – odparła. – Tak, cokolwiek sprawi ci przyjemność.

–Dziesięć tysięcy koku rocznie dla twojego syna.

–Och, wielmożny panie, nie zasługujemy na taką nagrodę!

–Odniosłaś zwycięstwo. Zwycięstwa i lojalność muszą być i nagradzane. Ile lat ma w tej chwili Saruji?

–Piętnaście... prawie piętnaście.

–A, rzeczywiście, zaręczył się niedawno z jedną z wnuczek pana Kiyamy, prawda?

–Tak, wielmożny panie. W jedenastym miesiącu zeszłego roku, w miesiącu Szronu. Obecnie jest w Osace z panem Kiyamą.

–To dobrze. Dziesięć tysięcy koku, poczynając od zaraz. Upoważnienie prześlę jutrzejszą pocztą. A teraz dosyć wierszy, powiedz mi, jakie jest twoje zdanie.

–Moje zdanie jest takie, że w twoich rękach wszyscy jesteśmy bezpieczni, wielmożny panie, tak jak bezpieczny jest w twoich rękach nasz kraj.

–Chcę, żebyś odpowiedziała mi poważnie.

–Ależ ja mówię poważnie, wielmożny panie. Dziękuję ci za życzliwość dla mojego syna. Wierzę, że cokolwiek zrobisz, postąpisz słusznie. Na Madonnę... tak jest, przysięgam na Madonnę, że wierzę w to.

–To dobrze. Ale mimo to chcę poznać twoje zdanie.

Uszczęśliwiona odpowiedziała mu natychmiast, jak równa równemu.

–Po pierwsze: potajemnie powinieneś przeciągnąć pana Zatakiego na swoją stronę. Domyślam się, że albo wiesz, jak tego dokonać, albo najpewniej umówiłeś się po cichu z przyrodnim bratem i zaproponowałeś mu rzekomą „zradę” głównie po to, żeby zmylić i uśpić Ishido. Po wtóre: nie zaatakujesz jako pierwszy. Nie robiłeś tego nigdy, zawsze doradzając cierpliwość, a atak przypuszczasz jedynie wtedy, gdy jesteś pewien zwycięstwa, tak więc natychmiastowe publiczne ogłoszenie Szkarłatnego Nieba to jeszcze jeden fortel dla zmylenia wroga. Po trzecie: czas – gdybyś miał wykonać to, co zamierzasz, to, moim zdaniem, powinieneś zarządzić Szkarłatne Niebo, ale nic potem nie robić. To zdezorientuje Ishido, ponieważ jego szpiedzy tu i w Edo na pewno doniosą mu o twoim planie, co zmusi go do rozproszenia w czasie podłej pogody wojsk w celu przygotowania się do odparcia zagrożenia, które nie nadejdzie. Tymczasem ty poświęcisz dwa następne miesiące na zebranie sprzymierzeńców, żeby podkopać jego sojusz i zburzyć jego koalicję, co i tak cię nieodzownie czeka. A poza tym musisz oczywiście wywabić Ishido z zamku w Osace. Jeżeli tego nie zrobisz, wielmożny panie, to Ishido wygra, ty zaś w najlepszym razie utracisz szanse na shōgunat. Ty...

–Przecież jasno wypowiedziałem się, co o tym myślę – rzekł ostro Toranaga, tracąc dobry humor. – A ty się zapominasz.

–Ze względu na zakładników w Osace, wielmożny panie, nie muszę się dziś kryć z niczym – odparła wesoło, nie przejmując się tym. – Są oni raną w twoim sercu.

–A co z nimi?

–Okaż mi, proszę, cierpliwość, wielmożny panie. Być może już nigdy nie znajdę sposobności, by porozmawiać z tobą „szczerze, w cztery oczy, po angielsku”, nigdy nie jesteś sam tak jak ze mną w tej chwili. Błagam więc, żebyś mi wybaczył moje niewłaściwe zachowanie. – Mariko odzyskała rezon i, o dziwo, rozmawiała z nim dalej jak równy z równym. – Zdecydowanie uważam, że Naga-san ma rację. Musisz zostać shōgunem, bo w przeciwnym razie sprzeniewierzysz się obowiązkom, jakie masz wobec cesarstwa i rodu Minowara.

–Jak śmiesz mi mówić coś takiego?!

Mariko zachowała zupełny spokój, w ogóle nie przejmując się jego otwartym gniewem.

–Doradzam ci poślubienie pani Ochiby. Yaemonowi brakuje do dorosłości ośmiu lat, żeby zgodnie z prawem odziedziczył władzę... a to przecież wieczność! Kto wie, co się zdarzy w ciągu ośmiu miesięcy, a co dopiero ośmiu lat.

–Na wycięcie twojej rodziny wystarczy osiem dni!

–Tak, wielmożny panie. Ale to nie ma żadnego związku z tobą, twoimi obowiązkami i cesarstwem. Naga-san ma rację. Musisz przejąć władzę, żeby ją dać – powiedziała ze sztuczną powagą i bez tchu. – Czy twoja wierna doradczyni ma popełnić seppuku teraz, czy ma to zrobić później?

Udała, że mdleje.

Toranaga przez chwilę gapił się na to niewiarygodne zuchwalstwo, po czym ryknął śmiechem i uderzył pięścią w ziemię. Kiedy odzyskał mowę, wydusił z siebie:

–Nigdy cię nie zrozumiem, Mariko-san.

–Och, zrozumiesz, wielmożny panie – odparła, osuszając spocone czoło: – Byłeś na tyle uprzejmy, że pozwoliłeś się rozśmieszyć twojej oddanej poddanie, wysłuchałeś jej prośb, dałeś jej powiedzieć to co trzeba, co musiała ci powiedzieć. Wybacz mi, proszę, moje zuchwalstwo.

–’ A to niby dlaczego, co? Dlaczego? – spytał dobrotliwie Toranaga, znów się uśmiechając.

–Z powodu tych zakładników, wielmożny panie – odparła wprost.

-A, tak! – rzekł, również poważniejąc.

-Tak. Muszę jechać do Osaki.

-Tak – powiedział. – Wiem.

Blackthorne w towarzystwie Nagi schodził niepocieszony ze wzgórza w stronę dwóch postaci, które siedziały na futonach wewnątrz kręgu strażników. Za strażnikami wznosiły się podnóża gór strzelających w zachmurzone niebo. Było duszno. Od zgryzot ostatnich dni, od obaw o Mariko i konieczności porozumiewania się wyłącznie po japońsku Blackthorne'a bolała głowa. Już dostrzegł Mariko i jej widok trochę go pocieszył.

Wiele razy zachodził do domu Omiego, żeby ją zobaczyć lub o nią zapytać. Ale samuraje nieodmiennie grzecznie, lecz stanowczo odprawiali go z niczym. Omi powiedział mu jako tomodashi, przyjaciel, że nic jej nie jest. „Nie martw się, Anjin-san – zapewnił go. – Rozumiesz?” „Tak” – odparł mu, rozumiejąc tylko tyle, że nie może się z nią zobaczyć.

A potem wezwał go Toranaga. Tak wiele chciał mu powiedzieć, ale ponieważ znał za mało słów, zdołał go tylko zirytować. Fujiko kilka razy odwiedzała Mariko. Po powrocie nieodmiennie powtarzała, że Mariko ma się dobrze, i dodawała nieodzowne: „Shinpai suruna, Anjin-san. Wakarimasu?” (Nie martw się. Rozumiesz?)

Obaj z Buntaro odnosili się do siebie tak, jakby nic nie zaszło. Spotykając się w ciągu dnia, grzecznie się pozdrawiali. Co prawda Buntaro raz na jakiś czas korzystała jego łaźni, ale traktował go jak wszyscy samuraje w Anjiro: ani przyjacielsko, ani wrogo.

Od rana do wieczora Blackthorne uganiał się, szkoląc w przyspieszonym tempie muszkietników. Przed wieczorem zawsze był wyczerpany. Zgrzany, spocony i przemoczony. A do tego samotny. Nigdy dotąd nie czuł się taki samotny, taki obcy w tym odmiennym świecie.

A na dobitkę trzy dni temu przeżył coś strasznego. Tamtego długiego dnia było parno. O zachodzie słońca znużony dojechał do domu i od razu wyczuł kłopoty. Fujiko przywitała go nerwowo.

–Nan desu ka? – spytał.

Odpowiedziała mu na to obszernie, z oczami utkwionymi w ziemi.

–Wakarimasen (Nie rozumiem) – odparł. – Nan desu ka? – powtórzył niecierpliwie, poirytowany wskutek zmęczenia.

Skinęła ręką, żeby wszedł do ogrodu. Wskazała mu okap, ale nie zauważył niczego niezwykłego. Dopiero po kolejnych jej słowach i gestach dotarło do niego, że pokazuje mu miejsce, gdzie wisiał bażant.

–Tarę toru desu ka? – spytał, chcąc wiedzieć, kto go wziął.

–Ueki-ya.

–A, ten stary pryk! – Ueki-ya, grzeczny, bezzębny staruszek, który pieczołowicie troszczył się o rośliny i upiększał ogród. – Yoi. Motte kuru Ueki-ya. (Dobrze, sprowadź go).

Fujiko potrząsnęła głową. Jej twarz stała się biała jak kreda.

–Ueki-ya shinda desu, shinda desu! – wyszeptała.

–Ueki-ya ga shindato? Don yoni? Doshite? Doshite shindanoda? (Jak? Dlaczego? Jak umarł?)

Wskazała ręką miejsce, w którym wisiał bażant, i wypowiedziała wiele cichych niezrozumiałych słów. A potem pokazała sieknięcie mieczem.

–Jezu Chryste! Uśmierciliście staruszka z powodu śmierdzącego, przeklętego bażanta?!

W tej samej chwili cała służba wbiegła do ogrodu i padła na kolana. Przycisnęli głowy do ziemi i zamarli, włącznie z dziećmi kucharza.

–Co tu się, psiakrew, dzieje?! – spytał Blackthorne, bliski szału. Zobaczył, że jedno z dzieci drży z przerażenia i strachu. – Jezu Chryste w niebiesiech, daj mi siłę... – Przytrzymał się słupa. – To nie wasza wina – wydusił z siebie, nie zdając sobie sprawy, że nie mówi po japońsku. – To wina jej! Twoja! Ty krwiożercza suko!

Fujiko wolno podniosła wzrok. Ujrzała jego wyciągnięty palec i nienawiść bijącą z twarzy. Szeptem wydała polecenie służącej Nigatsu. Nigatsu potrząsnęła głową i zaczęła ją błagać.

–Ima!

Służąca pobiegła. Powróciła z długim mieczem i twarzą zalaną łzami. Fujiko wzięła go od niej i podała Blackthorne'owi. Wprawdzie nie zrozumiał jej wszystkich słów, pojął jednak ich sens: „Jestem za to odpowiedzialna, odbierz mi wobec tego życie, bo cię rozgniewałam”.

–Iye!!! – Pochwycił miecz i go odrzucił. – Myślisz, że to przywróci Ueki-ya życie?!

I wtedy nagle dotarło do niego, co narobił i co robi w tej chwili.

–O mój Boże...

Zostawił ich. Zrozpaczony poszedł na wzgórze wznoszące się ponad wsią, w pobliże świątyni stojącej obok starego powykręcane go cyprysu, i zapłakał.

Zapłakał, ponieważ niepotrzebnie zginął poczciwy człowiek, a także dlatego, że wiedział już, iż to on go zamordował.

–Przebacz mi, Panie Boże. To ja za to odpowiadam, nie Fujiko. To ja go zabiłem. Przykazałem, żeby oprócz mnie nikt nie dotykał tego bażanta. Spytałem ją, czy wszyscy zrozumieli, i powiedziała, że tak. Rozkaz ten wydałem z żartobliwą powagą, ale to już się nie liczy. Wydałem to polecenie, znając ich prawo i zwyczaje. Stary złamał mój rozkaz, więc co innego mogła zrobić Fujiko? To moja wina.

Po pewnym czasie łyzy przestały płynąć. Nastąpiła głęboka noc. Blackthorne powrócił do domu.

Teraz przywitał się, podchodząc do siedzących.

–Ohayo, Toranaga-sama. Ohayo, Mariko-san.

–Ohayo, Anjin-san. Dōzo suwaru. (Dzień dobry, usiądź, proszę.)

–Ohayo, Anjin-san. Ikaga desu ka? – spytała go z uśmiechem Mariko.

–Yoi, dōmo. – Blackthorne jeszcze raz spojrział na nią, rad, że ją widzi. – Radość przepelnia mnie na twój widok, wielka radość – rzekł po łacinie.

–Mnie na twój również... jak dobrze jest cię zobaczyć. Ale widzę, że coś cię gryzie. Dlaczego?

–Nan ja? – spytał Toranaga.

Przekazała mu, o czym mówili. Toranaga chrząknął i coś powiedział.

–Mój pan mówi, że wyglądasz na udręczonego, Anjin-san. Muszę mu przyznać rację. Pyta, co cię gnębi.

–To nic. Dōmo, Toranaga-sama. Nane mo...(To nic).

–Nan ja? – spytał wprost Toranaga. – Nan ja?

–Ueki-ya – odpowiedział natychmiast posłusznie bezradny Blackthorne. – Hai, Ueki-ya.

–Ah so desu! – rzekł Toranaga i przez dłuższy czas mówił coś do Mariko.

–Mój pan mówi, że nie trzeba przejmować się starym ogrodnikiem. Prosi mnie, abym

zapewniła cię, że wszystko odbyło się jak należy. Stary ogrodnik całkowicie rozumiał, co robi.

–Nie rozumiem.

–Tak, trudno będzie ci się z tym pogodzić, ale widzisz, ten bażant gnił na słońcu, Anjin-san. Straszliwie roiły się tam muchy. Zagrozało to twojemu zdrowiu, zdrowiu twojej konkubiny i zdrowiu wszystkich domowników. A poza tym nie brakowało bardzo osobistych, dyskretnych skarg ze strony głównej służącej Omi-sana... i innych. Jedną z naszych podstawowych zasad jest, że pojedynczej osobie nie wolno w żadnym przypadku zakłócać wa, harmonii grupowej, pamiętasz? Tak więc coś należało zrobić. Rozkład, zapach rozkładającego się mięsa, jest dla nas odrażający. Przykro mi, ale dla nas to najwstrętniejszy zapach na świecie. Próbowałam ci to powiedzieć, ale... cóż, jest to jedna z tych rzeczy, które wyprowadzają nas z równowagi. Twoja główna służąca...

–Dlaczego ktoś do mnie od razu z tym nie przyszedł? Dlaczego nikt po prostu mi o tym nie powiedział? – spytał Blackthorne. – Ten bażant nic dla mnie nie znaczył.

–A co można było powiedzieć? Wydałeś polecenia. Jesteś głową domu. Nie znali twoich zwyczajów ani nie wiedzieli, jak rozwiązać tę kwestię w inny sposób niż po swojemu. Czy to cię przygnębia? Chcesz, żebym mówiła dalej?

–Tak, proszę, Mariko-san.

–Jesteś pewien?

–Tak.

–No więc, twój główny kucharz zebrał służbę. Zaproszono tam oficjalnie naczelnika wioski Murę. Uradzili, że bażanta nie może zabrać nikt z miejscowych eta. Że to sprawa domowników. Że pomimo twoich rozkazów, by nie ruszać ptaka, musi go zdjąć i zakopać ktoś ze służby. Obowiązkiem twojej konkubiny było oczywiście dopilnować, żeby twe rozkazy były wypełnione. Stary ogrodnik poprosił, żeby jemu pozwolono zabrać bażanta. Ostatnio w dzień i w nocy cierpiał na bóle brzucha, a klęczenie, pielenie i sadzenie bardzo go męczyły, więc nie mógł pracować tak dobrze, jak chciał. Zgłosił się również trzeci pomocnik kucharza mówiąc, że jest bardzo młody, głupi, a jego życie na pewno nic nie znaczy wobec wagi tak istotnej sprawy. W końcu zaszczycił tego dostąpił ogrodnik. Dla niego był to naprawdę wielki honor. Wszyscy bardzo uroczyście mu się pokłonili, a on im, po czym uszczęśliwiony wziął ptaka i ku wielkiej uldze wszystkich zakopał go... Kiedy wrócił, poszedł prosto do Fujiko i powiedział jej, co zrobił, że pogwałcił twój rozkaz. Podziękowała mu za zlikwidowanie niebezpieczeństwa i kazała zaczekać. Przyszła poradzić się mnie, co ma robić. Wszystko zostało załatwione zgodnie z obyczajem, tak też więc należało to

potraktować. Odparłam jej, że nie wiem. Spytałam o to męża, ale on również nie wiedział. Sprawa była zawiła, z powodu ciebie. Buntaro-san spytał więc pana Toranagę. A pan Toranaga osobiście przyjął twoją konkubinę. Chodziło o rozstrzygnięcie, czy jesteś samurajem, czy nie. Mam zaszczyt powiadomić cię, że nasz pan uznaje cię za samuraja i przysługują ci samurajskie prawa. Tak więc to od razu przesądziło o wszystkim i ułatwiło decyzję. Popelniono przestępstwo. Umyślnie sprzeniewierzono się twoim rozkazom. Prawo jest tu oczywiste”. Nie pozostawia wyjścia. – Mariko bardzo spowalniała. – Ale pan Toranaga, znając twoją wrażliwość na zabijanie, dla oszczędzenia ci cierpień osobiście polecił jednemu ze swoich samurajów, by odesłał starego ogrodnika w Wielką Pustkę.

–Ale dlaczego ktoś przedtem nie zapytał mnie? Ten bażant nic dla mnie nie znaczył.

–Bażant nie ma z tym nic wspólnego, Anjin-san – wyjaśniła. – Jesteś głową domu. Prawo mówi, że żadnemu z domowników nie wolno ci się sprzeciwić. Stary ogrodnik z rozmysłem złamał to prawo. Gdyby ludzie kpili sobie z prawa, rozleciałyby się cały świat. Twój...

Toranaga przerwał jej, coś do niej mówiąc. Wysłuchiwała go, odpowiedziała na kilka pytań, a potem na jego znak mówiła dalej.

–Hai. Pan Toranaga pragnie cię zapewnić, że osobiście dopilnował, aby starego ogrodnika spotkała szybka, bezbolesna i zaszczytna śmierć, na którą sobie zasłużył. Posunął się nawet do tego, żeby pożyczyć owemu samurajowi własny miecz, który jest bardzo ostry. Trzeba ci wiedzieć, Anjin-san, że stary ogrodnik był ogromnie dumny, mogąc u schyłku życia dopomóc twojemu domowi, dumny z tego, że pomógł ustalić, że jesteś samurajem. A nade wszystko dumny z zaszczytu, jaki go spotkał. Nie użyto publicznych katów. Pan Toranaga pragnie, żebym ci to dokładnie wyjaśniła.

–Dziękuję, Mariko-san. Dziękuję za to wyjaśnienie. – Blackthorne zwrócił się w stronę Toranagi i złożył bardzo przepisowy ukłon. – Dōmo, Toranaga-sama, Dōmo arigato. Wakarimasu. Dōmo.

Odpowiedział na pytania Toranagi dotyczące szkolenia muszkietników, ale myślał o czym innym. To, co usłyszał, było dla niego ogłuszającym ciosem. Zwymyślał Fujiko w obecności wszystkich służących i nadużył zaufania domowników, podczas gdy ona postąpiła jak najśluszej, podobnie oni.

Była zupełnie bez winy. Nikt z nich nie był winny. Tylko on.

Nie mogę odwrócić tego, co się stało. Ani wobec Ueki-ya, ani jej. Ich wszystkich, pomyślał. Jakże tu żyć z takim wstydem?

Siedział ze skrzyżowanymi nogami przed Toranaga, za pasem miał miecze, a lekka

morska bryza targała mu kimono. Otępiały, słuchał i odpowiadał, lecz nic nie miało znaczenia. Mariko powiedziała, że zbliża się wojna. Spytał, kiedy wybuchnie. Odparła:

–Wkrótce. Tak że masz natychmiast ze mną wyjechać, Anjin-san. Będziesz mi towarzyszył przez część drogi, bo udaję się do Osaki, ale ty pojedziesz łądem do Edo, żeby przygotować swój statek do walki...

Nagle zrobiło się straszliwie cicho.

A potem ziemia zatrzęsa się.

Miał wrażenie, że pękają mu piersi, a każda cząsteczka jego jaźni krzyczała w panice. Próbował wstać, ale nie mógł. Zobaczył, że wszyscy strażnicy są równie bezradni. Mariko i Toranaga rękami i nogami rozpaczliwie wczepiali się w murawę. Z nieba i z ziemi dobiegały dudnienia i grzmoty katastrofy. Otaczały ich zewsząd, potężniejąc i potężniejąc, aż wreszcie bębunki w ich uszach były bliskie pęknięcia. Rozpasane szaleństwo wchłonęło ich w siebie. Wtem na chwilę ustało, ale wstrząsy trwały. Zbierało mu się na mdłości, a niedowierzający rozum krzyczał, że to przecież twardy, bezpieczny ład, a nie morze, kiedy świat co chwila się wywraca. Raz po raz wymiotując, ucapiony dygoczącej ziemi, splunął, żeby usunąć z ust wstrętny smak.

Od góry na północy oderwała się lawina kamieni i z wyciem stoczyła się w dolinę, powiększając ogólny zgietk. Część samurajskiego obozu zniknęła. Blackthorne podźwignął się na czworaki spostrzegając, że Mariko i Toranaga robią to samo. Usłyszał własny krzyk, miał jednak wrażenie, że tak z jego, jak i ich ust nie wydobywa się żaden dźwięk.

Drżenie ustało.

Ziemia znów stała się pewna, pewna, jak była zawsze i jak zawsze być powinna. Nie panował nad rozdygotanymi rękami, kolanami, ciałem. Starał się je uspokoić i odzyskać oddech.

I wtedy ziemia zawyla ponownie. Nastąpił drugi wstrząs. Silniejszy od pierwszego. Na drugim końcu płaskowyżu grunt pękł. Ziejąca rozpadlina zaczęła pędzić w ich stronę z niewiarygodną prędkością, przeszła pięć kroków od nich i pomknęła dalej. Nie dowierając oczom, Blackthorne ujrzał, że Toranaga i Mariko zawiśli na skraju urwiska, tam gdzie powinno być twardo. Jak we śnie zobaczył, że znajdujący się najbliżej przepaści daimyō zaczyna się w nią osuwać. Ocknął się z odrętwienia i rzucił przed siebie. Prawą ręką złapał Toranagę za pas. Ziemia drżała niczym liść na wietrze.

Ziejąca śmiercią rozpadlina była na dziesięć kroków szeroka i głęboka na dwadzieścia. Sypiące się na Blackthorne'a i Toranagę błoto i kamienie wlokły ich z

sobą. Blackthorne, już prawie wciągnięty w przepaść, próbował zaczepić gdzieś rękę i nogi, rycząc na Toranagę, by mu pomógł. Wciąż na wpół oszołomiony daimyō wbił czubki stóp w ścianę rozpadliny i z pomocą dźwigającego go w górę Blackthorne'a wdrapał się z powrotem. Obaj zlegli w bezpiecznym miejscu ciężko dysząc.

W tym momencie nastąpił jeszcze jeden wstrząs.

Ziemia znowu się rozstała. Mariko krzyknęła. Próbowwała uciec z drogi nowemu pęknięciu, ale ją wchłonęło. Blackthorne jak szalony podczołgał się na jego skraj, raz po raz tracąc równowagę wskutek kolejnych wstrząsów.

Dotarłszy do krawędzi, spojrział w dół. Mariko dygotała na półce kilka stóp niżej, a ziemia drżała pod obojętnym niebem. Krawędź szerokiej na kilka i głębokiej na kilkanaście kroków rozpadliny kruszyła się pod-nim zatrważająco. Oślepiiony błotem i kamieniami zsunął się w dół i pochwyciwszy Mariko, wciągnął ją na bezpieczniejszą półkę. Razem próbowali odzyskać równowagę. Ziemia zadrżała. Większa część półki zawałiła się na ich zgubę. I wtedy pas Blackthorne'a pochwyciła żelazna ręka Toranagi, powstrzymując ich od osunięcia się w piekło zagłady.

–O Chryste!... – krzyknął Blackthorne, bo ramiona miał prawie wyrwane ze stawów, jedną ręką obejmując Mariko, a drugą wolną i stopami rozpaczliwie starając się przytrzymać. Toranaga trzymał go dopóty, dopóki nie stanęli znów na jakiejś półce, a wtedy Blackthorne'owi pękł pas. Dzięki małej przerwie między wstrząsami zdołał wśród spadających kawałków ziemi wciągnąć Mariko na półkę. Toranaga odskoczył w bezpieczne miejsce, ponaglając go krzykiem. Rozpadlina zawyla i zaczęła się zwierzać. Mariko i Blackthorne nadal tkwili głęboko w jej gardzieli, ale Toranaga nie mógł już im pomóc. Przerazenie dodało Blackthorne'owi nadludzkich sił i porwawszy Mariko zdołał ją jakoś wypchnąć z ich ziemnego grobowca w górę. Toranaga chwycił ją za przegub i wciągnął na skraj urwiska, zdrapując się na nie Blackthorne zachwiał się do tyłu, bo odpadł kawałek ściany. Zbliżająca się ku niemu przeciwległa ściana rozpadliny skrzeczała zatrważająco. Sypały się z niej błoto i kamienie. Przez chwilę myślał, że już po nim, ale zdołał się wyrwać i po omacku prawie wydostał z mogiły. Z nogami w rozpadlinie, leżąc na jej drżącej krawędzi, łapczywie łapał powietrze i nie był w stanie odpełznąć. Szczelina zwierzała się. Aż wreszcie znieruchomiała... głęboka na osiem kroków i szeroka na sześć.

Łoskot ustał. Ziemia się uspokoiła. Zapadła cisza. Bezradni, czekali na czworakach na powrót koszmaru. Ociekający potem Blackthorne zaczął się podnosić.

Toranaga dał mu znak, żeby nie wstawał. Anglik twarz miał rozbitą, a przez skroń, w miejscu zderzenia z kamieniem, biegło głębokie rozcięcie.

Cała trójka dyszała, piersi im falowały, a w ustach czuli gorycz. Strażnicy zaczęli się zbierać z ziemi. Kilku ruszyło biegiem w stronę Toranagi.

–Iye! – krzyknął. – Matę! (Czekajcie!).

Posłuchali go i opadli z powrotem na czworaki. Czekanie zdawało się nie mieć końca. A potem na drzewie zaskrzeczał ptak i z krzykiem wzbił się w powietrze. Za nim wleciał następny. Blackthorne potrząsnął głową, żeby strącić pot zalewający mu oczy. Ujrzał swoje zakrwawione, połamane paznokcie zaciśnięte na kępkach trawy. A po chwili w trawie tej wędrującą mrówkę. A potem jeszcze jedną i następną. Zaczęły buszować.

Nadal przerażony, usiadł na piętach.

–Kiedy będzie bezpiecznie? – wysapał.

Mariko nie odpowiedziała. Szczelina w ziemi hipnotyzowała ją. Blackthorne podczołgał się do niej.

–Nic ci się nie stało? – spytał.

–Nie... nie – odparła dysząc. Twarz miała powalaną błotem. Kimono podarte i brudne. Zgubiła sandały i tabi. Także parasolkę. Pomógł jej odsunąć się od rowu. W dalszym ciągu była jak sparaliżowana.

–Ikaga desu ka? – spytał Blackthorne, patrząc na Toranagę.

Toranaga nie był w stanie mówić, pierś rozsadzał mu ból, a nogi i ręce miał otarte do żywego mięsa. Wskazał ręką. Szczelina, w której o mało co nie zginął” skurczyła się do wąskiego rowu w ziemi. Na północy wszakże ziała, tworząc jar, ale nie była już tak szeroka i głęboka jak wcześniej.

Blackthorne wzruszył ramionami.

–Karma – powiedział.

Toranaga czknął głośno, odchrząknął, splunął i czknął jeszcze raz. To pomogło mu odzyskać głos, bo wskazując na rów posłał nad nim potok złorzeczeń, i chociaż Blackthorne nie rozumiał wszystkiego, daimyō najwyraźniej używał japońskich odpowiedników przekleństw: „A bodaj franca karmę, bodaj franca to trzęsienie ziemi, bodaj franca tę rozpadlinę... bodaj to franca, straciłem swoje miecze!”

Z ulgi, że żyje, a przy tym czując niedorzeczność sytuacji, Blackthorne wybuchnął śmiechem: Po chwili śmiechem zaniósł się również Toranaga, a ich wesołość zaraziła Mariko.

Toranaga wstał. Energicznie. A potem, pokrzepiony radością życia, zaczął błąznować nad rozpadliną, parodiując siebie podczas trzęsienia ziemi. Znieruchomiał,

przywołał gestem Blackthorne'a i podszedł do rowu. Tu odsunął z bioder opaskę i od nowa zdjęty śmiechem kazał Blackthorne'owi zrobić to samo. Kiedy Blackthorne wykonał polecenie, obaj spróbowali nasikać do rowu. Ale nie wydobyli z siebie nic, nawet kropli. Bardzo się o to starali, ale rozśmieszyło ich to jeszcze bardziej i zatkało pęcherze. Po jakimś czasie jednak dowiedzieli się tego, a potem Blackthorne, podparty na rękach, usiadł, żeby zebrać siły. Kiedy trochę doszedł do siebie, zwrócił się do Mariko i spytał:

–Czy to trzęsienie ziemi skończyło się na dobre, Mariko-san?

–Tak, do następnego wstrząsu – odparła, nie przestając oczyszczać z błota rąk i kimona.

–Czy zawsze to tak wygląda?

–Nie. Zdarzają się bardzo lekkie trzęsienia ziemi. Bywa też, że następuje druga seria wstrząsów... po trociczce czasu albo dniu, czasem po pół trociczki albo po pół dnia. Niekiedy jest to tylko jeden wstrząs, nigdy nie da się tego przewidzieć, Anjin-san. I kończy się, zanim się zacznie następny. Karma, ne?

Strażnicy przyglądali się im bez ruchu, czekając na rozkaz Toranagi.

–Dómo, Anjin-san, ne? Dómo – powiedział Toranaga, który już spoważniał.

–Dózo, Toranaga-sama. Nane mo. Hombun, ne? (Proszę, Toranaga-sama. Nie ma o czym mówić. Obowiązek.) – rzekł Blackthorne, a potem, ponieważ miał za mały zasób słów, pragnął zaś być dokładnie zrozumiany, dodał: – Mariko-san, czy wytłumaczysz to w moim imieniu? Chyba zrozumiałem już, co mieliście na myśli ty i pan Toranaga mówiąc o karmie i o tym, że niemądrze przejmować się tym, co jest. Dużo mi się wyjaśniło. Nie wiem dlaczego, może dlatego, że jeszcze nigdy nie byłem taki przerażony, może to otworzyło mi oczy, ale chyba myślę jaśniej. No... na przykład, jeśli chodzi o tego starego ogrodnika. Tak, to była wyłącznie moja wina i naprawdę tego żałuję, bo popełniłem błąd, ale niezamierzony. Tak jest. I nic nie można na to poradzić. Przed chwilą o mało co nie zginęliśmy. Tak więc niepotrzebnie się martwiłem i trapiłem, prawda? Karma. Tak, teraz już wiem, co to jest. Rozumiesz?

–Tak.

Przełożyła to, co powiedział, Toranadze.

–Mówi: „To dobrze, Anjin-san. Karma to ziarno wiedzy. Zaraz potem idzie cierpliwość. Cierpliwość jest bardzo ważna. Silni są cierpliwi, Anjin-san. Cierpliwość oznacza zapanowanie nad skłonnością do siedmiu uczuć: nienawiści, uwielbienia, radości, troski, gniewu, żalu i strachu. Jeżeli nie ulegasz tym siedmiu, to jesteś cierpliwy; wkrótce zrozumiesz wszystko na tym świecie i osiągniesz harmonię z

Wiecznością”.

–Wierzysz w to, Mariko-san?

–Tak. Bardzo mocno. Ja też staram się być cierpliwą, ale to trudne.

–Zgadza się. To jest także wa, twoja harmonia, twoje „wyciszenie”, ne?

–Tak. Znowu odmłodniałeś – powiedziała i dodała po łacinie: – Jesteś na powrót sobą, panie, i to bardziej niż wprzód!

–Za to tyś jest tak piękna jak zawsze.

Jej spojrzenie ożywiło się, odwróciła oczy od Toranagi. Blackthorne zauważył to i odnotował w pamięci jej przezorność. Wstał i zajrzał w poszarpaną rozpadlinę. Ostrożnie zeskoczył do niej i zniknął z oczu.

Mariko podźwignęła się z ziemi, przez chwilę zaniepokojona, ale Blackthorne bardzo szybko wyłonił się z powrotem. W ręku trzymał miecz Fujiko. Wprawdzie był ubłocony i obdrapany, ale w pochwie. Krótki miecz do zadawania pchnięć zaginał.

Blackthorne ukląkł przed Toranagą i podał mu miecz tak, jak nakazywał zwyczaj.

–Dozo, Toranaga-sama – powiedział wprost. – Kara, samurai ni samurai, ne? (Proszę, od samuraja dla samuraja).

–Dómo, Anjin-san. – Władca Kantó przyjął miecz i wsunął go za pas. A potem uśmiechnął się, pochylił w przód i mocno klepnął Blackthorne’a po ramieniu. – Tomo, ne? (Przyjaciół, co?)

–Dómo.

Blackthorne spojrział w bok. Jego uśmiech zniknął. Ponad wzniesieniem, za którym leżała wioska, sunęła chmura dymu. Natychmiast spytał Toranagę, czy może odejść, żeby upewnić się, czy nic się nie stało Fujiko.

–Pan Toranaga wyraża zgodę, Anjin-san – powiedziała Mariko. – Spotkamy się z nim na wieczerzy w warowni, o zachodzie słońca. Chce z tobą omówić pewne sprawy.

Blackthorne powrócił do wioski. Zrujnowanej, z drogą wykrzywioną nie do rozpoznania, z pogruchotaną nawierzchnią. Ale ludziom nic się nie stało. Nadal płonęły liczne pożary. Wieśniacy nieśli cebry z piaskiem i wodą. Skręcił za róg. Dom Omiego przechylił się jak pijany w jedną stronę. Jego własny był wypaloną ruiną.

Fujiko była ranna. Jej służąca Nigatsu zginęła. Przy pierwszym wstrząsie załamały się główne filary domu, rozrzucając węgle z kuchennego paleniska. Fujiko i Nigatsu zostały uwięzione przez belkę” a płomień zamieniły służącą w żywą pochodnię. Fujiko zdołała się wydostać. Zginęło też jedno z dzieci kucharza, ale reszta służby ocalała, wychodząc z tego z siniakami, a kilkoro ze zwichnięciami. Nie posiadali się z radości przekonawszy się, że Blackthorne ocalał i wyszedł bez szwanku.

Fujiko leżała na ocalałym futonie, na wpół przytomna, obok nienaruszonego płotu. O mało się nie rozplakała, kiedy zobaczyła, że Blackthorne’owi nic się nie stało.

–Dziękuję Buddzie, że nie jesteś ranny, Anjin-san – powiedziała słabym głosem.

Wciąż jeszcze była w szoku, więc zakazał jej się ruszać, kiedy próbowała wstać. Nogi i lędźwie miała mocno poparzone. Lekarz już się nią zajął, owijając jej poparzenia bandażami nasączonymi w herbacie i ziołach, żeby złagodzić ból. Blackthorne ukrył troskę, odczekał, aż lekarz zrobi swoje, a po wszystkim zapytał go na osobności, czy pani Fujiko wydobrzeje.

–Fujiko-san, yoi ka?

Japończyk wzruszył ramionami.

–Hai – odparł, cofając wargi i odsłaniając wystające zęby. – Karma, ne?

–Hai. – Blackthorne dość się napatrzył na śmierć poparzonych marynarzy, żeby wiedzieć, iż każde silne poparzenie jest groźne, że otwarte rany prawie zawsze po kilku dniach zaczynają się paprać i niczym nie da się powstrzymać zakażenia. – Nie chcę, żeby umarła.

–Dozó?

Powtórzył to po japońsku, na co lekarz potrząsnął głową i zapewnił go, że Fujiko na pewno wydobrzeje. Że jest młoda i silna.

–Shigata ga nai – rzekł lekarz, przykazał służącymi żeby bandażę były cały czas wilgotne, Blackthorne’owi dał na jego otarcia skóry zioła, obiecał wkrótce powrócić, a potem pośpieszył na wzgórze do rozwalonego domu Omiego.

Blackthorne stanął w głównej bramie, która nic nie ucierpiała. W jej lewym słupku nadal tkwiły strzały Buntaro. Z roztargnieniem dotknął jednej. Szkoda, że Fujiko się poparzyła, pomyślał.

Wrócił do niej i kazał służącej przynieść cha. Pomógł Fujiko się napić i trzymał ją za rękę, dopóki nie zasnęła, a przynajmniej wyglądało na to, że śpi. Służba ratowała, co się dało z domu, uwijając się wraz z kilkoma pomagającymi im wieśniakami. Wiedzieli, że wkrótce spadnie deszcz. Czterej mężczyźni starali się zbudować prowizoryczne schronienie.

–Dozo, Anjin-san – powiedział kucharz, częstując go cha i próbując ukryć zgryzotę. Mała córeczka, która zginęła, była jego ulubienicą.

–Dómo – odparł Blackthorne. – Sumimasen. (Przykro mi).

–Arigato, Anjin-san. Karma, ne?

Blackthorne skinął głową, przyjął herbatę i żeby nie zawstydzić kucharza, udał, że nie dostrzega jego smutku. Później na wzgórze przybył samuraj z wiadomością od Toranagi, że Blackthorne i Fujiko do czasu odbudowania domu będą nocować w warowni. Przyniesiono dwa palankiny. Blackthorne delikatnie umieścił w jednym z nich Fujiko i odesłał ją ze służącymi, oznajmiając, że niedługo za nią podąży. Drugi palankin odprawił.

Zaczęło padać, ale nie zwrócił na to uwagi. Przysiadł na kamieniu i patrzył na ogród, który dał mu tyle przyjemności. W tej chwili był w ruinie. Mały mostek zdruzgotany, sadzawka rozwalona, a potoczek zniknął.

–Nie szkodzi – szepnął w przestrzeń. – Te kamienie żyją.

Ueki-ya powiedział mu kiedyś, że ogród musi być założony wokół kamieni, że bez nich jest pusty, pozostaje jedynie miejscem, gdzie coś rośnie.

Jeden z kamieni był poszarpany i zwyczajny, ale Ueki-ya umieścił go tak, że kiedy przyglądało mu się długo i uważnie w porze zachodzącego słońca, wtopione weń żyłki i kryształy nieciły czerwonawe błyski i można w nim było zobaczyć całe pasmo górskie z długimi dolinami, głębokimi jeziorami, a daleko na zieleniejącym widnokręgu wzbierającą noc.

Blackthorne dotknął kamienia.

–Daję ci imię Ueki-ya-sama – powiedział. Ucieszyło go to, bo był pewien, że gdyby Ueki-ya żył, też by się bardzo tym ucieszył. Mimo że nie żyje, może się dowie rzekł w duchu, może jest tu w tej chwili jego kami. Wyznawcy shintō Wierzą, że po śmierci stają się kami...

–Co to jest kami? – spytał kiedyś Mariko.

–Kami nie da się wytłumaczyć, Anjin-san. Jest jak duch, lecz nim nie jest, jest jak

dusza, ale nie jest duszą. Być może jest to niematerialna istota rzeczy lub osoby... trzeba ci wiedzieć, że człowiek staje się po śmierci kami, ale kami jest również drzewo, kamień, roślina, malowidło. Kami się czci, ale nie ubóstwia. Mieszkają one pomiędzy niebem a ziemią, odwiedzają tę Krainę Bogów albo opuszczają ją, wszystko naraz.

–A shintō? Co to jest shintō?

–Och, bardzo przepraszam, tego również nie da się wytłumaczyć. Jest jak religia, lecz nią nie jest. Z początku nawet nie miało nazwy, nazwaliśmy ją shintō, Drogą Kami, dopiero tysiąc lat temu, dla odróżnienia jej od butsudo, Drogi Buddy. Ale mimo swej nieokreśloności shintō jest esencją Japonii i japońskości i chociaż nie posiada teologii, bóstwa, wiary ani systemu etycznego, to stanowi dla nas rację bytu. Shintō to kult przyrody, w którego mity i legendy nikt szczerze nie wierzy, ale mimo to wszyscy go czczą. Osoba jest shintō w ten sam sposób, w jaki rodzi się Japończykiem.

–A czy ty też jesteś shintō... i zarazem chrześcijanką?

–O, tak, jak najbardziej, oczywiście...

Blackthorne ponownie dotknął kamienia:

–Proszę cię, kami Ueki-ya, racz pozostać w moim ogrodzie – szepnął.

A potem, nic sobie nie robiąc z deszczu, pozwolił oczom spocząć na kamieniu, powędrować przez jego bujne doliny, spokojne jezioro do zieleniejącego widnokągu, tam gdzie wzbierał mrok.

Słuch nakazał mu wzmóc czujność. Podniósł wzrok. Patrzył na niego Omi, który przysiadł cierpliwie na pośladkach. Pod przeciwdeszczowym płaszczem z ryżowej słomy miał świeżo wyprasowane kimono, a na umytych włosach bambusowy stożkowaty kapelusz. Nadal padało.

–Karma, Anjin-san – powiedział, wskazując na tłące się zgliszcza.

–Hai. Ikaga desu ka?

Blackthorne otarł mokrą twarz.

–Yoi. – Omi wskazał w górę na swój dom. – Watakushi no yuya wa hakaisarete imasen ostukai ni narimasen-ka? (Moja łaźnia nie jest zniszczona. Chciałbyś z niej skorzystać?)

–Ah so desu! Dōmo, Omi-san, hai, dōmo.

Wdzięczny Blackthorne podążył za nim w górę krętą drogą i weszli na podwórze jego domu. Służący i wioskowi rzemieślnicy pod nadzorem Mury stukali młotami, piłowali i naprawiali. Ustawili już na miejscu główne słupy i prawie umocowali dach.

Na migi, używając prostych słów i cierpliwości, Omi wyjaśnił, że jego służącym w porę udało się zgasić ogień. Powiedział, że za dzień, dwa dom będzie odbudowany i, bez obawy, tak porządny, jak poprzednio.

–Odbudowa twojego zajmie dłużej, tydzień, Anjin-san. Nie martw się, Fujiko-san to świetna gospodyni. Bardzo szybko umówi się z Murą co do kosztów i twój dom będzie jeszcze wygodniejszy. Słyszałem, że się poparzyła. To się zdarza. Ale się nie martw, nasi lekarze świetnie znają się na oparzeniach... muszą, ne? Tak, Anjin-san, było to przykre trzęsienie ziemi, ale jeszcze nie najgorsze. Ryżowiska właściwie nie ucierpiały, a niezbędny system nawadniający ocalał. Ocalały również łodzie, co też się bardzo liczy. Ta lawina zabiła tylko stu pięćdziesięciu samurajów, to niewiele, ne? A jeśli chodzi o wioskę, to za tydzień nie będzie prawie śladu po trzęsieniu. Zginęło pięciu chłopów i kilkoro dzieci, to nic! Anjiro miało wielkie szczęście. Słyszałem, że wyciągnąłeś pana Toranagę ze śmiertelnej pułapki. Wszyscy jesteśmy ci za to wdzięczni, Anjin-san. Bardzo. Gdybyśmy go utracili... Pan Toranaga powiedział, że przyjął od ciebie miecz... masz szczęście, to wielki zaszczyt. Tak. Masz bardzo silną karmę, bardzo dobrą, bardzo bogatą. Tak, ogromnie ci dziękujemy. Posłuchaj, porozmawiamy dłużej, kiedy się wykąpiesz. Cieszę się, że jesteś moim przyjacielem.

Omi przywołał łaziebne.

–Isogi! (Migiem!)

Służące zaprowadziły Blackthorne'a do łaźni, która mieściła się w malutkim klonowym gaju, a z domem łączyła ją ładna, kręta, przeważnie zadaszona ścieżka. Łaźnia Omiego była o wiele bardziej zbytkowna niż jego własna. Jedna jej ściana była mocno zarysowana, ale wieśniacy już ją gipsowali. Pomimo braku kilku dachówek i niewielkich przecieków tu i tam, dach trzymał się mocno.

Blackthorne rozebrał się i usiadł na malutkim stołku. Służące namydliły mu na deszczu ciało i włosy. Kiedy go obmyły, wszedł do środka i zanurzył się w parującej wodzie. Wszystkie kłopoty odpłynęły.

Fujiko wyzdrowieje. Mam szczęście, myślał, mam szczęście, że wyciągnąłem Toranagę, szczęście, że uratowałem Mariko, i szczęście, że on tam był i nas wybawił.

Dzięki czarodziejskim umiejętnościom Suwo znowu odżył. Potem pozwolił mu opatrzyć swoje obrażenia i rozcięcia, włożył czystą opaskę na biodra, świeże kimono i tabi, które dla niego przygotowano, i wyszedł. Deszcz ustał.

W kącie ogrodu wzniesiono prowizoryczną wiatę. Miała porządną nadziemną

podłogę i znajdowały się w niej futony oraz mała waza z kompozycją kwiatową. W wiacie czekał na niego Omi w towarzystwie bezzębnej staruszki o surowej twarzy.

–Usiądź, proszę, Anjin-san – powiedział Omi.

–Dziękuję ci, dziękuję też za ubranie – odparł po japońsku, zacinając się.

–Doprawdy nie ma za co. Napijesz się cha albo sake?

–Cha – zdecydował Blackthorne uznając, że lepiej, jeśli będzie trzeźwy na spotkaniu z Toranagą. – Dziękuję.

–To moja matka – oznajmił oficjalnym tonem Omi, najwyraźniej darząc ją uwielbieniem.

Blackthorne uklonił się. Staruszka uśmiechnęła się sztucznie i wciągnęła powietrze.

””

–To dla mnie zaszczyt, Anjin-san – rzekła.

–Dziękuję, ale to zaszczyt dla mnie – Blackthorne wypowiedział odruchowo grzecznościową formułkę, której nauczyła go Mariko.

–Bardzo nas zasmucił widok twojego domu w płomieniach, Anjin-san.

–Cóż poradzić. Karma, ne?

–Tak, karma. – Stara odwróciła głowę i spojrzała groźnie. – A pośpiesz no się! Anjin-san chce ciepłej herbaty!

Na widok dziewczyny, która stała przy służącej z tacą, Blackthorne wstrzymał oddech. A potem przypomniał ją sobie. Czy to nie ją właśnie widział z Omim za pierwszym razem, kiedy szedł przez wioskowy plac w stronę galery?

–To moja żona – przedstawił ją zwięźle Omi.

–Jestem zaszczycony – powiedział Blackthorne, kiedy zajęła miejsce, uklękła i ukloniła się.

–Musisz jej wybaczyć opieszałość, panie – odezwała się matka Omiego. – Czy cha jest wystarczająco gorąca? –

–Dziękuję, jest bardzo dobra. – Blackthorne odnotował, że stara nie wymieniła imienia żony, tak jak powinna. Z drugiej strony nie zaskoczyło go to, bo Mariko objaśniła mu już dominującą rolę świekry w japońskim społeczeństwie.

–Dzięki Bogu, że w Europie jest inaczej – odparł jej wtedy.

–Świekra ma we wszystkim rację, Anjin-san, no, bo w końcu to właśnie rodzice wybierają synowi żonę, a jakże ojciec mógłby mu ją wybrać nie poradziwszy się przedtem małżonki? Oczywiście synowa musi być posłuszna, a syn zawsze postępuje zgodnie z wolą ojca i matki.

–Zawsze?

–Zawsze.

–A jeżeli jakiś syn odmówi?

–To nie jest możliwe. Wszyscy muszą być posłuszni głowie domu. Syn ma przede wszystkim obowiązki wobec swoich rodziców. To oczywiste. Matki dają synom wszystko: życie, jedzenie, czułość, opiekę. Matka pomaga synowi przez całe życie. Dlatego słusznie, żeby syn stosował się do jej życzeń. Synowa... synowa musi być posłuszna. To jej obowiązek.

–U nas jest inaczej.

–Trudno być dobrą synową, bardzo trudno. Po prostu musi ona żyć nadzieją, że sama doczeka się synów i zostanie świekrą.

–A co z twoją świekrą?

–Och, nie żyje, Anjin-san. Umarła dawno temu. Nie poznałam jej. Pan Hiro-matsu był na tyle mądry, żeby nie brać sobie drugiej żony.

–Buntaro-san jest jego jedynym. synem?

–Tak. Mój mąż ma pięć żyjących siostr, ale żadnych braci... W jakimś sensie jesteśmy teraz z sobą skoligaceni, Anjin-san – zażartowała. – Fujiko jest siostrzenicą mojego męża. O co chodzi?

–Dziwię się, że mi nigdy o tym nie wspomniałaś, tylko tyle.

–Cóż, to dość skomplikowane, Anjin-san.

Mariko wyjaśniła mu, że Fujiko jest właściwie przybraną córką Numaty Akinoriego, który poślubił najmłodszą siostrę Buntaro, i że prawdziwym ojcem Fujiko był wnuk dyktatora Gorody spłodzony z jego związku z ósmą konkubiną, a Numata adoptował ją, kiedy była dzieckiem, na rozkaz taikō, ponieważ taikō pragnął zadzierzgnięcia bliższych więzów rodzinnych pomiędzy potomkami Hiro-matsu i Gorody...

–Co takiego?

Mariko zaśmiała się tłumacząc mu, że owszem, rodowe związki w Japonii są bardzo skomplikowane, ponieważ adopcja jest czymś zwyczajnym, rodziny często wymieniają synów i córki, a ponadto bez przerwy się rozwodzą, żenią ponownie i zawierają małżeństwa w obrębie rodziny. Przy tylu konkubinach i łatwości rozwodów – zwłaszcza na rozkaz lennego pana – wszystkie rodziny są związane niewiarygodnie splątanymi powinowactwami.

–Na dokładne rozwikłanie rodzinnych powiązań pana Toranagi potrzeba by dni. A pomyśl tylko o komplikacjach, Anjin-san: obecnie ma on siedem konkubin, a z nimi pięciu synów i trzy córki. Niektóre z tych konkubin miały przedtem mężów i dzieci, z których część pan Toranaga adoptował. W Japonii nie pyta się, czy ktoś jest rodzonym, czy adoptowanym potomkiem. Bo czy to doprawdy ważne? Dziedziczenie zależy od woli głowy rodziny, tak więc to, czy potomek jest adoptowany czy nie, nie ma znaczenia, ne? Nawet matka pana Toranagi była rozwódką. Po powtórny ożenku z drugim mężem miała jeszcze trzech synów i dwie córki, a wszyscy oni pozawierali małżeństwa! Jej najstarszy syn z drugiego małżeństwa to Zataki, władca Shinano.

Blackthorne przemyślał to sobie, po czym rzekł;

–Nam nie wolno się rozwodzić. Nie możemy.

–Tak nam mówią świętobliwi ojcowie. Przepraszam, ale nie jest to rozsądne, Anjin-san. Pomyłki się zdarzają, ludzie się zmieniają, karma, ne? Dlaczego mąż miałby znosić niedobrą żonę, a żona niedobrego męża? To niemądre być skazanym na siebie. Ne?

–Tak.

–Pod tym względem jesteśmy bardzo mądrzy, a świętobliwi ojcowie nie. Był to jeden z dwóch zasadniczych powodów, dla których taikó nie przyjął chrześcijaństwa; właśnie z powodu tej głupoty z rozwodami... i szóstego przykazania Nie będziesz zabijał”. Ojciec wizytator wysłał list do samego Rzymu, błagając o dyspensę dla Japończyków w kwestii rozwodów. Ale jego świętobliwość papież w mądrości swojej odmówił. Gdyby Ojciec Święty wyraził na to zgodę, to wierzę, że taikó by się nawrócił, daimyō wyznawaliby w tej chwili Prawdziwą Wiarę, a ten kraj byłby chrześcijański. Sprawa „zabijania” stałaby się nieistotna, ponieważ tak naprawdę nikt tego nie przestrzega, a już najmniej chrześcijanie. Takie małe ustępstwo za tak wiele, ne?

–Tak – przyznał Blackthorne. Rozwody wydawały się tutaj takie rozsądne. Dlaczego więc w ojczyźnie były śmiertelnym grzechem, któremu w chrześcijaństwie w imię Boga przeciwstawiał się zarówno katolicki ksiądz, jak i anglikański pastor?

–Jaka jest żona pana Toranagi? – spytał pragnąc, by mówiła dalej. Na ogół unikała mówienia o Toranadze i historii jego rodu, a dla niego ważne było wszystko.

Mariko posmutniała na chwilę.

–Nie żyje. Była jego drugą żoną i umarła dziesięć albo jedenaście lat temu. Była przyrodnią siostrą taikō. Pan Toranaga nie miał szczęścia do żon, Anjin-san.

–Dlaczego?

–Och, ta druga była stara, zmęczona i zachłanna, wielbiła złoto, chociaż, tak jak jej brat taikō, udawała, że nie. Była niepłodna i zrzędliva. Przez jakiś czas musiałam być jej damą dworu. Nic nie mogło jej zadowolić, żaden młodzieniec ani mężczyzna nie potrafił rozwiązać supła w jej Złotym Pawilonie.

–Słucham?

–W jej Nefrytowej Bramie. Z pomocą swojej Żółwiej Głowy... Rozpalonej Włóczni. Rozumiesz? W jej... przyrodzeniu.

–Ach! Zrozumiałem. Tak.

–Nikt nie potrafił rozwiązać jej supła... zaspokoić jej.

–Nawet Toranaga?

–On wcale z nią nie poduszkowa!, Anjin-san – odparła mocno wzburzona. – Gdzieżby tam, po zawarciu małżeństwa nie miał z nią nic wspólnego, tyle że podarował jej zamek, służbę oraz klucze do skarbcza. Była stara i już dwukrotnie zamężna, ale jej brat, taikō, rozwiązał te małżeństwa. Nadzwyczaj niemiła kobieta, i wszystkim, nawet jej bratu, ogromnie ulżyło, kiedy odeszła w Wielką Pustkę. Jej – wszystkie przyrodnie synowe i wszystkie konkubiny Toranagi z wielkiej radości potajemnie wypaliły z tej okazji kadzidła.

–A pierwsza żona Toranagi?

–Och, pani Tachibana. Było to jeszcze jedno polityczne małżeństwo. Pan Toranaga miał lat osiemnaście, ona piętnaście. Wyrosła na straszną kobietę. Dwadzieścia lat temu pan Toranaga był zmuszony uśmiercić ją, ponieważ odkrył, że po cichu spiskowała, chcąc zabić ich lennego pana, dyktatora Gorodę, którego nienawidziła. Zdaniem mojego ojca, który często mi to powtarzał, on, Toranaga, Nakamura i wszyscy generałowie mieli szczęście zachowując głowy, ponieważ Goroda był bezlitosny, bezwzględny i ‘nader podejrzliwy wobec najbliższego otoczenia. Ta kobieta, bez względu na niewinność każdego z nich, mogłaby ich wszystkich zgubić. Z powodu jej intrygi przeciwko panu Gorodzie został stracony jedyny syn Tachibany

Nobunaga. Uśmierciła jedyne go syna. Pomyśl tylko, jakie to smutne, jakie straszne, Anjin-san. Biedny Nobunaga był ulubieńcem Toranagi, urodzonym generałem, wyznaczonym na jego dziedzica, a do tego bezwzględnie wiernym i dzielnym. Wplątała go w swoją intrygę, mimo że był niewinny. Miał zaledwie dziewiętnaście lat, kiedy pan Toranaga rozkazał mu popełnić seppuku.

–Toranaga zabił własnego syna? I żonę?

–Tak, rozkazał im się zabić, ale nie miał wyboru, Anjin-san. Gdyby tego nie zrobił, pan Goroda mógłby nabrać podejrzeń, że on sam też należał do spisku, i kazałby mu, by natychmiast otworzył sobie brzuch. O, tak. Pan Toranaga miał szczęście, że uszedł gniewu Gorody, i mądrze postąpił, szybko odsyłając Tachibanę z tego świata. Po jej śmierci wszystkie konkubiny Toranagi i jej synowa nie posiadały się z radości. Zmusiła ona swojego syna, żeby odesłał w niesławie do domu pierwszą żonę za jakieś zmyślane uchybienie, a urodziła mu ona dwójkę dzieci. Dziewczyna popełniła seppuku... Czy wspominałam ci, że kobiety popełniają seppuku przez poderżnięcie sobie gardła, a nie rozcięcie brzucha, jak mężczyźni? Chętnie jednak wybrała śmierć, rada, że uwalnia się od „życia pełnego niedoli. Natomiast druga żona Nobunagi modliła się o śmierć, ponieważ świekra także i jej życie zamieniła w piekło...

Patrząc na matkę Omiego, na herbatę spływającą jej po brodzie, Blackthorne wiedział już, że gdyby głowa rodziny, mąż tej starej wiedźmy na to pozwolił, to decydowałaby ona o życiu i śmierci Midori, o jej rozwodzie i poniżeniu. A cokolwiek ustaliłaby wspólnie z mężem, Omi by posłusznie wykonał. Okropność.

Midori, taka młoda i urocza, była całkowitym przeciwieństwem starej, twarz miała owalną, włosy gęste. Była ładniejsza od Mariko, giętka jak paproć i delikatna jak pajęczyna, brakowało jej wszakże bożej iskry tamtej.

–A gdzie zakąski? Anjin-san jest na pewno głodny, ne? – spytała gderliwie stara.

–Och, bardzo przepraszam – odparła natychmiast Midori. – W tej chwili je przynieś – poleciła służącej. – Prędko! Bardzo przepraszam, Anjin-san!

–Bardzo przepraszam, Anjin-san – zawtórowała starucha.

–Ależ nie przepraszaj, pani – Blackthorne zwrócił się do Midori i od razu zorientował się, że popełnił gafę. Dobre maniery wymagały bowiem, żeby odzywał się wyłącznie do świekry, a już zwłaszcza takiej, która miała opinię złej. – Bardzo przepraszam – powiedział. – Ja nie głodny. Dziś jeść muszę z panem Toranaga.

–Ah so desu! Słyszeliśmy” że uratowałeś mu życie. Powinieneś wiedzieć, że jesteśmy ci za to bardzo wdzięczni, wszyscy jego poddani! – zaskrzeczała starucha.

–To był obowiązek. Nie zrobiłem nic takiego.

–Zrobiłeś wszystko, Anjin-san. Omi-san i pan Yabu cenią sobie twój czyn tak bardzo jak my.

Blackthorne spostrzegł, że stara kobieta patrzy na syna. Żeby tak mógł przejrzeć twoje zamiary, stara wiedźmo, pomyślał. Czy jesteś tak zła jak tamta druga, Tachibana?

–Matko – odezwał się Omi – mam szczęście, że Anjin-san jest moim przyjacielem.

–Wszyscy mamy to szczęście – odparła.

–Nie, to ja mam szczęście – licytował się Blackthorne. – To szczęście mieć przyjaciół takich jak rodzina Kasigi Omiego-sana.

Wszyscy łżemy, pomyślał, ale nie wiem, dlaczego wy to robicie. Ja kłamię, żeby siebie ochronić, a także, bo taki jest zwyczaj. Wcale jednak nie zapomniałem... Zaraz! A czy to, na dobrą sprawę, nie była karma? Czyż nie zrobiłbyś Omiemu tego samego, co on tobie? To było dawno... w poprzednim życiu, ne? W tej chwili nie ma to znaczenia...

Na podjeździe zaklekotały kopyta koni, nadjechała grupa jeźdźców pod dowództwem Nagi. Naga zsiadł i energicznie wkroczył do ogrodu. Wieśniacy przerwali pracę i padli na kolana. Gestem nakazał im pracować dalej.

–Bardzo przepraszam, że przeszkadzam, Omi-san, ale przysyła mnie pan Toranaga – oznajmił.

–Ależ proszę, wcale nie przeszkadzasz. Przysiądź się do nas – odparł Omi. Midori natychmiast z niskim ukłonem odstąpiła gościowi swoją poduszkę. – Napijesz się cha albo sake, Naga-sama?

Naga usiadł.

–Dziękuję, ale nie. Nie jestem spragniony.

Omi grzecznie powtórzył zaproszenie, kontynuując niezbędny rytuał, chociaż było oczywiste, że Nadze się śpieszy.

–Jak się czuje pan Toranaga?

–Bardzo dobrze. Oddałeś nam wielką przysługę, Anjin-san. Tak. Dziękuję ci osobiście.

–To był obowiązek, Naga-san. Ale zrobiłem niewiele. Pan Toranaga wyrwał mnie... też mnie wyrwał ziemi.

–Tak. Ale potem. Bardzo ci dziękuję.

–Naga-san, czy mogę coś zrobić dla pana Toranagi? – spytał Omi, kiedy nakazy etykiety pozwoliły mu w końcu przejść do rzeczy.

–Chciałby się z tobą zobaczyć po kolacji. Odbędzie się walna narada oficerów.

–Będę zaszczycony.

–Anjin-san, pojedziesz teraz ze mną, jeśli łaska.

–Oczywiście. To dla mnie zaszczyt.

Po kolejnej porcji ukłonów i pozdrowień Blackthorne dosiadł konia i pocwałował w dół ze wzgórza. Kiedy samurajski oddział dotarł do placu, Naga ściągnął cugle.

–Anjin-san!

–Hai?

–Dziękuję ci z całego serca za uratowanie pana Toranagi. Pozwól mi zostać twoim przyjacielem... – powiedział Naga i dodał coś, czego Blackthorne nie rozumiał.

–Bardzo przepraszam. Nie rozumiem. „Karite iru”?

–Och, bardzo przepraszam. „Karite iru” – ktoś karite iru drugiemu różne rzeczy... jak „dług”. Rozumiesz słowo „dług”?

„Winien”, wpadło Blackthorne’owi do głowy.

–Ah so desu! Wakarimasu.

–Dobrze. Powiedziałem tylko, że mam wobec ciebie dług.

–To był mój obowiązek, ne?

–Tak. Ale mimo to jestem ci winien życie.

–Toranaga-sama mówi, że proch i kule do dział załadowano tutaj, w Anjiro, na twój statek, zanim odpłynął do Edo, Anjin-san. Pyta, ile zajęłoby ci przygotowanie go do wypłynięcia w morze.

–To zależy od stanu statku, czy załoga przechyli go na bok, żeby oczyścić, czy go wyremontuje, wymieni maszt i tak dalej. Czy panu Toranadze wiadomo, w jakim on jest stanie?

–Mówi, że statek jest chyba sprawny, ale ponieważ nie jest żeglarzem, nie wie tego na pewno. Od chwili doholowania go do zatoki w Edo, kiedy pan Toranaga wydał dyspozycje, by o niego dbano, nie był na jego pokładzie. Zakładając, że ten statek jest zdatny do żeglugi, pyta, ile czasu zajęłoby ci przygotowanie go do walki.

Blackthorne'owi zamarło serce.

–Walki z kim, Mariko-san? – spytał.

–Pyta, z kim chciałbyś walczyć.

–Z tegoroczną Czarną Karawelą – odparł z miejsca Blackthorne, nagle podjąwszy decyzję i rozpaczliwie licząc na to, że jest to właściwa chwila i miejsce na przedstawienie Toranadze planu, który w skrytości ducha obmyślił w ciągu minionych dni. Stawiał na to, że ocalenie dzisiejszego ranka życia daimyō daje mu specjalny przywilej, który pomoże mu przebrnąć przez rafy owej propozycji.

–Słucham? – spytała zaskoczona Mariko.

–Z Czarną Karawelą. Powiedz panu Toranadze, że wystarczy, jeśli zwróci mi moje listy kaperskie. Resztę załatwię sam. Mając statek i niewielką pomoc... podzielę się z nim ładunkiem i kruszczem.

Mariko roześmiała się. Ale nie Toranaga.

–Mój... mój pan mówi, że byłby to niewybaczalny i wrogi akt wojny przeciwko zaprzyjaźnionemu narodowi. Portugalczycy są Japonii niezbędni.

–Tak, są niezbędni... w tej chwili. Ale ja uważam ich za wrogów zarówno swoich, jak i jego, i bez względu na ich zasługi, my wykonamy to lepiej. I taniej.

–Mówi, że być może tak. Ale nie wierzy, żeby Chiny handlowały z wami. W Azji nie ma jak dotąd wielu Anglików czy Holendrów, a my potrzebujemy stałych dostaw jedwabiu teraz.

–Ma oczywiście rację. Ale za rok, dwa to się zmieni i przekona się o tym. Dlatego składam jeszcze jedną propozycję. Ja i tak już wojuję z Portugalczykami. Poza trzymilowym pasem międzynarodowych wód przybrzeżnych. Zgodnie z obowiązującym prawem, mając swoje listy kaperskie, mogę zająć tę karawelę jako przyz, dopłynąć nią do jakiegokolwiek portu, tam zaś sprzedać ją wraz z ładunkiem. Gdybym miał statek i załogę, byłoby to łatwe. W ciągu paru tygodni czy miesięcy mogę dostarczyć Czarną Karawelę wraz z zawartością do Edo. Mogę ją tam sprzedać. Pan Toranaga dostałby z tego połowę jako podatek portowy.

–Mówi, że to, co dzieje się pomiędzy twoimi wrogami a tobą na morzu, mało go

obchodzi. Morze należy do wszystkich. Ale ta ziemia jest nasza i obowiązują na niej nasze prawa, a naszych praw łamać nie wolno.

–Tak. – Blackthorne wiedział, że wszedł na niebezpieczny grunt, ale wycucie podpowiadało mu, że wybrał właściwy moment i że Toranaga połknie przynętę. Tak samo Mariko. – To była jedynie propozycja. Spytał mnie, z kim bym walczył. Racz mi wybaczyć, czasem jednak jest dobrze przygotować się na każdą możliwość. Pod tym względem, jak sądzę, interesy pana Toranagi i moje się pokrywają.

V.

Mariko przełożyła to. Toranaga chrząknął i krótko odpowiedział.

–Pan Toranaga ceni sobie rozsądne rady, Anjin-san, w rodzaju twojej propozycji w sprawie floty, ta jednak jest niedorzeczna. Nawet gdyby wasze interesy się pokrywały, a tak nie jest, w jaki sposób ty z dziewięćoosobową załogą zaatakowałbyś tak wielki statek z blisko tysiącem ludzi na pokładzie?

–Nie zaatakowałbym. Muszę mieć nową załogę, Mariko-san. Osiemdziesięciu, dziewięćdziesięciu wyszkolonych marynarzy i kanonie-rów. Znalazłbym ich w Nagasaki na portugalskich statkach. – Blackthorne udał, że nie widzi tego, iż wstrzymała oddech i przestała się wachlować. – Na pewno jest tam paru Francuzów. A przy szczęściu, paru Anglików, trochę Niemców albo Holendrów – przeważnie renegatów albo siłą zaciągniętych na statek. Musiałbym tylko zostać dowieziony bezpiecznie do Nagasaki, dostać ochronę oraz trochę srebra albo złota. W nieprzyjacielskich flotach zawsze są marynarze, którzy zaciągną się za gotówkę albo obiecany udział w łupach.

–Mój pan mówi, że każdy dowódca, który podczas ataku zaufałby podobnej hałastrze, byłby szalony.

–Zgadza się – przyznał Blackthorne. – Ale żeby wypłynąć w morze, naprawdę potrzebuję załogi.

–Pyta, czy dałoby się wyuczyć naszych marynarzy i samurajów żeglugi i strzelania z dział.

–Z łatwością. Ale to wymaga czasu. Szkolenie zajęłoby miesiące. O zdobyciu w tym roku Czarnej Karaweli nie mogłoby być mowy.

–Pan Toranaga mówi: „Nie zamierzam atakować portugalskiej Czarnej Karaweli w tym roku ani w następnym. Portugalczycy nie są moimi wrogami i nie prowadzę z nimi wojny”.

–Wiem o tym. Ale ja prowadzę z nimi wojnę. Wybacz. Oczywiście, jedynie wymieniamy myśli, ale jeżeli pan Toranaga wyrazi życzenie, abym mu służył, to do wypłynięcia w morze będę potrzebował trochę ludzi.

Siedzieli w osobistych pokojach Toranagi, które wychodziły na ogród. Warownia prawie wcale nie ucierpiała podczas trzęsienia. Noc była parna, duszna, a ze zwojów kadzidła leniwie unosił się dym, żeby odpędzić komary.

–Mój pan pragnie wiedzieć – ciągnęła Mariko – czy gdybyś miał statek i tych

członków załogi, którzy z tobą przybyli, to popłynąłbyś do Nagasaki, żeby zwerbować nowych członków, których ci potrzeba.

–Nie. To zbyt niebezpieczne. Miałbym tak niewielu ludzi do ochrony, że Portugalczycy by mnie złapali. O wiele lepiej byłoby najpierw zwerbować nowych marynarzy i przywieźć ich na własne wody, do Edo, ne? Po skompletowaniu uzbrojenia statku i zdobyciu przez mnie załogi wrogom nie pozostanie na tych morzach nic, żadna jednostka mogąca dorównać mojej.

–Wątpi, żebyś z tymi pięćdziesięcioma ludźmi zdobył Czarną Karawelę.

–Erasmus prześcignie ją i zatopi. Naturalnie, wiem, że to wszystko są tylko przypuszczenia, ale gdyby wolno mi było zaatakować wrogów, to po skompletowaniu załogi popłynąłbym natychmiast do Nagasaki. Gdyby Czarna Karawela stała wtedy w porcie, to wciągnąłbym wojenną banderę i zaczął na morzu, by zastawić jej drogę. Poczekałbym, aż zakończy handel, a potem, przy wietrze sprzyjającym powrotnemu rejsowi, udałbym, że muszę odnowić zapasy, i wypuściłbym ją z zatoki. Schwyciłbym ją kilka mil dalej, ponieważ jesteśmy od niej szybsi, po czym działami dopełniłbym dzieła. Zaraz po zwinięciu przez nią bandery posłałbym na jej pokład załogę przyzową i sprowadził do Edo. Na pokładzie wiozłaby z górą trzysta, czterysta ton złota.

–Ale dlaczego, gdybyś zwyciężył, pokonany kapitan karaweli nie uciekłby z niej przed waszym wejściem na pokład?

–Zazwyczaj... – Blackthorne chciał powiedzieć: „...jeżeli kapitan statku jest fanatykiem, to załoga podnosi bunt, ale jeszcze nie spotkałem takiego wariata. Przeważnie zwycięzca zawiera układ z kapitanem: oszczędza życie marynarzy, daje im trochę pieniędzy i wysadza bezpiecznie w najbliższym porcie. Tym razem jednak miałbym do czynienia z Rodriguesem, znam go i wiem, jak by się zachował”. Wolał jednakże to przemilczeć ani nie zdradzać całego planu. Barbarzyńskie metody najlepiej pozostawić barbarzyńcom, pomyślał. – Zazwyczaj zwyciężony statek poddaje się, Mariko-san – rzekł zamiast tego. – To zwyczaj, jeden ze stosowanych przez nas w wojnie morskiej, który ogranicza niepotrzebne ofiary w ludziach.

–Pan Toranaga mówi, że bardzo mu przykro, ale ten zwyczaj jest odrażający. Jego statki by się nie poddawały. – Mariko napiła się herbaty i spytała: – A jeżeli tej karaweli jeszcze nie byłoby w porcie?

–W tym przypadku patrolowałbym morskie trasy, tak żeby złapać ją i w odległości kilku mil od brzegu na międzynarodowych wodach. Łatwiej byłoby ją zdobyć, gdyby była mocno wyładowana i płynęła ociężale, trudniej za to doprowadzić do Edo. Kiedy ma przypląć?

–Mój pan nie wie. Mówi, że zapewne zjawi się w ciągu trzydziestu najbliższych dni.

Ten statek ma w tym roku przy płynąć wcześniej.

Blackthorne zdawał sobie sprawę, że zdobycz jest blisko, jakże blisko.

–W takim razie trzeba jej zastawić wyjście z portu i zdobyć przed końcem tej pory roku.

Mariko przełożyła jego słowa i Blackthorne odniósł wrażenie, że przez twarz Toranagi przemknęło niezadowolenie. Zamilkł, jakby rozważał inne rozwiązania, po czym dodał:

–W Europie byłby jeszcze inny sposób. Można by pod płynąć w nocy i zdobyć ją siłą. Atakiem z zaskoczenia.

Toranaga mocniej ścisnął rękojeść miecza.

–Pyta, czy ośmieliłbyś się walczyć ze swoimi wrogami na naszej ziemi.

Blackthorne'owi wyschły wargi.

–Nie – odparł. – Ale gdyby pan Toranaga, to oczywiście znowu założenie, prowadził z Portugalczycami wojnę i chciał im zaszkodzić, byłby to dobry sposób. Z dwiema, trzema setkami żołnierzy, dobrą załogą i Erasmusem łatwo można by pod płynąć do Czarnej Karaweli, dokonać abordażu i wyprowadzić ją w morze. Pan Toranaga mógłby wybrać moment ataku z zaskoczenia... gdybyśmy byli w Europie.

Zapadło dłuższe milczenie.

–Pan Toranaga mówi, że tu nie Europa, a on nie prowadzi wojny z Portugalczycami i nigdy nie będzie.

–Oczywiście. Jeszcze jedna, ostatnia sprawa, Mariko-san. Nagasaki nie znajduje się pod władzą pana Toranagi, czy tak?

–Tak, Anjin-san. Portem tym i przyległymi ziemiami włada pan Harima.

–Ale czy portem tym i całym handlem nie zawiadują w praktyce jezuici? – Blackthorne spostrzegł jej niechęć do przełożenia tych słów, lecz nie przestał naciskać. – Czy to nie honto, Mariko-san? I czy pan Harima nie jest katolikiem? Czy większa część Kiusiu nie jest katolicka? I czy w takim razie jezuici nie władają w pewnym sensie całą tą wyspą?

–Chrześcijaństwo jest religią. Ziemią władają daimyō, Anjin-san – wyjaśniła od siebie Mariko.

–Ale mówiono mi, że Nagasaki to właściwie ziemia portugalska. Podobno

Portugalczycy zachowują się tam jak właściciele, Czy ojciec pana Harimy nie sprzedał tego gruntu jezuitom?

–Tak – przyznała Mariko ostrzejszym tonem. – Ale taikō odebrał go im. W tej chwili cudzoziemcom nie wolno tu mieć ziemi.

–Ale czy taikō nie zaniechał wykonania swoich edyktów, tak że obecnie nie dzieje się tam nic bez zgody jezuitów? Czy nie kontrolują oni wszystkich frachtów w Nagasaki i całego handlu? Czy nie pertraktują przy wszelkich transakcjach handlowych i nie służą za pośredników?

–Bardzo dużo wiesz o Nagasaki, Anjin-san – powiedziała z naciskiem.

–A może pan Toranaga powinien odebrać wrogom kontrolę nad tym portem. Może...

–To są twoi wrogowie, Anjin-san, nie nasi – odparła, wreszcie chwytając przynętę. – Jezuitów są...

–Nan ja?

Z przepaszającą miną obróciła się w stronę Toranagi i wyjaśniła, o czym rozmawiali. Kiedy skończyła, Toranaga przemówił surowo, najwyraźniej strofując ją. „Hai”, powiedziała kilka razy i, skarcona, ukłoniła się.

–Pan Toranaga przypomina mi, że moje opinie są bez znaczenia, a tłumaczka powinna tylko tłumaczyć – wyjaśniła. – Proszę o wybaczenie.

Kiedyś Blackthorne przeprosiłby ją za wciągnięcie w pułapkę. Ale teraz nawet o tym nie pomyślał. Ponieważ osiągnął swoje, zaśmiał się i rzekł:

–Hai, kawaii Tsukkuko-sama! (Tak, piękna pani tłumaczko!)

Mariko uśmiechnęła się nieznacznie, wściekła na siebie, że wpadła w pułapkę, i wewnętrznie rozdarła, pragnąc być lojalna wobec obu.

–Yoi, Anjin-san – powiedział Toranaga, znowu miłym tonem.

–Mariko-san kawaii desu yori Tsukku-san anamsu ka nori masen, ne? (A w dodatku Mariko-san jest znacznie ładniejsza od starego pana Tsukku, prawda? No i znacznie ładniej pachnie).

–Hai – odparł Toranaga ze śmiechem.

Mariko zaczerwieniła się i, nieco ułagodzona, naląła cha. A potem odezwał się Toranaga. Z powagą.

–Nasz pan chce wiedzieć, dlaczego tak się wypytujesz lub wyrażasz sądy o panu Harimie i Nagasaki.

–Tylko po to, żeby wykazać, że port w Nagasaki jest w rzeczywistości w rękach cudzoziemców. Portugalczyków. A na mocy naszego prawa mogę legalnie atakować moich wrogów wszędzie.

–Ale on mówi, że tu nie jest „wszędzie”. To Kraina Bogów i taki atak jest nie do pomyślenia.

–Zgadza się z nim w pełni. Ale gdyby kiedyś pan Harima stał się wrogiem albo wrogami stali się przewodzący Portugalczykom jezuici, to właśnie w taki sposób można ich upolować.

–Pan Toranaga mówi, że ani on, ani żaden inny daimyō nie pozwoli, by jakakolwiek obca nacja atakowała inną na japońskiej ziemi ani też, by obcy zabijali naszych rodaków. Inaczej się rzeczy mają z wrogami cesarza. Jeśli zaś chodzi o zdobycie żołnierzy i załogi, to każdy mówiący po japońsku z łatwością może tu zwerbować każdą liczbę ludzi. Na Kiusiu jest wielu wako.

–Wako, Mariko-san?

–Ach, bardzo przepraszam, „wako” nazywamy korsarzy, Anjin-san. Kiedyś mieli wiele kryjówek na całym Kiusiu, ale taikō wytępił ich. Niestety, ich niedobitki przetrwały. Wako od wieków terroryzowali wybrzeża Chin. To właśnie z ich powodu Chiny zamknęły przed nami swoje porty. – Wyjaśniła Toranadze, o czym mówią. Znow coś powiedział, jeszcze dobitniej. – Mówi, że nigdy się nie zgodzi, nie zaplanuje ani nie dopuści do ataku na lądzie, choć na pełnym morzu możesz sobie łupić wrogów twojej królowej. Powtarza, że tu nie jest „wszędzie”. To Kraina Bogów. Już ci mówił, że powinienes być cierpliwy.

–Tak. Chcę spróbować być taki cierpliwy, jak on. Wroga pragnę uderzyć jedynie dlatego, że jest wrogiem. Całkowicie wierzę, że jest to także jego wróg.

–Pan Toranaga mówi, że Portugalczycy uważają cię za jego wroga, a Tsukku-san i ojciec wizytator są o tym w pełni przekonani.

–Gdybym zdołał pochwycić Czarną Karawelę na morzu i doprowadził ją jako legalną zdobycz pod angielską banderą do Edo, to czy zgodnie z naszymi zwyczajami wolno by mi ją było sprzedać wraz z całą zawartością w tym porcie?

–Pan Toranaga mówi, że to zależy.

–Czy w razie wybuchu wojny wolno mi będzie atakować wrogów, wrogów pana Toranagi, najlepiej jak umiem?

–Mówi, że jest to obowiązek hatamoto. A hatamoto podlega oczywiście cały czas jego osobistym rozkazom. Mój pan pragnie, abyś wiedział jasno, że w Japonii wszystko musi być rozwiązane tylko i wyłącznie japońskimi sposobami, żadnymi innymi.

–Tak. Rozumiem to całkowicie. Z należnym szacunkiem chcę podkreślić, że im więcej wiem o jego kłopotach, tym bardziej mogę się okazać pomocny.

–Mówi, że obowiązkiem hatamoto jest zawsze pomagać swojemu panu, Anjin-san. Każe mi, żebym później odpowiedziała na każde twoje rozsądne pytanie.

–Dziękuję. A czy wolno spytać, czy chciałby mieć własną flotę? Tak jak zasugerowałem mu na galerze?

–Już ci powiedział, że chciałby mieć swoją flotę, nowoczesną flotę, obsadzoną jego ludźmi, Anjin-san. Jakież daimyō by tego nie pragnął?

–Więc powtórz mu to: Gdybym miał szczęście zdobyć wrogi statek, to przyłynąłbym z nim do Edo, żeby naprawić go i policzyć zdobycz. A potem przeniósłbym swoją połowę złota na Erasmusa, a Czarną Karawelę odprzedał Portugalczykom albo ofiarował w darze wielmożnemu panu Toranadze, gdyby zaś sobie tego zażyczył, spaliłbym ją. Wtedy zaś popłynąłbym do kraju. Przed upływem roku przyłynąłbym tu powrotem z czterema okrętami wojennymi, które byłyby podarunkiem dla pana Toranagi od królowej Anglii.

–Pyta, co ty byś na tym zyskał.

:- Honto wygląda tak, że po zapłaceniu za te jednostki przez królową mnie pozostałoby bardzo wiele. Ponadto chciałbym wziąć ze sobą jako ambasadora na dworze mojej królowej któregoś z jego najbardziej zaufanych doradców. Może zainteresowałby go traktat o przyjaźni pomiędzy naszymi krajami.

–Pan Toranaga mówi, że byłaby to nadmierna szczodroliwość ze strony twojej królowej. Dodaje, że gdyby doszło do takiego cudu, że powróciłbyś tu z tymi nowymi okrętami, to kto wyszkoliłby żeglarzy, samurajów i kapitanów na ich załogi?

–Na początku, gdyby mu to dogadzało, ja. Byłby to dla mnie zaszczyt, po mnie zaś zajęliby się tym następni.

–Pyta, co znaczy „na początku?”

–Przez dwa lata.

Toranaga uśmiechnął się przelotnie.

–Nasz pan mówi, że dwa lata „na początek” nie wystarczą. Dodaje jednak, że to i tak wszystko mrzonki. Nie prowadzi wojny z panem Harimą, z Nagasaki ani z Portugalczykami. Powtarza, że to, co robisz poza japońskimi wodami na własnym statku z własną załogą, jest twoją osobistą karmą. – Mariko czymś się zaniepokoiła. – Mówi, że poza naszymi wodami jesteś cudzoziemcem. Ale tutaj jesteś samurajem.

–Tak. Zdaję sobie sprawę z zaszczytu, jaki mi wyświadczył. Czy mogę spytać, w jaki sposób samuraje pożyczają pieniądze, Mariko-san?

–Od lichwiarzy, Anjin-san. No bo skąd? Od podłych kupczących handlarzy. – Przełożyła to Toranadze. – A po co ci pieniądze?

–Czy w Edo są lichwiarze?

–O, tak. Gdzie ich nie ma, ne? Czyż nie tak samo jest i w twoim kraju? Spytaj swojej konkubiny, Anjin-san, może ona ci w tym pomoże. To należy do jej obowiązków.

–Powiedziałaś, że jutro wyjeżdżamy do Edo?

–Tak, jutro.

–Niestety, Fujiko-san nie będzie w stanie podróżować.

Mariko zamieniła kilka zdań z Toranaga.

–Pan Toranaga mówi, że przewiezie ją na galerze. Pyta, na jaki cel chcesz pożyczyć pieniądze.

–Muszę zdobyć nową załogę, Mariko-san, żeby w ogóle gdzieś dopłynąć, żeby służyć panu Toranadze wedle jego życzeń. Czy może to zrobić?

–Załogę z Nagasaki?

–Tak.

–Da ci odpowiedź, kiedy przyjedziesz do Edo.

–Dómo, Toranaga-sama. A dokąd mam się skierować po dotarciu do Edo, Mariko-san? Czy będzie tam na mnie czekał przewodnik?

–Och, zupełnie nie musisz się martwić o podobne sprawy, Anjin-san. Jesteś jednym z hatamoto pana Toranagi.

Do drugich drzwi pokoju ktoś zapukał.

–Wejść.

Naga odsunął shoji i uklonił się.

–Przepraszam, ojcze, ale kazałeś mi zawiadomić cię, kiedy stawią się wszyscy oficerowie.

–Dziękuję, niedługo tam przyjdę. – Toranaga zastanawiał się przez chwilę, a potem przyjacielsko skinął na Blackthorne’a. – Anjin-san. Pójdiesz z panem Nagą. Zaprowadzi cię do twojego pokoju. Dziękuję ci, żeś przedstawił mi swoje poglądy.

–Tak, wielmożny panie. Dziękuję za wysłuchanie. Dziękuję ci za twoje słowa. Tak, Bardzo staram się być cierpliwy i zachowywać bez zarzutu.

–Dziękuję, Anjin-san. – Toranaga przyglądał się Blackthorne’owi, jak kłania mu się i odchodzi. Kiedy zostali sami, zwrócił się do Mariko: – No, i co myślisz?

–O dwóch rzeczach, wielmożny panie. Po pierwsze, jego nienawiść do jezuitów jest niezmierna, przewyższa nawet jego wrogość wobec Portugalczyków, więc jeżeli szukasz bicia, to jest on biczem na jednych, drugich albo tych i tych. Wiemy, że jest dzielny, więc śmiało odeprze każdy atak na morzu. Po drugie, wciąż dąży do pieniędzy. Na jego obronę trzeba powiedzieć, że z tego co wiem, dla barbarzyńców pieniądze są jedynym realnym środkiem zachowania władzy. Kupują za nie ziemię i pozycję – kupcową jest nawet ich królowa, która „sprzedaje” ziemię swojej szlachcie, a okręty i ziemie prawdopodobnie nabywa. Poza tym jednym nie tak wiele różnią się od nas, wielmożny panie. Ale właśnie dlatego nie pojmują, czym jest władza ani tego, że wojna jest życiem, a życie śmiercią.

–Czy chrześcijanie są moimi wrogami?

–Nie wierzę w to.

–A Portugalczycy?

–Moim zdaniem, interesują ich tylko zyski, ziemia i szerzenie słowa Bożego.

–Czy chrześcijanie są moimi wrogami?

–Nie, wielmożny panie. Chociaż niektórzy z twoich wrogów, katolików lub protestantów, mogą nimi być...

–Aha, a myślisz, że Anjin-san jest moim wrogiem?

–Nie, wielmożny panie. Nie. Wierzę, że poważa cię i że z czasem stanie się wiernym poddanym.

–A co z naszymi chrześcijanami? Kto z nich jest wrogiem?

–Panowie Harima, Kiyama, Onoshi i każdy inny samuraj, który zwraca się przeciwko tobie.

Toranaga roześmiał się.

–Tak, ale czy ci księża mają na nich wpływ, jak to daje do zrozumienia Anjin-san?

–Wątpię.

–Ci trzej wystąpią przeciwko mnie?

–Nie wiem, wielmożny panie. W przeszłości wszyscy oni darzyli cię i wrogością, i przyjaźnią. Ale byłoby bardzo źle, gdyby stanęli po stronic Ishido...

–Zgadzam się. Tak. Jesteś cenną doradczynią. Trudno ci być chrześcijanką katoliczką, przyjaźnić się z wrogiem i słuchać tego, co myśli.

–Tak, wielmożny panie.

–Wciągnął cię w pułapkę, ne?

–Tak. Ale prawdę powiedziawszy, miał do tego prawo. Nie robiłam tak, jak mi kazałeś. Wtrącałam swoje uwagi pomiędzy jego słowa a twoje. Wybacz mi, proszę.

–Twoje zadanie nadal będzie trudne. Może jeszcze bardziej.

–Tak, wielmożny panie. Ale lepiej jest znać obie strony monety. Bo chociaż trudno było dać wiarę jego opowieściom, to większość z nich okazała się prawdziwa, na przykład ta o podziale świata pomiędzy Hiszpanów i Portugalczyków i ta o księżach szmuglujących muszkiety: W ogóle nie musisz się obawiać o moją wierność, wielmożny panie. Zawsze bowiem, bez względu na trudności, wypełnię swoje obowiązki względem ciebie.

–Dziękuję ci. To, co powiedział Anjin-san, było bardzo ciekawe, ne? Ciekawe, ale nedorzeczne. Tak. Mariko-san, dziękuję ci, jesteś cenną doradczynią. Mam nakazać ci rozwód z Buntaro?

–Słucham, wielmożny panie?

–No więc?

Och, być wolną! – śpiewała jej w duszy. – Matko Boża, wolną!

Pamiętaj, kim jesteś, Mariko, pamiętaj o tym. I pamiętaj, że „miłość” to słowo barbarzyńskie.

Toranaga przyglądał się jej w wielkiej ciszy. Na dworze komary roztrącały spirale kadzidlanego dymu i zmykały w bezpieczne miejsca. Tak, myślał, Mariko to też sokolica. Tylko na jaką zwierzynę ją wypuścić?

–Nie, wielmożny panie – odparła wreszcie. – Dziękuję, ale nie.

–Anjin-san to dziwny człowiek, prawda? Głowę ma nabitą marzeniami. To śmieszne myśleć o zaatakowaniu naszych przyjaciół Portugalczyków albo ich Czarnej Karaweli. Niedorzeczne wierzyć w to, co mówi o czterech czy też dwudziestu statkach.

Mariko zawahała się.

–Jeżeli twierdzi, że stworzenie floty jest możliwe, to ja mu wierzę, wielmożny panie – odparła.

–Nie zgadzam się z tobą – rzekł z naciskiem Toranaga. – Ale masz rację, że on i jego bojowy statek jest przeciwwagą dla tamtych. Jakie to dziwne... i jakie pouczające! Tak jak powiedział Omi: w tej chwili potrzebujemy barbarzyńców, żeby się od nich uczyć. A jeszcze wiele mamy do nauczenia się, zwłaszcza od niego, ne?

–Tak.

–Nadszedł czas, żeby otworzyć cesarstwo, Mariko-san. Ishido zamknie je ciasno jak ostryga perłę. Gdybym znów został przewodniczącym Rady, – to zawarłbym traktaty ze wszystkimi narodami, jeśli tylko zachowywałyby się wobec nas przyjaźnie. Wysłałbym naszych ludzi w świat, żeby uczyli się od innych nacji, tak, i wysłałbym ambasadorów. Królowa tego człowieka byłaby dobra na początek. Gdybym znalazł odpowiednio mądrą kobietę, to może wysłałbym ją do niej jako ambasadora.

–Musiałaby być bardzo silna i bardzo mądra, wielmożny panie.

–Tak. Ta podróż byłaby bardzo niebezpieczna.

–Wszystkie podróże są niebezpieczne, wielmożny panie – powiedziała Mariko.

–Tak. Czy gdyby Anjin-san odpłynął stąd statkiem pełnym złota, toby powrócił? – spytał Toranaga, znów bez najmniejszej zapowiedzi zmieniając temat. – Osobiście?

–Nie wiem – odparła po dłuższej chwili.

Toranaga postanowił, że już nie będzie jej dłużej naciskał.

–Dziękuję, Mariko-san – rzekł, odprawiając ją przyjacielskim tonem. – Pragnę, żebyś była obecna na naradzie i tłumaczyła, co mówię do Anjin-sana.

–Wszystko, wielmożny panie?

–Tak. A dziś wieczorem, kiedy pójdziesz do herbaciarni w sprawie wykupienia kontraktu Kiku, zabierz go ze sobą. Każ jego konkubinie wszystko załatwić. Należy mu się nagroda, ne?

–Hai.

Kiedy znalazła się przy shoji, Toranaga dodał:

–Po załatwieniu spraw pomiędzy mną a Ishido nakażę ci się rozwieść.

Zacisnęła dłoń na papierowym ekranie. Skinęła lekko głową na znak, że przyjęła to do wiadomości. Ale się nie obejrzała. Drzwi zamknęły się za nią.

Toranaga przez chwilę wpatrywał się w kadzidlany dym, a potem wyszedł do ustępu w ogrodzie i kucnął. Kiedy się załatwił i podtarł papierem, usłyszał, że służąca wysuwa spod dziury pojemnik i wstawia na jego miejsce czysty. W roztargnieniu odgonił ręką brzęczące komary. Myślał właśnie o sokołach i jastrzębiach wiedząc, że nawet najlepsze z nich popełniają błędy, tak jak pomylili się Ishido, Kiri, Mariko, Omi, a nawet Anjin-san.

Stu pięćdziesięciu oficerów stało w porządnym szeregach, a przed nimi Yabu, Omi i Buntaro. Z boku przy Blackthornie klęczała Mariko. Toranaga wmaszerował ze swoją strażą przyboczną, siadł twarzą do nich na pojedynczej poduszce, odpowiedział na ich ukłony, po czym poinformowawszy krótko o temacie odprawy, po raz pierwszy wyłożył publicznie plan bitwy. Jeszcze raz zataił wszystko, co dotyczyło tajnych i starannie zaplanowanych buntów, a także to, że atak ruszy północną drogą nadbrzeżną, a nie południową, Wreszcie, wśród powszechnego aplauzu, gdyż wszyscy ucieszyli się, że nadszedł kres niepewności, oznajmił im, że po ustaniu deszczów prześle zaszyfrowane hasło „Szkarłatne Niebo”, które da sygnał do ataku.

–Tymczasem spodziewam się, że Ishido bezprawnie zwoła Radę Regencyjną. Oczekuję, że oskarżą mnie fałszywie o zdradę. Oczekuję, że wbrew prawu zostanie mi wypowiedziana wojna. – Z dłonią w charakterystyczny dla niego sposób zaciśniętą na jednym udzie, drugim zaś przyciskając miecz, pochylił się do przodu. – Posłuchajcie! Wypełniam testament taikō, a mojego siostrzeńca Yaemona uznaję za kampaku i jego następcę. Nie pożądam żadnych innych ziem. Nie pragnę żadnych dodatkowych zaszczytów. Ale w razie zaatakowania mnie przez zdrajców, będę zmuszony się bronić. Jeżeli zdrajcy oszukają Jego Cesarską Wysokość i pokuszą się o przejęcie władzy nad krajem, to moim obowiązkiem jest obronić cesarza i wytępić zło. Ne?

Słowa te powitał ryk aprobaty. Przez salę przetoczyły się bitewne okrzyki „Kasigi!” i „Toranaga” i odbiły się echem w całej, warowni.

–Pułk szturmowy przygotowuje się w ciągu pięciu dni do zaokrętowania na galery i pod

dowództwem panów Tody Buntaro oraz Kasigi Omiego, jego zastępcy, popłynię do Edo. Panie Kasigi Yabu, zechciej zmobilizować wojska prowincji Izu i posłać na przejścia graniczne sześć tysięcy żołnierzy na wypadek, gdyby ten zdrajca Ikawa Jikkyu uderzył od południa, żeby odciąć nam szlaki komunikacyjne. Z ustaniem deszczów Ishido zaatakują Kantō...

Omi, Yabu i Buntaro w milczeniu zaaprobowali fakt, że Toranaga tak mądrze zataił, iż na mocy popołudniowej decyzji atak ma nastąpić natychmiast, w porze deszczów.

To dopiero będzie przeżycie, pomyślał Omi, którego ścisnęło w żołądku na myśl o wojaczce wśród deszczu w górach Shinano.

–Nasze muszkiety przebiją nam drogę – oświadczył z entuzjazmem Yabu dziś po południu.

–Tak – potwierdził Omi, nie mając zaufania do tego planu, ale też żadnego innego;

To szaleństwo, orzekł w duchu, chociaż uradowało go, że został mianowany zastępcą dowódcy. Nie pojmuję, jakże Toranaga może myśleć, że ma jakieś szanse przy ataku przeprowadzonym północnym szlakiem. Nie ma najmniejszych szans. Słuchał jednym uchem zagrzewającej do walki mowy Toranagi, gdyż pragnął skupić się raz jeszcze na kwestii zemsty na wuju. Oczywiście atak na Shinano stwarzał liczne możliwości, żeby, samemu się nie narażając, skierować Yabu na pierwszą linię walki. Wojna, każda wojna, jest ci na rękę, rzekł sobie, pod warunkiem, że będzie zwycięska... I wtedy dotarły do niego słowa Toranagi:

–Dzisiaj omal nie zginąłem. Dzisiaj Anjin-san wyrwał mnie ziemi. Po raz drugi, albo nawet trzeci, ocalił mi życie. Moje życie jest niczym wobec przyszłości mojego rodu, któż wie, czy bez jego pomocy zachowałbym je czy stracił? Ale chociaż bushido nakazuje poddanym nie spodziewać się żadnej nagrody za zasługi, to obowiązkiem lennego pana jest niekiedy nagradzać.

Wśród powszechnych odgłosów aprobaty Toranaga rzekł:

–Anjin-san, usiądź tutaj! Ty również, Mariko-san.

Omi z zazdrością patrzył, jak wysoki mężczyzna wstaje i klęka przy Toranadze na wskazanym miejscu. W całej sali nie znalazłoby się nikogo, kto by nie chciał mieć takiego szczęścia i dokonać tego samego, co ten barbarzyńca.

–Anjin-san otrzymuje lenno w okolicy rybackiej wioski Jokohama, na południe od Edo, warte dwa tysiące koku rocznie, prawo do zaciągu dwustu wojowników i zostaje pełnoprawnym samurajem i hatamoto należącym do rodu Yoshiego Toranagi-no-Chikitada-Minowara. Poza tym otrzyma dziesięć koni, dwadzieścia kimon, pełny rynsztunek bojowy dla swoich żołnierzy, a ponadto tytuł naczelnego admirała i pilota

Kantō. – Toranaga zaczekał, aż Mariko to przełoży, a wtedy zawołał: – Naga-san!

Naga posłusznie przyniósł ojcu pakunek zawinięty w jedwab. Toranaga zdjął opakowanie. Kryło dwa miecze, jeden krótki, a drugi długi, do zabijania.

–Kiedy Anjin-san spostrzegł, że ziemia pochłonęła moje miecze i że jestem bezbronny, zszedł z powrotem w rozpadlinę, chcąc odszukać swój własny miecz i oddać go mnie. Za ten czyn podarowuję ci te dwa, Anjin-san. Wykonał je mistrz płatnerski Yori-ya. Pamiętaj, że miecz to dusza samuraja. Jeżeli go zapomni albo straci, nic go nie usprawiedliwi!

Pośród jeszcze głośniejszych wyrazów aprobaty i jeszcze silniejszej zazdrości Blackthorne przyjął miecze, stosownie się uklonił, wsunął miecze za pas i ponownie złożył ukłon.

–Dziękuję, Toranaga-sama – rzekł. – To dla mnie zbyt duży zaszczyt. Dziękuję.

Chciał się wycofać, ale Toranaga poprosił go, żeby został.

–Nie, usiądź tutaj, przy mnie, Anjin-san.

Toranaga spojrział na wojownicze, fanatyczne miny swoich oficerów. Głupcy! – chciał do nich krzyknąć. – Czyż nie rozumiecie, że wojna, teraz czy po deszczach, byłaby katastrofą? Każda wojna z Ishido, Ochibą, Yaemonem i ich obecnymi sojusznikami musiałaby się zakończyć rzezią moich wojsk, was wszystkich, a ponadto zabiciem mnie i wycięciem w pień całego mojego rodu? Nie rozumiecie, że moja jedyna szansa to czekać i liczyć na to, że Ishido udusi się sam?

Zamiast tego jednak jeszcze bardziej zagrzał ich do walki, ponieważ przede wszystkim należało wyprowadzić przeciwnika z równowagi.

–Słuchajcie, samuraje! Wkrótce będziecie mogli wykazać się swoją dzielnością w walce wręcz, tak jak wykazywali się nią nasi przodkowie. Zniszczę Ishido i wszystkich zdrajców, a jako pierwszego lkawę Jikkyu. Niniejszym oddaję wszystkie jego ziemie, obie prowincje Surugę i Totomi, które są warte trzysta tysięcy koku, mojemu wiernemu wasalowi panu Kasigiemu Yabu, a ponadto zatwierdzam jego i jego ród jako władców tych dwóch prowincji i prowincji Izu.

Buchnęły gromkie wiwaty. Yabu pokraśniał z zadowolenia.

Omi walił rękami w podłogę, krzycząc w uniesieniu. Łup, który na niego czekał, miał niepomierną wartość, ponieważ zgodnie ze zwyczajem spadkobierca Yabu dziedziczył wszystkie jego ziemie.

Jak by tu go zabić nie czekając na wojnę? – przebiegło mu przez głowę., „’.

I wtedy jego wzrok spoczął na uśmiechniętym od ucha do ucha pilocie. A może załatwiłby to za ciebie Anjin-san? – zadał sobie pytanie i zaśmiał się głośno na ten nedorzeczny pomysł. Buntaro, w dobrej wierze biorąc jego śmiech za radość z powodu szczęścia, jakie spotkało Yabu, pochylił się ku niemu i klepnął go w ramię.

–Niedługo i ty dostaniesz lenno, na jakie zasługujesz, ne? – zawołał, przekrzykując wrzawę. – Tobie również należy się uznanie. Twoje pomysły i rady są cenne.

–Dziękuję ci, Buntaro-san.

„’- Bez obawy... przedrzemy się przez te góry.

–Tak.

–Buntaro był wodzem zapamiętałym w boju i Omi wiedział, że są dobrze dobrani. Sam był śmiałym strategiem, Buntaro zaś nieustraszonym przywódcą wszelkich szturmów.

Jeżeli ktoś przeprowadzi nas przez te góry, to właśnie on, pomyślał.

Wybuchły nowe wiwaty, bo Toranaga, kończąc oficjalną część zebrania; polecił przynieść sake.

Popijając wino, Omi przyglądał się ubranemu w nieskazitelne kimono Blackthorne’owi, jego prawidłowo noszonym mieczom, temu, jak pije drugą czarbkę sake. Mariko cały czas mówiła. Bardzo się zmieniłeś od tamtego pierwszego dnia, Anjin-san, pomyślał z zadowoleniem. Jest jeszcze w tobie wiele głęboko zakorzenionych barbarzyńskich cech, ale już prawie się ucywilizowałeś...

–Co się stało, Omi-san?

–Nic... nic, Buntaro-san...

–Masz minę, jakby eta podsunał ci tyłek pod twarz.

–Nic podobnego... wcale nie! liiii, wprost przeciwnie. Zaczyna mi kiełkować w głowie pewna myśl. Wypijmy! Hej, Kwiecie Brzoskwini, przynieś no więcej sake, bo czarka szanownego pana Buntaro jest pusta!

–Polecono mi dowiedzieć się, czy Kiku-san będzie dziś wieczorem wolna – powiedziała Mariko.

–Och, bardzo przepraszam, pani Toda, ale nie jestem pewna – odparła przymilnie Gyoko, mama-san. – Wolno spytać, czy szanowny klient będzie potrzebował panią Kiku na cały wieczór, jego część, a może aż do jutra... oczywiście, jeżeli nie jest zajęta.

Mama-san była wysoką, elegancką kobietą tuż po pięćdziesiątce i miała miły uśmiech. Ale piła za dużo sake, zamiast serca miała liczydło, a nos taki, że z odległości pięćdziesięciu ri wyczuwała pojedynczą sztukę złota.

Siedziały w przydzielonym Mariko ośmiomatowym pokoju, sąsiadującym z prywatnymi pokojami Toranagi. Wychodził on na niewielki ogródek otoczony pierwszym wewnętrznym murem obronnym. Znów padało i w blasku pochodni lśniły krople deszczu.

–O tym zdecyduje klient – odparła grzecznie Mariko. – Może uzgodniłybyśmy to wszystko teraz, uwzględniając wszelkie ewentualności.

–Tak. Bardzo mi przykro, że nie wiem w tej chwili, kiedy będzie wolna. Ma takie powołanie, pani Toda. Pani to na pewno rozumie.

–O, tak, naturalnie. Mamy doprawdy wielkie szczęście, że tak świetna dama przebywa akurat w Anjiro.

Słowo „Anjiro” wypowiedziała Mariko z naciskiem. Mogłaby pójść do Gyoko, ale zamiast to zrobić, posłała po nią. A kiedy kobieta ta zjawiała się, na tyle późno, żeby zostało to zauważone, lecz nie aż tak, by popełnić niegrzeczność, Mariko ucieszyła się, że ma możliwość zmierzenia się z godną przeciwniczką.

–Czy herbaciarnia mocno ucierpiała? – zagadnęła.

–Nie, na szczęście, jeśli nie liczyć cennej porcelany i ubrań, chociaż reperacja dachu i uporządkowanie ogrodu pochłoną małą fortunę. Naprawy tyle kosztują, nie sądzisz, pani?

–Tak. To bardzo przykre. I w Edo, i w Mishimie, i nawet w tej wiosce.

–Kojące otoczenie to rzecz bardzo ważna, ne? Czy ten klient zaszczyciłby swoją obecnością naszą herbaciarnię? A może chciałby, żeby Kiku odwiedziła go tutaj... gdyby była wolna.

Mariko zesznurowała usta, rozważając to.

–W herbaciarni – odparła.

–Ah so desu!

Mama-san nazywała się naprawdę Heikoichi – Pierwszą Córką Murarza. Jej ojciec i ojciec jej ojca byli fachowcami od wznoszenia murów ogrodowych. Przez wiele lat była kurtyzaną w Mishimie, stolicy Izu, i doszła do drugiej rangi. Ale bogowie uśmiechnęli się do niej i dzięki podarunkom od klientów oraz głowie do interesów zarobiła tyle pieniędzy, że w odpowiednim czasie wykupiła swój kontrakt i stała się zarządczynią dam do towarzystwa we własnej herbaciarni w chwili, kiedy piękne ciało i szelmowski dowcip, którymi obdarzył ją los, przestały znajdować chętnych. Teraz nazywała siebie Gyoko-san, Szczęśliwą Panią. Jako czternastoletniej nowicjuszce w branży nadano jej imię Tsukaiko – Zaklinaczka Węży. Jej właścicielka wyjaśniła jej, że pewna część ciała mężczyzny przypomina z wyglądu węży, więc jeżeli stanie się zaklinaczka takich węży, to czeka ją wielkie powodzenie. A poza tym imię to rozśmieszało klientów, a śmiech był w tym zawodzie nieodzowny. Gyoko nigdy nie zapomniała o śmiechu.

–Sake, Gyoko-san?

–Dziękuję, tak, dziękuję, pani Toda.

Służąca naląa wina. Po chwili Mariko odprawiła ją.

Jakiś czas piły w milczeniu. Mariko ponownie napełniła czarki.

–Taka piękna porcelana. Taka elegancka – powiedziała Gyoko.

–Jest bardzo skromna. Wybacz, że musimy z niej korzystać.

–Czy gdyby Kiku była wolna, to cena pięciu kobanów byłaby do przyjęcia?

Koban był złotą monetą o wadze osiemnastu gramów. Jeden koban stanowił równowartość trzech koku ryżu.

–Bardzo przepraszam, może nie wyraziłam się dość jasno. Ja nie chcę kupić całej herbaciarni w Mishimie, a tylko usługi tej damy na jeden wieczór.

Gyoko zaśmiała się.

–O pani Toda, cieszysz się zasłużoną opinią. Ale może zwrócę twoją uwagę na fakt, że Kiku-san jest damą pierwszej rangi. Cech obdarzył ją tym zaszczytem w zeszłym roku.

–To prawda, i na pewno zasłużyła sobie na nią. Ale to było w Mishimie. Nawet w Kioto... ale ty oczywiście żartowałaś, bardzo przepraszam.

Gyoko połknęła ordynarne słowo, które miała na końcu języka, i uśmiechnęła się dobrotliwie.

–Niestety, musiałabym zwrócić pieniądze klientom, którzy, właśnie sobie o tym przypomniałam, już ją wynajęli. Biedne dziecko, podczas gaszenia wodą pożaru zniszczono jej cztery kimona. Ciężkie czasy idą dla tego kraju, pani, na pewno to rozumiesz. Pięć kobanów też wcale nie byłoby zdzierstwem.

–Oczywiście. Pięć byłoby uczciwą zapłatą w Kioto, za tydzień hulanki z dwiema damami pierwszej rangi. Ale to nie są normalne czasy i trzeba się z tym liczyć. Pół kobana. Sake, Gyoko-san?

–Dziękuję, dziękuję. To sake jest takie smaczne... co za gatunek, jakie znakomite. Jeszcze czarkę, jeśli łaska, a potem sobie pójdę. Jeżeli Kiku-san nie będzie wolna dziś wieczorem, z radością załatwię inną z moich dam... może Akeko. A może odpowiadałby inny dzień? Na przykład, pojutrze?

Mariko przez chwilę milczała. Pięć kobanów było ceną bezwstydną – tyle płaciło się za wynajęcie słynnej kurtyzany pierwszej rangi w Edo. Pół kobana byłoby aż nadto godziwą zapłatą za usługi Kiku. Mariko знаła ceny takich usług, ponieważ korzystała z nich co jakiś czas Buntaro i nawet wykupił kontrakt jednej z dziewcząt. Mariko zaś musiała płacić rachunki, bo te oczywiście słusznie, przysyłano jej. Zmierzyła wzrokiem Gyoko. Kobieta piła sake spokojnie, ręka jej nie drżała.

–Być może – odpowiedziała. – Ale wątpię, bo żadna inna dama i wieczór nie wchodzi w rachubę... Nie, jeżeli nie da się tego załatwić dzisiaj, to obawiam się, że pojutrze będzie za późno, bardzo mi przykro. A co do innych dam...

Mariko uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami. Gyoko ze smutkiem postawiła czarkę...

–Słyszałam, że nasi samuraje opuszczają nas. Jaka szkoda! Noce są tutaj takie miłe. W Mishimie nie mamy takiego morskiego wietrzyku. Mnie również żal będzie stąd wyjeżdżać.

–Co powiesz na jeden koban? Jeżeli ten wieczór będzie udany, to wówczas chciałabym omówić koszty wykupienia jej kontraktu.

–Jej kontraktu?!

–Tak. Sake?

–Dziękuję, tak. Kontraktu... jej kontraktu? A, to całkiem inna sprawa. Pięć tysięcy koku.

–To niesłychana cena!

–Tak – przyznała Gyoko – ale dla mnie Kiku-san jest jak córka. «, Co ja mówię, ona jest moją córką, więcej niż córką. Szkoliłam ją od szóstego roku życia. Jest najznakomitszą damą Świata Wierzb w całej Izu. Och, dobrze wiem, że w Edo są wspanialsze damy, dowcipniejsze, bardziej światowe, ale to tylko dlatego, że Kiku zabrakło szczęścia i nie zetknęła się z równie możnymi osobami tak jak one. Niemniej i tak nie ma sobie równych w grze na samisenie oraz w śpiewie. Przysięgam na wszystkich bogów, że wystarczy jej rok pobytu w Edo, odpowiedni opiekun oraz źródło wiedzy, żeby z powodzeniem konkurowała z najlepszymi damami w cesarstwie. Pięć tysięcy koku to skromna cena za taki klejnot. – Na czoło Gyoko wystąpił pot. – Wybacz mi, ale nie rozważałam dotąd sprzedaży jej kontraktu. Ma zaledwie osiemnaście lat, jest bez skazy, to jedyna dama pierwszej rangi, jaką mam zaszczyt się opiekować. Ani mi w głowie było odsprzedawanie jej kontraktu za sumę, którą wymieniłam. Bardzo przepraszam, nie, ale muszę to sobie przemyśleć. Może porozmawiałybyśmy o tym jutro? Pozbyć się Kiku-san? Mojej małej Kiku?

W kącikach jej oczu zebrały się łzy i Mariko pomyślała: „Jeżeli te łzy są prawdziwe, to ty, Gyoko, nigdy nie rozstawiłaś szczerze nóg przed Królewskim Tłuczkiem”.

–Bardzo przepraszam. Shigata ga nai, ne? – odparła kurtuazyjnie, pozwalając Gyoko wyjęczeć się i wyzalić, często gęsto napelniając jej czarkę winem. Ile właściwie wart jest taki kontrakt? – zadawała sobie pytanie. Już pięćset koku byłoby fantastycznie zawyżoną ceną. Wszystko zależy od pożądlivosti kupującego, który w tym przypadku wcale nie odczuwa żądz. Pan Toranaga z pewnością nie. Dla kogo więc kupuje Kiku? Dla Omiego? Zapewne. Ale dlaczego kazał tu przyjść Anjin-sanowi?

–Zgadzasz się na to, Anjin-san? – spytała go wcześniej z nerwowym uśmiechem, przekrzykując hałasujących pijanych oficerów.

–Powiadasz, że pan Toranaga załatwia mi damę? W nagrodę?

–Tak. Kiku-san. Nie wolno ci odmówić. Ja... mam polecenie służyć wam jako tłumaczka.

–Polecenie?

–Och, z radością będę wam tłumaczyć. Naprawdę nie wolno ci odmówić, Anjin-san. Po tylu zaszczytach, jakie cię spotkały, byłaby to wielka niegrzeczność, ne? – Uśmiechnęła się do niego, żeby go ośmielić, bardzo dumna i rada z niesłychanej szczodroblewości Toranagi. – Proszę cię. Jeszcze nigdy nie byłam w herbaciarni... z

radością zobaczyłabym to na własne oczy i porozmawiała z prawdziwą damą Świata Wierzb.

–Słucham?

–Och, damy te nazywane są tak dlatego, że powinny mieć tyle wdzięku co wierzby. Niekiedy nazywa się je damami Świata Płynącego, ponieważ przypominają lilie pływające w jeziorze. No, proszę, Anjin-san, zgódź się.

–A co z panem Buntaro?

–Och, wie o tym, że ci to załatwiam. Powiedział mu pan Toranaga. Wszystko to odbywa się oczywiście całkiem oficjalnie. Dostałam polecenie. Podobnie jak ty! Proszę cię! – powiedziała i dodała po łacinie, rada, że w Anjiro nikt nie zna tego języka: – Jest jeszcze jeden powód, o którym powiem ci później.

–Aha... powiedz mi teraz.

–Później. Ale zgódź się, z humorem. Ponieważ ja cię o to proszę. 7- O pani... jakże mógłbym ci odmówić?

–Tylko z humorem. To musi być zrobione z humorem! Przyrzeknij!

–Ze śmiechem. Przyrzekam ci, że na pewno dołożę wszelkich starań – odparł.

Wtedy opuściła go, żeby poczynić przygotowania.

–Ach, na samą myśl o sprzedaży kontraktu mojej ślicznotki umieram z żalu – jęczała właśnie Gyoko. – Tak, dziękuję ci, jeszcze odrobinę sake, a potem naprawdę muszę iść. – Osuszyła czarkę i strudżonym gestem wyciągnęła ją do ponownego napełnienia. – Zgodzimy się na dwa kobany za wieczór? Na tyle oceniam me pragnienie, żeby zadowolić damę takich zalet.

–Jeden. Jeżeli się ugodzimy, to dziś wieczorem, w herbaciarni mogłybyśmy, być może, porozmawiać jeszcze o tym kontrakcie. Bardzo mi przykro, że tak ponaglam, ale sama rozumiesz, że czas... – Mariko skinęła ręką w stronę sali narad. – Sprawy państwowe... przyszłość cesarstwa... pan Toranaga... rozumiesz, Gyoko-san.

–O tak, pani Toda, oczywiście. – Gyoko zaczęła się podnosić. – Czy zgodzimy się na półtora za wieczór? To świetnie, ustalone...

–Na jeden.

–Oh ko, pani, te pół to przecież drobiazg, o którym szkoda nawet wspominać. – Gyoko podniosła lament, dziękując bogom, że jej dali bystry rozum, i nie zmieniając

boleściwej miny. Półtora kobana stanowiło potrójną stawkę. Ale ważniejsze od pieniędzy było to, że wreszcie zaproszenie wyszło od jednego z prawdziwych możnowładców, o co wciąż zabiegała. Z chęcią poradziłaby więc Kiku, żeby wszystko robiła za darmo, i to po dwa razy. – Na wszystkich bogów, pani Toda, zdaję się na twoją łaskę, półtora kobana. Pomyśl, proszę, o moich pozostałych dziewczętkach, które trzeba ubierać, szkolić i karmić przez długie lata. Nigdy nie staną się takie bezcenne jak Kiku-san, a przecież trzeba je hołubić tak jak ją.

–Jeden koban, w złocie, jutro. Ne?

Gyoko uniosła porcelanową flaszkę i nalala do dwóch czarek. Jedną podała Mariko, a drugą wypila i natychmiast napełniła ponownie.

–Jeden – powiedziała, bliska zadławienia.

–Dziękuję ci, jesteś taka miła i troskliwa. O tak, czasy są ciężkie. – Mariko z powagą łyknęła wina. – Anjin-san i ja niedługo zjawimy się w herbaciarni – oznajmiła.

–Co? Co powiedziałaś?

–Że. Anjin-san i ja niedługo zjawimy się w herbaciarni. Będę dla niego tłumaczyła.

Blackthorne spojrział na dziewczynę i mruknął:

–Bogu dzięki!

–To jest Kiku-san – przedstawiła oficjalnym tonem Mariko, uradowana jego reakcją.

Dziewczyna weszła do pokoju Wśród szelestu jedwabiu, uklękła, złożyła ukłon i zaszczębiotała coś, czego Blackthorne nie zrozumiał., – Mówi, że rada cię wita, że swoją wizytą zaszczytasz ten dom.

–Dómo – powiedział.

–Do itashimasite. Sake, Anjin-san? – spytała Kiku.

–Hai, dómo.

Przyglądał się, jak nieskazitelnymi dłońmi nieomylnie odnajduje flaszkę i upewnia się, czy ma właściwą temperaturę. Kiedy napełniła mu czarkę, uniósł ją i wyciągnął w jej stronę tak, jak pokazała mu Mariko, z gracją większą niż oczekiwał.

–Naprawdę przyrzekasz, że będziesz się zachowywał jak Japończyk? – spytała go Mariko, kiedy wyruszyli z warowni, ona w palankinie, a on idąc obok drogą, która wila się w dół do wioski i nadmorskiego placu. Z przodu i z tyłu szli oświetlacze z pochodniami. Jako straż honorowa towarzyszyło im dziesięciu samurajów.

–Tak, spróbuję – obiecał Blackthorne. – Co mam robić?

–Przede wszystkim zapomnij, co masz robić, i po prostu pamiętaj, że ta noc jest dla twojej przyjemności.

Dzisiaj przeżyłem najszcześniejszy dzień w swoim życiu, myślał. A noc... co z nocą? Stojące przed nim zadanie podniecało go, a w dodatku tak bardzo pragnął zachowywać się jak Japończyk, wszystkim się radować, nie krępować się niczym.

–Ile... ile ten wieczór... kosztuje? – spytał.

–To bardzo nie po japońsku o to pytać, Anjin-san – skarciła go. – A co to ma wspólnego z czymkolwiek? Fujiko uznała, że umowa jest do przyjęcia.

Przed wyjściem zaszedł do niej. Lekarz, który ją odwiedził, zmienił jej bandażę i dał leki ziołowe. Fujiko była dumna z zaszczytów Blackthorne, jego nowego lenna, i dużo mówiła. Wcale nie okazywała, że ją boli, i cieszyła się, że on wybiera się do herbaciarni. Naturalnie Mariko – jakaż ona dobra! – poradziła się jej i wszystko uzgodniły. Bardzo żałowała, że jest poparzona, bo inaczej sama wszystko by załatwiła. Przed wyjściem dotknął jej ręki, czując do niej sympatię. Podziękowała mii, jeszcze raz go przeprosiła i posłała w drogę wyrażając nadzieję, że dobrze się zabawi.

Gyoko i służące uroczyście czekały przy bramie, żeby ich powitać.

–To jest Gyoko-san, mama-san tej herbaciarni – przedstawiła ją Mariko.

–Co za zaszczyt, Anjin-san, co za zaszczyt.

–Mama-san? To znaczy, mama? Matka? Po angielsku brzmi to tak samo, Mariko-san. Mama, mamusia, matka.

–Aha! Prawie tak samo, Anjin-san, przykro mi, ale „mama-san” znaczy tyle co „macocha” albo „przyrodnia matka”. Matka to „haha-san” albo „oba-san”.

Po chwili Gyoko przeprosiła ich i spiesznie odeszła. Blackthorne uśmiechnął się do Mariko. Była jak dziecko, pożerające ciekawym wzrokiem wszystko, co widzi.

–Och, Anjin-san, zawsze chciałam zobaczyć, jak wygląda taki przybytek w środku. Mężczyźni są tacy szczęśliwi! Czy to nie wspaniałe? Czy to nie cudowne, nawet w takiej małej wiosce? Mistrzowie rzemieślnicy całkowicie go odnowili! Spójrz, co za gatunek drewna i... och, jakże miło z twojej strony, że zabrałeś mnie ze sobą. Nigdy już nie miałabym drugiej takiej możliwości... spójrz na te kwiaty... jaka prześliczna kompozycja... och, wyrzyj tylko na ogród...

Blackthorne bardzo się cieszył i bardzo żałował, że w pokoju jest służąca, a drzwi są otwarte, ponieważ nawet tutaj, w herbaciarni, było nie do pomyślenia i śmiertelnie niebezpieczne dla Mariko pozostać z nim W pokoju sam na sam.

–Takaś piękna – powiedział po łacinie.

–I tyś. – Twarz miała roześmianą. – Jestem z ciebie dumna, admirale okrętów. A Fujiko?! Och, była z ciebie tak dumna, że ledwo mogła uleżeć na posłaniu.

–Jej oparzenia wyglądają na ciężkie.

–Bez obawy. Lekarze są doświadczeni, a ona młoda, silna i wierzy w siebie. Dziś wieczorem zapomnij o wszystkim. Dość już pytań o Ishido, Ikawę Jikkyu, bitwy, hasła, lenna i okręty. Dziś wieczorem żadnych trosk, dziś są dla ciebie tylko rzeczy czarodziejskie.

–Ty jesteś moją czarodziejką.

Zatrzepotała wachlarzem, naląła sobie wina i nic nie powiedziała. Przyjrzał się jej, a potem w tej samej chwili uśmiechnęli się do siebie.

–Ponieważ są tu inni, a ozory miałą, w dalszym ciągu musimy być ostrożni – upomniała. – Och, jaka jestem szczęśliwa z powodu ciebie.

–Moja ty. A jaki był ten drugi powód? Wspomniałaś, że chcesz, abym tu przyszedł z jeszcze jednego powodu.

–A, tak, drugi powód. – Znowu spowiła go woń tych samych perfum. – Mamy taki starożytny zwyczaj. Jeżeli dama, która należy do innego, darzy względami drugiego mężczyznę i pragnie podarować mu coś znaczącego, czego jej dać nie wolno, wtedy na swoje miejsce załatwia inną kobietę – w darze dla niego – najlepszą kurtyzanę, na jaką może sobie pozwolić.

–Powiedziałaś: „jeżeli dama darzy względami drugiego”. Mówisz o „miłości”?

–Tak. Ale tylko dziś.

–O ty.

–O Anjin-san.

–Dlaczego dziś, Mariko-san? Dlaczego nie przedtem?

–Dziś jest czarodziejska noc i towarzyszą nam kami. Pragnę cię.

W tym momencie w drzwiach pojawiła się Kiku i Blackthorne powiedział:

–Bogu dzięki! Przywitano go i podano sake.

–Jak mam wyrazić, że ta dama jest nadzwyczaj ładna? – spytał. Mariko powiedziała, a on powtórzył jej słowa. Dziewczyna zaśmiała się radośnie na ten komplement i też skomplementowała gościa.

–Kiku pyta, czy chcesz, żeby ci zaśpiewała czy też zatańczyła.

–A co wolisz ty?

–Ta dama jest tutaj dla twojej przyjemności, samuraju, a nie mojej.

–A ty? Czy ty również jesteś tu dla mojej przyjemności?

–Tak, na swój sposób... w bardzo prywatnym sensie.

–Wobec tego poproś ją, żeby zaśpiewała.

Kiku delikatnie klasnęła w dłonie, na co służąca Ako przyniosła samisen. Był to długi, trzystrunowy instrument, kształtem przypominający gitarę. Ako zajęła miejsce na podłodze i podała Kiku plektron z kości słoniowej.

–Pani Toda – powiedziała Kiku – racz przekazać naszemu szanownemu gościowi, że najpierw zaśpiewam „Pieśń Ważki”.

–Kiku-san, wyświadczysz mi zaszczyt, jeżeli dziś wieczorem tutaj będziesz się do mnie zwracać Mariko-san.

–Jesteś dla mnie zbyt łaskawa, wielmożna pani. Racz wybaczyć, ale nie mogę być wobec ciebie aż tak niegrzeczna.

–Proszę o to.

–Dobrze, jeżeli tego chcesz, ale... – Kiku uśmiechnęła się ślicznie. – Dziękuję, Mariko-sama.

Uderzyła w struny. Od chwili przekroczenia przez gości furtki do jej świata nastroiła na ich spotkanie wszystkie zmysły. Ukradkiem przyglądała się im z ukrycia, kiedy byli z Gyoko-san, a później sami, i starała się znaleźć jakąś wskazówkę, w jaki sposób by tu dogodzić barbarzyńcy i zrobić dobre wrażenie na pani Todzie.

Nie była jednak przygotowana na to, co już wkrótce stało się oczywiste, że Anjin-san bardzo pożąda pani Tody, chociaż, jak człowiek cywilizowany, ze wszystkich sił starał się to ukryć. Fakt ten sam w sobie nie zaskakiwał, ponieważ pani Toda była najpiękniejszą, najbardziej wykształconą i niezwykle ważną osobą, i tylko ona mogła się z nim porozumieć. Zdumiało ją jednak co innego – że pani Toda niewątpliwie

pożąda go równie mocno, jeżeli nie jeszcze bardziej.

Barbarzyńca to samuraj, a pani Toda jest samurajką, córką możnego pana, tego zabójcy Akechiego Jinsai, żoną Buntaro! Iiiii! Biedny człowiek, biedna kobieta. Takie to smutne. Z pewnością zakończy się tragedią, orzekła Kiku.

O mało nie rozplakała się, myśląc o smutku, o niesprawiedliwości życia. Och, jakże chciałabym urodzić się samurajką, a nie chłopką, bo wtedy mogłabym być nawet konkubiną wielmożnego Omiego, a nie przelotnym bawidełkiem. Oddałabym za to z chęcią nadzieję na swoje powtórne narodziny.

Odpędź smutek, powiedziała sobie. Daj przyjemność, to twój obowiązek.

Palcem wydobyła drugi akord, akord przepelniony melancholią. I wtedy spostrzegła, że wprawdzie Mariko jest oczarowana jej muzyką, ale Anjin-san nie.

Dlaczego? Była pewna, że nie z powodu jej gry, bo wiedziała, że robiła to w sposób bliski ideału. Takie mistrzostwo było dane tylko garstce dam.

Na próbę wydobyła trzeci, jeszcze piękniejszy akord. Nie ma wątpliwości, jemu się nie podoba, orzekła prędko. Pozwoliła wybrzmieć akordowi i zaczęła śpiewać bez akompaniamentu, głosem wznoszącym się w nagłych zmianach tempa. Wydoskonalenie owej techniki zabrało jej lata. Znowu oczarowała Mariko, ale nie jego, więc natychmiast urwała.

–Dzisiejszy wieczór nie jest stworzony dla muzyki ani śpiewu – oznajmiła. – Dzisiejszy wieczór jest stworzony dla zabawy. Mariko-san, jak powiedzieć w jego języku „racz wybaczyć”?

–Per favor.

–Per favor, Anjin-san, dziś musimy się wyłącznie śmiać, ne?

–Dómo, Kiku-san. Hai.

–Trudno jest zabawiać kogoś bez słów, ale nie jest to niemożliwe, ne? Och, wiem!

Kiku skoczyła na równe nogi i zaczęła odgrywać komiczną pantomimę, naśladowując daimyō, tragarza, rybaka, domokrażcę, napuszonego samuraja, a nawet starego chłopca podnoszącego pełne wiadro. Robiła to tak udanie i z takim humorem, że wkrótce Mariko i Blackthorne śmiali się i klaskali w dłonie.

Ukloniła się klaszczącym widzom, napiła się cha i osuszyła błyszczące czoło. Spostrzegła, że Blackthorne porusza ramionami i rozluźnia mięśnie pleców.

–O, per favor, senhor! – powiedziała, ukłękła za nim i zaczęła mu masować kark.

Jej doświadczone palce od razu znalazły ośrodki przyjemności w jego ciele.

–O Boże, to... hai... właśnie tutaj!

Zrobiła, jak poprosił.

–Twój kark wkrótce poczuje się lepiej. Za dużo siedzenia, Anjin-san...

–Świetnie to robisz, Kiku-san. Przy tobie Suwo jest niemal do niczego.

–Och, dziękuję ci. Mariko-san, Anjin-san ma takie ogromne ramiona, pomożesz mi, pani? Wymasuj mu lewe ramię, a ja wymasuję prawe. Przepraszam, ale mam za słabe ręce.

Mariko dała się przekonać i przyjęła jej propozycję. Kiku ukryła uśmiech, wyczuwając, jak pod dotykiem palców Mariko barbarzyńca naprężacie. Była bardzo zadowolona z siebie, że na oczekaniu wymyśliła ten fortel. Dzięki jej artyzmowi i wiedzy klient doznawał przyjemności i chcąc nie chcąc osiągał pożądany stan.

–Czy tak lepiej, Anjin-san?

–Dobrze, bardzo dobrze, dziękuję.

–Och, proszę bardzo. Cała przyjemność po mojej stronie. Ale pani Toda jest o niebo zręczniejsza ode mnie. – Kiku wyczuwała, jak bardzo się nawzajem pożądatają, mimo że starali się to ukryć. – A teraz może troszeczkę zjemy?

Natychmiast wniesiono jedzenie.

–Dla ciebie, Anjin-san – powiedziała z dumą.

Danie składało się z bażanta pokrojonego na małe kawałeczki i upieczonego na węglach w słodkim sosie sojowym. Nałożyła mu porcję.

–Pyszny, pyszny – pochwalił. I rzeczywiście bażant był znakomity.

–A ty, Mariko-san? – spytała Kiku.

–Dziękuję.

Mariko wzięła symboliczny kawałek, ale nie zjadła go.

Kiku wzięła pałeczkami cząstkę i z niesmakiem zaczęła przeżuwać.

–Dobre, ne?

–Nie, Kiku-san, bardzo dobre! Bardzo dobre.

–Proszę, Anjin-san, dołóż sobie. – Wzięła drugi kawałeczek. – Jest go dużo.

–Dziękuję ci. Proszę. Jak... jak się robi to?

Blackthorne wskazał na gęsty, brązowy sos.

Mariko przełożyła odpowiedź Kiku...

–Kiku mówi, że jest to cukier z soją i odrobiną imbiru. Pyta, czy w twoim kraju są cukier i soja.

–Cukier tak, w burakach, soja nie, Kiku-san.

–Och. Jakże można się obejść bez soi? – Kiku spoważniała. – Powiedz, proszę, Anjin-sanowi, że cukier mamy tutaj od tysiąca lat. Sprowadził go do nas z Chin buddyjski mnich Ganjin. Wszystko co najlepsze przyszło do nas z Chin, Anjin-san. Mniej więcej pięćset lat temu przyszła do nas cha. Mnich buddyjski Eisai przywiózł trochę nasion i zasadził je w prowincji Chikuzen, gdzie się urodziłam. Sprowadził też do nas buddyzm zen.

Mariko przełożyła to z równą powagą, a wtedy Kiku zaniósła się śmiechem.

–Och, bardzo przepraszam, Mariko-sama, ale oboje macie takie poważne miny. Ja tylko udawałam powagę, kiedy mówiłam o cha... czyż to ma jakiegokolwiek znaczenie?! Chciałam was tylko rozbawić.

Japonki przyglądały się, jak Blackthorne kończy jeść bażanta.

–Dobre – powtórzył. – Bardzo dobre. Podziękuj, proszę, Gyoko-san.

–Będzie zaszczycona. – Kiku naląa obojgu sake. Potem zaś, wiedząc, że nadszedł odpowiedni moment, powiedziała niewinnie: – Wolno spytać, co zaszło dzisiaj podczas trzęsienia ziemi? Słyszałam, że Anjin-san ocalił życie panu Toranadze. Byłabym zaszczycona, dowiadując się o tym z pierwszej ręki.

Usiadła cierpliwie, pozwalając Blackthorne'owi i Mariko na przyjemność snucia opowieści i wtrącała w nią swoje „och”, albo „a co potem?”, dolewała sake, ale – jako idealna słuchaczka – nie przerwała im ani razu.

A kiedy skończyli, zdumiała się ich dzielnością i wielkim szczęściem pana Toranagi. Rozmawiali jeszcze jakiś czas, po czym Blackthorne wstał i podążył za dziewczyną, której polecono pokazać mu drogę.

–Po raz pierwszy jadłaś ptasie mięso, prawda, Kiku-san? – przerwała milczenie Mariko.

–Moim obowiązkiem jest przez krótki czas robić wszystko to, co sprawia mi przyjemność, ne?

–Nie przypuszczałam, jak doskonała potrafi być dama. Teraz pojmuję, dlaczego nieodzowny jest Świat Płynący, Świat Wierzb, i jak szczęśliwi są mężczyźni, a także, jak wiele mnie samej brakuje.

–Och, w żadnym razie nie było to moim celem, przenigdy, Mariko-sama. Ani nie jest. Jesteśmy tu po to, by sprawiać przyjemność przez ulotną chwilę.

–Tak. Chciałam jedynie wyrazić ci swój wielki podziw. Chciałabym, żebyś została moją siostrą.

Kiku ukloniła się.

–Nie byłabym godna takiego zaszczytu – odparła.

Poczuły do siebie gorącą sympatię.

–To bardzo sekretny przybytek i wszystkim można ufać, nikt tu nie szpieguje – dodała Kiku po chwili. – W pokoju rozkoszy w ogrodzie jest bardzo ciemno, jeżeli ktoś ma takie życzenie. A ciemność wszystko spowija tajemnicą.

–Tajemnicę można zachować jedynie wtedy, gdy jest się samemu i powierza ją szeptem pustej studni w samo południe, ne? – powiedziała niewinnym tonem Mariko, potrzebując czasu na podjęcie decyzji.

–Siostrze studnia nie jest potrzebna. Odprawiłam służącą aż do ranka. Nasz pokój rozkoszy to bardzo intymne miejsce.

–Musisz tam być z nim sam na sam.

–Sama mogę być zawsze, zawsze.

–Jesteś dla mnie taka miła, Kiku-chan, taka troskliwa.

–To czarodziejska noc, ne? I bardzo niezwykła.

–Czarodziejskie noce kończą się za szybko, młodsza siostrze. Czarodziejskie noce są dla dzieci, ne? A ja nie jestem dzieckiem.

–Kto wie, co się dzieje podczas czarodziejskich nocy. Ciemność skrywa-wszystko.

Kiku odłożyła na razie ten temat.

–Jestem podarkiem dla Anjin-sana? – spytała po chwili. – On sam o mnie poprosił?

–Gdyby cię widział, jakże mógłby o ciebie nie poprosić? Prawdę mówiąc, to dla niego, zaszczyt, że go przyjął. Teraz to rozumiem.

–Ale on już mnie kiedyś widział, Mariko-san. Stałam właśnie z panem Omim, kiedy mijał mnie idąc na statek, który płynął do Osaki.

–Och, ale on mi powiedział, że widział z panem Omim Midori. Więc to byłaś ty? Przy palankinie?

–Tak, na wioskowym placu. O, tak, to byłam ja, Mariko-san, a nie jego pani, żona wielmożnego pana Omiego. Powiedział wtedy do mnie „konnichi wa”. Ale naturalnie nie pamięta tego. Jakże miałby pamiętać? To było w jego poprzednim życiu, ne?

–Och, ale on ją zapamiętał. Śliczną dziewczynę z zieloną parasolką. Powiedział, że takiej ślicznej dziewczyny jeszcze nie widział. Opowiadał mi o niej wiele razy. – Mariko przyglądała się jej jeszcze dokładniej. – Tak, Kiku-san, z łatwością można cię wziąć za nią w taki dzień, pod parasolką.

Kiku naląa sake, oczarowując Mariko bezwiedną elegancją.

–Miałam wtedy zieloną parasolkę – powiedziała, bardzo zadowolona, że ją zapamiętał.

–Jak wtedy wyglądał Anjin-san? Całkiem inaczej? Ta Noc Krzyków musiała być okropna.

–Tak, tak, była okropna. Poza tym on był wtedy starszy, skórę na twarzy miał napiętą... Ale mówmy poważnie, starsza sestro. Och, nie wiesz nawet, jaki to zaszczyt dla mnie, że mogę cię tak tytułować. Dzisiejsza noc będzie wyłącznie nocą rozkoszy. Dość powagi, ne?

–Tak. Dobrze. Przepraszam.

–A przechodząc do spraw praktycznych... Czy możesz udzielić mi pewnej rady?

–Jakiej tylko zechcesz – odparła równie przyjacielsko Mariko.

–Jeśli chodzi o sprawy poduszkowe, to wiadomo ci coś, czy mężczyźni z jego nacji mają jakieś ulubione przyrządy albo pozycje? Bardzo przepraszam, że o to pytam, ale, być może, potrafisz udzielić mi wskazówek.

Mariko musiała dobrać całej wyćwiczonej siły woli, żeby się nie zmieszać...

–Nie, nic mi o tym nie wiadomo – odparła. – Ale Anjin-san jest bardzo wyczulony na wszystko, co dotyczy poduszkiowania.

–A czy nie można go spytać o to nie wprost, ale aluzyjnie?

–Wątpię, czy można w taki sposób pytać o to cudzoziemca. A już na pewno nie jego. No, a poza tym, bardzo mi przykro, ale nie wiem nic o tych... przyrządach, oczywiście z wyjątkiem harigata.

–Och! – Kiku jeszcze raz odwołała się do własnej intuicji i spytała niewinnie: – A zechciałabyś na nie spojrzeć? Mogę ci je pokazać, może w jego obecności, bo wówczas nie trzeba go będzie pytać. Poznamy wszystko po jego zachowaniu.

Mariko zawahała się, ale ciekawość pokonała rozsądek.

–Jeżeli da się to zrobić z humorem...

Usłyszały, że nadchodzi Blackthorne. Kiku powitała go i naląła mu wina.

–Posłuchaj, starsza siostró – Mariko pochyliła się ku niej i uśmiechnęła porozumiewawczo – powiedz z łaski swojej Anjin-sanowi, że mamy tu pewne narzędzia do poduszkiowania. Czy są takie w jego kraju?

–Mówi, że nie, Kiku-san. Bardzo żałuje, ale nie słyszał o żadnych takich.

–Och! A czy nie zainteresowałoby go obejrzenie ich? Są w sąsiednim pokoju, więc mogę je przynieść... są doprawdy podniecające.

–Chciałbyś je zobaczyć, Anjin-san? Ona mówi, że są bardzo zabawne – przełożyła Mariko, celowo zmieniając przymiotnik.

–Czemu nie – odparł przez ściśnięte gardło Blackthorne, wy-, stawiony całkowicie na atak ich perfum i kobiecości. – Wy... używacie do poduszkiowania jakichś narzędzi? – spytał.

–Kiku-san mówi, że czasem tak, Anjin-san. Że naszym zwyczajem, co jest prawdą, jest zawsze odwlekać jak najdłużej chwilę Chmur i Deszczu, ponieważ wierzymy, że wówczas, przez krótki moment my, śmiertelnicy, stajemy się równi bogom. – Mariko przypatrywała mu się z uwagą. – Dlatego jest bardzo ważne, by trwał on tak długo, jak się da, ne? To niemal obowiązek, prawda?

–Tak.

–Tak. Mówi, że stać się równym bogom to rzecz niezbędna. To dobre wierzenie i łatwo w nie wierzyć, nie sądzisz? Otwarcie Chmury jest uczuciem tak niezwykłym i

boskim. Prawda? Tak więc stosowanie wszelkich środków służących temu, żeby jak najdłużej pozostawać równym bogom, jest naszym obowiązkiem, ne?

–O tak, jak najbardziej.

–Napijesz się sake, Anjin-san?

–Dziękuję.

Mariko poruszyła wachlarzem.

–Koncept Otwarcia Chmury, Chmur, i Deszczu albo, jak czasem go nazywamy, Ognia i Rwącego Strumienia, jest taki japoński, Anjin-san. Bardzo ważne jest, żeby do spraw poduszkowych podchodzić po japońsku, ne?

Ku jej uldze uśmiechnął się i uklonił dwornie.

–Tak. Jak najbardziej. Jestem Japończykiem, Mariko-san. Honto!

Kiku wniosła kasetkę obciążoną jedwabiem. Otworzyła ją i wyjęła dwa okazałe, naturalnych rozmiarów członki, jeden z kości słoniowej i drugi elastyczny, z miększego materiału, jaki Blackthorne widział po raz pierwszy w życiu. Beztrosko odłożyła je na bok.

–To są naturalnie zwyczajne harigata, Anjin-san – wyjaśniła spokojnie Mariko ze wzrokiem utkwionym w inne przedmioty w kasetce.

–Naprawdę? – spytał Blackthorne, nie mając pojęcia, co może jeszcze powiedzieć. – Matko Boska!

–Ale to są tylko zwyczajne harigata, Anjin-san. Wasze kobiety, z pewnością z nich korzystają!

–W żadnym razie! Nie, nie używają ich, – dodał, starając się zachować dobry humor.

Mariko nie mogła w to uwierzyć. Wyjaśniła, o co chodzi, Kiku, którą to również zdumiało. Dziewczyna mówiła przez dłuższy czas, a Mariko jej potakiwała.

–Kiku-san bardzo to dziwi. A ja dzielam jej zdanie. Tutaj prawie wszystkie dziewczyny używają ich bez zastanowienia, po prostu żeby sobie ulżyć. Jakże mogłyby zachować zdrowie, jeśli nakłada się na nie podobne ograniczenia w tym względzie, które nie obowiązują mężczyzn? Jesteś pewien, że tak u was jest? Nie kpisz sobie z nas, Anjin-san?

–Nie... ja... nasze kobiety na pewno ich nie używają. Byłoby to... Chryste, to... no, nie, my... one... tego nie używają.

–Muszą więc mieć ciężkie życie. Nasze porzekadło powiada, że harigata jest jak mężczyzna, ale lepszy, ponieważ jest to najwartościowsza część mężczyzny, ale bez jego części najgorszych. Ne? A ponadto jest lepsza dlatego, że wszystkim mężczyznom nie staje... tej sprawności, którą mają wszystkie harigata. Poza tym są zawsze wierne, Anjin-san, i nigdy nie mają cię dość, jak mężczyzna. A do tego mogą być takie jak męskie członki, szorstkie albo gładkie... Anjin-san, przyrzekłeś mi, pamiętasz? – traktować to z humorem!

–Masz rację! – Blackthorne uśmiechnął się szeroko. – Masz rację” na miły Bóg. Przepraszam. – Wziął harigata i uważnie go obejrzał, cichutko pogwizdując. – Masz słusność, szanowna nauczycielko! Może być szorstki?

–Tak – odparła wesoło. – Może być szorstki albo gładki, wedle życzenia, a ponadto harigata są o niebo wytrzymalsze od mężczyzn i niestrudzone!

–Otóż to!

–Tak. Nie zapominaj, że nie każda kobieta ma tyle szczęścia, by należeć do jurnego mężczyzny. Bez pomocy tych narzędzi, dających upust najzwyczajszym namiętnościom i zaspokajających normalne potrzeby kobiety, jej ciało szybko uległoby zatruciu, co niebawem zniszczyłoby jej wewnętrzną harmonię, szkodząc i jej, i otoczeniu. Kobiety nie mają takiej wolności jak mężczyźni, i słusznie, ne? Ten świat słusznie należy do mężczyzn, prawda?

–Tak. – Blackthorne uśmiechnął się. – I nie.

–Szkoda mi waszych kobiet, bardzo przepraszam, ale na pewno nie różnią się od naszych. Po powrocie do kraju musisz je pouczyć, Anjin-san. O, tak, powiedz to swojej królowej, ona zrozumie. Jesteśmy bardzo wrażliwe w sprawach poduszkowych.

–Wspomnę o tym Jej Wysokości. – Blackthorne z udawanym ociąganiem odłożył harigata. – Co dalej?

Kiku wyjęła sznur złożony z czterech okrągłych koralii z białego jadeitu, nawleczonych w odstępach na mocną jedwabną nić. Mariko wysłuchiwała pilnie wyjaśnień Kiku, z oczami rozszerzonymi jak nigdy dotąd, wachlując się wachlarzem, a kiedy dziewczyna doszła do końca, jeszcze raz ze zdumieniem spojrzała na korale.

–Ah so desu! A więc, Anjin-san – zaczęła zdecydowanym tonem – nazywają się one konomi-shinju, Perły Rozkoszy, i mogą z nich korzystać zarówno senhor, jak senhora. Sake, Anjin-san?

–Dziękuję.

–Tak. Może je stosować dama albo mężczyzna. Paciorki te umieszcza się starannie na samym końcu jej Korytarza, a kiedy zbliża się chwila Chmur i Deszczu, wyciąga się powoli jeden po drugim.

–Co takiego?

–Tak. – Mariko położyła paciorki na poduszce przed Blackthorne’em. – Pani Kiku mówi, że bardzo ważne jest, żeby zrobić to w odpowiednim czasie, i że zawsze... nie wiem, jak to powiedzieć... aha, zawsze powinno się stosować tłustą maść... dla przyjemności, Anjin-san. – Spojrzała na niego i dodała: – Mówi też, że dostępne są Perły Rozkoszy różnych rozmiarów i że umiejętne ich zastosowanie może dać bardzo dobre wyniki.

Blackthorne ryknął śmiechem i zawołał po angielsku:

–Stawiam beczułkę złotych dublonów przeciwko świńskiemu łajnu, że wy w to wierzycie!

–Bardzo przepraszam, ale nie rozumiem, Anjin-san.

Kiedy się uspokoił i odzyskał głos, rzekł po portugalsku:

–Stawiam górę złota przeciwko źdźbłu trawy, że wyniki są rzeczywiście znakomite, Mariko-san. – Wziął paciorki i obejrzał je, gwizdząc bezwiednie. – Perły Rozkoszy, co? – Po chwili je odłożył. – A co tam jeszcze jest?

Kiku, zadowolona, że eksperyment się powiódł, pokazała mu z kolei himitsu-kawa, Ukrytą Skórkę.

–To Pierścień Rozkoszy, Anjin-san, nakładany przez mężczyznę, który już puścił żywotne soki, na członka, by mu dalej stał. Z jego pomocą, twierdzi Kiku-san, mężczyzna może zadowolić kobietę po własnym szczytowaniu albo kiedy jego pożądanie opadło. – Mariko przyglądała się Blackthorne’owi. – Ne?

–Jak najbardziej – odparł Blackthorne i się rozpromienił. – Dobry Boże,’ uchron mnie przed jednym i przed drugim, a także przed niemożnością zaspokojenia kobiety. Poproś Kiku-san, żeby kupiła mi trzy takie... na wszelki wypadek!

Z kolei pokazano mu hiro-gumbi, Pancierz Strudzonego, cienkie wysuszone łodygi jakiejś rośliny, które, namoczone i owinięte na Niezrównanym Członku, nabrzmiewały, dzięki czemu wydawał się mocny. W pudełku były też ponadto wszelakie środki na potencję, pobudzające i podniecające, oraz maści, nawilżające, powiększające i wzmacniające męski narząd.

–Nie ma osłabiających? – spytał, ku większej uciecze.

–Oj, nie, Anjin-san, co za niedorzeczność!

Następnie Kiku wyłożyła inne pierścienie dla mężczyzn: z kości słoniowej, elastyczne, jedwabne z gruzełkami, szczecina, wstążkami, dodatkami i urozmaiceńiami wszelkich rodzajów wykonanymi z kości słoniowej, końskiego włosa, nasion, a jedne nawet z małutkimi dzwoneczkami.

–Kiku-san twierdzi, że prawie wszystkie przemieniają najbardziej nieśmiałą damę w rozpasaną ladacznicę.

O Boże, jakże chciałbym, żebyś była rozpasaną ladacznicą, pomyślał.

–Ale wszystko to zakładają wyłącznie mężczyźni, ne? – spytał.

–Im bardziej podniecona jest dama, tym większa przyjemność jej partnera, ne? – odparła Mariko. – Oczywiście, mężczyzna jest w równej mierze zobowiązany sprawiać kobiecie przyjemność, a jeżeli na swoje nieszczęście własny narząd ma mały, słaby, stary bądź zmęczony, to dzięki jednemu z tych udogodnień może z honorem wygodnie kobiecie.

–Korzystałaś z nich, Mariko-san?

–Nie, Anjin-san, widzę je po raz pierwszy. Są to... żony nie są po to, by dawać przyjemność, ale żeby wychowywać dzieci, dbać o dom i gniazdo rodzinne., – Żony nie spodziewają się zaspokojenia?

–Nie. Nie byłoby to normalne. Zaspokojenie jest dla dam ze Świata Wierzb. – Mariko powachlowała się i zrelacjonowała Kiku, o czym rozmawiali. – Kiku-san pyta, czy na pewno tak samo jest w twoim świecie. Czy obowiązkiem mężczyzny jest sprawiać przyjemność damie, tak jak jej obowiązkiem jest sprawiać mu przyjemność?

–Powiedz jej, że żałuję, ale wcale nie jest tak samo, wprost przeciwnie.

–Mówi, że to bardzo niedobrze. Sake?

–Powiedz jej, że nas uczą, żeby się wstydzić własnych ciał, poduszkowania, nagości i... wszelkich głupstw. Dopiero tutaj uświadomiłem Sobie pewne rzeczy. Teraz, kiedy się trochę ucywilizowałem, lepiej wiem, co myśleć.

Mariko przełożyła jego słowa. Blackthorne opróżnił czarękę. Kiku natychmiast mu ją napełniła, pochylając się i tak przytrzymując podczas nalewania wina długi rękaw kimona, by nie dotknął niskiego stolika z laki.

–Dómo.

–Do itashimashite, Anjin-san.

–Kiku-san mówi, że twoje słowa przynoszą nam zaszczyt. Zgadzam się z nią, Anjin-san. Jestem z ciebie bardzo dumna. Ale na pewno nie jest aż-tak źle, jak to przedstawiasz.

–Jest jeszcze gorzej. Trudno to pojąć, a co dopiero wyjaśnić, komuś, kto tam nigdy nie był i tam się nie wychował. Widzisz... prawdę mówiąc... – Blackthorne spostrzegł, że się w niego wpatrują, czekając cierpliwie, takie śliczne, czyste, wielobarwne w tym nieskazitelnym, pozbawionym zbędnych sprzętów i kojącym pokoju. Od razu zaczął to porównywać z ciepłym, znajomym zaduchem angielskiego domostwa, trzcina na polepie, dymem z otwartego ceglanego paleniska wylatującym przez otwór W dachu (w całej jego wsi były tylko trzy nowe kominki z kominami, a posiadali je sami zamożni), z dwiema małymi sypialniami i jedną dużą, brudną izbą, w której jadło się, gotowało, siedziało i prowadziło rozmowy. Zima czy lato, wchodziłeś do chaty w żeglarskich butach nie zważając, że są powalane błotem czy gnojem, i siadałeś na krześle bądź ławie, przy dębowym stole zaśmieconym jak izba, w otoczeniu kilku psów i dwójki dzieci – swojego syna i córki zmarłego brata Arthura, które wspinały się, gramoliły, spadały i bawiły raz w to, a raz w Alvito. Felicity gotowała, długą suknią zamiatając brudną polepę, kuchta siąkała nosem i włąziła w drogę, a wdowa po Arthurze, Maria, kaszłała w dobudowanej dla niej izbie obok, jak zawsze bliska śmierci, lecz nie umierająca.

Felicity. Droga Felicity. Kąpała się może raz w miesiącu, i to w lecie, na osobności, w miedzianej balii, ale codziennie myła twarz, ręce i nogi, zawsze zakryta od kostek po szyję, przez okrągły rok odziana w warstwy ciężkich welen, nie pranych miesiącami lub latami, cuchnąca jak wszyscy dookoła, jak wszyscy zawszona i drapiąca się.

A do tego te wszystkie inne wierzenia i przesady, że czystość zabija, że zabija otwieranie okien, zabija woda, gdyż sprowadza czerwonkę i plagi, a wszy, pchły, muchy, brud i choroby to kara boska za ziemskie grzechy.

Każdej wiosny pchły, muchy i nowe plecionki z sitowia, za to Felicity codziennie w kościele, a w niedzielę dwa razy, żeby wysłuchać walącego w ludzi jak w bęben słowa Bożego, że nic nie jest ważne, jedynie Bóg i zbawienie.

Urodzona w grzechu, żyjąca w poczuciu winy, diabelskie nasienie – Felicity, skazana na piekło, modląca się o zbawienie i odpuszczenie win, taka bogobojna, przepelniona lękiem przed Panem i strachem przed Szatanem, rozpaczliwie pragnąca dostać się do Nieba, po mszy wracała do domu na posiłek. Udziec pieczony na rożnie. Jeśli kawałek mięsa spadł ci na podłogę, to go podnosiłeś, wycierałeś z brudu i zjadałeś, naturalnie, jeśli psy nie dopadły go pierwsze, ale i tak rzucałeś im kości. Podłogę zaścierały nieczystości – różne odpadki rzucane gdzie-popadło, by je

potem zamieść albo wyrzucić na drogę. Człowiek spał najczęściej w dziennym przyodziewku i drapał się, drapał stale niczym zadowolony pies. Tak młodo się starzał, tak młodo brzydł, tak młodo umierał. Felicity. W tej chwili dwudziestodwuletnia, posiwiata, z niewieloma zachowanymi zębami, zniszczona, pomarszczona i wysuszona.

–Za prędko, biedaczko. Mój Boże, i co z tego miałaś! – wykrzyknął w gniewie. – Co za parszywe zmarnowane życie!

–Nan desu ka, Anjin-san? – spytały jednocześnie obie Japonki i ich dobry nastrój prysł.

–Bardzo przepraszam... to tylko... jesteście wszyscy tacy czyści, a my brudni, i tyle Judzi, niepoliczone miliony, ja również, marnuje sobie życie... a wszystko z braku wiedzy. Chryste Panie, co za marnotrawstwo! To przez księży... to oni są wykształceni i kształcą innych, to do nich należą szkoły, to oni tylko uczą... i zawsze w imię Boże... życie w brudzie w imię Boże... to prawda!

–O, tak, oczywiście – odparła pocieszająco Mariko, wzruszona jego cierpieniem. – Nie trap się tym teraz, Anjin-san. Proszę, zostaw to na jutro...

Kiku wprawdzie uśmiechała się, ale w duchu była na siebie wściekła. Powinnaś być ostrożniejsza, skarciła się. Głupia, głupia, głupia! Mariko-san cię potrzebowała! A ty zepsułaś dzisiejszy wieczór i jego czarodziejski nastrój prysnął, prysnął, prysnął!

I rzeczywiście, gęsta, prawie namacalna atmosfera erotyzmu, którą zdążyły wytworzyć, zniknęła. Może to i dobrze, pomyślała. Mariko i Anjin-sanowi jeszcze przynajmniej jedną noc nic nie grozi.

Biedny człowiek, biedna kobieta. Przyglądając się im wyczuła, że zmienił się ton ich rozmowy.

–Muszę cię już opuścić – powiedziała Mariko po łacinie.

–Wyjdźmy razem.

–Błagam cię, żebyś pozostał. Dla honoru własnego i jej. I dla mojego honoru, Anjin-san.

–Nie chcę twojego prezentu – rzekł. – Chcę ciebie.

–Wierzaj mi, jestem twoja, Anjin-san. Proszę cię, zostań, błagam cię, wiedz, że tej nocy jestem twoja.

Nie nalegał dłużej, żeby została.

Kiedy odeszła, położył się na wznak, podłożył ręce pod głowę i wpatrzył się przez okno w noc. Deszcz bębnił w dachówki, od morza dolatywały pieszczotliwe podmuchy wiatru.

Kiku klęczała przed nim nieruchomo. Nogi miała sztywne. Sama też z przyjemnością by się położyła, ale najmniejszym poruszeniem nie chciała zakłócać jego nastroju. Nie jesteś zmęczona, nie bolą cię nogi, powiedziała sobie. Wsłuchaj się w deszcz i myśl o rzeczach przyjemnych. Pomyśl o Omim i o herbaciarni w Mishimie, o tym, że żyjesz, a wczorajsze trzęsienie ziemi było po prostu jednym trzęsieniem ziemi więcej. Pomyśl o wielmożnym panu Toranadze i niewiarygodnie wysokiej cenie, jakiej wstępnie zażądała pani Gyoko za twój kontrakt. Wróżbiarz mówił prawdę, masz szczęście wzbogacić panią Gyoko ponad najśmielsze marzenia. Jeżeli to się sprawdza, to czemu i nie cała reszta? Kiedyś poślubisz samuraja, którego będziesz szanować, i dasz mu syna, będziesz żyć i umrzesz w późnym wieku, należąc do jego rodziny, bogata i szanowana, twój syn zaś – cud nad cuda – osiągnie równie wiele, stanie się samurajem, a będą też nimi jego synowie.

Kiku ożywiła się na myśl o tej niewiarygodnej, cudownej przyszłości... Po jakimś czasie Blackthorne przeciągnął się jak basza, owładnięty przyjemnym znużeniem. Zobaczył Kiku i uśmiechnął się.

–Nan desu ka, Anjin-san? – spytała.

Grzecznie pokręcił głową, wstał i otworzył shoji prowadzące do sąsiedniego pokoju. Przy osłoniętych siatkami futonach nie klęczała żadna służąca. W małym, wykwinnym pawilonie on i Kiku byli sami.

Przeszedł do sypialni i zaczął zdejmować kimono. Pośpieszyła mu pomóc. Rozebrał się do naga i włożył lekkie jedwabne kimono nocne, które mu przytrzymała. Odsunęła siatkę przeciw komarom i położył się.

Wtedy zaś przebrała się także ona. Zobaczył, że zdejmuje obi, zewnętrzne kimono, mniejsze, obwiedzione czerwoną lamówką kimono o barwie najbledszej zieleni, wreszcie halkę. Włożyła brzoskwiniowe kimono nocne, zdjęła kunsztowną wieczorową perukę i rozpuściła włosy. Były kruczoczarne, piękne, bardzo długie.

Uklękła przy siatce.

–Dozo, Anjin-san? – spytała.

–Dómo.

–Dómo arigato goziemashita – szepnęła.

Wśliznęła się pod siatkę i ułożyła przy nim. Świece i olejowe lampy paliły się jasno.

Był z tego zadowolony, ponieważ Kiku była taka piękna.

Jego gwałtowna żądza już zniknęła, chociaż cierpiał nadal. Nie pożądam cię, Kiku-san, pomyślał. Nawet gdybyś była Mariko, nic by to nie zmieniło. I chociaż jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką widziałem w życiu, piękniejszą nawet od Midori-san, którą uznałem za piękniejszą od bogiń, to i tak nie pożądam ciebie. Może później, ale nie teraz, wybacz.

Wyciągnęła rękę i dotknęła go.

–Dozo?

–Iye – powiedział delikatnie, kręcąc głową.

Przytrzymał rękę Kiku, a potem swoje ramię wsunął pod jej ramiona. Posłusznie przytuliła się do niego, w lot go pojmując. Zapach jej perfum mieszał się z wonią pościeli i futonów. Takie czyste, pomyślał, wszystko jest tu takie niewiarygodnie czyste.

Jak się wyraził Rodrigues? „Japonia to niebo na ziemi, Ingeles, jeżeli wiesz, gdzie go szukać” albo „To raj, Ingeles”. Nie pamiętam. Wiem tylko, że nie ma go tam, za morzami, jak myślałem. Nie tam.

Niebo jest tutaj.

W ciemnościach drogą do uśpionej wioski nadjechał galopem kurier. Świt zdążył już zabarwić niebo, a łodzie po nocnym połowie właśnie wpływały do przystani. Jechał bez odpoczynku z Mishimy przez górskie przełęcze i po ciężkich drogach, rekwirując gdzie się tylko dało świeże konie.

Jego koń zadudnił kopytami po ulicach wsi, a na wioskowym placu i na drodze wspinającej się do warowni śledziły go z ukrycia liczne oczy. Na chorągwi miał godło Toranagi i znał aktualne hasło. Ale i tak wzywano go do zatrzymania się i czterokrotnie sprawdzono tożsamość, zanim pozwolono mu tam wjechać i stanąć przed obliczem dowódcy warty.

–Pilne depesze z Mishimy, Naga-san, od pana Hiro-matsu – oznajmił.

Naga wziął od niego zwinięty pergamin i pośpiesznie wszedł do środka.

Przy mocno strzeżonych shoji zatrzymał się.

–Ojczy! – zawołał.

–Tak?

Naga odsunął drzwi i zaczekał. Toranaga z powrotem wsunął miecz do pochwy. Strażnik przyniósł olejną lampę.

Toranaga usiadł pod moskitierą i złamał pieczęć. Dwa tygodnie temu rozkazał Hiro-matsu przekraść się potajemnie z doborowym pułkiem do zamku w mieście Mishima przy gościńcu Tokaidō, który strzegł dostępu do przełęczy prowadzącej przez góry do miast Atami i Odawara na północy. Odawara stanowiła klucz do obrony całego Kantō.

„Wielmożny panie – pisał Hiro-matsu – Twój przyrodni brat Zataki, władca Shinano, przybył tu dzisiaj z Osaki i poprosił o bezpieczne dowieszenie go na spotkanie z Tobą w Anjiro. Podróżuje oficjalnie z setką samurajów i tragarzy pod godłem «nowej» Rady Regencyjnej. Z przykrością zawiadamiam Cię, że informacje pani Kiritsubo były prawdziwe. Zataki zdradził Cię i nie kryje się ze swoim podporządkowaniem Ishido. Nie wiedziała tylko tego, że Zataki jest teraz regentem w miejsce pana Sugiyamy. Pokazał mi urzędową nominację, podpisaną zgodnie z prawem przez Ishido, Kiyamę, Onoshiego i Ito. Zrobiłem, co mogłem, żeby powściągnąć swoich ludzi od ukarania go za butę i, wypełniając twój rozkaz, przepuścić wszelkich posłańców Ishido. Sam chciałem zabić tego gównozercę. Podróżuje wraz z nim barbarzyński kapłan, Tsukku-san, który przybył morzem do portu w Numazu z Nagasaki. Prosił o posłuchanie u Ciebie, więc wysłałem go razem z tym oddziałem. Jako eskortę

przydzieliłem im dwustu żołnierzy. Zjawią się w Anjiro przed upływem dwóch dni. Kiedy wracasz do Edo? Szpiedzy donoszą, że Jikkyu po cichu przeprowadza mobilizację, a z Edo nadeszły wieści, że ponieważ prowincja Zatakiego, Shinano, zwróciła się przeciwko tobie”, to północne rody gotowe są przyłączyć się do Ishido. Błagam Cię, natychmiast wyjedź z Anjiro, wycofaj się morzem. Niech Zataki podąża za Tobą do Edo, gdzie będziemy mogli zgotować mu takie przyjęcie, na jakie zasługuje”.

Toranaga trzasnął pięścią w podłogę.

–Naga-san. Sprowadź mi tu natychmiast panów Buntaro, Yabu i Omiego.

Przybyli bardzo szybko. Toranaga odczytał im list.

–Musimy przerwać szkolenie – powiedział. – Cały pułk muszkietów, do ostatniego żołnierza, odeślijcie w góry. Nie może się od nas wydostać żaden przeciek.

–Przepraszam, wielmożny panie, ale może” zechcesz rozważyć możliwość spotkania się z tym oddziałem przed górami. Powiedzmy, w Yokose. Zaproś pana Zatakiego do któregoś z pobliskich zdrojowisk, lecz spotkaj się z nim w Yokose. A kiedy przekaze ci to, co ma do przekazania, można zawrócić go z wszystkimi ludźmi, odprowadzić do granicy albo zniszczyć, co tylko zechcesz.

–Nie znam Yokose.

–Jest piękne, położone prawie w samym centrum Izu, wielmożny panie, za górami, w kotlinie – rzekł z dumą Yabu. – Leży nad rzeką Kano, która płynie na północ. Na samym końcu Kano mija Mishimę i Numato i wpada do morza, ne? Yokose leży na skrzyżowaniu dróg – z północy na południe i ze wschodu na zachód. Tak, Yokose to świetne miejsce na spotkanie, wielmożny panie. Niedaleko jest źródło Shuzenji, z bardzo gorącą, doskonałą wodą – jeden z naszych najlepszych. Powinieneś go odwiedzić, wielmożny panie. Uważam, że propozycja pana Omiego jest dobra.

–Łatwo można się tam obronić?

–Tak, wielmożny panie – odparł szybko Omi. – Jest tam most. Górskie stoki stromo opadają w dół. Napastnicy musieliby walczyć na krętej drodze pod górę. Obie przełęcze utrzyma garstka ludzi. Urządzenie tam na ciebie zasadzki jest niemożliwe. Mamy aż nadto żołnierzy, żeby cię obronić i jeśli będzie trzeba, wyrżnąć dziesięć razy więcej przeciwników.

–Bez względu na to, co się stanie, i tak ich wyrżniemy, ne? – rzekł z pogardą Buntaro. – Ale lepiej tam niż tutaj. Pozwól, wielmożny panie, że zabezpieczę tę miejscowość na twój przyjazd. Wezmę pięciuset łuczników na koniach, muszkietników wcale. Razem z samurajami mojego ojca to w zupełności wystarczy.

Toranaga sprawdził datę na liście.

–Kiedy dotrą do tego skrzyżowania dróg? – spytał.

–Najwcześniej dzisiaj wieczorem? – rzekł Yabu, spoglądając, żeby się upewnić, na Omiego.

–Prawdopodobnie nie wcześniej niż jutro o świcie.

–Buntaro-san, wyjedź natychmiast – powiedział Toranaga. – Zatrzymaj ich w Yokose, ale mają pozostać po drugiej stronie rzeki. Wyjadę jutro o świcie jeszcze z setką ludzi. Powinniśmy tam się znaleźć około południa... Yabu-san, na ten czas obejmiesz dowództwo nad pułkiem muszkietów i będziesz osłaniał nasz odwrót. Zasadź się z nimi po drugiej stronie gościńca Heikawa, tuż za widnokreślami, tak żebyśmy w razie potrzeby mogli się schronić za ich szeregi.

Buntaro chciał odejść, ale słysząc pytanie zaniepokojonego Yabu zatrzymał się.

–Jakże możliwa jest zdrada, wielmożny panie? Przecież oni mają zaledwie stu ludzi.

–Spodziewam się zdrady. Pan Zataki nie składałby głowy w moje ręce, gdyby nie miał jakiegoś planu, no, bo oczywiście, jeśli tylko będę miał okazję, to wezmę jego głowę – odparł Toranaga. – Gdyby nie przewodził tym swoim fanatykom, to nasze szanse na przedostanie się przez jego góry byłyby o wiele większe. Dlaczego więc ryzykuje wszystko? Dlaczego?

–Czy byłby gotów znowu stać się naszym sojusznikiem? – spytał podchwytliwie Omi.

Wszyscy wiedzieli o długotrwałej rywalizacji, która istniała pomiędzy przyrodnymi braćmi. Aż dotąd była ona przyjacielska.

–Nie, nie on. Nigdy mu nie ufałem. Czy ktoś z was by mu w tej chwili zaufał?

Potrząsnęli przecząco głowami.

–Z pewnością nie masz powodu do zmartwienia, wielmożny panie – rzekł Yabu. – Owszem, pan Zataki jest regentem, ale spełnia jedynie rolę posłańca, ne?

„Głupcze!, – chciał krzyknąć Toranaga. – Czy ty nic nie rozumiesz?!”

–Wkrótce się dowiemy. Ruszaj natychmiast, Buntaro-san...

–Tak, wielmożny panie. Miejsce spotkania wybrałem starannie, ale nie dopuść go do siebie bliżej niż na dziesięć kroków. Byłem z nim w Korei. Mieczem posługuje się o wiele za szybko.

–Tak.

Buntaro szybko odszedł.

–Może Zatakiego da się skusić do zdrady Ishido, na przykład nagrodami – podsunął Yabu. – Czym go znęcić? Nawet gdyby nie dowodził tymi żołnierzami, to góry Shinano są straszne.

–Przynęta jest oczywista – odparł Toranaga. – Jest nią Kantō. Czyż nie tego pożąda, czyż nie tego zawsze pragnął? Czyż nie tego pragną wszyscy moi wrogowie? Czyż nie tego właśnie pożąda Ishido?

Nie odpowiedzieli mu. Nie było potrzeby.

–Oby Budda nam pomógł. Pokój zbudowany przez taikō dobiegł końca – rzekł ponuro Toranaga. – Zaczyna się wojna.

–Tak, Omi-sama, oczywiście.– powiedziała Gyoko. – Sprowadzę Anjin-sana natychmiast. Racz wybaczyć. Ako, chodź ze mną.

Gyoko posłała Ako po herbatę, a sama wpadła do ogrodu, zachodząc w głowę, jakie to ważne wieści przywiózł ten – galopujący posłaniec, bo ona również słyszała tętent kopyt. I dlaczego Omi zachowuje się dziś tak dziwnie? – zadawała sobie pytanie. – Dlaczego jest taki chłodny, szorstki i zły?. A poza tym czemu przybył tu sam w tak nieważnej sprawie? Czemu nie przysłał samuraja?

Weszła po wypolerowanych cedrowych stopniach. Zapukała w wypraktykowany sposób.

–Anjin-san... Anjin-san. Bardzo przepraszam, ale przysyła po ciebie pan Toranaga. Masz natychmiast stawić się w warowni.

–Co? Co mówisz?

Powtórzyła to prostszymi słowami.

–Aha! Rozumiem! Dobrze... będę szybko – usłyszała jego zabarwioną dziwnym akcentem odpowiedź.

–Bardzo przepraszam, racz wybaczyć. Kiku-san?

–Tak, Mama-san? – Po chwili shoji odsunęły się. Kiku uśmiechnęła się do niej, otulona kimonem i z włosami w uroczym nieładzie. – Dzień dobry, Mama-san, czy miałaś miłe sny?

–Tak, tak, dziękuję. Bardzo przepraszam, że ci przeszkadzam. Kiku-chan, czy

napijesz się świeżej herbaty?

–Och!

Uśmiech Kiku zniknął. Było to umówione zdanie, które Gyoko mogła swobodnie wypowiedzieć w obecności każdego klienta. Informowało ono Kiku, że jej najwierniejszy klient, Omi, jest w herbaciarni. Dzięki temu Kiku zawsze mogła szybciej dokończyć swoją opowieść, pieśń czy taniec i, jeśli miała na to ochotę, iść do Omiego. Kiku poduszkowała z niewieloma mężczyznami, chociaż zabawiała wielu – jeżeli zapłacili odpowiednią stawkę. Bardzo, bardzo niewielu mogło sobie pozwolić na wszystkie jej usługi.

–Co się stało? – spytała Gyoko, pilnie jej się przypatrując.

–Nic, Mama-san. Anjin-san – zawołała wesoło Kiku. – Bardzo przepraszam, napijesz się cha?

–Tak, proszę.

–Zaraz ją przyniosą – powiedziała Gyoko; – Ako! Pośpiesz się, dziecino.

–Tak, pani.

Ako wniosła tacę z herbatą i dwiema filiżankami, nalala cha, Gyoko natomiast wyszła, jeszcze raz przepraszając Blackthorne'a za to, że mu przeszkodziła.

Kiku osobiście podała mu filiżankę. Wypił łąpczywie napój, a wtedy pomogła mu się ubrać. Ako przyniosła dla niej świeże kimono. Kiku była nadzwyczaj uprzejma, ale pochłaniała ją myśl o tym, że już wkrótce będzie musiała odprowadzić Anjin-sana za bramę i tam pokłonić mu się na pożegnanie. Tego wymagały dobre maniery. Co więcej, był to jej” przywilej i obowiązek. Tylko damom Świata Wierzb pierwszej rangi wolno było przekroczyć bramę herbaciarni i oddać te tak rzadkie honory, wszystkie inne dziewczęta musiały pozostać na podwórku. Nie do pomyślenia było, żeby nie zakończyła tej nocy zgodnie z oczekiwaniami, byłby to bowiem straszliwy afront wobec gościa, a jednak...

Po raz pierwszy w życiu Kiku broniła się przed złożeniem ukłonu odchodzącemu gościowi w obecności drugiego gościa.

Nie mogła, nie Anjin-sanowi wobec Omiego.

Dlaczego? – zadawała sobie pytanie. – Dlatego, że Anjin-san to barbarzyńca i wstyd ci przed całym światem, iż dowie się, że posiadał cię jeden z nich? Nie. Wie o tym całe Anjiro, a mężczyźni nie różnią się od siebie, najczęściej. Ten człowiek to samuraj, hatamoto, admirał okrętów pana Toranagi! Nie, to nie z tego powodu.

A więc z jakiego?

To dlatego, że w nocy spostrzegłam, iż wstydę się tego, co mu zrobił Omi. Wszyscy powinniśmy się tego wstydzić. Omi w żadnym razie nie powinien był tego robić. Anjin-san jest napiętnowany, a ja chyba wyczułam to piętno przez jego jedwabne kimono. Płonę ze wstydu z jego powodu, z powodu dobrego człowieka, którego nigdy nie powinno było coś takiego spotkać.

Czy jestem zbrukana?

Nie, oczywiście, że nie, tylko wstyd mi przed nim. I wstyd mi przed Omim, że się wstydę.

I wtedy do najgłębszych zakamarków jej świadomości dotarł głos Mamy-san, powtarzającej: „Dziecko, dziecko, męskie sprawy pozostaw mężczyznom. Naszym balsamem na nich jest nasz śmiech, a także balsamem na bogów, a nawet na starość”.

–Kiku-san?

–Tak, Anjin-san?

–Idę.

–Tak. Chodźmy razem – powiedziała.

Blackthorne czule ujął jej twarz w szorstkie dłonie i pocałował.

–Dziękuję. Brak mi słów na to, by ci podziękować – rzekł.

–To ja powinnam ci podziękować. Pozwól, że ci podziękuję, Anjin-san. Chodźmy już.

Pozwoliła, żeby Ako dokończyła ostatnich poprawek przy jej włosach, które pozostawiła luźne, opasała świeże kimono obi i wyszła z Blackthorne'em.

Szła, tak jak pozwalał jej na to przywilej, przy jego boku, a nie kilka kroków na nim, tak jak żona, konkubina, córka lub służąca. Na chwilę położył dłoń na jej ramieniu. Było to dla niej okropne, ponieważ nie znajdowali się sami w zamkniętym pokoju. Nagle ogarnęło ją potworne przeczucie, że on – co, jak wspomniała Mariko, było zwyczajem barbarzyńców – pocałuje ją publicznie przy bramie. O Buddo, nie dopuść do tego, pomyślała, bliska zemdlenia ze strachu.

Jego miecze były w pokoju przyjęć. Zgodnie ze zwyczajem wszelką broń pozostawiano pod strażą, na zewnątrz pokojów uciech, żeby zapobiec śmiertelnym nieporozumieniom pomiędzy klientami, a także, by nie dopuścić do śmierci

pensjonariuszek. Nie wszystkie damy Świata Wierzb miały bowiem szczęście i los im sprzyjał.

Blackthorne zatknął miecze za pas. Kiku w ukłonach wyprowadziła go na werandę, gdzie włożył sandały. Gyoko i inne kobiety zebrały się, żeby się pokłonie odchodzącemu honorowemu gościowi. Za bramą był wioskowy plac i morze. Kręciło się tam mnóstwo samurajów, a pośród nich Buntaro. Kiku nie dostrzegła Omiego, chociaż była pewna, że skądś im się przygląda.

Anjin-san wydawał się jej strasznie wysoki, a ona przy nim taka mała. Właśnie szli przez podwórko. Omiego zobaczyli oboje w tej samej chwili. Stał w pobliżu bramy.

Blackthorne zatrzymał się.

–Dzień dobry, Omi-san – powiedział jak przyjaciel i ukłonił się przyjacielsko, nie mając pojęcia, że Omi i Kiku są więcej niż znajomymi.

Skąd miałby o tym wiedzieć, pomyślała. Nikt mu tego nie powiedział, bo i po co. Zresztą, jakie to ma znaczenie?

–Dzień dobry, Anjin-san – odparł Omi, również przyjacielskim, tonem, ale zauważyła, że jego ukłon jest tylko zdawkowy.

Po chwili jego czarne jak węgiel oczy spoczęły na niej, więc z nieskazitelnym uśmiechem ukłoniła mu się.

–Dzień dobry, Omi-san. Twoja obecność zaszczyca ten dom.

–Dziękuję, Kiku-san. Dziękuję.

Widząc, że patrzy na nią badawczo, udała, że tego nie dostrzega, i skromnie spuściła wzrok. Z werandy przyglądały się im Gyoko, służące i dziewczęta, które akurat nie były zajęte.

–Idę do warowni, Omi-san - rzekł Blackthorne. – Wszystko dobrze?

–Tak. Przysłał mnie po ciebie pan Toranaga.

–Idę już. Liczę, że niedługo się zobaczymy.

–Tak.

Kiku podniosła oczy. Omi nadal się w nią wpatrywał. Uśmiechnęła się najładniej, jak umiała, i spojrzała na Anjin-sana. Bacznie przyglądał się Omiemu. A kiedy wyczuł na sobie wzrok Kiku, ponownie popatrzył na nią i uśmiechnął się w sposób nieco wymuszony.

–Bardzo przepraszam, Kiku-san, Omi-san, muszę iść – rzekł i uklonił się Omiemu.

Jego ukłon został odwzajemniony. Blackthorne wyszedł za bramę. Podążyła za nim, ledwie oddychając. Ruch na placu zamarł. W ciszy ujrzała, jak Blackthorne odwraca się i przez jedną straszną chwilę była pewna, że chce ją objąć. Ale ku jej wielkiej uldze nie zrobił tego, lecz jedynie stał jak człowiek cywilizowany i czekał.

Czując, że Omi świdruje ją wzrokiem, Kiku złożyła Blackthorne’owi najczulszy ukłon.

–Dziękuję, Anjin-san – powiedziała, uśmiechając się tylko do niego jednego. Przez plac przebiegło westchnienie. – Dziękuję ci -7” powtórzyła i zgodnie z uświęconym zwyczajem dodała:;- Odwiedź mnie znowu, proszę. Będę niecierpliwie liczyła chwile do następnego spotkania.

Uklonił jej się ze stosowną niedbałością i odszedł wyniosłym krokiem jak samuraj wysokiej rangi. Kiku, ponieważ potraktował ją nader właściwie, chcąc odplacić Omiemu za jego niepotrzebnie zbyt chłodny ukłon, zamiast od razu wrócić do herbaciarni, pozostała na miejscu, patrząc za odchodzącym Anjin-sanem, by w ten sposób uhonorować go jeszcze bardziej. Zaczekała, aż dojdzie do rogu ulicy, i wtedy zobaczyła, że się odwraca. Skinął jej ręką. Ukloniła mu się bardzo nisko, zachwycona, że skupiła na sobie uwagę całego placu, i udała, że tego nie zauważa. I dopiero kiedy naprawdę straciła go z oczu, powróciła do domu. Dumnie i z wielką elegancją. Nim znikła za furtką, patrzyli, na nią wszyscy mężczyźni, pasąc oczy taką pięknnością i zazdroszcząc Anjin-sanowi, który na pewno był ogromnie męski, skoro aż tak długo stała przy bramie.

–Jesteś taka piękna – zachwycił się Omi.

–Chciałabym, żeby to była prawda, Omi-san – odparła z odrobinę tylko mniej olśniewającym uśmiechem. – Napijesz się cha? Albo coś zjesz?

–Z tobą, tak.

–Racz mi wybaczyć moje złe maniery, Omi-sama – powiedziała obłudnie Gyoko, podchodząc do nich. – Ale zapraszam cię, żebyś z nami zjadł. Czy jadłeś już coś dzisiaj?

–Nie... jeszcze nie, ale nie jestem głodny. – Omi zerknął na Kiku.– Czy już jadłaś?

–Pozwól, że poczęstujemy cię czymś, co nie będzie aż tak bardzo odbiegało od twoich wymagań, Omi-sama – wtrąciła zaborczo Gyoko. – Dołączysz do nas, kiedy się przebierzesz, Kiku-san?

–Oczywiście, przebacz mi, Omi-sama, że pojawiłam się w takim stroju. Bardzo przepraszam.

Kiku odbiegła, udając zadowolenie, którego nie czuła, a w ślad za nią Ako.

–Chciałbym z nią dziś spędzić wieczór, żeby zjeść i dla rozrywki – oświadczył Omi.

–Oczywiście, Omi-sama – odparła z niskim ukłonem Gyoko wiedząc, że dziewczyna nie będzie wolna. – Zaszczycasz naszą herbaciarnię i czynisz nam aż nadto wiele honoru. Jakie to szczęście dla Kiku-san, że cieszy się twoimi względami.

.– Trzy tysiące koku? – spytał zgorzony Toranaga.

–Tak, wielmożny panie.

Siedzieli na jego osobistej werandzie w warowni. Zaczęło padać, ale deszcz nie złagodził dziennego upału. Mariko była apatyczna, bardzo zmęczona i tęskniła do jesiennego chłodu.

–Bardzo przepraszam, ale nie mogę dłużej pertraktować z tą kobietą. Rozmawiałam z nią prawie do świtu. Bardzo mi przykro, wielmożny panie, ale kazałeś mi zakończyć targi zeszłej nocy.

–Ale aż trzy tysiące koku? To zdzierstwo!

–Tak jest, wielmożny panie. Masz słuszność. Wina jest całkowicie po mojej stronie. Myślałam, że nawet pięćset to przesada, ale ta Gyoko nie chciała nic opuścić. Poszła, wszakże na jedno ustępstwo.

–Jakie?

–Z całą czołobitnością godzi się na obniżenie ceny do dwóch i pół tysiąca, jeżeli wyświadcysz jej zaszczyt i zgodzisz się jej wysłuchać przez jedną trociczkę kadzidła.

–Mama-san obniża cenę o pięćset koku tylko za rozmowę ze mną? – Tak, wielmożny panie.

–Dlaczego? – spytał podejrzliwie.

–Zdradziła mi powód, wielmożny panie, ale pokornie prosiła, żeby mogła wyłożyć ci go osobiście. Uważam, że jej propozycja cię zainteresuje. A poza tym pięćset koku... to oszczędność. Mimo że Kiku jest damą pierwszej rangi i całkowicie zasługuje na swój status, to jestem przerażona, że – nie potrafiłam zawrzeć korzystniejszej umowy. Wiem, że cię zawiodłam.

–To prawda – odparł cierpko Toranaga. – Nawet tysiąc byłoby za wiele. To nie Kioto, ale Izu!

–Masz całkowitą rację, wielmożny panie. Powiedziałam tej kobiecie, że jej cena jest tak bardzo niedorzeczna, że sama nie mogę o niej decydować, mimo że kazałeś mi sfinalizować tę umowę zeszłej nocy. Mam nadzieję, że wybaczysz mi to nieposłuszeństwo, ale zapowiedziałam jej, że przed zawarciem umowy muszę się wpierv – poradzić pani Kasigi, matki pana Omiego, która jest tu najstarszą damą.

Toranaga rozpogodził się, zapominając o wszystkich swoich zmartwieniach.

–Aha, a więc to załatwione, ale nie załatwione?

–Tak, wielmożny panie. Nic nie jest przesądzone, dopóki nie zasięgnę rady tej szacownej damy. Obiecałam, że odpowiedź dam dziś do południa. Przepraszam za moje nieposłuszeństwo.

–Powinnaś zakończyć te pertraktacje, tak jak ci kazałem! – Toranaga radował się w duchu, że Mariko tak mądrze stworzyła mu okazję do wyrażenia zgody lub sprzeciwu w taki sposób, żeby nie stracił przy tym twarzy. Było nie do pomyślenia, żeby on sam uciekał się do wybiegów w kwestii tak błahej jak pieniądze. Ale oh ko, trzy tysiące koku!... – Powiadasz, że kontrakt tej dziewczyny jest wart tyle, co wikt tysiąca rodzin przez trzy lata?

–Dla amatora wart każdego ziarnka. Toranaga przyjrzał się jej przenikliwie.

–Ach tak? A zatem opowiedz mi o niej i o tym, co zaszło. Opowiedziała mu o wszystkim, pomijając jedynie swoje uczucie do Anjin-sana i jego głębokie uczucie do niej. A także propozycję, jaką złożyła jej Kiku.

–Dobrze. Tak, doskonale. Mądrze zrobiłaś. Tak – pochwalił ją Toranaga. – Musiał ją naprawdę zadowolić, skoro już po pierwszym razie tak go zęgnęła przy bramie.

Prawie całe Anjiro czekało na tę chwilę, żeby przekonać się, jak się zachowa tych dwoje, barbarzyńca i Wierzbowa Dama pierwszej rangi.

–Tak.

–Te trzy koku to dobrze zainwestowane pieniądze. Teraz będzie go poprzedzać fama.

–Tak – przyznała Mariko, bardzo dumna z faktu, że Blackthorne'owi się powiodło. – To nadzwyczajna kobieta, wielmożny panie.

Toranagę zaintrygowało przekonanie Mariko o wartości tej transakcji. Ale cena pięciuset koku za kontrakt byłaby godziwsza. Większość właścielek herbaciarni nie zarabiała takiej sumy w ciągu całego życia, więc jeżeli jedna z nich w ogóle była gotowa zrezygnować z pięciuset koku...

–Jest warta każdego ziarnka, powiadasz? Trudno mi w to uwierzyć.

–Dla odpowiedniego człowieka, wielmożny panie. Ja w to wierzę. Ale nie mogę oceniać, kto byłby tym właściwym.

Zapukano do shoji.

–Tak?

–Przy bramie jest Anjin-san, wielmożny panie – zameldował strażnik.

–Wprowadźcie go.

–Tak, wielmożny panie.

Toranaga powachlował się. Ukradkiem spojrzął na Mariko, i spostrzegł chwilowe ożywienie na jej twarzy. Umyślnie nie uprzedził jej, że po niego posłał.

Co robić? Wszystkie plany obowiązują dalej, myślał. Ale w tej chwili potrzebuję Buntaro, Anjina i Omiego jeszcze bardziej. A już najbardziej potrzebuję Mariko.

–Dzień dobry, Toranaga-sama.

Odkłonił się Blackthorne'owi i odnotował sobie, że ten rozpromienił się na widok Mariko.

–Mariko-san – rzekł po zwyczajowych powitaniach i odpowiedziach – powiedz mu, że o świcie wyjeżdża ze mną. Ty również. Pojedziesz dalej, do Osaki.

Przeszedł ją dreszcz.

–Tak, wielmożny panie.

–Jadę w Osakę, Toranaga-sama? – spytał Blackthorne.

–Nie, Anjin-san. Mariko-san, powiedz mu, że na parę dni jadę do źródła Shuzenji. Oboje będziecie mi towarzyszyć. Ty pojedziesz dalej, do Osaki. On pojedzie z tobą do granicy, a stamtąd sam do Edo.

Przyglądał się im uważnie, kiedy Blackthorne mówił coś do niej prędko i nagłym tonem.

–Bardzo przepraszam, Toranaga-sama, ale Anjin-san pokornie pyta, czy nie mógłby mnie wypożyczyć jeszcze na kilka dni. Racz wybaczyć, ale mówi, że moja obecność ogromnie przyśpieszyłaby sprawę jego statku. Potem, gdybyś sobie tego życzył, natychmiast wzięłyby któryś z twoich przybrzeżnych okrętów i zawiózł mnie do Osaki,

a sam popłynął do Nagasaki. Twierdzi, że to zaoszczędziłoby czasu.

–Jeszcze nie podjąłem żadnej decyzji w sprawie jego statku. Ani. jego załogi. Może nie będzie musiał płynąć do Nagasaki. Dokładnie mu to wyjaśnij. Nie, nie podjąłem żadnej decyzji. Ale rozważę prośbę dotyczącą ciebie. Jutro dowiesz się, co postanowiłem. A teraz możesz odejść... Aha, ostatnia sprawa, Mariko-san, powiedz mu, że chcę poznać jego genealogię. Może ją spisać, a ty mi ją przełożysz i potwierdzisz, że jest prawidłowa.

–Tak, wielmożny panie. Czy ma to zrobić natychmiast?

–Nie. Po przyjeździe do – Edo będzie miał na to dość czasu., Mariko wyjaśniła rzecz Blackthorne'owi.

–A po co mu ona? – spytał. Mariko wpatrzyła się w niego.

–Bo wszyscy samuraje muszą mieć oczywiście zapisane daty urodzin i śmierci, Anjin-san, podobnie jak swoje lenna i tytuły własności ziemskich. Jakże inaczej lenny pan mógłby zawiadywać wszystkim? Czyż nie jest tak samo w twoim kraju? Tutaj z mocy prawa wszyscy mieszkańcy są zapisani w urzędowych rejestrach, nawet eta: ich narodziny, zgony i małżeństwa. Każde sioło, wioska lub ulica miasta mają swój urzędowy zwój pergaminu. Jakże inaczej byłoby wiadomo, gdzie i do kogo należysz?

–My tego nie zapisujemy. Nie zawsze. I nieurzędowo. Wszystko jest zarejestrowane? Każdy?.

–O, tak, nawet eta, Anjin-san. To ważne, ne? Bo wtedy nikt nie może udawać kogoś, kim nie jest, łatwiej jest złapać złoczyńców, a mężczyźni, kobiety ani rodzice nie mogą oszukiwać przy zawieraniu małżeństw, ne?

Blackthorne odłożył na później rozważenie tego, co usłyszał, i w grze z Toranagą zagrał kolejną kartą, która, jak liczył, doprowadzi do zagłady Czarnej Karaweli.

Mariko wysłuchiwała go uważnie i po zadaniu paru pytań zwróciła się do Toranagi.

–Wielmożny panie, Anjin-san dziękuje ci za okazane względy i liczne dary. Pyta, czy wyświadczyłbyś mu zaszczyt i wybrał osobiście jego dwustu żołnierzy. Mówi, że twoje rady są warte każdej ceny.

–Warte tysięcy koku? – spytał od razu Toranagą. Zobaczył zaskoczenie Mariko i pilota. Jak to dobrze, że tak łatwo cię przejrzeć, Anjin-san, mimo pozorów ucywilizowania, pomyślał. Gdybym był hazardzistą, założyłbym się o to, że ta prośba o poradę nie jest twoim pomysłem.

–Hai! – usłyszał stanowczą odpowiedź Blackthorne'a.

–To dobrze – odparł krótko. – Skoro Anjin-san jest taki szczodry, to przyjmuję jego propozycję. Tysiąc koku. Przyda się innym samurajom będącym w potrzebie. Powiedz mu, że jego żołnierze będą na niego oczekiwać w Edo. Zobaczymy się jutro o świcie, Anjin-san.

–Tak. Dziękuję, Toranaga-sama.

–Mariko-san, natychmiast zasięgnij rady pani Kasigi. Ponieważ ty zaakceptowałaś ową sumę, to ona, pomimo nikczemności tej umowy, też ją, jak sądzę, zaaprobuje, chociaż z uwagi na nedorzecznie wygórowaną cenę, rozważenie sensu tej transakcji zajmie jej czas aż do jutra rana. Wyślij służącą do tej Gyoko z poleceniem, żeby stała się tu o zachodzie słońca. Może przyprowadzić tę dziewczynę. Kiku-san może nam przecież pośpiewać w trakcie rozmowy, ne?

Odprawił Mariko i Blackthorne'a, zadowolony, że zaoszczędził tysiąc pięćset koku. Niektórzy ludzie są tacy rozrzutni, pomyślał życzliwie.

–A czy zostanie mi dosyć na załogę? – spytał Blackthorne.

–O, tak, Anjin-san. Ale jeszcze nie wyraził zgody na twój rejs do Nagasaki – odparła Mariko. – Pięćset koku wystarczy aż nadto na roczne utrzymanie, a z drugiego pięćset będziesz miał sto osiemdziesiąt kobanów na wynajęcie marynarzy. To bardzo dużo pieniędzy.

Fujiko uniosła się zboląła na posłaniu i coś powiedziała do Mariko.

Twoja konkubina mówi, że nie powinieneś się martwić, Anjin-san. Da ci listy uwierzytelniające do pożyczkodawców, od których otrzymasz tyle, ile ci będzie potrzeba. Wszystko załatwi.

–Tak, ale czy nie muszę opłacić swoich żołnierzy? Z czego zapłacę za dom, Fujiko-san, za jego utrzymanie?

–Wybacz mi, proszę – odparła z oburzeniem Mariko – ale to przecież nie twoje zmartwienie. Twoja konkubina zapewniła, że o wszystko – zatroszczy się sama. Ona...

Fujiko przerwała jej i przez chwilę rozmawiały.

–Ah so desu, Fujiko-san! – Mariko zwróciła się ponownie do Blackthorne'a. – Mówi, że nie wolno ci tracić czasu na myślenie o tym. Uniżenie prosi cię, byś poświęcił swój czas na zajęcie się kłopotami pana Toranagi. W razie potrzeby ma własne fundusze, do których może sięgnąć.

Blackthorne zamrugał oczami.

–Pożycz mi własne pieniądze? – spytał.

–O, nie, Anjin-san, naturalnie da ci je, jeżeli zajdzie potrzeba. Nie zapominaj, że twoim zmartwieniem jest tylko przetrwać ten rok – wyjaśniła Mariko. – W następnym będziesz bogaty, Anjin-san. A jeśli chodzi o twoich żołnierzy, to każdy otrzyma za rok służby po dwa koku. Nie zapominaj, że Toranaga-sama podarował ci uzbrojenie i konie dla nich, a dwa koku wystarczy na utrzymanie ich rodzin i koni. Nie zapominaj, że dałeś panu Toranadze połowę swojego rocznego dochodu w zamian za to, że osobiście dobierze ci tych żołnierzy. To ogromny zaszczyt, Anjin-san.

–Tak myślisz?

–Och, na pewno. Fujiko-san w pełni się z tym zgadza. To był nadzwyczaj mądry pomysł.

–Dziękuję.

Blackthorne pozwolił sobie na okazanie umiarkowanego zadowolenia. Odzyskujesz rozum i zaczynasz myśleć tak jak oni, rzekł sobie w duchu, uszczęśliwiony. Tak, wciągnięcie do tej sprawy Toranagi to udane posunięcie. Teraz będziesz miał najlepszych żołnierzy, których nigdy sam byś nie zdobył. Cóż znaczy tysiąc koku w zestawieniu z Czarną Karawelą? Tak więc znów potwierdziły się słowa Mariko: ze jedną ze słabości Toranagi jest sknerstwo. Naturalnie, nie powiedziała tego wprost, tylko tyle, że w gromadzeniu niewiarygodnych bogactw Toranaga prześcignął wszystkich daimyō w cesarstwie. Ta wskazówka oraz jego własne spostrzeżenia, że szaty Toranagi są tak zwykłe jak jego jedzenie, a styl życia niewiele się różni od stylu życia przeciętnego samuraja, dały mu jeszcze jeden klucz do dobruania się do władcy Kantō.

Dziękuję Ci, Boże, za Mariko i za brata Domingo!

Fujiko właśnie coś mówiła. Obserwował ją. Bandaże miała nadal poplamione. Zbolała spoczywała na futonach, a służąca wachlowała ją-

–Do rana wszystko dla ciebie załatwi, Anjin-san – zapewniła Mariko. – Twoja konkubina proponuje, żebyś wziął w drogę dwa konie wierzchowe i jednego jucznego. Jednego służącego i służącą...

–Wystarczy służący.

–Bardzo przepraszam, ale służąca musi jechać, by ci usługiwać. A ponadto oczywiście kucharz i kuchcik.

–Czy tam nie będzie kuchni, z której my... ja będę korzystał?

–Będą. Ale i tak musisz mieć swoich kucharzy, Anjin-san. Jesteś hatamoto.

Wiedział, że nie ma sensu się z nią spierać.

–Wszystko pozostawiam tobie – rzekł.

–Och, to bardzo mądrze z twojej strony, Anjin-san, bardzo mądrze. A teraz wybacz, muszę iść i spakować się.

Mariko odeszła uszczęśliwiona. Nie rozmawiali z sobą wiele, a po łacinie tylko tyle, by mieć pewność, że choć tamta czarodziejska noc nie znalazła spełnienia i nigdy nie będą o niej mówić, tak jak i o pierwszej wspólnej nocy, to jednak nigdy jej nie zapomną.

–Moja ty.

–Mój ty.

–Kiedy usłyszałam, że tak długo stała przy tej bramie, byłam taka dumna. Twoja opinia ogromnie wzrosła, Anjin-san.

–Przez chwilę omal nie zapomniałem, co mi powiedziałaś. Mimowolnie byłem o włos od pocałowania jej publicznie.

–Oh ko, Anjin-san, to byłoby straszne!

–Oh ko, masz słuszość, pani! Gdyby nie ty, całkiem straciłbym twarz, niczym robak wijący się po ziemi.

–Lecz zamiast tego zdobyłeś sławę, a twoja męskość jest niewątpliwa. Czy użyłeś sobie z pomocą któregoś z tych dziwnych przyrządów?

–Och, piękna pani, w moim kraju mamy pradawny zwyczaj: mężczyzna nie rozprawia o intymnych zwyczajach jednej damy z drugą.

–My mamy ten sam zwyczaj. Ale ja pytałam, czy sobie użyłeś z pomocą któregoś, a nie czy któregoś używałeś. Tak, mamy ten sam zwyczaj, jak najbardziej. Rada jestem, że ten wieczór ci się spodobał. – Mariko uśmiechnęła się miło. – W Japonii mądrze jest postępować po japońsku, ne?

–Nie mam dość podziękowań za twoje nauki, za porady, za otworzenie mi oczu – rzekł. – Za to...

Chciał powiedzieć „za to, że mnie kochasz”, ale zamiast tego dodał „że jesteś”.

–Ja nic nie zrobiłam. Zawdzięczasz to sobie.

–Dziękuję ci, za wszystko... za twój dar.

–Cieszę się, że sprawił ci on taką przyjemność.

–Przykro mi, ale nie miałem żadnej przyjemności. Rad jestem, że i ty jedziesz do tego źródła. Ale dlaczego do Osaki?

–Och, nie mam rozkazu jechać do Osaki. Jadę do niej za pozwoleniem pana Toranagi. Mam tam pewne sprawy rodzinne i majątkowe, które wymagają dopatrzenia. A poza tym w Osace jest teraz mój syn. Ponadto mogę zawieźć poufne wieści dla Kiritsubo-san i pani Sazuko.

–A czy to nie jest niebezpieczne? Przypomnij sobie własne słowa: zbliża się wojna, a Ishido to wróg. Pan Toranaga mówi to samo, czyż nie?

–Tak. Ale jeszcze nie ma wojny, Anjin-san. A samuraje nie wojują z kobietami, chyba-że one wojują z nimi.

–Ale czy ty nie wojujesz, pani? A co z mostem w Osace, tym nad fosą? Czyż nie przeszłaś po nim wraz ze mną, żeby zmylić Ishido? Byłby mnie zabił. A pamiętasz swój miecz w czasie walki na galerze?

–Och, chodziło mi wyłącznie o uratowanie mojego pana i o ocalenie własnego zagrożonego życia. To mój obowiązek, Anjin-san, i tyle. Nic mi nie grozi. Byłam damą dworu pani Yodoko, wdowy po taikō, a nawet dworu pani Ochiby, matki następcy. Mam zaszczyt być ich przyjaciółką. Jestem zupełnie bezpieczna. Właśnie dlatego Toranaga-sama pozwala mi jechać. Ale dla ciebie Osaka nie jest bezpieczna z powodu ucieczki pana Toranagi i tego, co spotkało pana Ishido. Więc twoja noga stanąć tam nie może. Bezpieczny będziesz w Nagasaki.

–A więc zgodził się, żebym tam popłynął?

–Nie. Jeszcze nie. Ale kiedy się zgodzi, będziesz tam bezpieczny. Gn ma w Nagasaki władzę.

Chciał spytać, czy większą od jezuitów, ale zamiast tego powiedział:

–Modlę się o to, żeby pan Toranaga kazał ci popłynąć do Osaki. – Zobaczył, że Mariko lekko drży. – Co cię trapi?

–Nic, poza tym... poza tym, że nie lubię morza.

–A wyda taki rozkaz?

–Nie wiem. Ale... – Znów zmieniła się w figlarną trzpiotkę i przeszła na portugalski. –

Ale dla twojego dobrego zdrowia powinniśmy zabrać ze sobą Kiku-san, ne? Czy dziś wieczorem zajrzysz znowu do jej Cynobrowej Komnaty?

Zaśmiał się wraz z nią.

–Byłoby miło, ale... – Urwał, przypominając sobie nagle bardzo wyraźnie minę Omiego. – Wiesz, Mariko-san, kiedy stałem przy bramie herbaciarni, spostrzegłem, jestem tego pewien, że Omi patrzy na Kiku w bardzo szczególny sposób, jak kochanek. Zazdrosny kochanek. Nie wiedziałem, że oni są kochankami.

–O ile wiem, jest jednym z jej klientów, tak, klientem ulubionym. Ale co tobie do tego?

–Ponieważ patrzył na nią w sposób bardzo osobisty. Bardzo szczególny.

–On nie ma do niej wyjątkowych praw, Anjin-san. Kiku jest kurtyzaną pierwszej rangi. Może przyjmować lub odrzucać kogo chce.

–Gdybyśmy byli w Europie, a ja poduszkowałbym z jego dziewczyną... rozumiesz, Mariko-san?

–Chyba rozumiem, Anjin-san, ale co cię to obchodzi? Nie jesteś w Europie, on nie ma do niej żadnych oficjalnych praw. Jeżeli ona zechce przyjąć i jego, i ciebie, a nawet obu was Odrzucić, to co to ma wspólnego z czymkolwiek?

–Wyczuwam, że jest jej kochankiem, w naszym sensie tego słowa. A to ma z tym wspólnego wszystko, ne?

Podziękował jej i na tym zakończył rozmowę. Poszedł do swojego pokoju. Wyjął z ukrycia pistolet, sprawdził ładunek i wetknął broń pod kimono. A potem poszedł sam do domu Omiego. Omiego nie zastał. Przywitała go Midori i poczęstowała herbatą, ale grzecznie jej odmówił. Na rękach trzymała dwuletnie dziecko. Bardzo przeprosiła i zapewniła, że Omi niedługo wróci. Czy Blackthorne zechciałby poczekać? Mimo uprzejmości i ugrzecznienia była jakaś skrępowana. Odmówił jeszcze raz, podziękował jej, oznajmił, że przyjdzie później, i zszedł do swojego domu.

Wieśniacy już oczyścili teren, szykując się do odbudowy. Z ognia uratowano jedynie naczynia kuchenne i garnki. Fujiko nie zdradziła mu kosztów postawienia nowego domu. Oświadczyła, że są bardzo niskie, i żeby się tym nie przejmował.

–Karma, Anjin-sama – odezwał się któryś z chłopów.

–Tak.

–Co począć? Nie martw się, twój dom wkrótce będzie gotowy... lepszy niż

poprzedni.

Blackthorne zauważył Omiego, który, napięty i srogi, wspinał się na wzgórze. Wyszedł mu na spotkanie. Na jego widok gniew Omiego nieco opadł.

–O, Anjin-san – powiedział serdecznie. – Słyszałem, że ty również wyjeżdżasz o świcie z panem Toranagą. Bardzo dobrze, pojedziemy razem.

Pomimo jego jawnie przyjacielskiego zachowania Blackthorne miał się mocno na baczności.

–Posłuchaj, Omi-san, teraz idę tam. – Wskazał na płaskowyż. – Idź, proszę, ze mną, tak?

Omi spostrzegł, że Blackthorne w charakterystyczny sposób trzyma dłoń na rękojeści długiego miecza. Potem zaś bystrymi oczami wypatrzył wzgórek pod jego pasem i na podstawie zarysu kształtów natychmiast poznał, że jest to ukryty pistolet.

–Mężczyzna, któremu pozwala się na noszenie mieczy, powinien umieć robić z nich użytek,” a nie tylko z nimi paradować, ne? – spytał cicho.

–Proszę? Nie rozumiem.

Omi powtórzył to prostszymi słowami.

–Ach, rozumiem. Tak. Tak lepiej.

–Tak. Pan Yabu twierdzi, że ponieważ zostałeś prawdziwym samurajem, powinieneś wyuczyć się wielu rzeczy, które dla nas są naturalne. Na przykład, jak asystować komuś przy seppuku, a nawet jak przygotować się do tego samemu, do czego wszyscy jesteśmy ‘zobowiązani. Tak, Anjin-san, powinieneś nauczyć się władać mieczem. Samuraj musi bezwzględnie umieć posługiwać się swoim mieczem i go czcić, ne?

Blackthorne nie rozumiał nawet połowy słów. Ale wiedział, o czym mówi Omi. A przynajmniej wiem to z grubsza, poprawił się zaniepokojony.

–Tak. Prawda. Ważne – odparł. – Proszę, kiedyś ty uczy... przepraszam, ty może uczysz? Słucham? To zaszczyt dla mnie.

–Tak... Chciałbym cię uczyć, Anjin-san.

Blackthorne’owi zjeżyły się włosy na karku, bo w głosie Omiego dosłyszał zamierzoną groźbę.-Pilnuj się, przypomniał sobie. Nie fantazuj.

–Dziękuję ci. Teraz pójść tam, proszę. Mało czasu. Ty iść? Z mną? Tak?

–Dobrze, Anjin-san. Ale pojedziemy. Zaraz cię dogonię.

Omi wspiął się na górę i – wszedł na własne podwórko.

Blackthorne nakazał służącemu osiodłać konia i dosiadł go niezgrabnie z prawej strony, jak to było we zwyczaju w Japonii i w Chinach, Nie myśl, że ci coś pomoże to, że pozwolisz mu uczyć cię szermierki, rzekł do siebie, prawą ręką poprawiając ukryty pistolet, którego przyjemne ciepło dodawało mu odwagi. Pewność siebie opuściła go jednak, kiedy nadjechał Omi. Towarzyszyło mu czterech samurajów.

Razem pogalopowali popękaną drogą w stronę płaskowyżu. Minęli wiele kompanii samurajów, którzy w pełnym rynsztunku i uzbrojeniu, wśród trzepotu chorągwi na włóczniach maszerowali pod dowództwem oficerów. Kiedy wjechali na górę, ujrzeli cały pułk muszkietów rozciągnięty w szyku przy obozie i gotów do wymarszu. Żołnierze stali obok opancerzonych koni, na samym końcu kolumna z bagażami, a na czele Yabu, Naga i ich oficerowie. Zaczęło mocno padać.

–Wszystkie oddziały jadą? – ” spytał wzburzony Blackthorne i ściągnął koniowi cugle.

–Tak.

–Jadą do zdroj z Toranaga-sama, Omi-san?

–Nie wiem.

Samozachowawczy instynkt podpowiedział Blackthorne’owi, żeby o nic więcej nie pytać. Ale jedno pytanie domagało się odpowiedzi.

–A Buntaro-sama? – spytał Obojętnym tonem. – On jutro z nami, Omi-san?

–Nie. Już wyjechał. Dziś rano, kiedy wychodziłeś z herbaciarni, był na placu. Nie widziałeś go niedaleko herbaciarni? – odrzekł Omi.

Blackthorne nie dostrzegł niczego niezwykłego w jego minie.

–Nie, nie widziałem, przykro mi. On jechał też do zdroj?

–Tak przypuszczam. Nie jestem pewien. – Z zawiązanego pod brodą, stożkowatego kapelusza Omiego skapywał deszcz. Oczy Japończyka były prawie niewidoczne. – No więc, dlaczego chciałeś, żebym tu z tobą przyjechał?

–Jak mówię, pokazać miejsce.

Zanim Omi mógł cokolwiek powiedzieć, Blackthorne uderzył konia ostrogami i ruszył. Dzięki wyrobionemu na morzu instynktowi żeglarskiemu odtworzył z pamięci

położenie rozpadliny. Podjechał. prędko w odpowiednie miejsce. Zeskoczył z konia i przywołał Omiego gestem.

–Proszę.

–O co chodzi, ha? – spytał z irytacją Omi.

–Proszę, tutaj, Omi-san. Ty sam.

Omi dał znak swoim strażnikom, żeby odjechali, i ruszył galopem, nagle wyrastając nad Blackthorne'em...

–Nan desu ka? – powtórzył, niedwuznacznie zaciskając dłoń na mieczu.

–To miejsce Toranaga-sama. – Ponieważ Blackthorne'owi nie chciały przyjść do głowy odpowiednie słowa, wyjaśnił, o co chodzi, częściowo z pomocą rąk.

–Rozumie?

–Tutaj wyrwał go ziemi, ne? Więc?

Blackthorne spojrzał na Omiego, z rozmysłem spuścił wzrok na jego miecz i bez słowa spojrzał na niego powtórnie. Otarł z twarzy deszcz.

–Nan desu ka? – Omi był już bardzo zirytowany.

Blackthorne nie odpowiedział. Omi spojrzał w rozpadlinę i znowu na Blackthorne'a. I nagle oczy mu rozbłysły.

–Ah so desu! Wakarimasu! – Po chwili zastanowienia przywołał jednego ze strażników. – Sprowadź tu natychmiast Murę – polecił. – Z dwudziestoma ludźmi i łopatami!

Samuraj odjechał galopem. Omi odesłał pozostałych do wsi, zsiadł z konia i stanął przy Blackthornie.

–Tak, Anjin-san, to doskonała myśl – pochwalił. – Dobry pomysł.

–Pomysł? Jaki pomysł? – spytał niewinnie Blackthorne. – Ja tylko pokazał miejsce... myślał, ty chce widzieć miejsce, ne? Bardzo przepraszam, nie rozumiem.

–Toranaga-sama stracił tutaj swoje miecze – rzekł Omi. – Miecze ogromnie cenne. Będzie szczęśliwy, jeżeli je odzyska. Bardzo szczęśliwy, ne?

–Ah so! Nie mój pomysł, Omi-san – rzekł Blackthorne. – Pomysł Omiego-sana.

–Oczywiście. Dziękuję ci, Anjin-san. Jesteś dobrym przyjacielem i szybko myślisz. Sam powinienem na to wpaść. Tak, jesteś dobrym przyjacielem, nam wszystkim potrzeba przyjaciół na kilka najbliższych miesięcy. Mamy wojnę, chcemy jej czy nie chcemy-

–Proszę? Bardzo mi przykro. Nie rozumiem, mówił za szybko. Wybacz, proszę.

–Cieszę się, że jesteśmy przyjaciółmi, ty i ja. Rozumiesz?

–Hai. Powiedziałeś: wojna? Wojna już?

–Niedługo. Co poradzić? Nic. Nie martw się. Toranaga-sama pobije Ishido i zdrajców. Naprawdę, rozumiesz? Nie ma obaw, ne?

–Rozumiem. Pójdę już, do mojego domu. Dobrze? – Tak. Do zobaczenia o świcie. Jeszcze raz ci dziękuję. Blackthorne skinął głową. Ale nie odjechał.

–Jest piękna, ne?

–Słucham?

–Kiku-san... Blackthorne stał na lekko rozstawionych nogach, gotów w każdej chwili odskoczyć, wydobyć pistolet, wycelować go i strzelić. Bardzo wyraźnie pamiętał, z jaką niewiarygodną prędkością i jak łatwo Omi dawno temu odrąbał głowę tamtemu pierwszemu wieśniakowi, tak więc był na to przygotowany najlepiej, jak potrafił. Rozumował, że tylko wtedy, gdy nie będzie zwlekał z poruszeniem sprawy Kiku, zapewni sobie bezpieczeństwo. Omi nigdy by czegoś takiego nie zrobił. Podobnie naganne zachowanie było dla niego nie do pomyślenia. Pełen wstydu z powodu własnej słabości, schowałby tę swoją bardzo niejapońską zazdrość w najdalszym zakamarku świadomości. A ponieważ zazdrość ta była tak bardzo obca i wstydliva, wzbierałaby w nim niczym wrzód dopóty, aż w najmniej oczekiwanej chwili Omi wyładowałby swój ślepy, okrutny gniew.

–Kiku-san? – spytał Omi.

–Hai. – Blackthorne zauważył, że wytrącił Omiego z równowagi. Ale mimo to był rad, że wybrał akurat ten moment i to miejsce. – Jest piękna, ne?

–Piękna?

–Hai.

Deszcz zgęstniał. Ciężkie krople rozpryskiwały błoto. Ich konie drżały nieprzyjemnie. Obaj byli przemoczeni, ale ulewa była ciepła i ściekała po nich.

–Tak. Kiku-san jest bardzo piękna – przyznał Omi i wyrzucił z siebie potok słów, których Blackthorne nie zrozumiał.

–Teraz za mało słów, Omi-san... za mało, żeby mówić jasno – rzekł Blackthorne. – Później tak. Nie teraz. Rozumiesz?

Omi sprawiał wrażenie, jakby tego nie słyszał.

–Mnóstwo czasu, Anjin-san – powiedział – mnóstwo czasu, żeby o niej porozmawiać. I o tobie, i o mnie, i o karmie. Ale zgadzam się, że teraz nie czas na to, ne?

–Myślę: rozumiem. Tak. Wczoraj nie wiedział, Omi-san i Kiku-san dobre przyjaciele – dodał Blackthorne, nacierając dalej.

–Ona nie jest moją własnością...

–Teraz wiem, ty i ona przyjaciele. Teraz...

–Teraz odejdz. Temat jest zamknięty. Ta kobieta nic nie znaczy. Nic.

Blackthorne uparcie stał w miejscu.

–Następnym razem ja...

–Skończyliśmy rozmowę! Nie słyszałeś?! Skończyliśmy!

–Iye! Iye, na miły Bóg!

Ręka Omiego powędrowała do miecza. Blackthorne odskoczył o dwa kroki, nie zdając sobie z tego sprawy. Ale nie wyciągnął pistoletu, a Omi nie wy dobył miecza. Obaj byli gotowi, lecz żaden nie chciał zacząć.

–Co chcesz powiedzieć, Anjin-san?

–Następnym razem najpierw spytam... o Kiku-san. Jeżeli Omi-san powie tak, to tak. Jeżeli nie, to nie. Rozumiesz? Dla przyjaciółki przyjaciel, ne?

Omi rozluźnił dłoń zaciśniętą na mieczu.

–Powtarzam: ona nie jest moją własnością. Dziękuję że pokazałeś, mi to miejsce, Anjin-san. Do widzenia.

–Przyjaciel?

–Oczywiście.

Omi podszedł do konia Blackthorne'a i przytrzymał uzdę. Blackthorne wskoczył na siodło.

Spojrzał na Omiego. Był przekonany, że gdyby wiedział, iż ujdzie mu to na sucho, to strzeliłby w tej chwili temu samurajowi w łeb. Tak byłoby najbezpieczniej.

–Do widzenia, Omi-san. I dziękuję.

–Do widzenia, Anjin-san.

Obserwujący odjeżdżającego Blackthorne'a Omi odwrócił się dopiero wówczas, gdy tamten zniknął za wzniesieniem. Dokładnie oznaczył miejsce w rozpadlinie kamieniami, a potem, nie zważając na potop z nieba, z głową pełną rozmaitych myśli przysiadł na piętach i czekał.

Wkrótce zjawili się Mura i wieśniacy obryzgni błotem.

–Dokładnie tutaj pan Toranaga wpadł w szczelinę, Mura – wyjaśnił. – Leżą tu przywalone jego miecze. Przed zachodem słońca przynieście mi je.

–Tak, Omi-sama.

–Gdybyście mieli rozum w głowie, gdybyście myśleli o mnie, waszym lennym panu, to już byście to zrobili.

–Przepraszam, wybacz nam naszą głupotę.

Omi odjechał. Patrzyli za, nim krótką chwilę, a potem rozsypali się kuliście wokół ułożonych przez niego kamieni i zaczęli kopać.

Do Yokose przybyli w południe. Buntaro napotkał zeszłego wieczora Zatakiego i zgodnie z poleceniem Toranagi powitał go z wszelkimi ceremoniami.

–Poprosiłem, żeby stanął obozem poza granicami wioski, na północy, wielmożny panie, do czasu, aż przygotujemy miejsce waszego spotkania – Oznajmił Toranadze.
– Jeżeli ci odpowiada, to oficjalne spotkanie odbędzie się tutaj dziś po południu – dodał bez humoru. – Uznałem, że korzystna będzie godzina Kozła.

–Dobrze.

–Chciał się z tobą spotkać dziś wieczorem, ale odrzuciłem to żądanie. Powiedziałem, że będziesz „zaszczycony” spotykając się z nim dziś albo jutro, ale nie po zmroku. Mam swoich ludzi tam, tam i tam – ciągnął Buntaro, pokazując łukiem na wszystkie wzniesienia. – Jest stamtąd widok w promieniu wielu ri we wszystkich kierunkach, wielmożny panie. To dobre punkty obrony, most i całą wioskę mamy pod kontrolą. Jeszcze inni żołnierze zabezpieczają twój odwrót na wschód. Oczywiście most jest dokładnie strzeżony przez strażników, a w obozie Zatakiego pozostawiłem naszą „straż honorową” w sile stu ludzi.

–Pan Zataki tam teraz jest?

–Nie, wielmożny panie. Dla niego i jego oficerów wybrałem godny jego pozycji zajazd przy północnych opłotkach wsi i zaprosiłem go, żeby wziął tam kąpiel. Zajazd ten jest odcięty i zabezpieczony. Powiadomiłem go, że jutro udajesz się do źródła Shuzenji i że będzie twoim gościem. A to twój zajazd, wielmożny panie. – Buntaro wskazał na schludny, parterowy zajazd na skraju polany, skąd roztaczał się najpiękniejszy widok. Budynek stał w pobliżu gorącego strumienia, który pieniąc się wypływał ze skały i wpadał do naturalnej łaźni. Przed zajazdem klęczała grupa ludzi z bardzo nisko pochylonymi głowami, którzy zamarli w ukłonie. – To naczelnik i starszyzna wioski. Nie wiedziałem, czy będziesz chciał ich zobaczyć od razu.

–Później. – Utrudzony koń Toranagi zarżał i zaczął targać głową, pobrzękując uzdą. Jego pan Uspokoił go i zadowolony w pełni z przedsięwziętych środków bezpieczeństwa dał swoim ludziom znak i zsiadł. – Dobrze. Tak, bardzo dobrze – wyraził głośno pochwałę wśród odgłosów żołnierzy, którzy zsiadali z koni, rozmawiali i dzielili się na grupy. – Dobrze się spisałeś.

–Jeżeli zechcesz wyświadczyć mi zaszczyt, wielmożny panie, to pokornie cię proszę, żebyś pozwolił mi natychmiast zabić pana Zatakiego i jego ludzi.

–Obraził cię?

–Nie, przeciwnie, zachowywali się wobec mnie bardzo dwornie, ale chorągiew, pod którą podróżuje, jest zdradziecka.

–Cierpliwości. Jak często muszę ci to powtarzać? – upomniał wyrozumiale Toranaga.

–Obawiam się, że stale, wielmożny panie – odparł szorstko Buntaro. – Proszę o wybaczenie.

–Kiedyś był twoim przyjacielem.

–Kiedyś był twoim sojusznikiem.

–Uratował ci życie pod Odawarą.

–Pod Odawarą byliśmy po tej samej stronie – rzekł Buntaro i wybuchnął: – Jakże on może ci to robić, wielmożny panie? Twój własny brat! Czyż nie darzyłeś go względami, czy nie walczyliście po tej samej stronie... przez całe życie?

–Ludzie się zmieniają. – Toranaga skupił uwagę na podium. Z krokwi nad podniesieniem zwieszały się delikatne jedwabne zasłony. Ozdobne brokatowe kutasy, harmonizujące z poduszkami, tworzyły przyjemne szlaczki, a cztery większe zdobiły narożne słupy. – Ten wystrój jest o wiele za bogaty, nasze spotkanie nie ma aż takiej rangi powiedział. – Urządźcie to skromniej. Usuńcie te zasłony, te wisiory i poduszki, oddajcie je kupcom, a jeżeli nie zwrócą kwatremistrzowi pieniędzy, to każ mu je sprzedać. Weź cztery poduszki, nie, dwie... zwykłe, wypchane sieczką.

–Tak, wielmożny panie.

Oczy Toranagi spoczęły na źródle, podszedł do niego. Ze szczeliny w skale wypływała z sykiem parująca, siarkowa woda. Jego ciało domagało się kąpieli.

–A co z tym chrześcijaninem? – spytał. – Słucham, wielmożny panie?

–Co z Tsukku-sanem, chrześcijańskim kapłanem.

–A, z nim? Jest gdzieś w wiosce, ale po drugiej stronie mostu. Nie wolno mu przejść na tę bez twojego pozwolenia. A dlaczego pytasz, wielmożny panie? Czy to ważne? Mówił, że będzie bardzo zaszczycony, jeżeli raczysz przyjąć go w dogodnej chwili. Chcesz go widzieć natychmiast?

–Przyjechał sam?

–Nie. Z dwudziestoma akolitami, z tonsurami takimi jak u niego, wszyscy z Kiusiu, wielmożny panie, sami dobrze urodzeni i z rodzin samurajskich. Wszyscy na dobrych

koniach, ale bez broni. Przeszukałem ich. Dokładnie.

–A jego?

–Jego oczywiście, jeszcze dokładniej niż ich. Mieli z sobą cztery gołębie pocztowe. Skonfiskowałem je.

–To dobrze. Zlikwiduj je. Przez pomyłkę zrobił to jakiś głupiec, powiesz, bardzo nam przykro, ne?

–Rozumiem. Mam po niego posłać?

–Później. Zobaczę się z nim później. Buntaro zmarszczył czoło.

–Czy źle zrobiłem, że go obszukałem?

Toranaga potrząsnął głową i, zagubiony w myślach, obejrzał się na górę.

–Wyślij paru zaufanych ludzi, żeby mieli oko na pułk muszkietów – poleciał.

–Już to zrobiłem, wielmożny panie. – Na twarzy Buntaro pojawił się wyraz ponurej satysfakcji. – A wśród przybocznej straży pana Yabu mamy swoje oczy i uszy. Jeżeli sobie życzysz, to nawet baka nie zdoła puścić tak, żebyś ty o tym nie wiedział.

–To dobrze.

Zza odległego zakrętu wijącej się górskiej drogi wyłoniło się czoło kolumny bagażowej. Toranaga zobaczył trzy palankiny, jadącego konno, zgodnie z jego rozkazem, Omiego, a obok niego Anjin-sana, swobodnie siedzącego w siodle.

Odwrócił się od nich.

–Przywiozłem z sobą twoją żonę – zwrócił się do Buntaro.

–Tak, wielmożny panie.

–Prosi, żebym jej pozwolił pojechać do Osaki.

Buntaro wpatrzył się w niego, ale nic nie powiedział. A potem zerknął za siebie na ledwo rozróżnialne postacie.

–Udzielę jej swojej zgody... naturalnie pod warunkiem, że ty również jej udzielisz – rzekł Toranaga.

O godzinie Kozła strażnicy przy moście rozstąpili się. Przez most ruszył orszak. Najpierw heroldowie z chorągwiami przyozdobionymi godłem wszechwładnych

regentów, potem bogato zdobiony palankin, a wreszcie kolejni strażnicy.

Saigawa Zataki...władca Shinano, był wyższy od Toranagi, pięć lat młodszy od niego, ale równie szeroki w ramionach i z takim samym wydatnym nosem. Brzuch miał płaski, brodę czarną i gęstą, a oczy jak szparki. Kiedy bracia przebywali osobno, uważano, że są niezwykle podobni, ale kiedy byli razem, bardzo się od siebie różnili. Kimono Zatakiego było zbyt krowne, zbroja paradna i błyszcząca, a miecze często używane.

–Witaj, bracie – powiedział Toranaga, schodząc z podestu i składając ukłon. Był ubrany w najprostsze kimono i żołnierskie słomiane sandały. Miał też miecze.

Zataki wysiadł z palankinu i odklonił się, rozpoczynając drobiazgowy, pedantyczny, nie kończący się ceremoniał, który obowiązywał ich obu.

–Zechciej zająć tę poduszkę, panie Zataki – rzekł Toranaga.

–Wybacz, ale sprawisz mi zaszczyt, jeżeli zechcesz usiąść pierwszy, panie Toranaga.

–Jesteś taki uprzejmy. Ale proszę, wyświadczyć mi zaszczyt i pierwszy zajmij miejsce...

Wreszcie usiedli naprzeciwko siebie na poduszkach w odległości dwóch mieczy. Na lewo za plecami Toranagi zajął miejsce Buntaro. Na lewo, z tyłu za Zatakim starszy siwowłosy samuraj, jego główny doradca. W odległości dwudziestu kroków od podestu i od siebie siedzieli samuraje obu braci.

Po ceremonialnym podaniu im przez Mariko herbaty przystąpili do niewinnej, zdawkowej rozmowy. Kiedy upłynął stosowny czas, Mariko ukłoniła się im i odeszła. A wtedy Zataki – za szybko – oznajmił szorstkim tonem:

–Przywożę rozkazy od Rady Regencyjnej.

Na placu zapanowała nagle cisza. Wszystkich, nawet samurajów Zatakiego, przeraził taki brak dobrych manier, zuchwałość, z jaką mówił, o „rozkazach”, a nie „wiadomościach”, i to, że nie zaczekał, aż Toranaga spyta go: „Czym mogę służyć?”, jak wymagała tego etykieta.

Naga na krótko oderwał wzrok od ręki Zatakiego, tej, którą tamten walczył mieczem, i zerknął na ojca. Zobaczył jego poczerwieniały kark, co było niechybnym znakiem nadchodzącego wybuchu. Ale twarz Toranagi była spokojna i Naga zdumiał się, gdy usłyszał jego opanowaną odpowiedź:

–Przepraszam, a więc wieziesz rozkazy? A od kogo, bracie? Jestem pewien-, że

przywozisz wiadomości.

Zataki wyszarpnął z rękawa dwa małe zwoje papieru. Na ten nagły ruch Buntaro o mało co nie chwycił za czekający w pogotowiu miecz, ponieważ rytuał wymagał, żeby wszystkie ruchy były powolne i rozważne. Toranaga nie poruszył się.

Zataki złamał pieczęć na pierwszym zwoju i zaczął czytać donośnym, mrozącym krew w żyłach głosem:

–Z rozkazu Rady Regencyjnej, w imieniu cesarza Go-Niji, Syna Niebios, pozdrawiamy naszego znakomitego poddanego Yoshiego Toranagę-no-Minowara i zapraszamy go do bezzwłocznego złożenia nam osobiście hołdu i poinformowania naszego znakomitego wysłannika, regenta, pana Saigawę Zatakiego, czy przyjmuje nasze zaprosiny, czy też odmawia ich przyjęcia.

Zataki podniósł wzrok i równie donośnym głosem obwieścił:

–List ten podpisali wszyscy regenci i jest on opieczętowany Wielką Pieczęcią Cesarstwa Japonii.

Wyniośle położył zwój przed sobą. Na znak Toranagi Buntaro wystąpił naprzód, uklonił się Zatakemu, podniósł zwój, obrócił się w stronę Toranagi i ponownie uklonił. Toranaga wziął zwój i gestem odesłał Buntaro na miejsce. Studiował dokument bez końca.

–Wszystkie podpisy są autentyczne – zapewnił Zataki. – Przyjmujesz zaprosiny czy odmawiasz?

Ściszym głosem, tak że słyszeli go tylko siedzący na podeście, a ponadto Omi i Naga, Toranaga spytał:

–Znasz może powód, dlaczego nie miałbym ci zdjąć głowy z karku za twój brak manier?

–Dlatego że jestem synem mojej matki – odparł Zataki.

–Jeżeli będziesz dalej tak się zachowywał, to cię nie uchroni.

–W takim razie umrze przedwcześnie.

‘-Co takiego?

–Nasza pani matka przebywa w Takato. – Leżące na śródlądziu Takato było niezdobytą twierdzą i stolicą Shinano, prowincji Zatakiego. – Przykro mi, że jej ciało pozostanie tam na zawsze.

-Tylko straszysz. Szanujesz ją równie mocno jak ja.

-Na jej śmiertelnego ducha, bracie, równie mocno jak ją szanuję, jeszcze bardziej nienawidzę tego, co robisz cesarstwu...

-Nie dążę do zdobycia więcej ziem i więcej...

-Dążysz do obalenia dziedzictwa – warknął Zataki.

-I znowu się mylisz, bo zawsze będę strzegł mego siostrzeńca przed zdrajcami.

-A ja myślę, że dążysz do upadku następcy, i właśnie dlatego postanowiłem żyć, szczelnie zamknąć Shinano i północny szlak. Bez względu na cenę wystąpiłem przeciwko tobie i bez względu na cenę będę to robił dopóty, dopóki Kantō nie znajdzie się w rękach sprzymierzeńców.

-W twoich, bracie? – spytał Toranaga.

-W każdym, które gwarantują bezpieczeństwo, co wyklucza twoje. Bracie!

-Ufasz Ishido?

-Nie ufam nikomu, tego mnie nauczyłeś. Ishido to Ishido, ale jego wierność jest bezsporna. Nawet ty musisz to przyznać.

-Przyznaję, że Ishido próbuje mnie zniszczyć i podzielić cesarstwo, że przywłaszczył sobie władzę i łamie testament taikō.

-Ale spiskowałeś z panem Sugiyamą, żeby rozbić Radę Regencyjną. Ne?

Żył na czole Zatakiego pulsowała jak czarny robak.

-Co na to powiesz? Jeden z jego doradców przyznał się do zdrady. Spiskowałeś z panem Sugiyamą, żeby zgodził się na przyjęcie do Rady na twoje miejsce pana Ito, a w dzień przed spotkaniem regentów zrezygnował z udziału w Radzie i uciekł nocą, tym samym sprowadzając na cesarstwo zamęt. Słyszałem to zeznanie... bracie!

-Byłeś jednym z jego zabójców?

Zataki pokraśniał na twarzy.

-Nie ja zabiłem Sugiyamę ani nikt z ludzi Ishido, tylko zbyt gorliwy ronin!

-To dziwne, że tak prędko zgodziłeś się zostać regentem, ne?

-Nie. Mój ród jest równie starożytny jak twój. Ale to nie ja nakazałem zabicie

Sugiyamy ani nie zrobił tego Ishido, który przysiągł na swój honor samuraja. Ja również; Sugiyamę zabił ronin, ale zasługiwał on na śmierć.

–Na torturach, niehonorowo, w jakiejś parszywej piwnicy, masakrując na jego oczach jego dzieci i konkubiny?!

–To podle oszczerstwo rozpowszechniane przez nikczemnych malkontentów, być może twoich szpiegów, których celem jest zniesławienie pana Ishido, a pośrednio pani Ochiby i następcy. Nie ma na to żadnych dowodów.

–No, to przyjrzyj się ich zwłokom.

–Nie ma żadnych zwłok. Ronin zabójca podpalił tamten dom.

–Co za pomyslna okoliczność, ne? Jak możesz być aż taki łatwowierny? Przecież nie jesteś ciemnym chłopem!

–Odmawiam siedzenia tutaj i wysłuchiwanie bredni. Daj mi odpowiedź już, w tej chwili. A potem albo weź moją głowę, a wówczas matka zginie, albo pozwól mi odjechać. – Zataki pochylił się w stronę brata. – W kilka chwil po tym, jak moja głowa spadnie z karku, dziesięć pocztowych gołębi wyleci na północ do Takato. Na północy, wschodzie i zachodzie, o dzień marszu stąd, poza waszym zasięgiem mam zaufanych ludzi. Gdyby jednak zawiedli, to mam więcej takich, którzy czekają bezpiecznie na twoich granicach. Jeżeli zetniesz mi głowę, zabijesz albo z obojętnie jakiego powodu zginę w Izu, to ona również umrze. Tak więc albo skróć mnie o głowę, albo pozwól dokończyć przekazywania zwojów i natychmiast opuścić Izu. Wybieraj.

–Pana Sugiyamę zamordował Ishido. Z czasem dostarczę ci dowodu. To ważne, ne? Potrzebuję tylko trochę...

–Ty już nie masz czasu! W tym liście padło słowo „natychmiast”. Naturalnie, możesz odmówić posłuszeństwa, a wtedy koniec z tobą. Proszę. – Zataki położył na tatami drugi zwój. – Oto oficjalne oskarżenie cię o zdradę i” rozkaz popełnienia seppuku, który również zlekceważysz, oby Budda ci to wybaczył! A więc postanowione. Natychmiast wyjeżdżam, następnym razem spotkamy się na polu bitwy, a przyrzekłem sobie, że, na pana Buddę, tegoż dnia przed zachodem słońca ujrzę twoją głowę na gwoździu.

Toranaga ani na chwilę nie spuszczał wzroku z adwersarza.

–Pan Sugiyama był przyjacielem moim i twoim. Był naszym towarzyszem, samurajem o niedościgłym honorze. Prawda o jego śmierci powinna coś dla ciebie znaczyć.

–Twoja śmierć znaczy dla mnie więcej, bracie.

–Ishido wyssał cię, jak wygłodniałe niemowlę pierś matki. Jakże mogę ci udowodnić, że nie staram się obalić następcy? – spytał Toranaga brata.

–Natychmiast zrzeknij się wszystkich twoich tytułów i władzy na rzecz swojego syna i dziedzica, pana Sudary, i popełnij dziś seppuku. A wtedy ja i wszyscy moi ludzie jak jeden mąż poprzemy Sudarę jako władcę Kantō.

–Rozważę, coś mi powiedział.

–Co?

–Rozważę, coś mi powiedział – powtórzył bardziej zdecydowanie Toranaga. – Jeżeli ci odpowiada, to spotkamy się tu jutro o tej samej porze.

Zataki Wykrzywił twarz.

–Czy to jeszcze jedna z twoich sztuczek? Po co mamy się jeszcze spotykać?

–W sprawie tego, co mi powiedziałaś, w tej sprawie. – Toranaga podniósł wyżej zwój, który trzymał w dłoni. – Jutro dam ci odpowiedź.

–Buntaro-san! – Zataki wskazał drugi zwój. – Zechciej podać go swojemu panu.

–Nie! – odbił się echem po polanie głos Toranagi, który po chwili bardzo ceremonialnie dodał głośno: – Mam zaszczyt oficjalnie przyjąć list od Rady, na który jutro o tej samej porze dam odpowiedź jej znakomitemu wysłannikowi, mojemu bratu, władcy Shinano.

Zataki przyjrzał mu się podejrzliwie. Wziął drugi zwój i wsunął go do rękawa.

–Dobrze. Zgadza się, panie Toranaga – rzekł po namyśle. – Powiedz mi tylko jeszcze na koniec, gdzie jest pan Kasigi Yabu. Dla niego również mam zwój. W jego przypadku tylko jeden.

–Prześlę mu go.

Sokolica złożyła skrzydła i z wysokości tysiąca stóp rzuciła się w dół z wieczornego nieba, uderzyła, wzbijając kurzawę piór z lecącego gołębia, wbiła w niego szpony i poniosła na wschód. Wciąż spadając jak kamień, kilka stóp ponad ziemią wypuściła martwą już ofiarę, gwałtownie wyhamowała i usiadła na niej idealnie. Ik-ik-ik-iiik! – krzyknęła, z dumą trzepocząc piórami na szyi i w ekstazie rozrywając szponami głowę zdobycznego ptaka.

Po chwili galopem nadjechali Toranaga z synem. Daimyō zsunął się z konia i

łagodnie przywołał ptaka na dłoń. Sokolica posłusznie usiadła mu na rękawicy. W nagrodę dostała natychmiast kęs z poprzednio upolowanej zdobyczy. Toranaga nasunął jej na głowę kaptur i zębami ściągnął tasiemki. Naga podniósł gołębia i włożył go do wypełnionej w połowie torby myśliwskiej przy ojcowskim siodle, a potem odwrócił się i przyzwał z daleka gestem naganiaczy i strażników.

Toranaga na powrót wskoczył na siodło, trzymając sokolicę, która wygodnie siedziała mu na rękawicy, przytroczona do niej cienkimi rzemykami. Zadarł głowę w niebo, żeby zbadać, ile jeszcze zostało dnia.

Późnym popołudniem zza chmur wyrzało słońce. W dolinie panował przyjemny chłód, bo dzień szybko się kończył, a słońce już dawno zaszło za górę na zachodzie. Na północy, odepchnięte tam przez silny wiatr, nad górskimi szczytami, wiele z nich skrywając, wisiały chmury. Na tej wysokości, w kotlinie otoczonej zewsząd zboczami, powietrze było czyste i świeże.

–Jutro powinniśmy mieć pogodę, Naga-san. Sądzę, że bezchmurną. O świcie chyba zapoluję.

–Tak, ojcze. – Naga, zmieszany, patrzył na ojca, jak zwykle bojąc się go pytać, chociaż bardzo chciał wiedzieć wszystko. Nie pojmował, jak Toranaga może być taki spokojny po tym uwłaczającym mu spotkaniu.

Nagle spostrzegł, że z lasu przed nimi wylaniają się jeźdźcy i jadą galopem w ich stronę przez faliste podnóża gór. Za ciemną zielenią lasów widać się czarna wstęga rzeki. Światła zajazdów błyszczały jak świetliki.

–Ojcze! – powiedział Naga.

–Co?! A, tak. Już ich widzę. Kto to?

–Yabu-san, Omi-san i... ośmiu strażników.

–Masz lepsze oczy ode mnie. A, tak, już ich poznaję.

–Nie pozwoliłbym panu Yabu na spotkanie z panem Zatakim bez... – wypalił bez namysłu Naga i urwał, zająknąwszy się. – Wybacz, proszę...

–Dlaczego nie wysłałbyś tam” pana Yabu samego?

Naga przeklął się za to, że otworzył usta, i zadrżał pod spojrzeniem ojca.

–Wybacz mi, proszę, ale dlatego, że wtedy nie dowiedziałbym się, jaką potajemną umowę zawarli. On byłby do tego zdolny, ojcze, z łatwością, Przepraszam, ale nie dałbym im się spotkać. Nie ufam mu.

–Gdyby Yabu-san i Zataki knuli za moimi plecami zdradę, to zdradziliby mnie bez względu na to, czy posłałbym tam swojego świadka. Czasem mądrzej jest dać zwierzyne dłuższy sznurek... tak przecież łowi się ryby, ne?

–Tak, bardzo przepraszam...

Toranaga zdał sobie sprawę, że syn tego nie rozumiał i że nigdy nie zrozumie, że na zawsze pozostanie zwyczajnym jastrzębiem, którego wypuszcza się na wroga, szybkim, byстрыm i śmiertelnie niebezpiecznym.

–Cieszę się, że to rozumiesz, synu – powiedział, żeby mu dodać otuchy, bo znał jego zalety i doceniał je. – Jesteś dobrym synem – dodał całkiem serio.

–Dziękuję, ojczy – odparł Naga, bardzo dumny z powodu tej rzadkiej pochwały. – Mam tylko nadzieję, że wybaczysz mi moje głupstwa i nauczysz, jak ci służyć lepiej.

–Ty nie jesteś głupi. – „Głupi jest Yabu”, o mało co nie dodał Toranaga, – Im mniej ludzie wiedzą, tym lepiej, a nie ma potrzeby obciążać twojego umysłu, Naga. Jesteś taki młody, jeśli nie liczyć twojego przyrodniego brata Tadateru, najmłodszy w rodzinie. Ile on ma lat? Aha, siedem, tak, siedem.

Przez chwilę przyglądał się nadjeżdżającym.

–Jak tam twoja matka, Naga?

–Tak jak zawsze, jest najszczęśliwszą kobietą na ziemi. W dalszym ciągu pozwala się odwiedzać tylko raz do roku. Czy mógłbyś namówić ją, żeby zmieniła ten zwyczaj?

–Nie – odparł Toranaga. – Ona się nigdy nie zmieni.

Na myśl o Chano-Tsubone, swojej oficjalnej konkubinie i matce Nagi, zawsze robiło mu się ciepło na sercu. Śmiał się w duchu na wspomnienie jej rubasznych żartów, jej dołeczków w policzkach i jej zgrabnych pośladków, tego, jak nimi kręciła i jak ochoczo poduszkiwała.

Była wdową po rolniku spod Edo, a spodobała mu się dwadzieścia lat temu. Mieszkała z nim przez trzy lata, dopóki nie poprosiła, żeby pozwolił jej wrócić do uprawy ziemi. Pozwolił jej odejść. W tej chwili żyła sobie na dobrym gospodarstwie blisko miejsca, gdzie się urodziła, jako gruba, szczęśliwa, owdowiała buddyjska mniszka, szanowana przez wszystkich i bez zobowiązań wobec nikogo. Raz na jakiś czas odwiedzał ją, a wtedy śmiali się razem bez powodu, jak dwójka przyjaciół.

–Och, to dobra kobieta – powiedział.

Yabu i Omi wjechali na górę i zsiadli z koni. Dziesięć kroków od nich zatrzymali się i ukłonili...

–Przekazał mi zwój – oznajmił rozwścieczony Yabu, wymachując papierem. – „Prosimy, żebyś dzisiaj natychmiast wyjechał z Izu do Osaki i stawił się w zamku w Osace na posłuchanie, gdyż w przeciwnym razie wszystkie twoje dobra ulegną przepadkowi, ty zaś będziesz odtąd wyjęty spod prawa”. – Zmiał papier w dłoni i rzucił go na ziemię. – Dzisiaj!

–W takim razie najlepiej zrobisz, jeśli wyruszysz natychmiast – warknął Toranaga, nagle rozeźlony z powodu jego nieokrzesania i głupoty.

–Wielmożny panie, bardzo cię proszę – wtrącił prędko Omi, pokornie padając na kolana. – Pan Yabu jest twoim oddanym wasalem, więc proszę cię pokornie, nie naigrawaj się z niego. Przepraszam za moje grubiaństwo, ale pan Zataki... Przepraszam za swoje grubiaństwo.

–Yabu-san, zechciej mi wybaczyć tę uwagę... płynęła z życzliwości do ciebie – rzekł łaskawszym tonem Toranaga, przeklinając się za ten błąd. – Takie listy powinniśmy przyjmować z humorem, ne? – Przywołał sokolnika i przekazawszy mu ptaka, którego zdjął z dłoni, odprawił go wraz z naganiaczami. Wszystkim samurajom oprócz Nagi nakazał gestem odejść poza zasięg słuchu, przysiadł na piętach i polecił pozostałym, żeby zrobili to samo. – Może lepiej powiesz mi, co się stało.

–Właściwie nie ma o czym mówić – odparł Yabu. – Poszedłem się z nim zobaczyć. Przyjął mnie, okazując zaledwie minimum grzeczności. Najpierw przekazał mi „pозdrowienia” Ishido, a potem zaproponował wprost, żebym się z nim potajemnie sprzymierzył, zaplanował twoją natychmiastową śmierć i wymordował wszystkich twoich samurajów w Izu. Naturalnie, nie chciałem go słuchać, a wtedy od razu – od razu! – nie zachowując nawet pozorów uprzejmości, wręczył mi to! – Palcem wojowniczo pokazał na zwój. – Gdyby nie bronił go twój bezpośredni rozkaz, z miejsca posiekałbym go na kawałki! Domagam się, żebyś go odwołał, panie. Nie mogę żyć z takim wstydem. Muszę się zemścić!

–Czy nie wydarzyło się nic więcej?

–A czy to mało?

Toranaga puścił płazem tę impertynencję i spojrzał groźnie na Omiego.

–To twoja wina, ne? – spytał. – Dlaczego nie masz dość rozumu, żeby chronić swojego pana? Podobno jesteś doradcą. Powinieneś być mu tarczą. Skłonić pana Zatakiego do odsłonięcia się, postarać się wywiedzieć o zamiary Ishido, czym go przekupił, jakie mają plany. Podobno jesteś cennym doradcą. Miałeś świetną okazję, by to udowodnić, a zmarnowałeś ją jak niedoświadczony tuman!

Omi zwiesił głowę.

–Bardzo przepraszam, wielmożny panie.

–Ja ci mogę wybaczyć, ale nie widzę powodu, dlaczego miałby to zrobić pan Yabu. Twój pan przyjął zwój. Tak więc nie ma wyjścia. Musi postąpić albo tak, albo tak.

–Co takiego? – zachnął się Yabu.

–A dlaczego ja zachowałem się tak, jak zachowałem? Żeby zyskać na czasie, oczywiście, odwlec sprawę – odparł Toranaga.

–O jeden dzień? A cóż znaczy jeden dzień? – spytał Yabu.

–Kto wie? Jeden dzień więcej dla ciebie, to jeden mniej dla twojego wroga. – Toranaga przeniósł znów wzrok na Omiego. – Nie dopełniłeś swoich obowiązków wobec swojego pana i mnie.

–Proszę o wybaczenie...

–A co mu dokładnie powiedziałaś?

Omi milczał.

–Czy zapomniałeś również o dobrych manierach? Co mu powiedziałaś?

–Nic, wielmożny panie. Nie powiedziałem nic.

–Słucham?

–Nie powiedział nic panu Zatakiemu, ponieważ go tam nie było – wtrącił raptownie Yabu. – Zataki chciał rozmawiać ze mną w cztery oczy.

–Ach tak? – Toranaga ukrył uciechę z faktu, że Yabu zmuszony był przyznać się do własnej głupoty i że część prawdy wyszła na jaw. – Zechciej mi wybaczyć, Omi-san. Oczywiście myślałem, że byłeś przy tym obecny.

–To moja wina, wielmożny panie. Powinienem być na to nalegać. Masz słuszość. Nie udało mi się ochronić mojego pana – odparł Omi. – Powinienem być domagać się tego usilniej. Bardzo przepraszam. Bardzo przepraszam, Yabu-sama.

Zanim Yabu mógł na to odpowiedzieć, Toranaga rzekł:

–Naturalnie, że jest ci to wybaczone, Omi-san. Jeżeli twój pan to na tobie wymógł, miał do tego prawo. Wymogłeś to na panu Omim, Yabu-sama?

–Tak... tak, ale nie myślałem, że to ważne. Myślisz, że ja...

–No cóż, stało się. Co teraz zamierzasz zrobić?

–Oczywiście zignoruję treść tego listu, wielmożny panie – odparł zaniepokojony Yabu. – Sądziś, że mogłem uniknąć odebrania go?

–Naturalnie. Mogłeś popertraktować z Zatakim jeden dzień. Może więcej. Nawet kilka tygodni – dorzucił Toranaga, głębiej wpychając nóż w świeżą ranę Yabu, złośliwie ucieszony, że ten złapał się na haczyk z powodu własnej, głupoty. Nie robił sobie nic z tego, że Yabu – z pewnością był nakłaniany do zdrady, przekupywany, wabiony pochlebstwami i zastraszany. – .Przykro mi, ale nie masz wyjścia. Nie szkodzi, bo, jak sam stwierdziłeś, „im prędzej wszyscy staną po którejs z stron, tym lepiej”. – Toranaga wstał. – Nie ma potrzeby, żebyście wracali dziś do pułku. Obaj zjecie ze mną kolację. Załatwiłem też rozrywkę. Dla wszystkich, mruknął do siebie, ogromnie zadowolony.

Mariko miała rację, pomyślał Toranaga. Ta kurtyzana jest warta swojej ceny. Oczarowała jego duszę, sprawiła, że mniej martwił się Zatakim. Posłać po nią dziś wieczorem czy spać samemu? Jego męskość drgnęła na wspomnienie wczorajszej nocy.

–A więc, Gyoko-san, chciałaś się ze mną widzieć? – spytał ją wczoraj w swoich prywatnych pokojach w warowni.

–Tak, wielmożny panie.

Zapalił odmierzoną trociczkę kadzidła.

Gyoko pokłoniła mu się, ale prawie na nią nie patrzył. Po raz pierwszy oglądał Kiku. Dokładnie. Z bliska jej wyjątkowa uroda prezentowała się jeszcze korzystniej, nie tknięta jak dotąd trudami jej profesji.

–Zechciej nam pograć w czasie rozmowy – powiedział, zaskoczony, że Gyoko jest gotowa rozmawiać w jej obecności.

Kiku natychmiast spełniła jego prośbę, ale grała zupełnie inaczej niż zeszłego wieczoru w herbaciarni. Wczoraj jej muzyka miała koić, towarzyszyć zbliżeniu. Dzisiejsza zaś miała podniecać, zadziwiać, obiecywać.

–Wielmożny panie – zaczęła oficjalnym tonem Gyoko – najpierw chciałabym ci pokornie podziękować za zaszczyt, jaki wyświadczasz mnie samej, mojemu domowi i Kiku-san, pierwszej z moich dam Świata Wierzb. Wiem, że cena, jaką wyznaczyłam za jej-kontrakt, jest zuchwalstwem, z pewnością jest nie do zaakceptowania i nie zostanie ustalona aż do jutra rana, kiedy pani Kasigi i pani Toda podejmą właściwą

decyzję. Gdyby sprawa ta dotyczyła ciebie, zdecydowałbyś się już dawno, bo czymże są godne pogardy pieniądze dla zwykłego samuraja, nie mówiąc już o największym daimyō na świecie. – Gyoko dla większego efektu zawiesiła głos. – Czymże są pieniądze? Niczym więcej niż środkiem porozumiewania się – ciągnęła – tak samo jak muzyka Kiku. Czymże innym zajmujemy się bowiem my, damy Świata Wierzb, jeżeli nie porozumiewaniem się ludzi z sobą oraz rozrywką, oświecaniem ludzkich dusz, zdejmowaniem z nich ciężaru życia...

Toranaga powstrzymał się z uszczypliwą repliką, przypominając sobie, że kobieta ta kupiła sobie właśnie jedną trociczkę jego czasu za pięćset koku, a za te pięćset koku zasługiwała na uważne wysłuchanie. Więc pozwolił jej mówić i słuchał jednym uchem, drugie ciesząc strumieniem cudownej muzyki, która docierała do samego rdzenia duszy, uspokajając go i przynosząc błogość. I wtedy nagle słowa Gyoko wciągnęły go brutalnie na powrót do rzeczywistego świata.

–Co powiedziałaś? – spytał.

–Po prostu zaproponowałam ci, wielmożny panie, żebyś wziął Świat Wierzb pod swoją opiekę i zmienił bieg historii.

–W jaki sposób?

–Robiąc to co zawsze, a więc przedkładając przyszłość cesarstwa ponad własną.

Puścił mimo uszu to absurdalne do przesady zdanie i zmusił się do niesłuchania muzyki Kiku, bo wpadł już w jej pułapkę najpierw każąc Gyoko, żeby przyprowadziła z sobą tę dziewczynę, potem, kiedy zachwycił się jej pięknnością i muzyką, i wreszcie, gdy pozwolił jej grać tak uwodzicielsko w czasie przemowy jej pani.

–A o co chodzi z tym Światem Wierzb?

–O dwie sprawy, wielmożny panie. Po pierwsze, Świat Wierzb jest obecnie z konieczności związany ze światem materialnym, ze szkodą dla obydwu. Po drugie, nie wszystkie nasze damy mogą osiągnąć doskonałość, której mężczyźni mają prawo oczekiwać.

–Ach tak., Minęła go smużka zapachu perfum Kiku, zapachu, jakiego nie znał. Były dobrane idealnie. Mimowolnie spojrzął na nią. Półuśmiech na jej ustach był przeznaczony wyłącznie dla niego. Spuściła marzycielskie oczy, jej palce trąciły struny, on zaś poczuł ich intymny dotyk. Spróbował się skupić.

–Przepraszam, Gyoko-san. Co powiedziałaś?

–Zechciej wybaczyć mi, wielmożny panie, że nie wyrażam się jasno... Po pierwsze, Świat Wierzb powinien być odłączony od świata materialnego. Moja herbaciarnia w

Mishimie znajduje się w południowej dzielnicy, a inne herbaciarnie są porozrzucane po całym mieście. Tak samo jest w Kioto, w Narze, tak samo w całym cesarstwie. Nawet w Edo. A ja myślę, że Edo powinno stać się wzorem dla świata.

–W jaki sposób? – spytał. Serce w nim zamarło na dźwięk nowego, boskiego akordu.

–Wszystkie inne zawody mają swoje ulice, swoje rejony. My też powinniśmy mieć swój rejon, wielmożny panie. Edo to nowe miasto. Może rozważysz, czy nie warto przydzielić osobnej dzielnicy Światu Wierzb. Przenieś wszystkie herbaciarnie za jej mury i zakaż ich działalności gdzie indziej, nawet tym najskromniejszym.

Toranaga skupił się już całkowicie, ponieważ był to wspaniały pomysł. Był tak świetny, że skarcił się w duchu, iż sam na to nie wpadł. Wszystkie herbaciarnie i kurtyzany za ogrodzeniem, stąd też bardzo łatwe do kontrolowania przez policję, do pilnowania, do ściągania podatków, a ich klienci łatwi do śledzenia, do szpiegowania. Prostota tego pomysłu oszołomiła go. Zdawał też sobie sprawę, jak bardzo wpływowe były damy pierwszej rangi. Niczym jednak nie zdradził swojego entuzjazmu.

–A jaka z tego korzyść, Gyoko-san? –

–Miałybyśmy swój własny cech, wielmożny panie, z wszelką związaną z tym opieką, prawdziwy cech skupiony w jednym miejscu, a nie, by tak rzec, rozrzucony, cech, którego słuchałyby wszystkie...

–Na pewno?

–Tak, wielmożny panie, dla dobra ogółu. Cech odpowiadałby za godziwe ceny i odpowiednią jakość usług. Och, za kilka lat dama drugiej rangi w Edo dorównałaby tej z Kioto, i tak dalej. Gdyby ten plan udał się w Edo, to czemu nie we wszystkich twoich posiadłościach?

–Ale właścicielki herbaciarni w tej ogrodzonej dzielnicy decydowałyby o wszystkim. Miałyby wyłączność na usługi, ne? Zamknęłyby drzwi przed wieloma innymi, które mają takie samo prawo pracować w Świecie Wierzb?

–Tak, niewykluczone, wielmożny panie. I na pewno gdzieś tam raz na jakiś czas coś takiego się zdarzy. Niemniej bardzo łatwo jest wprowadzić surowe prawa, wymuszające uczciwość i godziwe ceny, tak więc dobro wzięłoby górę nad złem z korzyścią dla nas, naszych szanownych klientów i gości. Po drugie, damy...

–Skończmy z pierwszą sprawą, Gyoko-san – przerwał jej chłodno Toranaga. – Ta rzecz przemawia przeciwko twojej propozycji, ne?

–Owszem, wielmożny panie. Możliwe. Ale każdy daimyō może to z łatwością zmienić. A tak ma do czynienia z jednym cechem w jednym miejscu. Ty, wielmożny panie, nie miałbyś żadnych kłopotów. Każda dzielnica naturalnie odpowiadałaby za porządek i spokój na własnym terenie. I za podatki.

–A tak, podatki! Rzeczywiście byłoby je znacznie łatwiej zbierać. Ten punkt przemawia za tobą.

Oczy Gyoko utkwione były w trociczce, której zniknęło już ponad połowę.

–Ty w swojej mądrości mógłbyś rozporządzić, żeby w całym świecie jeden jedyny świat, nasz Świat Wierzb nigdy, po wsze czasy, nie płacił podatków. Nigdy, nigdy, nigdy. – Patrzyła mu prosto w oczy, głos miała szczery. – W końcu, wielmożny panie, czyż naszego świata nie nazywają Światem Płynącym, czyż naszym jedynym towarem do zaoferowania nie jest piękno, którego głównym składnikiem jest młodość? Czy coś tak przemijającego jak młodość nie jest darem bogów, i to darem świętym? Ty jeden spośród wszystkich mężczyzn, wielmożny panie, na pewno wiesz, jak niezwykła i nietrwała jest młodość... i kobieta.

Muzyka zamilkła. Wzrok Toranagi przyciągnęła Kiku-san. Wpatrywała się w niego pilnie, z leciutko zmarszczonym czołem.

–Tak – przyznał szczerze. – Wiem, jak może być nietrwała. – Łyknął cha. – Rozważę to, co mi powiedziałaś. A po drugie?

–Po drugie... – Gyoko pozbierała myśli. – Po drugie i ostatnie, wielmożny panie, możesz na zawsze opieczętować swą pieczęcią Świat Wierzb. Weźmy kilka moich dam. Na przykład, Kiku-san uczyła się śpiewu, tańca i gry na samisenie od szóstego roku życia. Każdą świadomą chwilę wykorzystywała na doskonalenie się w swojej sztuce. Słusznie więc została damą pierwszej rangi, tak jak na to zasługuje jej niepowtarzalny artyzm. Ale nadal pozostaje kurtyzaną i niektórzy mężczyźni żądają od niej, żeby nie tylko zabawiała ich swoją sztuką, ale i z nimi poduszkowała. Moim zdaniem powinno się stworzyć dwie kategorie dziewcząt. Pierwszą, zwyczajnych kurtyzan, tych od zabawiania, uszczęśliwiania i od spraw cielesnych. I drugą, nową, której można nadać miano gei-sha, kategorię artystek, oddających się jedynie sztuce. Do obowiązków gejsz nie należałoby poduszkiwanie. Zajmowałyby się wyłącznie rozrywką, tańcem, śpiewem, muzyką, byłyby specjalistkami poświęcającymi się wyłącznie swojej profesji. Niechaj gejsze raczą umysły i dusze mężczyzn swoją pięknnością, wdziękiem i artyzmem. A kurtyzany z równym artyzmem niech swoim pięknem i wdziękiem dają zadowolenie ich ciałom.

Ponownie uderzyła go prostota tego pomysłu i dalekosiężne możliwości, jakie stwarzał.

–A jak byś dobierała gejsze? – spytał.

–Wedle ich zdolności. Wraz z osiągnięciem przez dziewczynę dojrzałości płciowej jej właścicielka decydowałaby o jej dalszym losie. Cech zaś zatwierdzałby albo odrzucał uczennicę, ne?

–To nadzwyczajny pomysł, Gyoko-san.

Kobieta ukloniła mu się i zadrżała.

–Wybacz mi moją gadatliwość, wielmożny panie, ale dzięki temu, kiedy uroda zblednie, a figura zgrubieje, taka dziewczyna mimo to ma przed sobą niezwykłą przyszłość i nie traci wartości. Nie potrzebuje iść dalej drogą, którą obecnie podążają wszystkie kurtyzany. Mówię tu o artystkach, które są pośród tych dziewcząt, na przykład o mojej Kiku-san. Apeluję do ciebie, żebyś garstce wybranek zapewnił przyszłość i pozycję, na którą zasługują w tym kraju. Nauka śpiewu, tańca i gry na instrumencie wymaga wielu, wielu lat ćwiczeń. A do poduszkiowania potrzeba jedynie młodości i nie istnieje lepszy od niej środek na potencję. Ne?

–Tak – przyznał Toranaga, przyglądając się jej. – Gejsze by nie poduszkiowały?

–Nie należałoby to do ich obowiązków, bez względu na zapłatę. Gejsze nie musiałyby poduszkiować, wielmożny panie. Gdyby któraś chciała poduszkiować z wybranym mężczyzną, to byłaby to jej prywatna sprawa... chociaż może powinno to się odbywać za pozwoleniem jej właścicielki, a cena za tę usługę nie przekraczałaby możliwości finansowych wybranka. Obowiązkiem kurtyzany byłoby artystyczne poduszkiowanie, natomiast gejsze i uczące się zawodu byłyby nietykalne. Przepraszam, że mówię tak długo.

Gyoko ukloniła się i to samo zrobiła Kiku. Pozostała już jedynie odrobina kadzidła.

Toranaga wypytywał ją dwakroć dłużej ponad wyznaczony czas, rad, że ma możliwość dowiedzenia się czegoś o ich świecie, sondując ich pomysły, nadzieje i lęki. To, co usłyszał, podnieciło go. Usłyszane wiadomości zachował sobie na przyszłość, a potem odesłał Kiku do ogrodu.

–Chciałbym” Gyoko-san, żeby dzisiaj ona tu została, jeśli ma ochotę, aż do rana... jeżeli jest wolna. Poprosisz ją o to? – spytał. – Naturalnie, zdaję sobie sprawę, że może już być zmęczona. Grała przecież tak długo i tak wybornie, że wszystko zrozumie. Ale może zastanowiłaby się nad tą propozycją. Byłbym zobowiązany, gdybyś ją o to poprosiła.

–Oczywiście, wielmożny panie, wiem jednak, że twoje zaproszenie przyjmie jako zaszczyt. Naszym obowiązkiem jest służyć najlepiej jak potrafimy, ne?

–Tak. Ale, jak słusznie wskazałaś, ona jest bardzo niezwykła. Całkowicie zrozumieć, jeżeli jest zbyt zmęczona. Poproś ją tu za chwilę. – Podał Gyoko skórzaną sakiewkę z dziesięcioma kobanami. Żałował aż tak ostentacyjnego gestu, wiedział jednak, że wymaga tego jego pozycja. – Może to wynagrodzi ci ten tak wyczerpujący wieczór i będzie symbolicznym podziękowaniem za twoje pomysły.

–Naszym obowiązkiem jest służyć, wielmożny panie – powtórzyła Gyoko.

Widział, jak stara się powstrzymać palce od liczenia monet przez miękką skórę i jak jej się to nie udaje.

–Dziękuję. Wybacz mi, proszę, wezwę ją. – I wtedy, nagle i nieoczekiwanie w jej oczach pojawiły się łzy. – Racz, proszę, przyjąć podziękowania od prostej starej kobiety za wysłuchanie mnie i za okazaną uprzejmość. Rzecz w tym, że za te wszystkie przyjemności, które dajemy, naszą jedyną nagrodą jest rzeka łez. Prawdę mówiąc, trudno jest mi wyrazić, co czuje kobieta... proszę o wybaczenie...

–Posłuchaj, Gyoko-san, ja to rozumiem. Nie martw się. Rozważę wszystko, co mi powiedziałaś. Aha, zaraz po świcie obie pojedziecie ze mną. Kilka dni w górach będzie dla was przyjemnym urozmaiceniem. Myślę, że cena kontraktu zostanie zaakceptowana, ne?

Gyoko podziękowała mu ukłonem, otarła łzy z oczu i spytała zdecydowanym tonem:

–A czy wolno mi zatem spytać o nazwisko szanownej osoby, która wykupi jej kontrakt?

–Yoshi Toranaga-no-Minowara.

Ojciec Alvito z Towarzystwa Jezusowego kipiał. Właśnie wtedy, gdy powinien był koniecznie przygotować się do spotkania z Toranagą, wymagającego od niego najwyższej sprawności umysłu, stanął przed tym nowym szkaradzieństwem, z którego załatwieniem nie można było czekać.

–Co masz na swoje usprawiedliwienie? – huknął na zakapturzonego japońskiego akolitę, który pokornie klęczał przed nim.

Pozostali bracia stali półkolem w małym pokoju.

–Przepraszam, ojcze, zgrzeszyłem – wyjąkał unieszczęśliwiony zakonnik. – Proszę, przebacz...

–Powtarzam, wybaczenie jest w rękach Boga Wszechmogącego, a nie moich. Popeliłeś grzech śmiertelny. Złamałeś święte śluby. I co na to powiesz?

Odpowiedź ledwo było słycać.

–Przepraszam, ojciec.

Japończyk był chudy i drobny. Miał trzydzieści lat, a na chrzcie otrzymał imię Józef. Jego towarzysze, braciszczowie Towarzystwa Jezusowego, byli w wieku od osiemnastu do czterdziestu lat. Wszyscy mieli tonsury, wszyscy pochodzili z samurajskich rodzin na Kiusiu, wszyscy byli rygorystycznie przygotowani do stanu kapłańskiego, chociaż nikt z nich jeszcze nie otrzymał święceń.

–Przyznałem się do winy, ojciec – wyszeptał brat Józef z nisko opuszczoną głową.

–Myślisz, że to wystarczy?

Zniecierpliwiony Alvito odwrócił się i podszedł do okna. Pokój był zwyczajny, maty dość porządne, papierowe osłony w shoji kiepsko wyreperowane. W Yokose nie znaleźli nic lepszego od tego starego, trzeciorzędnego zajazdu, bo inne zajęli samuraje. Alvito wpatrzył się w nocny mrok, słysząc dochodzący z daleka głos Kiku, który był głośniejszy od hałasów znad rzeki. Wiedział, że dopóki ta kurtyzana nie skończy śpiewać, Toranaga po niego nie pośle.

–Podła ladacznica – powiedział na wpół do siebie.

Dysharmonijny, zawodzący japoński śpiew irytował go bardziej niż zwykle wzmagając jego gniew na zdradę Józefa.

–Posłuchajcie, bracia – rzekł do reszty akolitów, ponownie zwracając się twarzą do nich. – Sądzymy tutaj brata Józefa, który zeszłej nocy zadał się z tutejszą ladacznicą, łamiąc święty ślub wstrzeźliwości płciowej, łamiąc święty ślub posłuszeństwa, zbezczeszczył swoją nieśmiertelną duszę, swój stan duchowny, swoje miejsce w Kościele świętym i wszystko, co się z tym wiąże. Przed Bogiem pytam każdego z was... czy uczyniliście to co on?

Wszyscy przecząco pokręcili głowami...

–Czy kiedyś uczyniliście to co on?

–Nie, ojciec.

–Ty grzeszniku! Czy przed Bogiem przyznajesz się do grzechu?

–Tak, ojciec, już przyz...

–Czy przed Bogiem przyznajesz, że był to pierwszy raz?

–Nie, to nie był pierwszy raz – odparł Józef. – Ja... ja poszedłem z inną, cztery dni

temu... w Mishimie.

–Ale... ale przecież wczoraj odprawiliśmy mszę! Co z twoją spowiedzią wczoraj, przedwczoraj i trzy wieczory temu, przecież nie... Wczoraj odprawiliśmy mszę! Na miłość boską, przyjąłeś komunię bez spowiedzią doskonale wiedząc o grzechu śmiertelnym?

Brat Józef poszarzał ze wstydu. U jezuitów przebywał od ósmego roku życia.

–To było... to było pierwszy raz, ojciec. Tylko cztery dni temu. Przez całe życie byłem bezgrzeszny. Znowu mnie podkusiło... i, przebacz mi, Najświętsza Panienko, tym razem uległem. Mam trzydzieści lat. Jestem człowiekiem... wszyscy jesteśmy ludźmi. Proszę, ojciec, pan Jezus wybaczył grzesznikom... może więc ty wybaczyłbyś mnie? Wszyscy jesteśmy ludźmi...

–Wszyscy jesteśmy kapłanami!

–Nie jesteśmy prawdziwymi kapłanami! Nie złożyliśmy ślubów zakonnych! Nie jesteśmy prawdziwymi jezuitami. Nie możemy przyjąć czwartego ślubu tak jak ty, ojciec – rzekł ponuro Józef. – Inne zakony wyświęcają swoich braci, ale nie jezuiti. Czemu nie...

–Zamilcz!

–Nie! – wybuchnął Józef. – Za pozwoleniem, ale dlaczego nie wyświęcicie niektórych z nas? – Wskazał na jednego z braci, wysokiego, okrągłoliczego, który przyglądał się im z błogim spokojem. – Dlaczego nie wyświęcicie brata Michała? Uczy się od dwunastego roku życia, w tej chwili ma lat trzydzieści sześć i jest wzorem chrześcijanina, niemal świętym. Nawrócił tysiące ludzi, a mimo to nadal nie jest wyświęcony...

–Na Boga Jedynego, będziesz...

–Na Boga Jedynego, czemu nie wyświęcicie jednego z nas? Ktoś musi się ośmielić i o to spytać! – Józef wstał. – Ja uczyłem się szesnaście lat, brat Mateusz dwadzieścia trzy, Julian jeszcze dłużej, przez całe nasze życie... niezliczone lata. Znamy modlitwy, katechizmy, hymny lepiej od ciebie, a Michał i ja nawet mówimy po łacinie tak dobrze jak po portu...

–Dosyć!

–Portugalsku. Wygłaszamy najwięcej kazań, najczęściej dyskutujemy z buddystami i resztą tych bałwochwalców, mamy najwięcej nawróconych. Taka jest prawda! Na Boga Jedynego i Matkę Bożą, czego nam brakuje? Dlaczego nie zasługujemy na to, by zostać jezuitami? Czy tylko dlatego, że nie jesteśmy Portugalczycami albo

Hiszpanami, czy też dlatego, że nie jesteśmy owłosieni i nie mamy okrągłych oczu? Na Boga Jedyne, ojcze, czemu to nie ma, jak dotąd, ani jednego wyświęconego japońskiego jezuitę?

–Natychmiast zamilcz!

–My, Michał, Julian i ja, byliśmy nawet w Rzymie! – wybuchnął Józef. – Tyś nigdy nie był w Rzymie, nie poznałeś ojca generała ani Jego Świątobliwości papieża, tak jak my...

–To jeszcze jeden powód, abyś miał dość rozumu, żeby ze mną nie dyskutować. Ślubowałeś czystość cielesną, ubóstwo i posłuszeństwo? Zostałeś wybrany spośród wielu, wyróżniony spośród wielu, a teraz dopuszczasz do tego, żeby twoja dusza stała się tak zepsuta, że...

–Bardzo przepraszam, ojcze, ale wątpię, czy to wyróżnienie spędzić osiem lat na podróży tam i z powrotem i po pobraniu tylu nauk, po tylu modlitwach, kazaniach i czekaniu nie zostać wyświęconym, co nam przyrzeczone Kiedy wyjeżdżałem, miałem dwanaście lat, Julian jedenaście...

–Zabraniam ci mówić dalej! Rozkazuję ci zamilknąć! – W straszliwej ciszy, która zaległa, Alvito spojrział na pozostałych akolitów, którzy stali pod ścianami, pilnie im się przypatrując i słuchając.– Wszyscy zostaniecie Wyświęceni W swoim czasie. Ale ty, Józefie, jak Bóg na niebie, ty...

–Jak Bóg na niebie, w czym czasie?! – wybuchnął Józef.

–W czasie wyznaczonym przez Boga – odparł ostro Alvito, płonąc fanatyzmem, osłupiały w obliczu tego jawnego buntu. – Na kolana!!!

Brat Józef starał się zmusić go do spuszczenia wzroku, ale to mu się nie udało, a kiedy gniew z niego uszedł, ugiął się, opadł na kolana i skłonił głowę.

–Niech Bóg się nad tobą zlituje. Sam przyznałeś się do popełnienia ohydnych grzechu śmiertelnego, do złamania świętego ślubu czystości, świętego ślubu posłuszeństwa względem przełożonych. Jak śmiesz wątpić w rozkazy generała naszego zakonu i postępowanie Kościoła? Naraziłeś swoją nieśmiertelną duszę. Pohańbiłeś swojego Boga, swoje Bractwo, swój Kościół, rodzinę i przyjaciół. Twój przypadek jest tak poważny, że musi się nim zająć ojciec wizytator. Do tego czasu nie przyjmiesz komunii, nie będziesz się spowiadał sam ani innych, nie będziesz też uczestniczył w mszach... – Ramiona Józefa zaczęły drżeć pod ciężarem wyrzutów sumienia, które go ogarnęły. – Jako wstępną pokutę otrzymujesz zakaz odzywania się, przez trzydzieści dni będziesz żył tylko o ryżu i wodzie, trzydzieści następnych nocy spędzisz na klęczkach, modląc się do Błogosławionej Matki Bożej, żeby odpuściła ci twoje potworne grzechy, a ponadto zostaniesz wychłostany. Dostaniesz

trzydzieści batów. Zdejmij sutannę.

Ramiona Józefa przestały drżeć. Podniósł głowę.

–Przyjmuję wszystkie twoje polecenia, ojciec – rzekł – i przepraszam za moje grzechy z całego serca. Z całej duszy proszę, żebyś mi wybaczył, tak jak do końca dni moich będę o to błagał Jęgo. Ale nie dam się wybatożyć jak zwykły przestępca.

–Zostaniesz wychłostany!!!

–Wybacz mi, ojciec, proszę cię – powiedział Józef. – Na Błogosławioną Matkę Bożą, mnie nie chodzi o ból. Ból mam za nic, śmierć za nic. Może moją karmą jest być potępionym i przez wieczność smażyć się w piekle, to zniosę. Ale jestem samurajem. Jestem z rodu pana Harimy.

–Twoja pycha napęlnia mnie wstrętem. Nie dla bólu zostaniesz ukarany, ale po to, żebyś pozbył się tej odrażającej pychy. Zwykły przestępca, mówisz? A gdzie twoja pokora? Nasz Pan, Jezus Chrystus, zniósł upokorzenia. I skonał między zwykłymi przestępcami.

–Tak. Właśnie z tym mamy największy problem, ojciec.

–Słucham?

–Przepraszam za szczerość, ale gdyby Król Królów nie skonał jak pospolity przestępca na krzyżu, to samuraje mogliby zaakceptować...

–Dosyć!

–...chrześcijaństwo łatwiej. W przeciwieństwie do innych zakonów Towarzystwo Jezusowe jest na tyle mądre, że unika mówienia o ukrzyżowaniu Chrystusa...

Alvito jak anioł zemsty wysunął przed siebie krzyż niczym tarczę.

–W imię Boże milcz i okaż posłuszeństwo; bo w przeciwnym razie zostaniesz wyklęty! Chwyćcie go i rozbierzcie!

Pozostali adepci, wyrwani z bezruchu, ruszyli do Józefa, ale ten poderwał się na nogi. W jego dłoni błysnął nóż, który wydobył spod sutanny. Plecami przywarł do ściany. Wszyscy stanęli jak wryci. Wszyscy, z wyjątkiem brata Michała. Powoli i spokojnie szedł dalej z wyciągniętą ręką.

–Proszę cię, bracie, odłóż go – powiedział łagodnie.

–Nie. Przepraszam cię.

–W takim razie módl się za mnie, bracie, tak jak ja modłę się za ciebie – rzekł Michał i ze spokojem sięgnął po nóż.

Józef odskoczył kilka kroków w tył i przygotował się do zadania śmiertelnego pchnięcia.

–Wybacz mi, Michale «- rzekł. i Michał szedł dalej.

–Michale, stań! Zostaw go – polecił Alvito.

Michał posłuchał i zatrzymał się o centymetry od zawieszzonego w powietrzu ostrza.

–Niech Bóg zlituje się nad tobą, Józefie – powiedział Alvito z poszarzałą twarzą. – Wyklinam cię’. Szatan posiadał twoją duszę na ziemi i posiadzie ją po twojej śmierci. Odejdź!

–Wyrzekam się chrześcijańskiego Boga! Jestem Japończykiem, jestem shintō. Moja dusza należy odtąd do mnie. Nie boję się! – krzyknął Józef. – Tak, jesteście dumni... w przeciwieństwie do barbarzyńców. Jesteśmy Japończykami, nie barbarzyńcami. Nie są nimi nawet nasi chłopci.

Żeby ich wszystkich ochronić, Alvito z wielką powagą zrobił znak krzyża i bez lęku stanął plecami do nagiego noża.

–Pomódlmy się razem, bracia. Jest w naszym gronie Szatan.

Inni również odwrócili się od Józefa, wielu zasmuconych, niektórzy nadal wstrząśnięci tym, co się stało. Tylko Michał pozostał tam, gdzie stał, patrząc na odstępcę. Józef zdarł z siebie różaniec i krzyż. Właśnie chciał je odrzucić, kiedy Michał jeszcze raz wyciągnął rękę w jego stronę.

–Proszę, bracie, proszę, daj je mnie... to taki prosty podarunek – rzekł.

Józef wpatrywał się w niego dłuższą chwilę, po czym oddał mu i różaniec.

–Przepraszam cię – powiedział.

–Będę się za ciebie modlił – obiecał Michał.

–Czyś nie słyszał? Wyparłem się Boga!

–Będę modlił się, żeby Bóg nie wyparł się ciebie. Uraga-no-Tadamasa-san.

–Wybacz mi, bracie – odparł Józef. Wsunął nóż do pochwy, szarpnięciem otworzył drzwi i na oślep przemierzywszy korytarz wydostał się na werandę. Przez podwórko ruszył do bramy. Na drodze stał mu samuraj.

–Stać!

Józef zatrzymał się.

–Dokąd idziesz, proszę?

–Przepraszam, panie, ale... nie wiem.

–Służę panu Toranadze. Wybacz, ale nic nie poradzę na to, że słyszałem wszystko, co zaszło w środku. Na pewno słyszano to w całej gospodzie. Co za okropne maniery... to straszne, że twój przywódca tak krzyczy i zakłóca spokój. I ty również. Jestem tu na służbie. Najlepiej zrobisz, jeżeli porozmawiasz z moim dowódcą warty.

–Ja chyba.:, dziękuję ci, ale pójdę w swoją stronę, Wybacz, proszę.

–Nigdzie nie pójdziesz, przykro mi. Tylko do mojego dowódcy.

–Słucham? Aha... tak. Tak, przepraszam, oczywiście – bełkotał Józef, starając się zmusić do myślenia.

–To dobrze. Dziękuję.

Samuraj odwrócił się, bo od mostu nadszedł drugi samuraj i go pozdrowił.

–Mam zabrać Tsukku-sana do pana Toranagi – oznajmił.

–Dobrze. Czeka na ciebie.

Toranaga przyglądał się wysokiemu księdzu, który szedł przez polanę. W migoczącym świetle pochodni jego okolona czarną brodą twarz wydawała się jeszcze bledsza niż zazwyczaj. Pomarańczowa sutanna jezuita była elegancka, a u pasa wisi mu różaniec z krzyżem.

Dziesięć kroków od niego ojciec Alvito zatrzymał się, ukląkł i rozpoczynając zwyczajowy ceremoniał powitalny, ukłonił się z szacunkiem.

Toranaga siedział sam na podeście, otoczony przez strażników stojących półkolem, poza zasięgiem słuchu. W pobliżu był tylko Blackthorne, który, tak jak mu polecono, opierał się niedbale o podest i świdrował jezuitę wzrokiem. Alvito zachowywał się tak, jakby go nie zauważał.

–Dobrze jest cię znów zobaczyć, wielmożny panie – rzekł Alvito, kiedy mógł już to zrobić bez uchybiania zasadom grzeczności.

–I ciebie, Tsukku-san. – Toranaga zaprosił go gestem, żeby usiadł na poduszce leżącej na tatami przed podestem. – Dawno cię nie widziałem.

–Tak, wielmożny panie, wiele jest do powiedzenia – odparł Alvito aż nadto dobrze świadom, że poduszka spoczywa na ziemi, a nie na podeście. Doskonale też widział samurajskie miecze noszone przez Anglika tak blisko Toranagi i jego niedbałą pozę. – Przywożę poufną wiadomość od przełożonego mojego zakonu, ojca wizytatora, który z całym szacunkiem pozdrawia cię.

–Dziękuję. Najpierw jednak opowiedz mi o sobie.

–Ach, wielmożny panie – rzekł Alvito, dobrze wiedząc, że daimyō jest zbyt spostrzegawczy, by nie zauważył trapiących go wyrzutów sumienia, które tak bardzo starał się w sobie stłumić. – Akurat dzisiaj aż nadto jestem świadom swych porażek. Wolałbym być dziś wieczorem zwolniony z ziemskich obowiązków, zaszyć się w odosobnieniu i pomodlić się, prosząc Boga o łaskę. – Zawstydził go własny brak pokory. Co prawda grzech Józefa był straszliwy, ale zareagował nań gniewem, zbyt pośpiesznie i niemądrze. Przez ten błąd została wyklęta i bezpowrotnie stracona jedna dusza. – To bardzo smutne stracić brata, to straszne wykląć kogoś, nawet jeśli popełnił grzech straszliwy. Powinienem być okazać więcej cierpliwości. To moja wina.

–A gdzie on teraz jest?

–Nie wiem, panie.

Toranaga przywołał strażnika.

–Odszukaj tego chrześcijańskiego odszczepieńca i przyslij go do mnie jutro w południe – polecił.

Samuraj pośpiesznie odszedł.

–Błagam o miłosierdzie dla niego, wielmożny panie – rzekł prędko i szczerze Alvito.

–Dlaczego w waszym Towarzystwie nie ma wyświęconych księży, Tsukku-san? – spytał znienacka Toranaga.

–Ponieważ, wielmożny panie, żaden z naszych, akolitów nie ma odpowiedniego wykształcenia. Na przykład, rzeczą niezbędną jest znajomość łaciny, nasz zakon wymaga bowiem od braci gotowości udania się w każdej chwili w dowolny zakątek świata, a łaciny, niestety, bardzo trudno jest się wyuczyć. Nikt z nich nie jest jeszcze odpowiednio wyszkolony ani gotowy.

Alvito wierzył w to całym sercem. W przeciwieństwie do ojca wizytatora, był stanowczo przeciwny istnieniu jezuickiego kleru złożonego z wyświęconych Japończyków.

Zerknął na Blackthorne'a, po czym znowu na Toranagę, który spytał:

–Ale kilku z tych uczących się na księży umie mówić po łacinie i portugalsku, ne? Ten człowiek powiedział prawdę. Dlaczego ich nie wybrano?

–Niestety, przykro mi, ale generał naszego Towarzystwa uznał, że nie są dostatecznie przygotowani. Dowodem na to jest, być może, tragiczny upadek Józefa.

–Źle jest złamać uroczystą przysięgę – rzekł Toranaga. – Tak. Bardzo źle, gdy ktoś łamie przysięgę, krzyczy i zakłóca harmonię tego zajazdu.

–Bardzo za to przepraszam, wielmożny panie, przepraszam, że wspomniałem o swoich kłopotach. Dziękuję za wysłuchanie. Twoja troska jak zwykle poprawia mi samopoczucie. Czy wolno mi przywitać się z pilotem?

Toranaga wyraził zgodę.

–Moje gratulacje, pilocie – rzekł Alvito po portugalsku. – Pasują do ciebie te miecze.

–Dziękuję, ojcze, właśnie uczę się nimi władać – odparł Blackthorne. – Ale nie robię jeszcze tego, wstyd powiedzieć, wprawnie. Jeśli przyjdzie mi walczyć, pozostanę przy pistoletach, pałaszach i działach.

–Modłę się, byś nie musiał już nigdy więcej walczyć, pilocie, i żeby oczy otworzyły ci się na niezmiernie miłosierdzie Boże.

–Ja mam oczy otwarte. To twoje nie widzą wyraźnie.

–Na dobro twojej duszy, pilocie, miej oczy otwarte i otwarty rozum. Bo możesz się pomylić. Mimo to muszę ci podziękować za ocalenie życia panu Toranadze.

–Od kogo o tym wiesz?

Alvito nie odpowiedział i zwrócił się znów w stronę Toranagi. «- Co sobie powiedzieliście? – spytał Toranaga, przerywając milczenie.

Alvito powiedział mu i dodał:

–Chociaż jest wrogiem mojej wiary i piratem, cieszę się, że uratował ci życie, wielmożny panie. Niezbadane są wyroki Boże. Obdarzyłeś go ogromnym zaszczytem, czyniąc go samurajem.

–Jest też moim hatamoto – odparł Toranaga, uradowany przelotnym zaskoczeniem jezuitę. – Przywiozłeś słownik?

–Tak, wielmożny panie, wraz z kilkoma mapami, o które prosiłeś. Jest na nich zaznaczona część portugalskich baz po drodze z Goi tutaj. Książkę mam w swoim bagażu. Czy kogoś po nią posłać, czy może przekazać mu ją później osobiście?

–Przekaż mu ją później. Dziś wieczorem albo jutro. Czy przywiozłeś też z sobą obiecany raport?

–O muszkietach rzekomo przywiezionych z Makau? Ojciec wizytator właśnie go przygotowuje, wielmożny panie.

A co z liczbą japońskich najemników, których zatrudniacie w poszczególnych nowych bazach?

–Ojciec wizytator zażądał od wszystkich aktualnych danych, wielmożny panie, i dostarczy ci je zaraz po ich skompletowaniu.

–Dobrze. A teraz odpowiedz mi, od kogo wiesz o wyratowaniu mnie.

–Prawie wszystko, co dotyczy pana Toranagi-no-Minowara, staje się przedmiotem plotek i legend. Po drodze z Mishimy tutaj dowiedzieliśmy się, że o mało co nie pochłonęło cię trzęsienie ziemi, wielmożny panie, ale ten „Złoty Barbarzyńca” cię wyciągnął. A ponadto, że z kolei ty wyciągnąłeś jego i jakąś damę. Panią Mariko, jak się domyślam?

Toranaga skinął głową.

–Tak. Jest tutaj, w Yokose... Jutro – dodał po chwili – zgodnie z waszymi

zwyczajami, chciałyby się wypowiedzieć. Ale tylko ze spraw, które nie dotyczą polityki. Mam wrażenie, że wyklucza to wszystko, co wiąże się ze mną i niektórymi moimi hatamoto, ne? Wyjaśniłem to także jej.

Alvito skłonił się na znak, że zrozumiał.

–Za twoim pozwoleniem, wielmożny panie, czy mogę odprawić mszę dla wszystkich tutejszych chrześcijan? Oczywiście, bardzo dyskretnie. Jutro?

–Rozważę to. – Przez chwilę Toranaga mówił o sprawach bez znaczenia, po czym spytał: – Masz dla mnie wiadomość? Od swojego naczelnego kapłana?

–Z całą pokorą ośmielam się zauważyć, wielmożny panie, że jest ona poufna.

Toranaga udał, że się nad tym zastanawia, chociaż już przed spotkaniem z jezuitą zdecydował, jak ma ono przebiegać, i szczegółowo pouczył Anjin-sana, co ma robić i co mówić.

–Doskonale. – Obrócił się do Blackthorne'a. – Anjin-san, możesz odejść, porozmawiamy jeszcze później.

–Tak, wielmożny panie – odparł Blackthorne. – Bardzo przepraszam, Czarna Karawela. Przybywa Nagasaki?

–A, właśnie. Dziękuję – odparł Toranaga, rad, że pytanie Anjin-sana nie wyglądało na przygotowane. – No więc, Tsukku-san, czy wpłynęła już ona do portu?

Alvita zaskoczył fakt, że Blackthorne mówi po japońsku, i bardzo go wzburzył.

–Tak, wielmożny panie. Zawinęła do portu przed czternastoma dniami.

–Aha, czternastoma? – spytał Toranaga. – Rozumiesz, Anjin-san?

– Tak. Dziękuję.

–Dobrze. O inne rzeczy możesz spytać Tsukku-sana później, ne?

–Tak, wielmożny panie. Przepraszam.

Blackthorne wstał, ukłonił się i odszedł. Toranaga patrzył za nim.

–Nadzwyczaj interesujący człowiek... jak na pirata – rzekł. – No, a teraz opowiedz mi najpierw o Czarnej Karaweli.

–Przy płynęła szczęśliwie, wielmożny panie, z największym do tej pory ładunkiem jedwabiu – odparł Alvito, siląc się na entuzjastyczny ton. – Umowa pomiędzy panami

Harimą, Kiyamą, Onoshim i tobą jest realizowana. Za rok o tej porze twój skarbiec wzbogaci się o dziesięć tysięcy kobanów. Przywiezione jedwabie są w najlepszym gatunku. Mam dla twojego kwatermistrza wykaz przywiezionych towarów. Generał Ferriera przysłała ci wyrazy uszanowania i liczy, że wkrótce zobaczy się z tobą osobiście. Ojciec wizytator wysłał mnie w największym pośpiechu z Osaki do Nagasaki, żebym upewnił się, czy wszystko się udało. Właśnie przy wyjeździe z Nagasaki doszły nas wieści, że wyjechałeś z Edo do Izu, dlatego przybyłem tutaj najprędzej, jak mogłem, podróżując najpierw jednym z naszych najszybszych kutrów do portu Nimazu, a dalej łądem. W Mishimie, napotkałem pana Zatakiego i poprosiłem go, żeby pozwolił mi się do siebie przyłączyć.

–Twój statek nadal stoi w Nimazu?

–Tak, wielmożny panie. Zaczeka tam na mnie.

–Dobrze. – Toranaga zastanawiał się przez chwilę, czy nie wysłać tym statkiem Mariko do Osaki, postanowił jednakże, że sprawą tą zajmie się potem. – Zechciej przekazać ten spis towarów mojemu kwatermistrzowi.

–Tak, wielmożny panie.

–A czy umowa na tegoroczne towary została opatrzona pieczęciami?

–Tak. Jak najbardziej.

–To dobrze. A teraz druga sprawa. Ta ważna.

Alwitowi wyschły dłonie.

–Ani pan Kiyama, ani pan Onoshi nie zgodzą się na odstąpienie od Ishido – powiedział. – Przykro mi, ale mimo że ich usilnie nakłanialiśmy, nie zgodzą się w tej chwili przejść pod twoje sztandary.

–Podkreśliłem – rzekł Toranaga ściszym, bezlitosnym tonem – że wymagam od was czegoś więcej niż nakłaniania!

Przepraszam, że przywożę niepomyślne wieści, wielmożny panie, ale w tym przypadku, nikt publicznie nie zgodziłby się przejść...

–A, publicznie, powiadasz? A prywatnie... po cichu?

–Prywatnie obaj są tak samo nieugięci jak pu...

–Rozmawialiście z nimi oddzielnie czy razem?

–Oczywiście, że i razem, i oddzielnie, w największej tajemnicy, ale żadna z naszych

namów...

–Tylko „namawialiście” ich do działań? Dlaczego im tego nie nakazaliście?!

–Wielmożny panie, tak jak powiedział ojciec wizytator, nie możemy nakazać niczego żadnemu daimyō ani żadnemu...

–Aha, ale swoim braciom możecie wydawać rozkazy? Ne?

–Tak, wielmożny panie.

–Czy im również grozicie wyrzuceniem?

–Nie, wielmożny panie... –

–Dlaczego?

–Ponieważ nie popełnili grzechu śmiertelnego.

–A więc wyrzucacie jakiegoś głupca za zgodny z naturą czyn, taki jak poduszkiowanie, ale kiedy dwóch waszych nawróconych zachowuje się nienaturalnie, a co więcej, zdradliwie, w chwili gdy ja, wasz przyjaciel, szukam pilnej pomocy, to wy tylko ich „namawiacie”?! Rozumiesz chyba, jak poważna to sprawa, ne?

–Przepraszam, wielmożny panie. Wybacz, proszę, ale...

–Być może nie wybaczę ci tego, Tsukku-san. Już mówiłem, że teraz wszyscy muszą stanąć po jednej ze stron – rzekł Toranaga.

–My jesteśmy oczywiście po twojej stronie, wielmożny panie. Ale niczego nie możemy nakazać ani panu Kiyamie, ani panu Onoshiemu...

–Ja na szczęście mogę wydawać rozkazy moim chrześcijanom.

–Słucham, wielmożny panie?

–Mogę wydać rozkaz uwolnienia Anjin-sana. Wraz ze statkiem. Wraz z działami.

–Strzeż się go, wielmożny panie. Ten pilot jest diabelnie mądry, ale zarazem to pirat, heretyk i nie wolno mu ufać...

–Tutaj Anjin-san jest samurajem i hatamoto. Na morzu być może jest piratem. Myślę, że ściągnie na swój statek wielu korsarzy i wako, bardzo wielu. Co cudzoziemiec robi na pełnym morzu, to jego sprawa. Zawsze wyznawaliśmy tę zasadę, ne?

Alvito milczał, starając się zaprząć mózg do pracy. Nikt nie przewidział, że ten Ingeles tak bardzo zbliży się do Toranagi.

–Czy tych dwóch chrześcijańskich daimyō na pewno nie opowie się po mojej stronie, nawet po cichu?

–Nie, wielmożny panie. Próbowaliśmy na...

–Żadnych ustępstw, nic?...

–Nie, wielmożny panie...

–Żadnej wymiany, ugody, kompromisu?

–Nie, wielmożny panie. Próbowaliśmy wszelkich zachęt i perswazji. Uwierz mi. – Alvito zdawał sobie sprawę, że wpadł w pułapkę i widać było po nim trochę, że jest zdesperowany. – Gdybym załatwiał tę sprawę ja, to co innego. Zagroziłbym im ekskomuniką, choć byłaby to groźba bez pokrycia, bo nie do spełnienia, chyba że popełniliby grzech śmiertelny i przyznali się do niego albo gdyby nie wypełnili pokuty i okazali nieposłuszeństwo. Ale jeśli nawet groźba taka przyniosłaby chwilowy zysk, to i tak byłaby czymś bardzo złym, wielmożny panie, grzechem śmiertelnym. Naraziłbym się na wieczne potępienie.

–Powiadasz, że gdyby zgrzeszyli przeciwko waszej, wierze, tobyście ich wyklęli?

–Tak, ale nie twierdzę, że w ten sposób można by ich było przeciągnąć na twoją stronę, wielmożny panie. Przepraszam, ale oni... są w tej chwili całkowicie przeciwko tobie. Przykro mi, taka jest prawda. Powiedzieli nam to bardzo jasno, razem i z osobna. Bóg świadkiem, że modlę się, aby zmienili zdanie. Ojciec wizytator i ja przysięgaliśmy ci na Boga, wielmożny panie, że będziemy się starali. Tę obietnicę wypełniliśmy. Bóg jednak świadkiem, żeśmy zawiedli.

–A więc przegram – powiedział Toranaga. – Wiecie o tym, prawda? Jeżeli oni pozostaną sprzymierzeńcami Ishido, to po jego stronie staną wszyscy chrześcijańscy daimyō. A wówczas muszę przegrać. Na jednego mojego samuraja przypadnie dwudziestu wrogów. Ne?

–Tak.

–Co planują? Kiedy mnie zaatakują?

–Nie wiem, wielmożny panie.

–A powiedziałbyś mi, gdybyś wiedział?

–Tak... na pewno.

Wątpię w to, pomyślał Toranaga i przytłoczony brzemieniem trosk zapatrzył się w nocny mrok.' Czyżby w końcu musiało dojść do Szkarłatnego Nieba? – TM - zadał sobie bezradnie pytanie. – Do bezsensownego, skazanego na klęskę uderzenia na Kioto?

–Przykro mi, że ci dwaj trzymają z waszym prawdziwym wrogiem.

–Przysięgam, że próbowaliśmy, wielmożny panie.

Alvito przyglądał się ze współczuciem Toranadze, wyczuwając, jak ciężko jest mu na duszy.

–Tak. Wierzę ci. Wierzę, że ty i ojciec wizytator dotrzyмалиście waszej uroczystej obietnicy, tak więc i ja dotrzymam swojej. Od zaraz możecie przystąpić do wznoszenia w Edo swojej świątyni. Wydzielono już teren pod nią. Nie mogę zakazać innym waszym mnichom, innym Kosmatym, wstępu do cesarstwa, ale mogę przynajmniej sprawić, żeby byli niepożądanymi gośćmi w moich włościach. A nowi barbarzyńcy, jeśli w ogóle przyplłyną, będą tam równie niepożądani. Co zaś do Anjin-sana... – Toranaga wzruszył ramionami. – A zresztą, jak długo to wszystko... no cóż, karma, ne?

Alvito gorąco podziękował Bogu za miłosierdzie i przychylność w postaci takiej łaski Toranagi.

–Dziękuję ci, wielmożny panie – rzekł, ledwie mogąc mówić. – Na pewno tego nie pożałujesz. Modlę się, żeby twoi wrogowie zostali rozniesieni w puch, a ty żebyś mógł zebrać wszystkie nagrody Niebios.

–Żałuję swoich szorstkich słów. Wypowiedziałem je w gniewie. Jest tyle... – Toranaga wstał niezgrabnie. – Pozwalam ci odprawić jutro mszę, stary przyjacielu.

–Dziękuję, wielmożny panie – odparł Alvito i nisko się uklonił, litując się nad tym zazwyczaj majestatycznym mężczyzną. – Dziękuję ci z całego serca. Niechaj Boska Istota błogosławi ci i ma cię w swojej opiece.

Toranaga, stąpając ciężko, wszedł do zajazdu, a za nim strażnicy.

–Naga-san!

–Tak, ojcze – odpowiedział młodzieniec, śpiesząc ku niemu.

–Gdzie pani Mariko?

–Tam, z Buntaro-sanem, wielmożny panie. – Naga wskazał małą herbaciarnię z zapalonymi lampionami wewnątrz ogrodu, w której widać było ludzkie cienie. – Czy mam im przerwać cha-no-yu?

Cha-no-yu było sformalizowaną, w najwyższym stopniu zrytualizowaną ceremonią picia herbaty.

–Nie. Nie wolno jej przerywać. A gdzie Omi i Yabu-san?

–W swoim zajeździe, wielmożny panie.

Naga wskazał niezgrabny niski budynek po drugiej stronie rzeki, niedaleko brzegu.

–Kto go wybrał?

–Ja, wielmożny panie. Wybacz, ale kazałeś mi znaleźć zajazd na drugim brzegu rzeki. Czy źle cię zrozumiałem?

–A Anjin-san?

–Jest w swoim pokoju, wielmożny panie. Czeka, na wypadek gdybyś go potrzebował.

Toranaga jeszcze raz potrząsnął przecząco głową.

–Zobaczę się z nim jutro – rzekł i po chwili dodał tym samym nieobecny tonem: – Teraz się wykąpię. A potem nie życzę sobie, żeby mi przeszkadzano, aż do rana, chyba że...

Naga czekał niespokojnie, przyglądając się ojcu zapatrzonemu niewidzącym wzrokiem w przestrzeń. Był ogromnie zmieszany jego zachowaniem.

–Dobrze się czujesz, ojcze? – spytał.

–Słucham? A, tak... tak, nic mi nie jest. A dlaczego pytasz?

–Bez powodu... przepraszam. Czy nadal masz zamiar rano zapolować?

–Zapolować? O, tak, to dobry pomysł. Dziękuję ci, żeś mi o tym przypomniał, tak, to mi bardzo dobrze robi. Zajmij się tym. No, to dobrej nocy... Aha, pozwoliłem Tsukku-sanowi na odprawienie dyskretnej mszy: Mogą na nią pójść wszyscy chrześcijanie. Ty pójdziesz również.

–Słucham, wielmożny panie?

–W pierwszym dniu nowego roku zostaniesz chrześcijaninem.

–Ja?!

–Tak. Dobrowolnie. Powiedz o tym po cichu Tsukku-sanowi.

–Słucham, wielmożny panie?

–Ogłuchłeś?! – naskoczył na niego Toranaga. – Czy znowu nie rozumiesz najprostszyc rzeczy?

–Przepraszam. Tak, ojcie. Rozumiem.

–To dobrze.

Toranaga znów się rozkojarzył, a po chwili odszedł w towarzystwie przybocznego strażnika.

Do Nagi podszedł jeden z oficerów, równie zatroskany jak on.

–Co się stało z naszym panem? – spytał.

–Nie wiem, Yoshinaka-san. – Naga spojrział przez ramię na polanę. Alvito właśnie oddalał się, idąc w asyście tylko jednego samuraja w stronę mostu. – Ma to jakiś związek z nim.

–Jeszcze nie widziałem, żeby pan Toranaga stąpał tak ociężale. Widzę to pierwszy raz. Powiadają... powiadają, że ten barbarzyński kapłan to czarownik. To na pewno prawda, skoro tak dobrze mówi po japońsku, ne? Czy mógłby rzucić urok na naszego pana?

–Nie. W żadnym razie. Nie na mojego ojca.

–Ja przez tych barbarzyńców aż się cały trzęsę, Naga-sań. Czy słyszałeś o tej kłótni, o tym, że Tsukku-san i jego banda wrzeszczeli i sprzecjali się jak niewychowani eta?

–Tak. To odrażające. Jestem pewien, że ten człowiek zakłócił harmonię mojego ojca.

–Jeżeli chcesz znać moje zdanie, to strzała w gardło tego kapłana zaoszczędziłaby naszemu panu wielu kłopotów.

–Tak.

–Może powinniśmy powiedzieć o panu Toranadze panu Buntaro. Jest naszym dowódcą.

–Zgoda, ale później. Ojciec powiedział wyraźnie, żeby nie przerywać ceremonii cha-no-yu. Zaczekam, aż pan Buntaro skończy.

Wśród milczenia Mariko siedziała przez chwilę nieruchomo, zachowując niezmacony spokój i nie chcąc jeszcze potwierdzić żadnym znakiem, że to koniec ceremonii, ani zakłócać panującej ciszy. Czuła jednak na sobie coraz natarczywszy wzrok męża. Cha-no-yu dobiegła końca. Zaczynało się znów zwykłe życie.

–Urządziłeś to doskonale – wyszeptała, przytłoczona smutkiem.

Uroniła łzę, której upadek wyrwał mu serce z piersi.

–Ach, nie... nie. Wybacz, proszę... ale to ty jesteś doskonała... ceremonia była zwyczajna – rzekł, zaskoczony jej niespodziewaną pochwałą.

–Nie widziałam lepszej – odparła, ujęta kryształową uczciwością brzmiącą w głosie męża.

–Nie, nie, wybacz, jeśli w miarę się udała, to dzięki tobie, Mariko-san. Udała się w miarę... to ty ją ozdobiłaś.

–Dla mnie była nieskazitelna. Pod każdym względem. Jaka szkoda, że nie mogli jej zobaczyć inni, więcej warci ode mnie.

Jej oczy błyszczały w migotliwym świetle.

–Widziałaś ją ty! To wystarczy. Była przeznaczona tylko dla ciebie. Inni by jej nie zrozumieli.

Poczuła na policzkach gorące łzy. W zwykłych okolicznościach wstydziłaby się ich, lecz w tej chwili jej nie „przeszkadzały.

–Dziękuję, jak mogę ci za to podziękować?

Wziął gałązkę dzikiego tymianku, pochylił się i drżącymi palcami delikatnie pochwycił na nią łzę Mariko. W milczeniu spuścił wzrok na łądyżkę ziela, która jeszcze bardziej zmalowała w jego dużej dłoni.

–Moje dzieło... moje dzieło... nie umywa się do jej piękna -, powiedział. – Dziękuję ci.

Przypatrywał się łzie na listku.

Oboje dali się nieść słodkiej melancholii, połączeni prostotą pojedynczej łzy, radzi z panującej ciszy, dzieląc uczucie pokory i wiedząc, że dar zwrócono w stanie nieskalanym.

–Gdyby nie zabraniał nam tego obowiązek, to poprosiłbym cię, żebyś połączyła się ze mną w śmierci. Teraz.

–Odeszłabym razem z tobą.

–Z chęcią – odparła natychmiast. – Wyjdźmy na spotkanie śmierci. Już.

–Nie możemy. Mamy obowiązek wobec pana Toranagi. Mariko wyjęła z obi sztylet i z czcią ułożyła go na tatami.

–W takim razie pozwól, że ja przygotuję się do niej – powiedziała.

–Nie. Bo tym samym nie dopełniłbym swojego obowiązku.

–Co ma być, to będzie. Ty i ja nie przeważymy szali.

–Tak, ale nie możemy odejść przed naszym panem. Ani ty, ani ja. Potrzebuje wszystkich swoich wiernych wasali trochę dłużej. Wybacz, proszę, ale nie wolno mi do tego dopuścić.

–Z radością odeszłabym dziś wieczorem. Jestem gotowa. Więcej nawet, ja pożądam przejścia na tamtą stronę. Tak. Moją duszę przepelnia radość. – Uśmiechnęła się z wahaniem. – Wybacz mi, proszę, samolubstwo. Masz zupełną słuszność co do naszego obowiązku.

W świetle świecy błysnęło ostre jak brzytwa ostrze. Przyglądali się mu, zagubieni w kontemplacji. A potem Buntaro zniszczył nastrój.

–Dlaczego jedziesz do Osaki, Mariko-san? – spytał.

–Są tam do załatwienia sprawy, które jedynie ja mogę załatwić.

Zmarszczki na jego czole pogłębiły się, kiedy patrzył, jak światło z kapiącej świecy pada na łzę i zostaje rozszczepione na tysiąc kolorów.

–Jakie sprawy?

–Sprawy dotyczące przyszłości naszej rodziny, które muszę załatwić właśnie ja.

–W takim razie musisz jechać. – Spojrzał na nią badawczo. – Jedziesz tam sama?

–Tak. Chcę dopilnować, żeby wszystkie rodzinne umowy pomiędzy nami a panem Kiyamą w sprawie małżeństwa Sarujiego zostały załatwione bez zarzutu. Pieniądze, posag, ziemie i tak dalej. Trzeba załatwić prawne powiększenie jego lenna. Załatwienia tej sprawy domagają się pan Hiro-matsu i pan Toranaga. Jestem odpowiedzialna za naszą rodzinę.

–Tak – odparł wolno – to twój obowiązek. – Ich oczy spotkały się. – Jeżeli pan Toranaga każe ci jechać, to jedź, ale wątpię, czy pozwolą ci tam zostać. Niemniej i tak... musisz szybko wrócić. Bardzo szybko. Niemądrze byłoby pozostawać w Osace nawet chwilę dłużej niż to konieczne.

–Tak.

–Morzem dojechałabyś prędzej niż lądem. Ale ty przecież nie znosiłaś morza.

–I nadal nie znoszę.

–Czy masz się tam stawić szybko?

–Nie wiem, czy pół miesiąca albo miesiąc robi różnicę. Być może, nie jestem pewna. Po prostu czuję że powinnam tam pojechać natychmiast.

–Wobec tego kwestię terminu i samego wyjazdu zostawmy do decyzji pana Toranagi, jeśli w ogóle pozwoli ci jechać. Obecność tutaj pana Zatakiego i te dwa zwoje pergaminu oznaczają tylko jedno: wojnę. Podróż będzie zbyt niebezpieczna.

–Tak. Dziękuję ci.

Buntaro przyjrzał się uważnie sztyletowi i dodał ponuro:

–Och, Mariko-san, nic więcej nie możemy zrobić dla pana Toranagi. Jego karma jest już zapisana. Wygra albo przegra. Wygra czy przegra, będzie wielka rzeź.

–Tak.

W zadumie oderwał oczy od sztyletu i zamyślił się nad gałązką dzikiego tymianku, nad wciąż niezmaconą, czystą łąką.

–Jeżeli przegra, zanim zginę – dodał po pewnym czasie – to ja sam albo, jeśli nie będę żył, jeden z moich ludzi zabije Anjin-sana.

Jej twarz jaśniała w ciemnościach. Powiewy leciutkiego wietrzyku poruszały kosmyki jej włosów, jeszcze bardziej upodabniając ją do posągu.

–Wybacz, proszę, czy wolno mi spytać dlaczego?

–Jest zbyt niebezpieczny, żeby żyć. Jego wiedza, pomysły, które słyszałem nawet z piątej ręki... zarażą cesarstwo, nawet pana Yaemona. Pan Toranaga znalazł się pod jego urokiem, ne?

–Panu Toranadze wiedza sprawia przyjemność – odparła Mariko.

–Chwila, w której on umrze, będzie też wyrokiem śmierci na pilota. Mam jednakże nadzieję, że naszemu panu wcześniej otworzą się oczy. – Świeca zatrzeszczała i zgasła. Buntaro spojrział na żonę. – Czy ty jesteś pod jego urokiem?

–To fascynujący człowiek. Ale jego sposób myślenia tak różni się od naszego... jego wartości... tak, jest pod tyloma względami tak bardzo odmienny od nas, że czasem bywa zupełnie niepojęty. Kiedyś starałam się mu wytłumaczyć ceremonię cha-no-yu, ale nie był w stanie jej zrozumieć...

–To na pewno straszne urodzić się barbarzyńcą – powiedział Buntaro.

–Tak.

Jego wzrok spoczął na ostrzu sztyletu.

–Niektórzy uważają, że w poprzednim wcieleniu Anjin-san był Japończykiem. Nie przypomina innych barbarzyńców i... bardzo się stara mówić i zachowywać jak jeden z nas, lecz – mu się to nie udaje, ne?

–Szkoda, żeś go nie widział, kiedy bliski był popełnienia seppuku, Buntaro-san. Ja... to było niezwykle. Zobaczyłam, jak odwiedza go śmierć, którą zawróciła ręka Omiego. Gdyby w poprzednim życiu był Japończykiem, wiele by to tłumaczyło. Pan Toranaga uważa, że w tej chwili jest on dla nas cenny.

–Czas, żebyś zarzuciła jego nauki i z powrotem stała się Japonką.

–Słucham, wielmożny panie?

–Uważam, że pan Toranaga jest pod jego urokiem. I ty też.

–Wybacz mi, ale wątpię w to.

–Tamtej nocy w Anjiro, tej, która źle się potoczyła, czułem, że ty trzymasz z nim... przeciwko mnie. Oczywiście była to zła myśl, ale tak to czułem.

Mariko oderwała oczy od sztyletu. Spojrzała spokojnie na Buntaro i nic nie powiedziała. Następna świeca zatrzasnęła krótko i zgasła. Paliła się już tylko jedna.

–Tak, tamtej nocy nienawidziłem go – ciągnął Buntaro tym samym spokojnym głosem – i pragnąłem jego śmierci, a także twojej i Fujiko-san. Mój łuk szeptał do mnie, jak mu się to czasem zdarza, domagając się, żebym zabił. A kiedy nazajutrz o świcie zobaczyłem go schodzącego ze wzgórza z tymi małymi pistoletami dla tchórzów w rękach, moje strzały błagały mnie, bym pozwolił im się napić jego krwi. Ale odłożyłem zabicie go na później i narzuciłem sobie pokorę, nienawidząc swoich złych manier bardziej niż jego, wstydzając się ich-i wypitej sake. – Zaczął zdradzać oznaki

zmęczenia. – Tak wiele wstydu musimy znosić, ty i ja. Ne?

–Tak.

–Nie chcesz, żebym go zabił?

–Musisz robić to, co, jak wiesz, jest twoim obowiązkiem – odparła. – Podobnie jak ja zawsze będę wypełniała swój.

–Dzisiaj nocujemy w zajeździe – powiedział.

–Tak.

I wtedy zmienił zamiar. Ponieważ okazała się wymarzonym gościem, a jemu ceremonia cha-no-yu udała się jak jeszcze nigdy, postanowił, że zwróci jej tyle samo czasu i spokoju, ile od niej otrzymał.

–Idź do zajazdu. Spać – rzekł, wziął sztylet i podał go Mariko. – Kiedy klony stracą liście albo kiedy powrócisz z Osaki, zaczniemy od początku. Jako mąż i żona.

–Tak. Dziękuję ci.

–Zgadzasz się na to dobrowolnie, Mariko-san?

–Tak. Dziękuję ci.

–Twój Bóg ci świadkiem?

–Tak. Mój Bóg świadkiem.

Mariko ukloniła się, wzięła sztylet, schowała go” ukloniła się jeszcze raz i wyszła.

Jej kroki ucichły. Buntaro spuścił wzrok na gałązkę tymianku, którą nadal ścisnął w dłoni, i na lżę pochwyconą na małe listki. Drżącymi palcami delikatnie ułożył gałązkę na dogorywających węglach. Soczyste zielone liście zaczęły się zwijać i czernieć. Łza wyparowała z sykiem.

A potem w ciszy „Buntaro rozplakał się z gniewu, nagle dogłębnie pewien, że Mariko zdradziła go z Anjin-sanem.

Blackthorne dojrzał ją, kiedy wychodziła z ogrodu i szła przez dobrze oświetlony dziedziniec. Jej prześliczna bladość zaparła mu dech. Na niebo po wschodniej stronie wkradał się już świt.

–Witaj, Mariko-san.

–Och... witaj, Anjin-san! Ty... bardzo przepraszam, zaskoczyłeś mnie... nie zauważyłam ciebie. Późno chodzisz spać.

–Nie. Gomen nasai, o właściwej porze. – Uśmiechnął się i wskazał na brzask, który był już blisko. – To zwyczaj nabyty na morzu. Człowiek budzi się tuż przed świtem, w samą porę, żeby wyjść na pokład i być gotowym do zmierzenia wysokości słońca na niebie. – Uśmiechnął się szerzej. – To ty późno chodzisz spać.

–Nie miałam pojęcia, że to... że noc minęła.

Strażujący przy bramach i wszystkich wejściach samuraje, a wśród nich Naga, przypatrywali im się bacznie. Mariko przeszła na łacinę i jej głos stał się prawie niedosłyszalny.

–Strzeż się ich oczu, błagam cię – powiedziała. – Nawet w najciemniejszej nocy kryją się zwiastuni nieszczęścia.

Odwrócili głowy, ponieważ przy głównej bramie zaklekotały kopyta koni sokolników, myśliwych i strażników. Z zajazdu wyszedł smętny Toranaga.

–Wszystko gotowe, wielmożny panie – oznajmił Naga. – Czy mogę jechać z tobą?

–Nie, nie, dziękuję. Odpocznij sobie. Mariko-san, jak tam cha-no-yu?

–Bardzo piękna, wielmożny panie. Przepiękna.

–Buntaro-san jest w tym mistrzem. Masz szczęście.

–Tak, wielmożny panie.

–Anjin-San? Chcesz pojechać na polowanie? Chciałbym cię nauczyć polowania z sokołem.

–Słucham, wielmożny panie?

Mariko natychmiast przełożyła słowa Toranagi.

–Tak, dziękuję – odparł Blackthorne.

–Dobrze. – Toranaga dał mu znak, żeby dosiadł konia. – Pojedziesz ze mną.

–Tak, wielmożny panie.

Mariko przyglądała się odjeżdżającym. Kiedy wjechali truchtem pod górę, poszła do swojego pokoju. Służąca pomogła jej się rozebrać, usunąć makijaż i rozpuścić włosy. Mariko kazała dziewczynie pozostać w pokoju po to, by jej samej nie przeszkadzano

aż do południa.

–Tak, pani.

Mariko położyła się, zamknęła oczy i zanurzyła całym ciałem we wspaniałe miękkie spodnie kołdry. Była wyczerpana i szczęśliwa. Ceremonia cha-no-yu pozwoliła jej wznieść się na nieznane dotąd wyżyny ukojenia, oczyściła ją, doprowadzając do wysublimowanego, radosnego postanowienia, żeby umrzeć, a potem wzniosła na jeszcze wyższy szczyt, na jakim dotąd nie gościła. Powrót z owego szczytu na ziemię dał jej niesamowitą i niewiarygodną świadomość cudowności życia. Miała wrażenie, że wyszła z siebie, tak cierpliwie odpowiadając na pytania – Buntaro, przekonana, że jej odpowiedzi i maniery dorównują doskonałością ceremonii. Zwinęła się na posłaniu, uradowana, że zdobyła spokój... aż do pory opadających liści.

Matko Boża, modliła się żarliwie, dzięki Ci, że tak miłosiernie i cudownie przedłużyłaś mi życie. Dziękuję Ci za to z całego serca i z całej duszy, miłując Cię na wieki wieków.

Pokornie odmówiła trzy zdrowaśki, a potem, prosząc o wybaczenie, zgodnie ze swoim zwyczajem, posłuszna swojemu lennemu panu, na kolejny dzień schowała Boga w zanadrze świadomości.

Co bym zrobiła, gdyby Buntaro poprosił mnie, bym dzieliła z nim łożę? – zastanawiała się, nim ją zmorzył sen.

Odmówiłabym mu.

No, a gdyby upierał się przy tym, bo ma prawo?

Dotrzymałabym obietnicy danej mu podczas cha-no-yu. O, tak. Nic się nie zmieniło.

O godzinie Kozła orszak ponownie przeszedł przez most. Wszystko było jak poprzednio, z tą różnicą, że tym razem Zataki i jego ludzie ubrani byli lekko, do podróży... albo do starcia. Wszyscy uzbrojeni byli po zęby i wprawdzie bardzo karni, ale w razie zwady gotowi walczyć na śmierć i życie. Usiedli w ordynku naprzeciwko znacznie od nich liczniejszych szeregów Toranagi. Ojciec Alvito stał z boku w tłumie widzów. Tak samo Blackthorne.

Toranaga powitał Zatakiego z taką samą ceremonialną grzecznością, przedłużając uroczyste posiedzenie. Obaj daimyō byli dziś na pomoście sami, a ich poduszki umieszczono dalej od siebie. Chmury wisiały nisko. Yabu, Omi, Naga i Buntaro otaczali wianuszkiem Toranagę siedząc na ziemi, a za plecami Zatakiego zajmowało miejsca czterech jego wojskowych doradców.

W stosownym momencie Zataki wyjął drugi zwój.

–Przyszedłem po twoją oficjalną odpowiedź – oznajmił.

–Zgadzam się pojechać do Osaki i podporządkować woli Rady – odparł spokojnym głosem Toranaga i ukłonił się.

–Chcesz się podporządkować? – spytał Zataki z twarzą wykrzywioną w grymasie niedowierzania. – Ty, Toranaga-no-Minowara, chcesz...

–Posłuchaj – przerwał mu Toranaga swoim dźwięcznym, nakazującym posłuch głosem, który chociaż wcale nie wydawał się głośny, to rozszedł się po całej polanie.

– Radzie Regencyjnej należy okazać posłuch! Nawet jeżeli jest ona nielegalna, jest instytucją cesarstwa, którego żaden daimyō nie ma prawa rozdzierać, bez względu na to, ile słuszności jest po jego stronie. Cesarstwo ma pierwszeństwo! Jeżeli więc jakiś daimyō się zbuntuje, to obowiązkiem pozostałych jest go zniszczyć.

Przysiągłem taikō, że przenigdy jako pierwszy nie naruszę pokoju, więc mimo że w naszym kraju panoszy się zło, nie zrobię tego. Przyjmuję zaproszenie! Wyruszam dziś!

Oślupiali samuraje, wszyscy bez wyjątku, próbowali odgadnąć, co oznacza ta nieprawdopodobna zmiana stanowiska. Byli boleśnie świadomi faktu, że jeżeli nie wszyscy, to większość z nich będzie zmuszona zostać roninami, wraz z wszelkimi konsekwencjami tej odmiany losu: utratą honoru, dochodów, rodziny i przyszłości.

– Poddajesz się, panie? Nie będziemy się bić?! – ryknął Yabu, zdając sobie sprawę, że śmierć jego i jego rodziny jest więcej niż pewna.

–Przyjmuję zaproszenie Rady – odparł Toranaga. – Podobnie jak przyjmiesz je ty!

–Ja nie będę...

Wyrwany z zamyślenia Omi miał na tyle przytomności, by w lot pojąć, że natychmiast musi przerwać wujowi, jeśli ten nie ma zginąć błyskawiczną śmiercią, do czego doprowadziłby każdy sprzeciw wobec woli Toranagi. Niemniej umyślnie zapieczętował usta, krzycząc w duchu z uciechy na ten zesłany z nieba dar, i czekał, aż Yabu się pogrąży.

–Czego nie będziesz? – spytał Toranaga.

Dusza głośno ostrzegała Yabu przed niebezpieczeństwem.

–Ja... ja... naturalnie, twoi poddani będą ci posłuszni – zdołał wycharczeć. – Tak... jeżeli postanowisz... cokolwiek postanowisz... ja to wykonam.

Omi zaklął w duchu i ponownie przybrał kamienną minę, wciąż zdetonowany nieoczekiwaną kapitulacją Toranagi.

Zirytowany Toranaga pozwolił Yabu jąkać się dalej, a tym samym przeproszać usilniej. Wreszcie przerwał mu z lekceważeniem.

–To dobrze – rzekł i zwrócił się ponownie do Zatakiego, ale zachował czujność. – Tak więc, bracie, możesz odłożyć drugi zwój. Poza tym nic... – Kątem oka dostrzegł zmieniającą się minę syna i ostrzegł go:

–Naga!

Młodzieniec omal nie wyskoczył ze skóry, ale zdjął dłoń z miecza.

–Tak, ojcze? – spytał, zacinając się.

–Przynieś mi przybory do pisania! Natychmiast!

Kiedy Naga znalazł się poza zasięgiem mieczy przeciwników, Toranaga odetchnął z ulgą, że udało mu się zapobiec atakowi na Zatakiego. Przyjrzał się bacznie Buntaro. Potem Omiemu. A na końcu Yabu. Uznał, że wszyscy trzej ochłonęli już na tyle, by nie zrobić jakiegoś głupstwa, prowokując natychmiastową walkę i wielką rzeź.

–Zaraz dam ci moją oficjalną zgodę na piśmie – zwrócił się do Zatakiego. – Przygotuje to Radę na moją uroczystą wizytę. – Ściszył głos i powiedział tylko do brata: – W granicach Izu jesteś bezpieczny, regencie. I bezpieczny poza nimi. Jesteś bezpieczny aż do chwili, gdy uwolnię z twoich łap moją matkę. Tylko do tego czasu. Spotkanie skończone.

–Dobrze. „Uroczystą wizytę”? – zadrwił Zataki, nie ukrywając pogardy. – Co za

hipokryzja! Do głowy by mi nie przyszło, że doczekam dnia, w którym Yoshi Toranaga-no-Minowara będzie bił pokłony generałowi Ishido. Jesteś po prostu...

–Co jest ważniejsze, bracie? – przerwał mu Toranaga. – Ciągłość mojego rodu czy ciągłość cesarstwa?

Kiedy wszystko przygotowano do wyjazdu, Toranaga wyszedł ze swoich pokoi na werandę i wezwał Mariko i Blackthorne'a. Mariko pozwolił pojechać do Osaki.

–Ale najpierw udasz się stąd prosto do Mishimy – powiedział do niej. – Przekażesz mój prywatny list panu Hiro-matsu, a potem pojedziesz dalej z Anjin-sanem do Edo. Aż do przyjazdu do Edo odpowiadasz za niego. Stamtąd prawdopodobnie popłyniesz do Osaki, zdecyduję o tym później. Anjin-san! Czy otrzymałeś słownik od księdza?

–Proszę? Bardzo przepraszam, nie rozumiem. Mariko przełożyła.

–Przepraszam. Tak, dostałem książka.

–Kiedy zobaczymy się w Edo, będziesz mówił po japońsku lepiej niż w tej chwili. Wakarimasu ka?

–Hai. Gomen nasai.

Przygnębiony Toranaga opuścił podwórze, osłaniany przed deszczem dużym parasolem niesionym przez samuraja. Wszyscy samuraje, tragarze i wieśniacy jednocześnie złożyli mu ukłon. Nie zwracając na nich uwagi, wszedł do stojącego na czele kolumny palankinu z dachem i zaciągnął zasłony.

Buntaro wrócił do wysokiej, rzeźbionej bramy zajazdu, nie dbając o lejący deszcz.

–Mariko-san! – zawołał.

Posłusznie pośpieszyła ku niemu, osłaniając się parasolką z pomarańczowego impregnowanego papieru, w który bębniły ciężkie krople.

–Słucham, wielmożny panie?

Jego spoglądające spod runda bambusowego kapelusza oczy przemknęły ponad nią i dotarły do Blackthorne'a, który patrzył na nich z werandy.

–Powiedz mu... – Buntaro urwał.

–Tak, wielmożny panie? Buntaro wbił wzrok w żonę.

–Powiedz mu, że czynię go odpowiedzialnym za ciebie.

–Tak, wielmożny panie – odparła. – Zechciej mi jednak wybaczyć, ale za siebie odpowiadam sama.

Buntaro odwrócił się i ocenił odległość do czoła kolumny. Kiedy spojrzął ponownie na Mariko, na jego twarzy znać było udrękę.

–A więc opadające liście nie przykryją już naszych oczu? – spytał.

–To jest w ręku Boga, wielmożny panie.

–Nie, to jest w rękach pana Toranagi – rzekł wzgardliwym tonem.

Podniosła wzrok, wcale nie drżąc pod jego spojrzeniem. Deszcz bębnił w parasolkę. Krople spadały z jej róna niczym kurtyna z łez. Błoto ochlapało rąbek kimona Mariko.

–Sayonara – powiedział Buntaro – do zobaczenia w Osace.

To ją zaskoczyło.

–Och, przepraszam, a czy nie zobaczymy się w Edo? Z pewnością przyjedziesz tam z panem Toranagą, i to chyba w tym samym czasie co ja, ne? Zobaczę się wtedy z tobą, panie?

–Tak. W Osace jednak, kiedy się tam spotkamy lub kiedy z niej powrócisz, zaczniemy od nowa. Dopiero wtedy naprawdę się zobaczymy, ne?

–Ach, rozumiem. Bardzo przepraszam.

–Sayonara, Mariko-san – powtórzył.

–Sayonara, panie.

Mariko ukłoniła mu się. Odpowiedział jej głębokim ukłonem pożegnalnym i przez błocko poszedł do swojego konia. Wskoczył na siodło i nie oglądając się pogalopował.

–Jedź z Bogiem – powiedziała, patrząc za nim.

Stojący pod dachem werandy Blackthorne przyglądał się, jak Mariko odprowadza męża wzrokiem. Wkrótce czoło kolumny zniknęło w chmurach, a potem także palankin Toranagi i wtedy odetchnął szerzej, nadal przytłoczony decyzją daimyō i całym tym złowróbnym dniem.

Tuż przed południem, po powrocie z polowania w Yokose i po spotkaniu Toranagi z Zatakim, kiedy wykąpał się i wziął masaż, na drodze stanął mu nagle niczym mściwa

zjawia ojciec Alvito w asyście dwóch wrogich akolitów.

–Jezu Chryste, precz ode mnie! – powiedział Blackthorne.

–Nie masz się czego bać ani nie potrzebujesz bluźnić – odparł Alvito.

–Bodaj Bóg przeklął ciebie i wszystkich księży! – odrzekł mu Blackthorne, starając się opanować. Dobrze wiedział, że znajduje się na terytorium wroga, ponieważ wcześniej był świadkiem, jak z pół setki katolickich samurajów przeszło przez most, żeby, jak wyznała Mariko, wziąć udział w mszy, którą na podwórku swojego zajazdu odprawił Alvito. Sięgnął dłonią do miecza, ale nie znalazł go, bo wbrew obowiązującemu zwyczajowi nie nosił go do kąpielowych szat. Przeklął się więc za głupotę, bardzo żałując, że nie jest uzbrojony.

–Oby Bóg wybaczył ci bluźnierstwa, pilocie. Tak. Oby wybaczył ci i otworzył oczy. Nie żywię do ciebie urazy. Przychodzę z podarunkiem. Proszę, oto dar od Boga.

Blackthorne wziął podejrzliwie pakunek. Kiedy otworzył go i ujrzał portugalsko-lacińsko-japoński słownik z gramatyką, ogarnęło go wzruszenie. „Przejrzał kilka stron. Nigdy dotąd nie widział podobnie doskonałego druku, a jakość i szczegółowość haseł wręcz oszałamiała.

–Tak, to jest rzeczywiście dar od Boga, ale dajcie mi go z rozkazu pana Toranagi.

–Jesteśmy posłuszni jedynie rozkazom naszego Pana.

–Toranaga zażądał od was, żebyście mi go dali?

–Tak. Wyraził takie życzenie.

–A czy „życzenie” Toranagi nie jest rozkazem?

–To zależy, naczelnny pilocie, od tego, kim jesteś, czym jesteś i jak mocna jest twoja wiara. – Alvito wskazał książkę. – Trzech naszych braci poświęciło na przygotowanie tego dzieła dwadzieścia siedem lat.

–No, to dlaczego mi je dajecie?

–Bo nas o to poproszono.

–A dlaczego nie wykręciliście się jakoś od spełnienia żądania Toranagi? Przecież macie na to aż nadto sprytu.

Alvito wzruszył ramionami. Blackthorne prędko przekartkował słownik, sprawdzając go. Papier był doskonały, druk bardzo przejrzysty. Nie brakowało stron.

–Jest kompletny – rzekł rozbawiony Alvito.– My nie przepoławiamy książek.

–Ta książka jest zbyt cenna, by z niej robić prezenty. Czego chcecie w zamian?

–Pan Toranaga poprosił nas, żebyśmy dali ją tobie. Ojciec wizytator zgodził się na to. Tak więc dostajesz ją. Została wydrukowana dopiero teraz, w tym roku. Nareszcie. Jest piękna, prawda? Prosimy tylko, byś się o nią troszczył, byś ją dobrze traktował. Zasługuje na dobre traktowanie.

–Zasługuje, by ją strzec jak życia. To bezcenna wiedza, tak jak i wasze ruty. Ale więcej warta. Czego za to chcecie?

–Nie prosimy cię o nic.

–Nie wierzę. – Blackthorne z jeszcze większą podejrzliwością zważył słownik w rękę. – Przecież dobrze wiecie, że w ten sposób staję się wam równy. Otrzymuję całą waszą wiedzę, co zaoszczędza nam dziesięć, może dwadzieścia lat. Z pomocą tego słownika już niedługo będę mówić tak dobrze jak ty. A kiedy to się stanie, będę mógł uczyć innych. To klucz do całej Japonii, ne? Język to klucz do każdej obczyzny, prawda? Za sześć miesięcy będę mógł rozmawiać bezpośrednio z panem Toranaga.

–Tak, być może. Jeżeli będziesz miał te sześć miesięcy.

–Co chcesz przez to powiedzieć?

–Nic ponadto, co już i tak wiesz. Pan Toranaga zginie znacznie prędzej niż za sześć miesięcy.

–Dlaczego? Co za wieści mu przywiozłeś? Od rozmowy z tobą przypomina byka z na wpół poderżniętym gardłem. Coś mu powiedział, ha?

–Wiadomość ta była poufna, wiadomość od jego eminencji dla pana Toranagi. Przykro mi, ale jestem zwyczajnym posłańcem. Z pewnością wiadomo ci jednak, że w Osace rządzi generał Ishido, a kiedy pan Toranaga tam pojedzie, straci wszystko. I ty również.

–Dlaczego ja? – spytał Blackthorne, czując lodowaty chłód w kościach.

–Nie uciekniesz od swojego przeznaczenia, pilocie. Pomogłeś panu Toranadze przeciwko Ishido. Wyprowadziłeś statek z zatoki w Osace. Przykro mi, ale mówienie po japońsku, twoje miecze i status samuraja nic ci nie pomogą. Być może gorzej dla ciebie, że zostałeś samurajem. Mogą ci teraz wydać rozkaz popelnienia seppuku, a jeżeli odmówisz... Mówiłem ci już – dodał Alvito tym samym łagodnym tonem – to są prości ludzie.

–My, Anglicy, też jesteśmy prości – odparł z niemalą brawurą Blackthorne. – Kiedy giniemy, to giniemy, wierząc jednak przy tym w Boga i nie dając zamoknąć prochowi. Nic się nie bój, księżu, mam jeszcze w zapasie trochę sztuczek.

–Ależ ja się nie boję, pilocie. Nie boję się niczego ani ciebie, ani twojej herezji, ani twoich dział. Wszystkie są zagwożdżone, tak jak i ty sam.

–Karma, wszystko w rękach Boga, nazywaj to sobie jak chcesz – odparł zdenerwowany Blackthorne.– Ale Bóg świadkiem, że odzyskam statek, a za parę lat przywiodę tutaj eskadrę okrętów i przepędzę was z Azji do wszystkich diabłów!

Alvito przemówił raz jeszcze ze swoim ogromnym, onieśmiałającym spokojem.

–O tym zadecyduje Pan Bóg, pilocie. Tutaj jednak wszystko jest już przesądzone i żadna z twoich przepowiedni się nie spełni. Żadna. – Alvito spojrzał na Blackthorne’a tak, jakby miał przed sobą nieboszczyka. – Niechaj Bóg zmiłuje się nad tobą, bo wierzę, On mi świadkiem, że nigdy nie opuścisz tych wysp.

Blackthorne zadrżał, przypominając sobie, z jakim przekonaniem Alvito wypowiedział te słowa.

–Zimno ci, Anjin-san?

Stojąca obok niego w wieczornym zmierzchu na werandzie Mariko otrząsnęła z deszczu swoją parasolkę.

–Ach, przepraszam, nie, nie jest mi zimno, po prostu rozmyślałem – odparł.

Spojrzał na przełęcz. Kolumna już zniknęła w zwałach chmur. Deszcz nieco zelżał i padał łagodnie i miękko.

–Wieczorem jest znacznie przyjemniej, prawda? – spytała Mariko.

–Tak – odpowiedział w pełni świadom, że są całkiem sami i że jeśli tylko zachowają ostrożność, a ona będzie pragnąć tego samego co on, nic im nie grozi...

Służąca, która nadeszła z suchymi skarpetami tabi, wzięła od Mariko parasolkę, uklękła i ręcznikiem zaczęła osuszać jej stopy.

–Jutro o świcie wyruszamy w podróż, Anjin-san.

–Długą?

–Kilkudniową, Anjin-san. Pan Toranaga powiedział... że mamy mnóstwo czasu.

–Ojciec Alvito twierdzi, że kiedy pan Toranaga pojedzie do Osaki, będzie skończony

– rzekł z niepokojem Blackthorne.

–O, tak. Tak, Anjin-san, to najprawdziwsza prawda – przyznała Mariko z ożywieniem, którego nie czuła. – Ale Osaka jest o wiele mil«stąd, w odległości niezliczonych trociczek czasu, jednakże do chwili, kiedy stanie się, co się stanie, nikt nie może wiedzieć, co to będzie, ani Ishido, ani poczciwy ojciec, ani my, ani nikt. Ne? O tym wie tylko Bóg. Ale nam tego nie powie, prawda? Być może aż do ostatniej chwili, ne?

–Hai! – Zaśmiał się wraz z nią. – Ach, jesteś taka mądra.

–Dziękuję, ale chcę ci coś zaproponować, Anjin-san. W czasie tej podróży zapomnijmy o wszystkich kłopotach dookoła. O wszystkich.

–Moja ty – powiedział po łacinie. – Jakże dobrze jest cię oglądać.

–I ciebie... – Mariko urwała, bo minęła ich właśnie Gyoko, którą wraz z Kiku Toranaga polecił jej zabrać ze sobą w podróż.

–Wobec tych dwóch należy w czasie podróży zachować nadzwyczajną ostrożność, ne?

–Bądź tego pewna, pani.

–Jestem pewna. Prawdę powiedziawszy, nawet bardzo.

–Jesteśmy w tej chwili niemal sami, ne? Ty i ja.

–Tak. Ale tego, co było, nie ma i nigdy się nie zdarzyło.

–To prawda. Tak. Masz znowu słuszność. I jesteś piękna. Przez bramę wszedł samuraj i pozdrowił Mariko. Był w średnim wieku, miał dziobatą twarz, siwiejące włosy i lekko utykał.

–Przepraszam, wielmożna pani Toda, ale wyjeżdżamy o świcie, ne? – spytał.

–Tak, Yoshinaka-san. Jeżeli jednak sobie życzysz, to nic nie szkodzi, jeżeli zaczekamy z wyjazdem do południa. Mamy mnóstwo czasu.

–Tak. Jak wolisz, wyjedźmy zatem w południe. Dobry wieczór, Anjin-san. Pozwól, że się przedstawię. Jestem Akira Yoshinaka, dowódca twojej eskorty.

–Dobry wieczór, dowódco.

Yoshinaka zwrócił się ponownie do Mariko.

–Odpowiadam za niego i za ciebie, wielmożna pani, dlatego powiedz mu, proszę, że mam rozkaz pozostawić w jego pokoju na noc dwóch ludzi, żeby go chronili. W nocy wartę będzie pełnić dziesięciu strażników. Dookoła was. W sumie mam stu ludzi.

–Dobrze, kapitanie. Bardzo mi przykro, ale radzę nie pozostawiać na noc żadnych ludzi w pokoju Anjin-sana. Do bardzo surowo przestrzeganych zwyczajów jego nacji należy spanie samemu lub w towarzystwie jednej damy. Będzie z nim prawdopodobnie nocować moja służąca, więc nie pozostanie bez opieki. Dlatego zechciej wystawić dookoła strażników, ale nie za blisko, żeby go nie zdenerwować.

Yoshinaka podrapał się w głowę i zmarszczył czoło.

–No dobrze, wielmożna pani – rzekł. – Tak, zgadzam się na to, chociaż mój sposób ma więcej sensu. W takim razie jednak poproś go z łaski swojej, żeby nie wychodził na te nocne przechadzki. Aż do Edo odpowiadam za wszystkich, a kiedy odpowiadam za bezpieczeństwo wielu ważnych osób, to robię się bardzo nerwowy.

Yoshinaka uklonił się sztywno i odszedł.

–Kapitan prosi cię, żebyś nie oddalał się w pojedynkę podczas tej podróży. Jeżeli wstaniesz w nocy, zawsze bierz z sobą samuraja, Anjin-san – powiedziała Mariko. – Twierdzi, że w ten sposób mu pomożesz.

–Dobrze. Tak, tak zrobię. – Blackthorne patrzył za odchodzącym. – Czy mówił o czymś jeszcze? Zrozumiałem, że wspomniał coś o spaniu. Rozumiem go nie za bardzo...

Urwał, bo z zajazdu wyszła Kiku. Miała na sobie kąpielową szatę, a włosy zawinięte gustownie w ręcznik. Boso przeszła wolnym krokiem w stronę łaźni z gorącym źródłem, złożyła im półukłon i pomachała ręką. Odpowiedzieli jej na pozdrowienie.

Blackthorne przyglądał się jej długim nogom i rozkołysanemu chodowi, dopóki nie zniknęła. Czując na sobie baczny wzrok Mariko, spojrział na nią.

–Nie – zapewnił od razu i pokręcił głową.

Roześmiała się.

–Myślałam, że... po tak nadzwyczajnym poduszkowaniu będziesz skrępowany jej towarzystwem w podróży – powiedziała.

–Skrępowany, nie. Przeciwnie, jest mi bardzo przyjemnie. Mam przyjemne wspomnienia. Cieszę się, że Kiku należy teraz do pana Toranagi. To wszystko ułatwia, jej, jemu... Wszystkim. – Miał zamiar dodać, że wszystkim, prócz Omiego, ale się rozmyślił. – W końcu dla mnie była ona jedynie bardzo wyjątkowym, wspomniał

podarkiem. Niczym więcej. Ne?

–Tak, była podarkiem.

Chciał dotknąć Mariko. Ale nie dotknął. Zamiast tego odwrócił się od niej i wpatrzył w przełęcz, nie całkiem pewien, co kryje się w spojrzeniu ukochanej. Przełęcz spowiły już nocne ciemności. I chmury. Z dachu przyjemnie kapłała woda.

–Co jeszcze mówił dowódca eskorty? – spytał.

–Nie ważnego, Anjin-san.

Podróż do Mishimy trwała dziewięć dni i każdej nocy jej część spędzali razem. Potajemnie. Nieświadomie pomagał im w tym Yoshinaka, bo we wszystkich zajazdach wybierał dla nich sąsiadujące ze sobą pokoje.

–Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, wielmożna pani, ale to bardzo ułatwi nam zapewnienie wszystkim bezpieczeństwa – powtarzał za każdym razem, a Mariko wyrażała zgodę i brała dla siebie środkowy pokój, sąsiadujący z pokojami Kiku i Gyoko oraz Blackthorne’a. W środku nocy zaś pozostawiała służącą Chimmoko i szła do niego. Ponieważ ze wszystkich pozostałych pokoi dobiegała normalna paplanina, nocne odgłosy, śpiewy i hulanki innych podróżnych, których otaczał nieodmiennie rój zawsze gotowych do posług służących, czuwający na zewnątrz strażnicy z niczego nie zdawali sobie sprawy. W sekret kochanków wtajemniczona była jedynie Chimmoko.

Mariko wiedziała, że w końcu Gyoko, Kiku i wszystkie kobiety w ich grupie poznają, co się święci. Ale to jej nie martwiło. Była samurajką, a one nie. Jej słowo liczyło się bardziej od ich świadectw, chyba że przyłapano by ją in flagranti, żaden samuraj jednak, nawet Yoshinaka, nie ośmieliłby się bez zaproszenia otworzyć w nocy drzwi do jej pokoju. Wszyscy wiedzieli, że Blackthorne sypia z Chimmoko bądź którąś ze służących z zajazdu. Tak więc mogła ją zdradzić wyłącznie jedna kobieta, a gdyby ją zdradziła, to zarówno zdrajczynie, jak pozostałe służące z ich grupy zginęłyby śmiercią bardziej pospolitą i trwającą dłużej niż śmierć jej samej, Mariko, ukaranej za podłą zdradę. Ponadto wszystkie one wiedziały, że gdyby tylko zechciała, to przed dotarciem do Mishimy czy Edo, mogłaby je w każdej chwili uśmiercić za choćby najmniejszą, prawdziwą bądź rzekomą, niedyskrecję. Była przekonana, że Toranaga nie sprzeciwiłby się zabijaniu. Z pewnością przyklasnęłyby śmierci Gyoko i – coś jej mówiło w głębi serca – nie sprzeciwiłby się nawet śmierci Kiku. Za dwa i pół tysiąca koku można przecież kupić wiele kurtyzan pierwszej rangi.

Tak więc nie czuła się zagrożona przez kobiety. Ale przez Blackthorne’a owszem, mimo że tak mocno go pokochała. Nie – był Japończykiem. Nie był szkolony od urodzenia do budowania wewnętrznych, niezniszczalnych płotów, za którymi można się skryć: Jego twarz, zachowanie, duma mogły go zdradzić. Nie bała się o siebie. Bała się o niego.

–Nareszcie wiem, co to znaczy kochać – wyznała podczas pierwszej nocy. A ponieważ przestała już walczyć z miłosnymi porywami i nie opierała się im dłużej, pożerał ją strach o jego bezpieczeństwo. – Kocham cię, dlatego boję się o ciebie – wyszeptała po łacinie, języku kochanków, trzymając go w objęciach.

–Kocham cię. Och, jakże cię kocham.

–Zakochując się w tobie, zniszczyłam cię, ukochany. Jesteśmy zgubieni. Zniszczyłam cię... taka jest prawda.

–Nie, Mariko, na pewno zdarzy się coś takiego, że wszystko ułoży się dobrze.

–Nie powinnam się w tobie zakochać. To moja wina.

–Błagam cię, przestań się martwić. Karma to karma.

Po pewnym czasie udała, że ją przekonał, i roztajała w jego ramionach. Była jednak pewna, że sam wykopie sobie grób. O siebie nie bała się wcale.

Wspólne noce były rozkoszne. Każda następna czulsza i wspanialsza od poprzedniej. Dla niej dni były łatwe, dla niego trudne. Bez przerwy miał się na baczności, ze względu na nią za nic nie chcąc popełnić jakiegoś błędu.

–Ty na pewno nie popełnisz błędu – powiedziała, kiedy jechali razem, w bezpiecznej odległości od reszty. – Jesteś taki silny. Jesteś samurajem i nie popełnisz błędu.

–A po dotarciu do Edo?

–Edo... zostawmy Edo. Kocham cię.

–Tak. I ja też cię kocham.

–To dlaczego jesteś taki smutny?›.

–Nie jestem smutny, pani. Cierpię, bo muszę milczeć. A chciałbym krzyknąć o swojej miłości ze szczytów gór.

Radowali się swoim odosobnieniem i pewnością, że nadal nie grożą im niczyje wścibskie oczy.

–Co się z nimi stanie, Gyoko-san? – spytała w palankinie swoją opiekunkę Kiku pierwszego dnia podróży.

–Czeka ich katastrofa, Kiku-san. Nie ma dla nich żadnych widoków na przyszłość. On się z tym dobrze kryje, ale ona!... Z jej twarzy wprost krzyczy uwielbienie dla niego! Przyjrzyj się jej! Jest jak młoda dziewczyna! Ach, jaka’ ona głupia!

–Ach, jaka jednak piękna, ne? Jakie to szczęście zaznać takiej pełni uczuć, ne?

–Tak, ale mimo wszystko nikomu nie życzyłabym zguby, która ich czeka...

–Co zrobi Yoshinaka, kiedy odkryje, co ich łączy?

–Może nie odkryje. Modłę się, żeby nie odkrył. Mężczyźni to tacy durnie i tacy są głupi. Nie dostrzegają u kobiet najprostszyc rzeczy, dzięki niech będą za to Buddzie, a jego imię pochwalone. Módlmy się, żeby ich nie odkryto aż do chwili, kiedy my zajmiemy się naszymi interesami w Edo. Módlmy się, by nas nie obarczono odpowiedzialnością. O, tak, zaiste! A kiedy zatrzymamy się dziś po południu, odszukajmy najbliższą świątynię, gdzie zapalę w intencji bóstwa dziesięć trociczek. Na wszystkich bogów, jeżeli nam się uda wyjść z tego cało i dostanę pieniądze, to gotowa jestem przez dziesięć lat przeznaczac w świątyni wszystkim bóstwom po trzy koku rocznie.

–Taka z nich piękna para, ne? Jeszcze nie widziałam kobiety w takim rozkwicie.

–Tak, ale kiedy oskarżą ją przed panem Buntaro, zwiędnie jak złamana kamelia. Ich karma jest ich karmą i nic na to nie poradzimy. Podobnie w przypadku pana Toranagi... a nawet Omiego. Nie płacz, dziecko.

–Biedny Omi-san.

Omi dogonił ich trzeciego dnia podróży. Zatrzymał się w ich zajeździe, a po wieczery na osobności oficjalnie poprosił Kiku, żeby połączyła się z nim na wieczność.

–Z ochotą, Omi-san, z ochotą – odparła natychmiast, nie powstrzymując łez, ponieważ bardzo go lubiła. – Ale obowiązki wobec pana Toranagi, który mnie wyróżnił, a także wobec Gyoko-san, która mnie wykształciła, nie pozwalają „mi na to.

–Pan Toranaga stracił do ciebie prawo. Poddał się. Jest skończony.

–Ale nie dotyczy to, choćbym nie wiem jak tego pragnęła, jego umowy, Omi-san. Umowa ta jest prawomocna i obowiązuje. Wybacz mi, ale muszę ci odmówić...

–Nie, odpowiadaj od razu, Kiku-san. Przemyśl to sobie. Proszę, błagam cię. Daj mi odpowiedź jutro – powiedział i odszedł.

Ale następnego dnia jej zroszona łzami odpowiedź była taka sama.

–Nie mogę być taka samolubna, Omi-san. Wybacz mi. Mam obowiązki wobec pana Toranagi i Gyoko-san. Nie mogę tego zrobić, choćbym nie wiem jak bardzo chciała. Przepraszam.

Zaczął ją przekonywać. Popłynęło więcej łez. Poprzysięgli sobie. wzajemne uwielbienie, potem zaś odesłała go z obietnicą:

–Jeżeli umowa nie zostanie dotrzymana albo pan Toranaga umrze, a ja będę wolna, wtedy zrobię wszystko, co chcesz, posłucham każdego twojego rozkazu.

Tak więc Omi opuścił zajazd i odjechał do Mishimy pełen niedobrych przeczuć, ona zaś osuszyła łzy i poprawiła makijaż.

–Jesteś taka mądra, dziecko – pochwaliła ją Gyoko. – Och, jakbym chciała, żeby pani Toda miała choć w połowie twój rozum.

–A, dzień dobry, Mariko-san. Jaki piękny dzień – powiedział ojciec Alvito, zbliżając się do nich. Stali przed zajazdem, gotowi do wyruszenia w całodzienną drogę. Zrobił nad nią znak krzyża. – Niech cię Bóg błogosławi i zawsze ma w swojej pieczy.

–Dziękuję, ojczu.

–Dzień dobry, pilocie. Jak się dzisiaj czujesz?

–Dobrze, dziękuję, A ty?

Ich oddziałek i jezuici wyprzedzali się na przemian po drodze. Czasem zatrzymywali się w tym samym zajeździe. Czasem jechali razem.

–Czy życzysz sobie, pilocie, żebym dziś rano podróżował z wami? – spytał Alvito. – Jeśli zechcesz, z przyjemnością pouczę cię znowu japońskiego...

–Tak, chcę. Dziękuję.

Pierwszego dnia podróży Alvito zaproponował Blackthorne'owi, że będzie go uczył języka.

–W zamian za co? – spytał czujnie Blackthorne.

–Za nic. W ten sposób zapełnię sobie wolny czas, a ponadto, mówiąc szczerze, w tej chwili jest mi smutno i czuję się staro. Poza tym, być może, chcę ci dać zadośćuczynienie za moje szorstkie słowa.

–Nie oczekuję od ciebie żadnego zadośćuczynienia. Ty robisz swoje, a ja swoje. Nigdy się nie spotkamy.

–Możliwe... ale w czasie tej podróży możemy się tym i owym dzielić, ne? Jesteśmy wędrowcami podróżującymi tą samą drogą. Chciałbym ci pomóc.

–Dlaczego?

–Bo wiedza należy do Boga, nie do człowieka. Chciałbym ci dopomóc, traktując to jako dar... nie żądając niczego.

–Dziękuję, ale nie wierzę ci.

–W takim razie, skoro się upierasz, opowiedz mi o swoim świecie, co widziałeś i gdzie byłeś. Cokolwiek, ale tylko to, co chcesz, samą prawdę. To mnie naprawdę interesuje i będzie godziwą zapłatą. Przybyłem do Japonii, kiedy miałem trzynaście czy czternaście, lat i nie widziałem niczego na świecie. Jeżeli chcesz, to możemy nawet na czas tej podróży zawrzeć rozejm.

–I nie będziemy rozmawiać o religii, polityce i doktrynach papistów?

–Jestem, kim jestem, pilocie, ale postaram się.

Tak więc zaczęli się ostrożnie dzielić wiedzą. Blackthorne uważał tę wymianę za niesprawiedliwą, jako że erudycja Alvita była przeogromna i był wybornym nauczycielem, podczas gdy on sam sądził, że mówi mu jedynie o rzeczach dobrze znanych Wszystkim pilotom.

–Ależ to nieprawda – zaprzeczył Alvito. – Jesteś wyjątkowym pilotem, dokonałeś rzeczy niebywałych. Należysz do pół tuzina takich żeglarzy na świecie, ne?

Powoli nastąpiło między nimi zawieszenie broni, co ucieszyło Mariko.

–To jest przyjaźń, Anjin-san, albo jej początek – powiedziała mu.

–Nie, to nie przyjaźń. Nie ufam mu tak jak zwykle, tak samo jak i on mnie. Jesteśmy nieustającymi wrogami. O niczym nie zapomniałem ani on. Jest to czasowe zawieszenie broni, prawdopodobnie z jakiegoś konkretnego powodu, którego nigdy by mi nie wyjawiał, gdybym go o to spytał. Rozumiem go i nic w tym złego, jak długo mam się na baczności.

Zdarzyło się to siódmego dnia po wyjeździe z Yokose. Po dojechaniu do rozwidlenia traktu ojciec Alvito oznajmił im nagle, że się z nimi rozstaje. Pojedzie traktem na zachód, żeby na mniej więcej jeden dzień odwiedzić swój statek, ale jeżeli wolno, dogoni ich i przyłączy się do nich znowu na drodze z Mishimy do Edo.

–Oczywiście, oboje możecie pojechać ze mną «- zaproponował.

–Dziękuję ci, ojcze, przepraszam, ale mam do załatwienia w Mishimie kilka spraw – odparła Mariko...

–A ty, Anjin-san? Skoro pani Mariko będzie zajęta, to zapraszam ciebie samego. Mamy bardzo dobrego kucharza, a wino smaczne. Bóg mi świadkiem, że nic ci nie zagraża, będziesz mógł się poruszać swobodnie. Na pokładzie jest Rodrigues.

Mariko spostrzegła, że Blackthorne chce ją opuścić. Jak może? – zapytywała się ze smutkiem. – Jakże może rozstawać się ze mną, kiedy zostało już tak niewiele czasu?

–Jedź, proszę, Anjin-san – powiedziała. – Dobrze ci to zrobi... i miło ci będzie znów zobaczyć Rodriguesa, ne?

Ale chociaż Blackthorne bardzo chciał pojechać, to nie pojechał. Nie ufał temu jezucie. Nawet dla Rodriguesa nie wszedłby w te sidła. Podziękował zakonnikowi i razem z Mariko patrzył, jak odjeżdża.

–Zatrzymajmy się, Anjin-san – zaproponowała Mariko, choć było dopiero południe. – Nie ma pośpiechu, ne?

–Doskonale. Tak, jestem za tym.

–Ojciec to dobry człowiek, ale cieszę się, że odjechał.

–Ja również. Ale to nie jest dobry człowiek. To ksiądz!

Gwałtowność, z jaką wyrzucił z siebie te słowa, zaskoczyła ją.

–Och, przepraszam, Anjin-san, wybacz mi, proszę, że powiedziałam...

–To nieważne, Mariko-san. Już ci mówiłem... ja nie zapominam o niczym. On zawsze będzie na mnie dybał.

Blackthorne poszedł odszukać kapitana Yoshinakę. Zmartwiona Mariko spojrzała na rozstaje dróg na zachodzie.

Tej nocy spali niespokojnie.

–Co się stało, ukochany? – spytała.

–Nic, Mariko-san. Śpij.

Ale nie zasnęła. I on też. Znacznie wcześniej, niż musiała, wśliznęła się z powrotem do swojego pokoju, on zaś wstał i usiadł na dziedzińcu, w świetle świecy aż do świtu studiując słownik. Kiedy wzeszło słońce i nastał ciepły dzień, ich nocne troski zniknęły i spokojnie kontynuowali podróż. Wkrótce dotarli do wielkiej drogi głównej Tokaidō, tuż na wschód od Mishimy, i napotkali znacznie więcej podróżnych. Przeważnie wędrowali oni, tak jak zwykle, pieszo, dźwigając swój dobytek na plecach. Natknęli się również na kilka jucznych koni, ale – nie na powozy.

–Ach, powozy... to coś, co ma koła, ne? W Japonii nie mają zastosowania, Anjin-san – wyjaśniła Mariko. – Nasze drogi są za strome, a poza tym poprzecinane zawsze przez rzeki albo strumienie. Ponadto koła zniszczyłyby ich nawierzchnię, tak więc nie wolno ich używać nikomu oprócz cesarza, a i on przejeżdża zaledwie kilka ri po specjalnej drodze w Kioto w czasie uroczystości. Nie potrzebujemy kół. Jakże

przenosić pojazdy przez rzeki i strumienie... których jest dużo, o wiele za dużo, by przerzucić nad nimi mosty. Stąd do Edo jest do przebycia może ze sześćdziesiąt strumieni, Anjin-san. Ile dotąd musieliśmy pokonać? Tuziny, ne? Nie, my tu tylko chodzimy lub jeździmy konno. Oczywiście z koni, a zwłaszcza palankinów wolno korzystać jedynie ważnym osobom, daimyō i samurajom, a i to nie wszystkim.

–Co takiego? Nawet jeżeli cię stać na palankin, to nie możesz go wynająć?

–Nie, jeżeli nie masz odpowiedniej pozycji, Anjin-san. To bardzo mądre prawo, nie sądzisz? Lekarze i bardzo starzy ludzie mogą podróżować na koniu albo w lektyce, także ludzie bardzo chorzy, jeśli otrzymają pozwolenie na piśmie od swojego lennego pana. Palankiny i konie nie byłyby stosowne dla chłopów i pospólstwa. Nauczyłyby ich lenistwa, ne? Znacznie lepiej dla nich, że poruszają się pieszo.

–To również zapobiega opuszczaniu przez nich miejsca, prawda?

–O, tak. Ale wszystko to służy zachowaniu spokoju, porządku i wa. Pieniądze do zmarnotrawienia mają jedynie kupcy, a przecież to darmozjady, które niczego nie tworzą, nie sieją, nie robią nic prócz pasienia się na cudzej pracy. Oni wszyscy stanowczo powinni poruszać się pieszo, ne? Pod tym względem jesteśmy bardzo mądrzy.

–Nigdy nie widziałem tylu wędrujących ludzi – powiedział Blackthorne.

–Och, to jeszcze nic. Zaczekaj, aż zbliżymy się do Edo. Uwielbiamy podróżować, Anjin-san, ale rzadko sami. Lubimy podróżować w grupach.

Ale wędrujące tłumy nie spowalniały ich podróży. Godło Toranagi na chorągwiach, osobista pozycja Mariko i szorstka fachowość Akiry Yoshinakiego oraz gońców wysłanych przodem, by obwieszczali, kto jedzie, zapewniały im najlepsze pokoje w najlepszych zajazdach i niczym nie zakłóconą wędrowkę. Wszyscy obcy podróżni i samuraje prędko ustępowali im z drogi i gięli się w niskich ukłonach czekając, aż przejadą.

–Czy oni wszyscy muszą zatrzymywać się i tak klękać przed każdym? – spytał Blackthorne.

–O, nie, Anjin-san. Tylko przed daimyō i ważnymi osobami. A ponadto przed większością samurajów. Tak, mądrze, że obowiązuje to cały gmin. To grzeczny zwyczaj, Anjin-san, i niezbędny, ne? Gdyby pospólstwo nie szanowało samurajów ani siebie, to jakże mogłoby działać prawo i jak można by było rządzić cesarstwem? W dodatku prawo to obowiązuje wszystkich. Czyż nie zatrzymaliśmy się, nie ukłoniliśmy się i nie przepuściliśmy cesarskiego posłańca? Do grzeczności zobowiązani są wszyscy. Mniej ważni daimyō muszą zsiadać z koni i kłaniać się możniejszemu. Naszym życiem rządzą rytuały, ale w cesarstwie panuje posłuch.

–A powiedzmy, że spotykają się dwaj daimyō równi sobie.

–Wtedy obaj zsiadają z koni, kłaniają się sobie równie głęboko i rozjeżdżają się w swoje strony.

–Powiedzmy, że spotykają się pan Toranaga i generał Ishido.

Mariko gładko przeszła na łacinę.

–A kim oni są, Anjin-san? – spytała. – Nie znam tych nazwisk, nie dzisiaj, nie między nami.

–Masz słuszność, pani. Proszę o wybaczenie.

–Posłuchaj, ukochany, przyrzeknijmy, że jeżeli Madonna uśmiechnie się do nas i szczęśliwie wyjedziemy z Mishimy, dopiero w Edo, na Pierwszym Moście, dopiero tam, do tego zmuszeni, opuścimy nasz intymny świat. Proszę cię, dobrze?

–A cóż takiego grozi nam w Mishimie?

–Nasz kapitan musi tam złożyć meldunek panu Hiro-matsu. Ja też muszę się z nim zobaczyć. To mądry człowiek, bardzo spostrzegawczy. Ktoś z łatwością mógłby nas zdradzić.

–Byliśmy ostrożni. Poprośmy Pana Boga, żeby twoje obawy były bezpodstawne.

–O siebie się nie martwię, jedynie o ciebie.

–A ja o ciebie.

–A więc przyrzekniemy sobie, że pozostaniemy w naszym własnym intymnym świecie?

–Tak. Udawajmy, że to świat prawdziwy... i że innego świata nie ma.

–Oto Mishima, Anjin-san.

Mariko wskazała na drugi brzeg ostatniego strumienia, który mieli przebyć. Prawie całe nieregularnie rozrzucone miasto z blisko sześćdziesięcioma tysiącami mieszkańców skrywała poranna, nisko zawieszona mgła. Widać było tylko zarysy niewielu dachów i kamienny zamek. Za miastem ciągnęły się góry zbiegające ku morzu po zachodniej stronie wyspy. Daleko na północnym zachodzie wznosiła się wspaniała góra Fuji. Jej północny i wschodni stok zasłaniały niebo.

–I co teraz? – spytał Blackthorne.

–Yoshinaka otrzymał polecenie, że ma znaleźć najładniejszy zajazd w promieniu dziesięciu ri. Zatrzymamy się w nim na dwa dni. Przynajmniej tyle zajmie mi załatwienie moich spraw. W tym czasie Kiku-san i Gyoko odłączą się od nas. A potem wyruszymy dalej. Co twoje wyczucie pogody mówi ci na temat klimatu Mishimy?

–Że jest tu przyjaźnie i bezpiecznie – odparł. – A co potem, co po Mishimie?

Wskazała bez przekonania na północny wschód.

–Potem pojedziemy tamtędy. Jest tam przełęcz, która wije się przez góry w stronę Hakone. To najbardziej uciążliwy odcinek gościńca Tokaidō. Dalej opada ona do miasta Odawara, znacznie większego od Mishimy, Anjin-san. Leży ono na wybrzeżu. Stamtąd dotarcie do Edo jest już tylko kwestią czasu.

–Długiego?

–Nie dość.

–Mylisz się, ukochana, wybacz mi – rzekł. – Mamy czasu, ile dusza zapragnie.

General Todą Hiro-matsu przyjął od Mariko prywatny list, który przywiozła. Złamał pieczęcie Toranagi. W zwoju znalazł krótki opis wydarzeń w Yokose, potwierdzenie, że Toranaga zdecydował się poddać woli Rady, a także rozkaz mówiący, że aż do jego powrotu jemu, Hiro-matsu, nie wolno przepuścić przez granice i przełęcze Kantō żadnego intruza (ma natomiast szybko załatwić każdego posłańca od Ishido i ze wschodu), a ponadto wskazówki na temat chrześcijańskich renegatów oraz Anjin-sana. Stary żołnierz ze znużeniem odczytał list jeszcze raz.

–A teraz opowiedz mi o wszystkim, coś widziała w Yokose albo słyszała tam na temat pana Toranagi.

Mariko wypełniła to polecenie. –

–A teraz opowiedz mi, co według ciebie zaszło – rzekł Hiro-matsu. Ponownie spełniła jego życzenie.

–Co zaszło pomiędzy tobą a moim synem w czasie tej cha-no-yu? Opowiedziała mu wszystko, ze szczegółami.

–I mój syn doszedł do wniosku, że nasz pan przegra? Przed drugim spotkaniem z Zatakim?

–Tak, wielmożny panie.

–Jesteś pewna?

–O, tak, wielmożny panie.

W komnacie wysoko na zamkowej wieży górującej nad miastem zapadła długa cisza. Hiro-matsu wstał i podszedł do otworu strzelniczego w grubym kamiennym murze. Bolały go plecy i stawy, w rękach trzymał swobodnie miecz.

–Nie rozumiem tego – wyznał.

–Słucham, wielmożny panie?

–Nie rozumiem ani mojego syna, ani naszego pana. Możemy się przebić przez każdą armię, z którą Ishido stanie na polu bitwy. A co do decyzji o poddaniu się...

Mariko bawiła się wachlarzem, patrząc na wieczorne niebo, wygwieżdżone i miłe.

Hiro-matsu przyjrzał się jej bacznie.

–Doskonale wyglądasz, Mariko-san, młodo jak nigdy. Na czym polega twoja tajemnica?

–Nie mam żadnej tajemnicy, wielmożny panie – odparła i nagle zaschło jej w gardle. Czekala na zawalenie świata, ale minęła chwila i starzec skierował spojrzenie bystrych oczu na miasto w dole.

–A teraz powiedz mi, co się wydarzyło po waszym wyjeździe z Osaki. Wszystko, co widziałaś, słyszałaś lub w czym uczestniczyłaś.

Nim skończyła, zrobiło się bardzo późno. Opowiedziała mu o wszystkim bez niedomówień, z wyjątkiem tego, jak daleko posunęła się w zażyłości z Anjin-sanem. Ale nawet w tym przypadku nie omieszkała dać do zrozumienia, że go lubi i ceni za inteligencję i dzielność. Nie zataiła też podziwu, jaki ma dla jego walorów Toranaga.

Przez dłuższą chwilę Hiro-matsu spacerował tam i z powrotem, a ruch łagodził ból, który odczuwał. Wszystko zgadzało się z raportami Yoshinaki i Omiego, nawet tyrada Zatakiego, wygłoszona przed jego spieszonym odjazdem do Shinano. Teraz zrozumiał wiele rzeczy dotąd niejasnych i uzyskał dosyć informacji, żeby podjąć dobrze skalkulowaną decyzję. Niektóre fragmenty relacji Mariko napawały go odrazą, inne jedynie jeszcze bardziej podsycaly nienawiść do własnego syna. Wprawdzie mógł zrozumieć, co nim powodowało, lecz to i tak nie zmieniało niczego. Reszta opowieści Mariko wzbudzała w nim niechęć do barbarzyńcy, a niekiedy podziw dla niego.

–Widziałaś, jak wyciągnął naszego pana w bezpieczne miejsce? – spytał...

–Tak, wielmożny panie, gdyby nie on, pan Toranaga już by nie żył. Jestem pewna. Trzykrotnie uratował naszemu panu życie: podczas ucieczki z zamku w Osace, na pokładzie galery w zatoce oraz z całą pewnością podczas trzęsienia ziemi. Widziałam miecze, które wykopał pan Omi. Były pogięte jak makaron i nie nadawały się do niczego.

–Myślisz, że Anjin-san naprawdę chciał popełnić seppuku?

–Tak. Przysięgam na chrześcijańskiego Pana Boga, że wierzę, iż miał szczerzy zamiar to zrobić. Tylko Omi-san temu zapobiegł. A poza tym, wielmożny panie, nie mam wątpliwości, że godzien jest być samurajem, że godzien jest być hatamoto.

–Nie prosiłem cię o zdanie.

–Przepraszam, wielmożny panie, to prawda. Ale przecież pytanie takie miałeś na języku.

–Stałaś się nie tylko nauczycielką barbarzyńcy, ale i nauczyłaś się czytać w

myślach?

–O nie, wielmożny panie, przepraszam, oczywiście, że nie – odparła jak najmielszym tonem. – Po prostu wypełniam polecenie przywódcy mojego rodu najlepiej, jak mi na to pozwalają moje skromne możliwości. Przede wszystkim mam na względzie interesy naszego pana. Twoje zaś interesy stoją zaraz po nich.

–Naprawdę?

–Bardzo przepraszam, ale o to nie trzeba mnie pytać. Rozkazuj mi, wielmożny panie. Wypełnię twoje rozkazy.

–Skąd w tobie tyle dumy, Mariko-san? – spytał podchwytliwie. – Przekonania o własnej słuszności? Co?

–Przepraszam, wielmożny panie. Zachowałam się niegrzecznie. Nie zasługuję na taki...

–Wiem! Tak jak wszystkie kobiety! – Hiro-matsu roześmiał się. – Ale mimo to zdarza się, że potrzebujemy tej chłodnej, okrutnej, złośliwej, przebiegłej, praktycznej mądrości kobiet. Są o wiele sprytniejsze od nas, ne?

–Och, nie, wielmożny panie – odparła zastanawiając się, co naprawdę miał na myśli...

–Bardzo dobrze, że jesteśmy sami. Gdybym wygłosił to zdanie publicznie, uznaliby, że stary Żelazna Pięść stetryczał, że czas, aby odłożył miecz, ogolił głowę i zaczął się modlić do Buddy za dusze ludzi, których odesłał w Pustkę. I mieliby rację.

–Nie, wielmożny panie. Jest tak, jak powiedział twój syn, mój szanowny mąż. Dopóki los naszego pana nie jest przesądzony, nie odejdziesz. Ani ty, ani mój szanowny mąż. Ani ja.

–Tak. Ale mimo to z wielką chęcią odłożyłbym miecz i poszukał spokoju Buddy dla siebie i tych, których uśmierciłem.

Przez jakiś czas Hiro-matsu spoglądał w nocny mrok, czując swoje lata, aż wreszcie spojrzął na Mariko. Rozkosz było na nią patrzeć, bardziej niż na jakąkolwiek znaną mu kobietę.

–Wielmożny panie? – spytała.

–Nic, nic, Mariko-san. Przypomniało mi się, kiedy zobaczyłem cię pierwszy raz – odparł.

–A gdzie jest w tej chwili Ingeles, ojciec?

–Nie wiem dokładnie, Rodrigues. Na razie. Na pewno w jednej z gospód w południowej dzielnicy Mishimy. Pozostawiłem tam służącego, żeby dowiedział się w której.

Alvito zebrał resztkę sosu skórką świeżego chleba.

–A kiedy będziesz wiedział?

–Ani chybi jutro.

–Que va, chciałbym się z nim znów zobaczyć. Czy jest zdrowy? – spytał szczerym tonem Rodrigues.

–Tak.

Okrętowy dzwon odezwał się sześć razy. Była trzecia po południu. – Czy powiedział ci, co się z nim działo po wypłynięciu z Osaki?

–Wiem o tym częściowo. Od niego i innych. To długa historia i dużo by o tym opowiadać. Najpierw zajmę się moją korespondencją, porozmawiamy później.

W małej kabinie na rufie, gdzie siedzieli, Rodrigues odchylił się w tył w fotelu.

–Dobrze. Doskonale – rzekł i wpatrzył się w ostre rysy jezuity, jego bystre piwne oczy z żółtymi cętkami. Oczy kota. – Posłuchaj, ojciec, ten Ingeles uratował mi statek i życie. Pewnie, że to wróg, pewnie, że to heretyk, ale jest pilotem, jednym z najlepszych w historii. Nic złego w tym, że się szanuje wroga, a nawet w tym, że się go lubi.

–Pan Jezus wybaczył swoim wrogom, a ci mimo to ukrzyżowali go. – Alvito chłodno spojrział Rodriguesowi w oczy. – Ale ja też go lubię. A przynajmniej lepiej go rozumiem. Zostawmy na chwilę ten temat.

Rodrigues skinął głową na znak zgody. Spostrzegł, że talerz księdza jest pusty, więc sięgnął przez stół i podsunął bliżej półmisek.

–Proszę, ojciec, jeszcze trochę kapłona? Chleba? – zaproponował.

–Dziękuję. Tak, chętnie. Nie miałem pojęcia, jak bardzo zgłodniałem.

–Wina?

–Tak, dziękuję.

–A gdzie reszta twoich ludzi, ojciec?

–Zostawiłem ich w zajeździe przy nabrzeżu...

Rodrigues spojrzął przez okna na rufie, wychodzące na Nimazu, nabrzeża, port i znajdujące się na wprost prawej burty ujście rzeki Kano, z wodą ciemniejszą niż morska. Kręciło się tam wiele rybackich łodzi, przypluwających i wypływających w morze.

–A ten sługa, którego zostawiłeś, ojciec... czy można mu ufać? Jesteś pewien, że nas znajdzie?

–O, tak. Z pewnością nie wyruszą z Mishimy jeszcze przez dwa dni. Nie zapominaj, że podróżują z pełną pompą. Pozycja pani Mariko i chorągwie Toranagi nadają tej podróży ceremonialny charakter. O nich i o tym, gdzie się zatrzymują, wiedzą wszyscy w promieniu wielu mil.

Rodrigues roześmiał się...

–Ingeles podróżujący z wielką pompą? Kto by to pomyślał? Niczym jakiś zapowietrzony daimyō!

–To jeszcze daleko nie wszystko, pilocie. Toranaga zrobił z niego samuraja i hatamoto.

–Co takiego?!

–Obecnie naczelną pilot Blackthorne paraduje z dwoma mieczami. I swoimi pistoletami. A ponadto jest zaufanym Toranagi i do pewnego stopnia jego protegowanym.

–Ingeles?!

–Tak.

Alvito celowo zamilkł, by w kabinie zaległa cisza, i zabrał się znów do jedzenia.

–A czy wiesz dlaczego? – spytał Rodrigues.

–Tak, częściowo; Wszystko w swoim czasie, pilocie.

–Powiedz mi dlaczego. Krótko. A szczegóły podasz mi później, proszę, ojciec.

–Anjin-san po raz trzeci uratował Toranadze życie. Dwukrotnie podczas ucieczki z Osaki, a ten trzeci raz podczas trzęsienia ziemi w Izu.

Alvito łapczywie wgrzył się w kurze udko. Po czarnej brodzie spływała mu nitka tłuszczu. Jego rozmówca czekał, ale jezuita nie dodał już ani słowa. Rodrigues w zamyśleniu przeniósł wzrok na pucharek, który trzymał w ręku. W powierzchni ciemnoczerwonego wina odbiło się światło.

–Ten sakramencki Ingeles blisko Toranagi nie oznacza dla nas nic dobrego – odezwał się po dłuższej chwili. – Wcale. Nie on. Prawda?

–Masz rację.

–A mimo to chciałbym się z nim zobaczyć.

Jezuita nic na to nie powiedział. Rodrigues w milczeniu zaczekał, aż Alvito oczyści talerz, i poczęstował go znowu. Zupełnie stracił dobry humor. Po zniknięciu korpusu i ostatniego skrzydełka kapłona, osuszeniu jeszcze jednego kielicha wina, nadszedł czas na smaczny francuski koniak, który ojciec Alvito wyjął z kredensu.

–A ty, Rodrigues? Napijesz się kieliszek?

–Dziękuję.

Żeglarz patrzył, jak Alvito nalewa orzechowo-brązowy płyn do kryształowego kieliszka. Całe wino i koniak pochodziły z prywatnych zapasów ojca wizytatora i były podarunkiem na pożegnanie dla przyjaciela jezuity.

–Wspaniałe jedzenie, Rodrigues – pochwalił Alvito, bawiąc się okruszkiem na stole.
– Dziękuję.

–To dobrze – odparł spoważniały Rodrigues. – Jakie są twoje plany, ojcze? Powinniśmy...

Zamilkł w pół zdania i wyjrzał przez okna. A potem niezadowolony wstał od stołu. Boleśnie utykając, podszedł do bulaja od strony lądu i wyjrzał.

–Co się stało, Rodrigues?

–Wydało mi się, że zmienia się pływ. Chcę sprawdzić, czy dużo nam zostało bezpiecznej wody. – Otworzył szerzej okiennicę i wychylił się, ale i tak nie dojrzał kotwicy dziobowej. – Przepraszam na chwilę, ojcze – rzekł...’.

Wyszedł na pokład. Spojrzał na miasto i na wzgórza za nim.

–Pesaro!

–Tak, senhor?

–Przygotuj łódź. Przed zmierzchem popłynę na brzeg.

–Tak jest. Będzie gotowa. A kiedy wrócisz, pilocie?

–O świcie.

–To jeszcze lepiej! Zejdę na brzeg z oddziałem, dziesięcioma ludźmi.

–Żadnego schodzenia na brzeg, Pesaro. Kinjiru! Matko Boska, mąci ci się we łbie?

Rodrigues przeszedł przez pokład rufowy i oparł się o nadburcie.

–Nie godzi się, żebyśmy wszyscy ponosili karę – odparł bosman Pesaro, gestykulując stwardniałymi dłońmi. – Zejdę tam z oddziałem i przyrzekam, że nie będzie najmniejszych kłopotów. Już całe dwa tygodnie siedzimy w zamknięciu.

–Władze tego portu powiedziały kinjiru, więc bardzo żałuję, ale kinjiru to, psiamać, kinjiru! Zapomniałeś? Nie jesteśmy w Nagasaki!

–Nie, na rany Chrystusa, i tym większa szkoda! – Mocno zbudowany bosman skrzywił się kwaśno. – Przecież porąbaliśmy tylko jednego Japusa.

–Jeden zarąbany na śmierć, dwóch ciężko ranionych nożami, kupa rannych i pobita dziewczyna, zanim samuraje położyli kres burdzie. Ostrzegalem was wszystkich przed zejściem na brzeg: „Nimazu to nie Nagasaki, więc zachowujcie się jak należy!” O Madonno! I tak mieliśmy szczęście, że wykręciliśmy się z tego tylko śmiercią jednego marynarza. Mieli prawo zarąbać całą piątkę.

–To ich prawo, pilocie, nie nasze. Przeklęte małpy! To była tylko zwykła bijatyka w burdelu.

–Tak, ale wywołali ją twoi ludzie, władze japońskie odizolowały mój statek, a wy macie zakaz opuszczania go. Włącznie ze mną! – Rodrigues przesunął nogę, żeby złagodzić ból. – Bądź cierpliwy, Pesaro. Ojciec już wrócił, więc odpłyniemy.

–Z tym odpływem? O świcie? Czy to rozkaz?

–Nie, jeszcze nie. Masz przygotować łódź. Popłynie ze mną Gomez.

–Pozwól, że ja też z tobą pojedę, co? Per favor, pilocie. Mam potąd uwięzienia na tej francowatej łajbie.

–Nie. I radzę ci nie schodzić dziś wieczorem na ląd. Tobie i wszystkim innym.

–A jeżeli nie wrócisz do rana?

–To do mojego powrotu będziesz tu gnął na kotwicy. Jasne? Grymas na twarzy bosmana powiększył się. Po krótkim wahaniu

Pesaro wycofał się.

–Tak, tak, jasne, jak pragnę Boga!

–To dobrze – rzekł Rodrigues i zszedł pod pokład. Alvito spał, ale ocknął się w chwilę po tym, jak Portugalczyk otworzył drzwi kabiny.

–A, wszystko w porządku? – spytał, syty ciałem i duszą.

–Tak. To tylko pływ się przesilił.

Rodrigues napił się wina, żeby splukać z ust nieprzyjemny smak. Zawsze go czuł, kiedy napotykał bunt. Gdyby Pesaro go nie posłuchał, to byłby zmuszony albo wsadzić mu kulkę w głowę, albo zakuć w kajdany, wymierzyć pięćdziesiąt batów, przeciągnąć pod dnem statku lub zastosować jedną z setki obrzydliwych kar, w myśl prawa morskiego niezbędnych do zachowania dyscypliny. Bez dyscypliny statek byłby stracony.

–Jak wyglądają twoje plany, ojczy? – spytał. – Wypływamy o świcie?

–A jak się mają gołębie pocztowe?

–Są zdrowe. Zostało nam jeszcze sześć, cztery z Nagasaki i dwa z Osaki.

Jezuita sprawdził, gdzie jest słońce. Do zachodu pozostało cztery, pięć godzin. Mnóstwo czasu, żeby wypuścić ptaki z pierwszą, od dawna gotową wiadomością: „Toranaga poddaje się rozkazom regentów. Najpierw jadę do Edo, potem do Osaki. Do Osaki będę towarzyszył Toranadze. Mówi, że nadal możemy wybudować katedrę w Edo. Szczegóły przywiezie Rodrigues”.

–Poproś z łaski swojej gołębiarza, żeby natychmiast przygotował dwa gołębie z Nagasaki i jednego z Osaki – powiedział Alvito. – Potem porozmawiamy. Nie wracam statkiem. Jadę lądem do Edo. Większą część tej nocy i jutrzejszy dzień zajmie mi napisanie szczegółowego listu, który zawieszysz ojcu wizytatorowi i oddasz mu go tylko do rąk własnych. Wypłyniesz zaraz po tym, jak go skończę?

–Jeżeli będzie to przed zmierzchem, to zaczekam do brzasku. Na przestrzeni dziesięciu mil morskich od brzegu są tu mielizny i ruchome łachy... Pojedziesz z Ingelesem? Tak jak poprzednio?

–Owszem. Z Edo sam powrócę do Osaki. Będę towarzyszył panu Toranadze. Chciałbym, żebyś zatrzymał się w Osace z kopią mojego listu na wypadek, gdyby

tam był ojciec wizytator albo gdyby wyjechał z Nagasaki przed twoim przybyciem i właśnie był w drodze do Osaki. W tym przypadku możesz oddać list jego sekretarzowi, ojcu Soldiemu, ale tylko jemu.

–Dobrze. Chętnie stąd odpłynę. Tu nas nienawidzą.

–Z Bożą pomocą możemy to wszystko zmienić, Rodrigues. Z łaski Pana Boga nawrócimy wszystkich tutejszych pogan.

–Mówię na to: amen. Tak. – Wysoki Portugalczyk przesunął nogę i pulsowanie w niej chwilowo ustało. Wyjrzał przez okno, a po chwili zniecierpliwiony wstał. – Sam pójdę po te gołębice – oznajmił. – Napisz tę wiadomość, a potem pogadamy. O Ingelesie.

Poszedł na pokład i z gołębnika wybrał ptaki. Kiedy powrócił, jezuita zdążył już skorzystać z ostrego jak igła pióra i inkaustu, żeby na malutkich pasemkach papieru zapisać jeszcze raz tę samą zaszyfrowaną wiadomość. Zapieczętował depesze w przygotowanych malutkich cylinderkach i wypuścił gołębice. Wszystkie trzy zatoczyły koło, po czym w stadzie pofrunęły na zachód w kierunku południowego słońca.

–Porozmawiamy tutaj czy na dole? – spytał Alvito.

–Tutaj. Tu jest chłodniej.

Rodrigues nakazał marynarzom z wachty na rufówce odejść na taką odległość, żeby nie mogli ich podsłuchać...

Alvito usiadł na żeglarskim krześle.

–Najpierw powiem o Toranadze – rzekł.

Zrelacjonował pilotowi pokrótce, co zaszło w Yokose, pomijając incydent z bratem Józefem i swoje podejrzenia, co do związków Mariko z Blackthorne'em. Wieść o decyzji Toranagi Rodrigues przyjął z osłupieniem.

–Nie ma wojny? To cud! Teraz naprawdę nic już nam nie grozi, nic nie grozi Czarnej Karaweli, Kościół jest bogaty, my bogaci... dzięki niech będą Bogu, wszystkim świętym i Madonnie! Nie mogłeś przywieźć pomyślniejszych wieści, ojcie. Nic nam nie zagraża?

–Jeżeli-da Bóg. Zaniepokoiło mnie jedno zdanie Toranagi. Wyraził się następująco: „Mogę wydać rozkaz uwolnienia mojego chrześcijanina, Anjin-sana. Wraz z jego statkiem i działami”.

Rodriguesa nagle opuścił świetny humor.

–Erasmus jest nadal w Edo? – spytał. – Nadal jest w rękach Toranagi?

–Tak. Czy gdyby Ingeles został uwolniony, toby nam to poważnie zagroziło?

–Poważnie? Gdyby ten statek pod jego dowództwem, z działami i jaką taką załogą na pokładzie, dopadł nas pomiędzy Japonią a Makau, toby nas rozbił w proch. Do walki mamy tylko niewielką fregatę, a ona nie da rady Erasmusowi! Ani karawela. Będzie tańczył dookoła nas, tak że pozostanie nam tylko poddać się.

–Jesteś pewien?

–Tak. Przysięgam na Boga, że Erasmus by nas wykończył. – Rodrigues gniewnie zacisnął pięść. – Ale zaraz... Ingeles powiedział, że dopłynął tu najwyżej z tuzinem ludzi, w dodatku nie z samymi żeglarzami, bo część z nich było kupcami i chorowali. Ta garstka nie może żeglować statkiem. A załogę można zdobyć tylko w Nagasaki... albo w Makau. W Nagasaki Ingeles może zdobyć wystarczająco dużo ludzi! Są to ci, którzy... lepiej nie dopuszczać go tam i do Makau!

–A jeżeli skompletowałby miejscową załogę?

–Mówisz, ojcze, o tych zbójach Toranagi? Albo wako? Myślisz, że jeżeli Toranaga poddał się, to wszyscy jego samuraje staną się roninami? Gdyby Ingeles miał dość czasu, to na pewno by ich wyszkolił. Z łatwością. Jezu Chryste... przepraszam, ojcze, ale gdyby Ingeles zdobył samurajów albo wako... Do takiego ryzyka dopuścić nie wolno, on jest za dobry. Wszyscy widzieliśmy to w Osace! On, wolny na tym sakramenckim statku W Azji, z załogą złożoną z samurajów... Alvito przypatrywał mu się, coraz mocniej zatroskany.

–Chyba prześlę ojcu wizytatorowi jeszcze jedną wiadomość – powiedział. – Jeżeli ta sprawa jest pilna, to powinien być o niej poinformowany. Będzie wiedział, co robić.

–Ja wiem, co robić! – Rodrigues walnął pięścią w nadburcie. Wstał i odwrócił się plecami. – Ojcze, wysłuchaj mojej spowiedzi. Tamtej nocy, kiedy płynęliśmy galerą z Anjiro i stanął przy mnie po raz pierwszy na rufówce, serce podpowiadało mi, żeby go zabić, właśnie wtedy, gdy szalała burza. Pan Jezus dopomógł mi – posłałem Ingelesa na dziób i bez ostrzeżenia umyślnie ustawiłem galerę pod wiatr w chwili, gdy nie miał liny zabezpieczającej. Chciałem go zamordować, ale on nie wypadł za burtę, chociaż na jego miejscu wypadłby każdy. Pomyślałem, że to ręka boska, a upewniło mnie o tym to, że nie posłuchał się mnie i uratował statek. A kiedy statek był już bezpieczny, mnie zaś porwała fala i tonąłem, przyszło mi na myśl, że to kara boska za to, że chciałem go zabić. Czegoś takiego nie. robi się drugiemu pilotowi, on nigdy by mi tego nie zrobił! Zasłużyłem sobie tym na śmierć. No, a potem, kiedy odkryłem, że żyję, i ujrzałem, że on pochyła się nade mną i pomaga mi się napić, strasznie się zawstydziłem. Jeszcze raz zacząłem błagać Boga o wybaczenie i poprzysięgłem na

wszystkie świętości, że postaram się wynagrodzić to Anglikowi. Matko Boża! – wyjęczał z udręką – przecież ten człowiek ocalił mi życie, chociaż wiedział, że próbowałem go zgładzić. Widziałem to w jego spojrzeniu. Uratował mnie, pomógł przeżyć, a teraz muszę go zabić.

–Dlaczego?

–Generał-gubernator miał rację. Niech Bóg ma nas w swojej opiece, jeżeli Ingeles wypłynie w morze Erasmusem, uzbrojony i z jaką taką załogą.

Blackthorne i Mariko spali w pogrążonym w nocnej ciszy małym pawilonie, należącym do Zajazdu Pod Kameliami, który mieścił się przy ulicy Dziewiątej Południowej. W każdym domku były trzy pokoje. Jeden zajęła Mariko ze służącą Chimmoko, drugi Blackthorne, trzeci zaś, najbliżej wejścia i werandy, pozostawili na wpół pusty – służył im do siedzenia, jedzenia i rozmów.

–Myślisz, że to bezpieczne? – spytał zaniepokojony Blackthorne. – Nocować bez Yoshinaki, bez służących i strażników śpiących obok?

–Nie, Anjin-san. Nic nie jest bezpieczne – odparła Mariko. – Ale miło jest być we dwoje. Ten zajazd uważany jest za najładniejszy i najślynniejszy w całej Izu. Naturalnie, poprosiłam o dwa pawilony, jeden dla ciebie, drugi dla mnie. Niestety, przykro mi, ale dostępny był tylko jeden. Yoshinaka-san jednak nie zmartwił się tym. Wręcz ulżyło mu, że nie musi dzielić swoich ludzi. Postawił wartowników na wszystkich przejściach, tak więc jesteśmy bezpieczni i nikt nam nie zakłóci spokoju. Kto zresztą miałby to zrobić? Cóż złego może się stać, skoro – mamy oddzielne pokoje, a Chimmoko śpi ze mną?

–Nic. Nigdy jeszcze nie oglądałem tak pięknego zajazdu. Jakże jesteś mądra i jaka piękna.

–Och, a ty, jakże jesteś dla mnie miły, Anjin-san. Najpierw kąpiel, a potem wieczerza i mnóstwo sake.

–Dobrze. Bardzo dobrze.

–Odłóż słownik, Anjin-san, proszę.

–Ale przecież zawsze zachęcałaś mnie do nauki.

–Jeżeli w tej chwili odłożysz książkę, to... zdradzę ci tajemnicę.

–Jaką?

–Zaprosiłam do nas na kolację pana Yoshinakę. I kilka dam. Żeby nas zabawiały.

–Ach tak!

–Tak. Kiedy cię opuszczę, wybierzesz sobie którąś, ne?

–Bardzo mi przykro, ale to może zakłócić ci sen.

–Przyrzekam ci, że będę spała bardzo mocno, ukochany. A mówiąc poważnie, ta zmiana może ci dobrze zrobić.

–Tak, ale w przyszłym roku, nie teraz.

–Bądź poważny.

–Jestem poważny.

–Och, w takim razie, jeżeli przypadkiem uprzejmie się rozmyślisz i szybko ją odeślesz, po wyjściu pana Yoshinaki z partnerką, to kto wie, co może dla ciebie znaleźć nocny kami.

–Słucham?

–Byłam dziś na zakupach.

–Tak? I co kupiłaś?

–Ach!

Kupiła komplet przyrządów do poduszkiowania, takich jak pokazała im Kiku, które znacznie później, po odejściu Yoshinaki, kiedy Chimmoko pilnowała werandy, wręczyła mu z głębokim ukłonem. Na wpół żartem przyjął je równie ceremonialnie i razem wybrali pierścień rozkoszy.

–Jest jakiś mocno kłujący, Anjin-san, ne? Na pewno się przed nim nie wzbranasz?

–Nie, jeżeli nie wzbranasz się ty... ale przestań się śmiać, bo wszystko zepsujesz. Zgaś te świece.

–O, nie, proszę, daj popatrzeć.

–Na miłość boską, Mariko, przestań się śmiać!

–Ale przecież ty też się śmiejesz.

–Nieważne, zgaś to światło, bo... Popatrz, coś narobiła.

–Och!

–Przestań się śmiać! Nie pomoże ci chowanie głowy w futony... Po jakimś czasie Blackthorne odezwał się stropionym głosem:

–Mariko...

–Tak, kochany?

–»- Nie mogę go znaleźć.

–Och! Pozwól, że ci pomogę.

–E, już w porządku. Mam go. Leżałem na nim.

–Ach. Na... na pewno się przed tym nie wzbraniasz?

–Nie, ale jest odrobinę... hmm, no cóż, nie pomaga się wznieść. Tyle tego gadania, a tyle się czeka, co?

–Och, nie szkodzi. To moja wina, że się śmiałam. Och, Anjin-san, tak cię kocham, przebacz mi.

–Przebaczam.

–Uwielbiam cię dotykać.

–Twój dotyk jest niezrównany.

–Co robisz, Anjin-san?

–Nakładam go.

–Czy to trudne?

–Tak. Przestań się śmiać!

–Och, bardzo przepraszam, może ty...

–Przestań się śmiać!

–Wybacz, proszę...

Po wszystkim natychmiast zasnęła. On nie zasnął. Było mu przyjemnie, ale nie cudownie. Za bardzo się o nią martwił. Postanowił, że tym razem wszystko będzie podporządkowane sprawianiu przyjemności jej, a nie sobie.

Tak, to było dla niej, pomyślał rozkochany. Jedno wszakże udało mi się idealnie:

wiem, że naprawdę ją zaspokoilem. Przynajmniej raz jestem tego całkowicie pewien.

Zasnął. A potem przez sen zaczęły do niego docierać ludzkie głosy, odgłosy kłótni i portugalskiej mowy. Przez chwilę myślał, że śpi, kiedy nagle rozpoznał ów głos.

–Rodrigues!

Mariko mruknęła przez sen.

Na dźwięk kroków na ścieżce w kontrolowanym popłochu podźwignął się na kolana. Podniósł ją niczym lalkę i ruszył do shoji, ale zatrzymał się, bo ktoś właśnie otworzył je z zewnątrz. Była to Chimmoko. Głowę miała opuszczoną, a oczy dyskretnie zamknięte. Z Mariko na rękach szybko wyminął służącą i delikatnie ułożył na wpół uśpioną kochankę na jej własnych kołdrach. Cicho wybiegł do swojego pokoju, zlany zimnym potem, mimo że noc była ciepła. Po chwili włożył kimono i pośpieszył na werandę. Yoshinaka właśnie wstępował na schodek.

–Nan desu ka, Yoshinaka-san? – spytał.

–Gomen nasai, Anjin-san – odparł Japończyk. Wskazał pochodnie palące się przy bramie zajazdu po drugiej stronie i dorzucił wiele słów, których Blackthorne nie zrozumiał. Sprowadzały się one jednak do tego, że stojący tam człowiek, barbarzyńca, chce się z nim zobaczyć. Yoshinaka kazał mu poczekać, na co tamten odparł, że nie będzie czekał, a zachowywał się jak daimyō, choć nim nie był, i próbował się przepchnąć, lecz Yoshinaka go powstrzymał. – Powiedział, że jest twoim przyjacielem. Czy to prawda?

–Heja, Ingeles! To ja, Vasco Rodrigues!

–Hej, Rodrigues! – odkrzyknął mu wesoło Blackthorne. – Zaraz tam przyjdę. Hai, Yoshinaka-san. Karę wa watashi no ichi yujin desu. (To mój przyjaciel).

–Ah so desu!

–Hai. Dōmo.

Blackthorne zbiegł po schodach, chcąc popędzić do bramy, kiedy za plecami usłyszał głos Mariko:

–Nan ja, Chimmoko?

Kiedy służąca odpowiedziała jej szeptem, Mariko zawołała władczo:

–Yoshinaka-san!

–Hai, Toda-sama!

Blackthorne rozejrzał się dookoła. Yoshinaka wszedł po schodach i ruszył do pokoju Mariko. Przed zamkniętymi drzwiami stała Chimmoko. Jej pogniecione posłanie leżało blisko nich. Zawsze tam spała, tak jakby jej pani, całkiem słusznie, nie życzyła sobie spać z nią w tym samym pokoju. Yoshinaka uklonił się drzwiom i zaczął opowiadać, co się stało. Blackthorne bosy, ze wzrastającą radością poszedł ścieżką, wpatrując się w Portugalczyka, który na twarzy miał szeroki powitalny uśmiech, a w jego kolczykach i sprzączce zawadiackiego kapelusza tańczyło światło pochodni.

–Hej, Rodrigues! To wspaniale znowu cię oglądać. Jak tam twoja noga? Jak mnie znalazłeś?

–Matko Boska, Ingeles, urosłeś, nabrałeś ciała. Tak, jesteś zdrow jak byk, a zachowujesz się niczym sakramencki daimyō.

Rodrigues uściskał go mocno, na co odpowiedział mu tym samym.

–Jak twoja noga?

–Boli jak diabli, ale chodzę; a znalazłem cię rozpytując się, gdzie jest ten ogromny Anjin-san, ten wielki barbarzyńca, ten bandyta, ten drań z niebieskimi oczami!.

Wybuchnęli śmiechem, przerzucając się sprośnościami i nic sobie nie robiąc z otaczających ich samurajów i służby. Po chwili Blackthorne posłał służącą po sake i ruszył pierwszy z powrotem. Obaj szli żeglarskim krokiem, Rodrigues z przyzwyczajenia trzymając prawą dłoń na rękojeści rapiera, a kciuk lewej zatknięty za szeroki pas blisko pistoletu. Blackthorne przerastał go o kilka cali, ale Portugalczyk miał potężniejszą klatkę piersiową i jeszcze szersze bary.

Na werandzie oczekiwał ich Yoshinaka.

–Dōmo arigato, Yoshinaka-san – powiedział Blackthorne, jeszcze raz dziękując samurajowi, po czym wskazał gościowi jedną z poduszek. – Porozmawiajmy tutaj.

Rodrigues postawił nogę na stopniach, ale zatrzymał się, bo Yoshinaka zastąpił mu drogę, wskazał na rapier i pistolet, a potem podniósł w górę otwartą dłoń.

–Dozo!

Portugalczyk spojrział na niego krzywym okiem.

–Iye, samuraj-sama, dōmo ari...

–Dozo!

–Iye, samuraj-sama, iye! – powtórzył Rodrigues ostrzejszym tonem. – Watashi yujin

Anjin-san, ne?

Blackthorne zrobił krok, zaskoczony tym nagłym konfliktem.

–Yoshinaka-san, shigata ga nai, ne? – rzekł z uśmiechem. – Rodrigues yujin, wata...

–Gomen nasai, Anjin-san. Kinjiru! – odparł Japończyk i dodał szorstko do Portugalczyka: – Ima!

–Iye! – odparował Rodrigues. – Wakarimasu ka?

Blackthorne prędko wkroczył między nich.

–Ej, Rodrigues, a czy to ważne? Oddaj je Yoshinace. To nie ma nic wspólnego z tobą ani ze mną. Chodzi o tę damę, o wielmożną panią Todę Mariko. Jest tutaj. Przecież znasz ich drażliwość na punkcie broni noszonej w obecności daimyō lub ich żon. Będziemy się o to spierać całą noc, przecież ich znasz, ne? Robi ci to różnicę?

Portugalczyk z trudem przywołał na twarz uśmiech.

–Pewnie. Czemu nie – powiedział. – Hai. Shigata ga nai, samuraj-sama. So desu!

Rodrigues uklonił się z powagą jak dworzanin, wysunął rapier wraz z pochwą zza klamerki przy pasie, wyciągnął pistolet i podał oba. Yoshinaka dał znak samurajowi, który wziął broń i pobiegł z nią do bramy, gdzie ułożył ją na ziemi i stanął przy niej na straży. Rodrigues ruszył po stopniach, ale Yoshinaka ponownie stanowczo i grzecznie zażądał od niego, żeby się zatrzymał. Inni samuraje ruszyli do Portugalczyka, chcąc go obszukać, na co wściekły Rodrigues odskoczył.

–Iye!!! Kinjiru, jak Boga kocham! Co to...

Samuraje opadli go, unieruchomili ręce i dokładnie go obszukali. W cholewach butów znaleźli dwa noże, trzeci przywiązany do przedramienia lewej ręki, a ponadto dwa małe pistolety – jeden za podszewką płaszcza, drugi pod koszulą – oraz płaską cynową flaszkę na biodrze.

Blackthorne zbadał pistolety. Oba były nabite.

–Czy tamten też jest nabity? – spytał.

–Tak. Oczywiście. To wrogi kraj, nie zauważyłeś tego, Ingeles? Każ im mnie puścić!

–Zazwyczaj przyjaciela nie odwiedza się z takim arsenałem w nocy, ne?

–Mówię ci, że to wrogi kraj. Zawsze jestem tak uzbrojony. A ty nie? O Madonno, każ tym draniom, żeby mnie puścili.

–Czy to wszystko? Nie masz niczego więcej?

–Oczywiście... każ im mnie puścić, Ingeles!

Blackthorne oddał samurajom pistolety i przystąpił do Portugalczyka. Palcami dokładnie obmacał od wewnętrznej strony jego szeroki skórzany pas. Z ukrytej pochwy wysunął się sztylet, bardzo cienki, ogromnie sprężysty, wykonany z najlepszej damasceńskiej stali. Yoshinaka obrzucił przekleństwem samurajów, którzy dokonali rewizji. Przeprosili, ale Blackthorne patrzył wyłącznie na Rodriguesa.

–Masz coś jeszcze? – spytał, swobodnie trzymając sztylet w dłoni.

Rodriges wpatrzył się w niego kamiennym wzrokiem.

–Bo powiem im, gdzie mają szukać... i jak, Rodrigues. Tak jak zrobiliby to Hiszpanie... niektórzy, co?

–Me cago en la leche, che cabron!

–Que va, leche! Prędeż! – powiedział Blackthorne, a nie otrzymawszy odpowiedzi, ruszył do Portugalczyka ze sztyletem. – Dozo, Yoshinaka-san. Watash...

–Za wstążką przy kapeluszu – rzekł chrapliwie Rodrigues, więc Blackthorne zatrzymał się.

–Dobrze – powiedział i wyciągnął rękę po jego kapelusz z szerokim rondem.

–Ty ich... szkolisz, prawda?

–A ty nie?

–Uważaj na pióro, Ingeles, bo jestem do niego przywiązany.

Wstążka była szeroka i sztywna, a pióro zawadiackie jak sam kapelusz. Kryła pod sobą cienki sztylet, mniejszy, specjalnie zaprojektowany, z doskonałej stali, z łatwością dostosowującej się do krzywizny. Yoshinaka ponownie ostro skarcił swoich samurajów.

–Bóg ci świadkiem, że to wszystko, Rodrigues?

–O Madonno... przecież powiedziałem.

–Przysięgnij.

Rodrigues spełnił jego życzenie.

–Yoshinaka-san, ima ichi-ban. Dómo...(Już wszystko w porządku. Dziękuję ci.) – powiedział.

Yoshinaka wydał rozkaz. Jego ludzie wypuścili Portugalczyka. Rodrigues rozmasował członki, żeby złagodzić ból.

–Czy można usiąść, Ingeles? – spytał.

–Tak.

Rodrigues czerwoną chustką otarł pot, a potem wziął cynową flaszkę i ze skrzyżowanymi nogami zasiadł na poduszce. Yoshinaka pozostał w pobliżu na werandzie. Wszyscy jego podwładni oprócz czterech powrócili na swoje posterunki.

–Czemu są tacy drażliwi? Czemu jesteś taki drażliwy, Ingeles? Nigdy dotąd nie musiałem oddawać broni. Czy ja jestem mordercą?

–Spytałem cię, czy to cała twoja broń, i skłamałeś mi.

–Nie słuchałem, co mówisz. O Madonno! Czyś ty... żeby trzymać mnie jak pospolitego przestępcę – rzekł z goryczą Rodrigues. – A zresztą, czy to ważne, Ingeles, czy coś jest w ogóle ważne? Zepsułeś tę noc... Hej, ale zaraz! Po co sobie psuć wspaniały wieczór? Wybaczam im. I wybaczam tobie. Miałeś rację, to ja popełniłem błąd. Przepraszam. Miło cię znów zobaczyć. – Wyjął korek z flaszki i podał ją Blackthorne'owi. – Proszę... napij się świetnej brandy.

–Ty pierwszy.

Rodrigues zbladł.

–Matko Boska, czy ty myślisz, że przyniosłem ci truciznę?

–Nie. Napijesz się pierwszy.

Rodrigues napił się.

–Jeszcze raz!

Portugalczyk zrobił to i otarł usta wierzchem dłoni. Blackthorne przyjął od niego flaszkę.

–Salud! – Przechylił ją i udał, że łyka, ale choć bardzo chciał się napić, zatkał językiem otwór, żeby zapobiec wlaniu, się trunku do ust. – O! – powiedział. – To było dobre. Proszę!

–Zachowaj ją, Ingeles. To podarek.

–Od zaczego ojca? Czy od ciebie?

–Ode mnie.

–Bóg ci świadkiem?

–Bóg i Najświętsza Panienska, ty i to twoje przysięganie! – odparł Rodrigues. – To podarek ode mnie i od ojca wizytatora! Do niego należą wszystkie trunki na pokładzie Santa Filipa, ale jego eminencja powiedział, że mogę z nich korzystać i brać sobie jedną z każdego tuzina flaszek na pokładzie. To podarunek. Gdzie twoje dobre maniery?

Blackthorne udał, że znów pociąga łyk, a potem zwrócił flaszkę.

–Proszę, łyknij jeszcze.

Rodrigues czuł, że trunek dotarł mu do palców nóg, i był rad, że po przyjęciu pełnej flaszki od ojca Alvito, po cichu opróżnił ją, starannie wymył i napełnił brandy własnej butelki. O Madonno, przebacz mi, modlił się, przebacz, że zwątpiłem w świątobliwego ojca. Matko Boża, Boże Ojczy i Panie Jezusie, zstąpcie, na miłość boską, na ziemię i odmieńcie ten świat, na którym czasem ośmielamy się nie wierzyć nawet księżom.

–Co się stało?

–Nic, Ingeles. Po prostu myślałem o tym, że ten świat jest sakramencko podły, skoro w dzisiejszych czasach nie można ufać nikomu. Przyszedłem tutaj z otwartymi rękami, a trafiłem na próżnię.

–Naprawdę?

–Tak.

–Uzbrojony po zęby?

–Ja zawsze jestem tak uzbrojony. Dlatego właśnie jeszcze żyję. Salud! – Potężny zachmurzony Portugalczyk podniósł flaszkę i znów z niej pociągnął. – Sram na taki świat, sram na wszystko.

–Srasz na mnie?

–Ingeles, to ja, Vasco Rodrigues, pilot portugalskiej marynarki, a nie jakiś zasrany samuraj. Ty i ja wymieniliśmy wiele obelg, a wszystko w przyjaźni. Dzisiaj przyszedłem w odwiedziny do przyjaciela, a okazuje się, że go wcale nie mam. To bardzo smutne.

–Tak.

–Nie powinno być smutne, a jest. Przyjaźń z tobą ogromnie skomplikowała mi życie.
– Rodrigues wstał, rozprostował plecy i znowu usiadł. – Nienawidzę siedzieć na tych przeklętych poduszkach! Jestem stworzony do krzeseł. Do pokładu. No cóż, salud, Ingeles.

–Kiedy ustawiłeś galerę pod wiatr, a ja byłem na śródkręciu, to po to, żebym spadł za burtę, prawda?

–Tak – przyznał od razu Rodrigues. Wstał. – Tak. Cieszę się, że o to spytałeś, bo bardzo mi to ciąży na sumieniu. Cieszę się, że w ogóle mam okazję cię przeprosić, bo za nic nie zdobyłbym się na to, żeby ci się do tego przyznać. Tak, Ingeles. Nie proszę o wybaczenie, zrozumienie ani nic. Ale cieszę się, że mogę ci się przyznać do tej hańby w oczy.

–Myślisz, że ja bym ci zrobił coś takiego?

–Nie. Jeżeli jednak zdarzy się, że... Nigdy nic nie wiadomo, aż do nadejścia godziny próby.

–Przyjechałeś tutaj, by mnie zabić?

–Nie. Wątpię. Wątpię, żeby to było moim głównym celem, choć dla moich rodaków i dla mojego kraju, jak obaj dobrze wiemy, byłoby lepiej, gdybyś nie żył. To bardzo smutne, ale prawdziwe. Jakże głupie jest życie, co, Ingeles?.

–Nie pragnę twojej śmierci, pilocie, jedynie twojej Czarnej Karaweli.

–Posłuchaj, Ingeles – rzekł bez gniewu Rodrigues. – Jeżeli spotkamy się na morzu, ty, uzbrojony, na swoim statku, a ja na swoim, to pilnuj się. Przybyłem tu, żeby ci to obiecać, tylko tyle. Myślałem, że, mogę ci to powiedzieć jako przyjacielowi i że zawsze pozostanę twoim przyjacielem. Z wyjątkiem morza, wszędzie indziej będę twoim dłużnikiem. Salud!

–Mam nadzieję, że dopadnę Czarną Karawelę na morzu. Salud, pilocie.

Rodrigues odszedł Wolnym krokiem. Yoshinaka z samurajami podążył za nim – Przy bramie Portugalczyk odebrał broń. Wkrótce potem wchłonęła go noc.

Yoshinaka odczekał, aż wartownicy rozejdą się na posterunki. Kiedy upewnił się, że wszystko jest zabezpieczone, pokuśtykał do swojej kwatery. Blackthorne usiadł prosto na poduszcze, a po chwili nadeszła cicho z tacą zadowolona służąca, którą posłał po sake. Nalała mu do czarki, gotowa pozostać dłużej, by mu usługiwać, ale odprawił ją. Został sam. Znów otoczyły go odgłosy nocy, szelesty, szum wodospadu, poruszające się w ciemności nocne ptaki. Wszystko było jak przedtem, lecz wszystko się zmieniło.

Zasnucony sięgnął ręką, chcąc napelnić czarękę, ale zaszeleścił jedwab i flaszka znalazła się w dłoni Mariko. Mariko nalala jemu i sobie.

–Dómo, Mariko-san.

–Do itashimashite, Anjin-san.

Usadowiła się na drugiej poduszce. Napili się gorącego wina.

–Chciał cię zabić, ne?

–Nie wiem, nie mam pewności.

–Co znaczy „przeszukać jak Hiszpanie”?

–Niektórzy Hiszpanie rozbierają jeńców, po czym szperają w otworach ich ciała. I to niezbyt delikatnie. Nazywają to obszukiwaniem eon significa, zasadniczym. Bywa, że używają do tego noży.

–Ach – Mariko łyknęła wina i zasłuchała się w szmer wody płynącej po kamieniach. – Tak samo jest tutaj, Anjin-san. Czasem. Właśnie dlatego mądrze jest nie dać się schwytać. Jeżeli cię schwytają, to okrywasz się tak wielką hańbą, że cokolwiek robi z tobą ten, który cię pojmał... Najlepiej nie być jeńcem. Ne?

Blackthorne wpatrzył się w lampiony kołyszące się w podmuchach chłodnego świeżego wiatru.

–Yoshinaka miał rację, a ja się myliłem. To obszukanie było konieczne. Ten pomysł był twój, prawda? Kazałaś Yoshinace obszukać go?

–Przepraszam za to, Anjin-san, mam nadzieję, że nie było to dla ciebie kłopotliwe. Po prostu bałam się o ciebie.

–Dziękuję ci za to, pani – rzekł, znów używając łaciny, choć było mu przykro, że doszło do rewizji Rodriguesa. Bez niej zachowałby przyjaciela. Może, stwierdził sceptycznie.

–Proszę bardzo, panie – odparła. – Ale wypełniłam jedynie swój obowiązek.

Miała na sobie nocne kimono i niebieską narzutkę, a luźno splecione włosy opadały jej do pasa. Spojrzała za siebie na odległą bramę po drugiej stronie zajazdu, widoczną między drzewami.

–Bardzo mądrze postąpiłeś z tym trunkiem, Anjin-san. Byłam bliska szczypania się z gniewu za to, że zapomniałam ostrzec o tym Yoshinakę. Bardzo chytrze zmusiłeś go, żeby się dwa razy z niej napił. Czy w waszych krajach często stosuje się trucizny?

–Zdarza się. Niektórzy je stosują. To podły sposób.

–Tak, za to bardzo skuteczny. Tutaj też to się zdarza.

–To straszne, że nie można ufać nikomu, prawda?

–Och, nie, Anjin-san, wybacz – odparła. – Ale to jedna z najważniejszych życiowych zasad, ni mniej, ni więcej.

Koniec tomu drugiego

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-02-25

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/